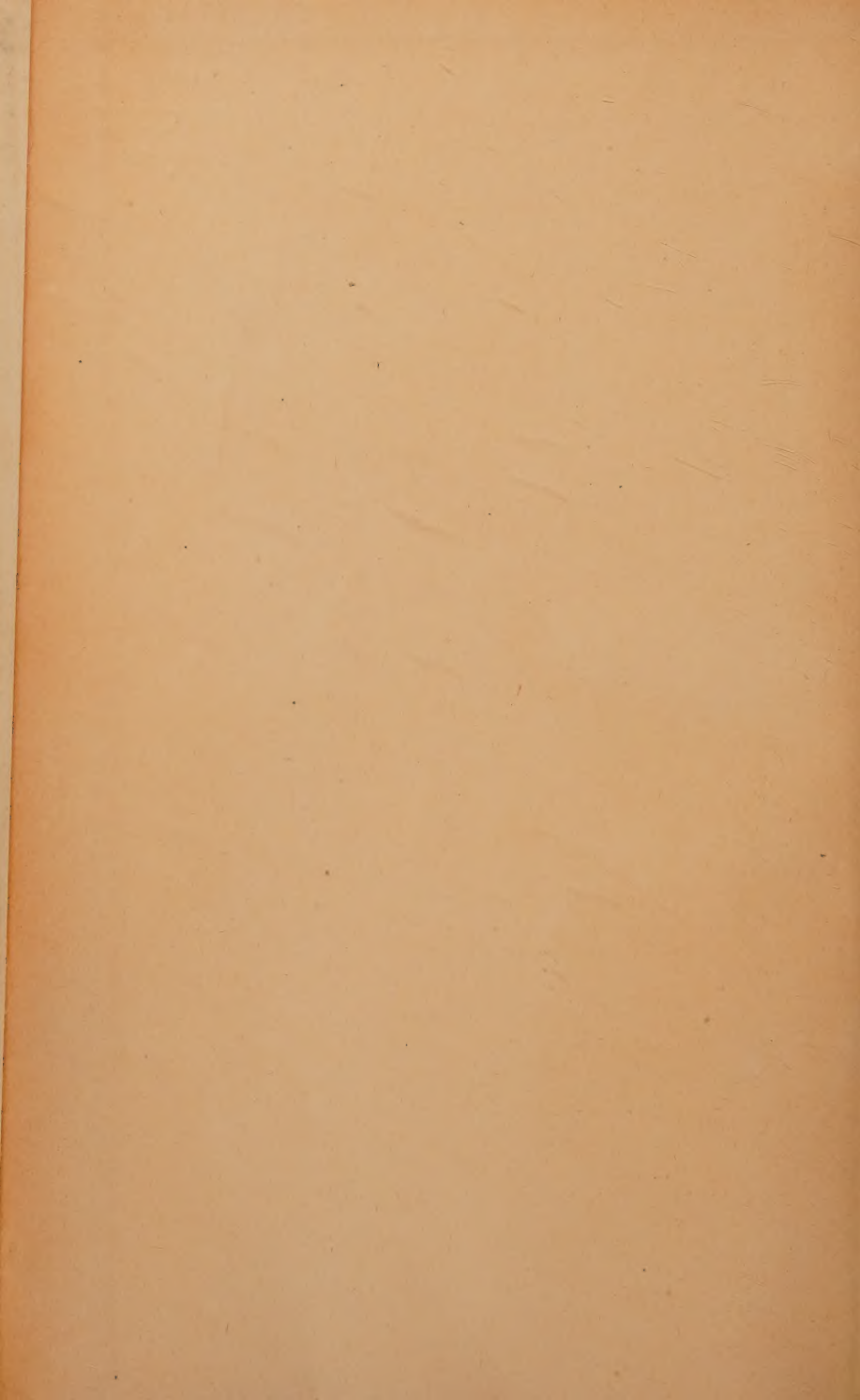


per 2000 m. n.
m. j.
250



KRZYŻACY.

HENRYK SIENKIEWICZ

KRZYŻACY



TOM IV.



CHICAGO.
NAKŁADEM I DRUKIEM WŁ. DYNIEWICZA.
1907.

I.

Jakkolwiek Czech wielbił Jagienkę, a serce lgnęło mu coraz bardziej do ślicznej Sieciechówny, jednakże młoda, a chrobra dusza rwała mu się przedewszystkiem do wojny. Wrócił wprawdzie do Spychowa z rozkazu Maćka, gdyż był służbisty, a przytem znajdował pewną osłodę myśli, iż będzie obu pannom strażą i opiekunem, lecz gdy sama Jagienka rzekła tłumowi to, co zresztą było prawdą, że im w Spychowie nic nie grozi i że jego powinnością przy Zbyszku, z radością na to przystał. Maćko nie był jego bezpośrednim zwierzchnikiem, więc łatwo mógł usprawiedliwić się przed nim, że nie został w Spychowie z rozkazu prawej swojej pani, która kazała mu iść do pana Zbyszka.

Jagienka zaś uczyniła to w myśli, iż giermek tej siły i sprawności, zawsze może się przydać Zbyszkowi i z niejednej toni go wybawić. Dał już przecie tego dowody podczas owych łowów książęcych, w których Zbyszko o mało życia od tura nie stradał. Tembardziej mógł być pożyteczny na wojnie, zwłaszcza takiej, jaka toczyła się na żmudzkiej granicy. Głowaczowi było tak pilno w pole, że gdy razem z Jagienką wrócili od Juranda, podjął ją pod nogi i rzekł.

— To wolę waszej miłości zaraz się pokłonić i o dobre słowo na drogę poprosić.

— Jakże? — zapytała Jagienka — dziś jeszcze chcesz jechać?

— Jutro do dnia, by konie przez noc wypoczyły. Okrutnie daleka na Zmujdź wyprawa!

— To i jedź, bo łącniej rycerza Maćka dogonisz.

— Ciężko będzie. Stary pan twardy na wszelakie trudy i o kilka dni mnie wyprzedził. Przytem pojedzie przez Prusy by sobie drogę skrócić, ja zaś puszciami muszę. Pan ma listy od Lichtensteina, które po drodze może pokazywać, ja zaś musiałbym pokazywać chyba ot co! — i tem sobie wolno przejazd czynić.

To rzekłszy, położył rękę na głowni korda, który miał przy boku, co widząc Jagienka zawołała:

— A ostrożnie! Skoro jedziesz, to trzeba, byś dojechał, a nie w jakimś podziemiu krzyżackiem ostał. Ale i w puszczach dawaj na się baczenie, bo tam teraz różne złe bożki mieszkają, które tamtejszy naród czcił, nim do krześcijaństwa nie przystał. Pamiętasz, jako to i rycerz Maćko i Zbyszko opowiadali w Zgorzelicach.

— Pamiętam, ale jakoś nie boję się, bo chudziny to, nie bożyczkowie i siły nijakiej nie mają. Dam ja sobie z nimi rady i z Niemcami, których napotkam, też byle wojna chciała dobrze rozgorzeć.

— A to nie rozgorzała? Powiadaj, coście o niej między Niemcami słyszeli.

Na to roztropny pacholek namarszczył brew, zastanowił się przez chwilę, poczem rzekł:

I rozgorzała. Pilnie my o wszystko dopytywali, a szczególnie rycerz Maćko, któren jest chytry i objechać każdego Niemca umie. Niby to o co innego pytał, niby życzliwość udaje, z niczem się sam nie wyda, a w sedno utrafi i z każdego nowinę, jakoby rybę hakiem wyciągnie. Zechceli wasza miłość cierpliwie słuchać, to powiem: Książ Witold, lat temu kilka, mając zamysły przeciw Tatarom i chcąc od niemieckiej ściany spokoju, ustąpił Niemcom Żmujdź. Była wielka przyjaźń i zgoda. Zamki im wznosić pozwolił, ba sam pomagał, zjeżdżali się też z Mistrzem na jednej wyspie, pili, jedli i świadczyli sobie miłość. Łowy nawet w tamecznych puszczach nie były Krzyżakom wzbronione, a jak niebożęta Żmujdzini podnosili się przeciw zakonnemu panowaniu, to książ Witold Niemcom pomagał i wojska im swoje w pomoc wysyłał, o co szemrano nawet w całej Litwie, że na własną krew nastaje. Wszystko to nam podwójci w Szczytnie rozpowiadał i chwalił krzyżackie rządy na Żmujdzi, że posyłali Żmujdzinom księży, którzy ich mieli chrzczyć i zboże w czasie głodu. Jakoż podobno posyłali, bo Wielki Mistrz, któren więcej od innych ma bojaźni Boskiej, kazał, ale za to zabierali im dzieci do Prus, a niewiasty sromocili w oczach mężów i braci, kto się zaś przeciwiał, to go wieszali—i stąd panienko, jest wojna.

—A książ Witold?

—Książ długo na żmujdzkie krzywdy oczy zamykał i Krzyżaków kochał. Niedawne

czasy, jak księżna, jego żona jeździła do Prus, do samego Malbarga w odwiedzin. To tam ją przyjmowali, jakby samą królową polską. A toż niedawno niedawno! Obsypywali ci ją darami, a co było turniejów, uczt i różnych wszelakich dziwów w każdym mieście, tegoby nikt nie zliczył. Myśleli ludzie, że to już na wieki miłość między Krzyżaki, a księciem Witoldem nastanie, aż tu niespodzianie odmieniło się w nim serce....

—Miarkując z tego, co nieraz i nieboszczyk tatuś i Maćko gadali, to często się w nim serce odmienia.

— Przeciw cnotliwym nie, ale przeciw Krzyżakom często, skroś tej przyczyny, że oni sami w niczem wiary nie dotrzymują. Chcieli teraz od niego, by im zbiegów wydał, a on im powiedział, że ludzi podłego stanu wyda, a zaś wolnego nie myśli, gdyż ci, jako wolni, mają prawo żyć, gdzie chcą. Dopieroż się na siebie kwasić, a listy ze skargami pisać, a wzajem się odgrażać. Zasłyszawszy o tem, Zmujdzini nuż w Niemców! Załogi wycięli, zameczki poburzyli, a teraz-ci i do samych Prus wpadają, zaś księżę Witold nie tylko już ich nie hamuje, ale jeszcze się z frasunku niemieckiego śmieje i Zmujdzinom po cichu posyła.

—Rozumiem—rzekła Jagienka.— Ale jeśli po cichu ich wspomaga to jeszcze wojny niema.

—Jest ze Zmujdzinami, a i z Witoldem w rzeczy już jest. Idą zewsząd Niemce, bronić pogranicznych zamków i radziiby i wielką wyprawę na Zmujdź uczynić, jeno z tem długo muszą czekać aż do zimy, bo to kraj rozmokły i rycerzom nijak w nim wojować. Gdzie Zmujdzin przejdzie, tam Niemiec ulgnie, przeto zima

Niemcom przyjaciółka. Ale z nastaniem mrozów ruszy się cała potęga krzyżacka, a zaś książe Witold pójdzie w pomoc Zmujdzinom — i pójdzie z pozwoleniem króla polskiego, boć to przecie zwierzchni pan i nad wielkim kniaziem i nad całą Litwą.

— To może i z królem będzie wojna?

— Mówią ludzie i tam u Niemców i tu nas, że będzie. Zebrzą już pono Krzyżacy pomocy po wszystkich dworach i kaptury im na łbach gorą, jako zwyczajnie na złodziejach, boć to przecie potęga królewska nie żart, a ponoć rycerstwo polskie, byle kto Krzyżaka wspomniał, zaraz w garście popluwa.

Westchnęła na to Jagienka i rzekła:

— Zawszeć to chłopu weselej na świecie, niż dziewczce, bo na ten przykład, ty sobie pojedziesz na wojnę, równie, jak pojechali Zbyszko i Maćko, a my tu ostaniem w Spychowie.

— Jako-że inaczej, panienko, ma być. Ostaniecie, ale we wszelkiej przezpieczności. Straszne jeszcze i teraz Niemcom Jurandowe imię, com sam widział w Szczytnie, że gdy się dowiedzieli, iż jest w Spychowie, zaraz strach ich zdjął.

— To wiemy, że tu nie przyjdą, bo i bagno broni i stary Tolima, jeno ciężko tu będzie siedzieć, bez wieści.

— Jak się co przygodzi, dam znać. Wiem, jeszcze przed naszym wyjazdem do Szczytna, wybrało się stąd na wojnę z własnej woli dwóch dobrych pachołków, którym Tolima wzbronić tego nie może, bo są ślachtą z Łękawicy. Teraz pojedą razem ze mną i w razie czego zaraz którego tu pchnę z nowiną.

—Bóg zapłać. Wiedziałam zawsze, iż rozum masz w każdej przygodzie, ale za twoje serce i za chętność ku mnie, to już ci do śmierci będę wdzięczna.

Na to Czech przykląkł na jedno kolano i rzekł:

—Nie krzywdź ja, jeno dobrodziejstw u was zaznałem. Wziął ci mnie chłopięciem w jeństwo rycerz Zych pod Bolesławiem i bez okupu wolnością obdarował, aleć mi milsza już była służba u was od wolności. Dajże mi Boże dla was krew rozlać, panienko moja!

—Boże cię prowadź i przyprowadź—odpowiedziała Jagienka, wyciągając ku niemu rękę.

Lecz on wolał pochylić się do jej nóg i całować stopy, aby jej cześć oddać tem większą, a potem podniósł głowę i nie wstając z klęczek, począł mówić nieśmiało i pokornie:

—Prosty ja pacholek, alem szlachcie i sługa wasz wierny.... dajcie-że mi jakowy wspominek na drogę. Nie odmawiajcie mi tego! Jezci nadchodzi czas košby wojennej, a święty Jerzy mi świadkiem, że tam w poprzódku, nie zaś w ociagu się znajdę.

—O jakież wspominek mnie prosisz?—zapytała nieco zdziwiona Jagienka.

—Przepaszcie mnie byle tam krajką na drogę, by, jeśli poledz mi przyjdzie, lżej mi było pod waszą przepaską umierać.

I znów pochylił się do jej stóp, a potem ręce złożył i tak błagał ją, patrząc w jej oczy, ale na twarzy Jagienki odbił się ciężki frasu-nek—i po chwili odrzekła, jakby z wybuchem mimowolnej goryczy:

—A, mój miły nie proś-że mnie o to, bo ci nic z mojej przewiazki nie przyjdzie. Kto

sam szczęśliw, ten niech cię przepasze, bo ten ci szczęście przyniesie. A we mnie poprawdzie co jest?—Nic, jeno smutek! A zaś przedemną —nic jeno niedola! Oj, nie zaprzeczam ja szczęścia ni tobie, ni komu, bo czego niemam, tego i dać nie zdolę. Tak ci mi, Hlawo, źle teraz na świecie, że, że...

Tu umilkła czując, jeśli słowo jeszcze powie, to płaczem wybuchnie, a i tak zaszły jej jakby chmurą oczy, Czech zaś wzruszył się ogromnie, albowiem zrozumiał, że i wracać jej było źle do Zgorzelic w pobliże drapieźnych komyszy: Cztana i Wilka i również źle zostawać w Spychowie, dokąd prędzej, lub później zjechać mógł Zbyszko z Danusią. Zdawał sobie Hlawo doskonale sprawę ze wszystkiego, co dzieje się w sercu dziewczyny, że zaś nie widział żadnej rady na jej nieszczęście, więc tylko znów objął jej stopy, powtarzając:

—Hej! poledz dla was! poledz!

A ona rzekła:

—Wstań. A na wojnę niech cię Sieciechówna przepasze, albo ci jakiś inny da wspominek, gdyż rada cię ona widzi oddawna.

I poczęła ją wołać, ta zaś wyszła niebawem z przyległej izby, albowiem podsłuchując poprzednio pode drzwiami, nie pokazywała się tylko przez nieśmiałość, chociaż kipiała w niej chęć pożegnania się z pięknym giermkim. Wyszła tedy zmieszana, spłoszona, z bijącym sercem, z oczyma świecącemi zarazem od łez i od senności i spuściwszy powieki, stała tak przed nim, podobna do kwiatu jabłoni, nie mogąc ni słowa przemówić.

Hlawo miał dla Jagienki obok najłębszego przywiązania cześć i nabożeństwo, ale nie

śmiały, ani myślał posięgnąć na nią, posięgał zaś często na Sieciechównę, czując bowiem wartką krew w żyłach, nie mógł obronić się przed jej urokiem. Teraz chwyciła go tembardziej za serce swą urodą, a zwłaszcza swem zmieszaniem i łzami, przez które przeglądało kochanie jak przez jasną wodę strumienia przegląda złote dno.

Więc zwrócił się ku niej i rzekł:

—Wiecie! Na wojnę jadę, może i legnę. Nie żal wam mnie?

—Żal-ci mi!—odpowiedziała cienkim głosem dziewczyna.

I zaraz poczęła sypać łzami, gdyż zawsze miała je na pogotowiu. Czech wzruszył się do ostatka i jął całować jej ręce, tłumiąc w sobie wobec Jagienki ochotę do poufalszych jeszcze pocałunków.

—Przepasz go, alibo daj mu wspominek na drogę, aby się pod twoim znakiem potykał, rzekła Jagienka.

Lecz Sieciechównie nie tak łatwo było mu coś dać, gdyż miała na sobie męski ubiór wyrostka. Poczęła szukać: ni wstażki, ni jakiegokolwiek przewiązki, że zaś niewieście ubrania były jeszcze w łubach, nie ruszone od czasu wyjazdu ze Zgorzelic, wpadła przeto w kłopot nie mały, z którego znów wyratowała ją Jagienka, radząc, by mu oddała pątliczek, który nosiła na głowie.

—Boga mi! niech będzie pątliczek!—zawołał nieco rozwesolony Hława! — Powieszę go na hełmie — i nieszczęsna mać tego Niemca, którego po niego sięgnie!

Więc Sieciechówna podniosła obie ręce do głowy i po chwili jasne promienie włosów roz-

sypały się po plecach i po ramionach, Hława zaś, widząc ją taką przetowłosą i cudną, aż zmienił się na twarzy. Policzki zapłonęły mu, a potem zaraz pobladły: wziął pątlík, ucałował go, schował w zanadrze, raz jeszcze objął kolana Jagienki, a następnie, mocniej niż było trzeba, Sieciechówny i po słowach: “Niechże tak będzie!”—wyszedł, nie mówiąc nic więcej z izby.

A chociaż był zdrożon i niewypoczęty, nie położył się spać. Pił na umór przez całą noc z dwoma młodymi szlachcicami z Łękawicy, którzy mieli z nim jechać na Zmujdź. Nie upił się jednak—i o pierwszym brzasku był już na dziedzińcu w fortalicyi, gdzie czekały gotowe do drogi konie. W ścianie nad wozownią rozchyliło się zaraz błoniaste okno i przez szparkę wyjrzały na dziedziniec modre oczy. Czech, który je dostrzegł, chciał iść ku nim, by pokazać pątlík przypięty na hełmie i pożegnać się raz jeszcze, ale przeszkodził mu w tem ksiądz Kaleb i stary Tolima, którzy zeszli umyślnie, aby udzielić rad na drogę.

—Jedź na dwór księcia Januszowy — rzekł ksiądz Kaleb. — Może i rycerz Maćko tam wstąpił. W każdym jednak razie wieści pewnych zasięgniesz, boć tam znajomych ci nie brak. Drogi też stamtąd na Litwę znajome i o przewodnika przez puszcze łatwo. Chceszli napewno pana Zbyszka dojechać, to wprost na Zmujdź nie jedź, bo tam jest przegroda pruska; jeno jedź przez Litwę. Bacz, że i Zmujdzini mogą cię zabić nim zakrzykniesz ktoś jest, a inna sprawa będzie, jeśli od strony kniazia Witolda przyjedziesz. Zresztą, Boże błogosław tobie i obudwom tamtym rycerzom, obyście

w zdrowiu wrócili i dziecko przywieźli, na którą to intencję będę każdego dnia po nieszporach, aż do pierwszej gwiazdy krzyżem leżał.

—Dziękuję wam ojcze, za błogosławieństwo— odrzekł Hlawa.—Nie łatwo to ofiarę z tamtych dyabelskich rąk żywą wydobyć, ale przecie wszystko w rękę Pana Jezusowych i lepsza nadzieja niż smutek.

—Jużci lepsza, przeto jej nie tracę. Tak... żywie nadzieja, chociaż serce i trwogi nie próżne.... Najgorzej, że sam Jurand, byle jej imię wspomnieć, zaraz ku niebiosom palce prostuje, jakby ją tam już widział.

—Jako-że ją może widzieć, oczy stradawszy?

A ksiądz począł mówić nawpół do Czecha, nawpół do siebie:

—Bywa tak, że gdy komu ziemskie oczy zagasną, ten właśnie widzi to, czego inni dojrzeć nie potrafią. Bywa tak, bywa! Ale i to się rzecz niepodobna widzi, by Bóg dopuścił krzywdy takiego jagniątką. Bo i cóż ona choćby Krzyżakom przewiniła? Nic! A niewinne to ci było jak lilija Boża, a miłe ku ludziom, a jako to ptaszyna polna śpiewająca! Bóg dzieci miłuje i nad męką ludzką ma litość.... Ba jeśli ją zabili, to ją może i wskrzesi, jako Piotrowinę, któren wstawszy z grobu, długie potem roki gospodarzył.... Jedź w zdrowiu i niech ręka Boska was wszystkich i ją piastuje!

To rzekłszy, wrócił do kaplicy, by mszę ranną odprawić, a Czech siadł na koń, skłonił się raz jeszcze przed przy otwartem błoniastem oknem— i pojechał, bo już rozedniało zupełnie.

II.

Książę Janusz i księżna wyjechali razem z częścią dworu, na wiosenny połów ryb do Czerska, gdyż lubili niezmiernie to widowisko i mieli je sobie za najprzedniejszą zabawę. Dowiedział się jednak Czech, od Mikołaja z Długolasu wielu rzeczy ważnych, dotyczących się zarówno spraw prywatnych, jak i wojny. Dowiedział się więc najprzód, że rycerz Maćko widocznie poniechał zamiaru jechania na Żmujdź prosto przez "pruską przegrodę", gdyż przed kilku dniami był w Warszawie, gdzie zastał jeszcze obojga księstwa. O wojnie potwierdził stary Mikołaj te wszystkie wieści, które Hława słyszał w Szczytnie. Cała Żmujdź podniosła się przeciw Niemcom, jak jeden mąż, a książę Witold nie tylko, że już Zakonowi przeciw nieszczęsnym Żmujdzinom nie pomagał, ale nie wypowiadając jeszcze mu wojny i łudzając go układami, zasilał wszelako Żmujdź pieniędzmi, ludźmi, końmi, zbożem. Tymczasem tak on jak Krzyżacy ślali posłów do papieża, do cesarza i do innych panów chrześcijańskich, zarzucając sobie wzajem wiarołomstwo, niewierność i zdradę. Ze strony Mikołaja ze Rzeniewa, który umiał rozplątywać nici, namotane przez przebiegłość krzyżacką, dowodnie wykazując niezmierne krzywdy krain litewskich i żmujdzkich.

Tymczasem, gdy na sejmie wileńskim wzmocniły się jeszcze związki między Litwą a Polską, potruchnały serca krzyżackie, łatwo było bowiem przewidzieć, że Jagiełło jako zwierzchni pan wszystkich ziem, będących pod władzą kniazia Witolda, stanie w razie wojny po jego stronie. Hrabia Jan Sayn, komtur grudziąski, i hrabia Szwartzburg, gdański, wyjechali z rozkazu mistrza do króla z zapytaniem, czego się mają od niego spodziewać. Nie im król nie rzekł, chociaż mu dary przynieśli: ściągłe krzeczoty, i drogie naczynia. Więc zagrozili wojną, ale nieszczerze, gdyż dobrze wiedzieli, że Mistrz i kapituła boją się w duszach strasznej Jagiełłowej potęgi i pragną odwlec dzień gniewu i klęsk.

I rwały się, jako nie pajęcza, wszelkie układy, a rwały się zwłaszcza z Witoldem. Wieczorem po przyjeździe Hlawy, przyszły znów na warszawski zamek świeże nowiny. Przyjechał Bronisz z Ciasnoci, dworzanin księcia Janusza, którego on wysłał był poprzednio po wieści na Litwę, a z nim dwóch znacznych litewskich kniaziów z listami od Witolda i od Zmujdzinów. Nowiny były groźne. Zakon gotował się do wojny. Wzmacniano zamki, mielono prochy, krzesano kule kamienne, ściągano ku pograniczu knechtów i rycerstwo, a lżejsze oddziały jazdy i piechoty wpadały już w granice Litwy i Zmujdzi, od strony Ragnety, od Gotteswerder i innych zamków brzegowych. Już po gestwach leśnych, już w polach, już po wsiach rozlegały się okrzyki wojenne, a wieczorami ponad ciemnem morzem lasów, świeciły łuny pożaru. Witold przyjął wreszcie Zmujdź w własną opiekę, wysłał swych rządców,

a wodzem zbrojnemu ludowi ustanowił słynnego z męstwa Skirwojłłę. Ow wpadał do Prus, palił, niszczył, pustoszył. Sam książę przymknął wojsko ku Zmujdzi, niektóre zamki opatrzył, inne, jak naprzykład Kowno, zniszczył, aby nie stały się oparciem Krzyżakom i nie było już tajno nikomu, że nadejdzie zima, a mróz popęta mokradła i błota, albo nawet wcześniej, jeśli lato będzie suche, pocznie się wojna wielka, która ogarnie wszystkie litewskie, zmujdzkie i pruskie krainy, gdyby zaś król w pomoc Witoldowi przybieżał, tedy musi nastąpić dzień, w którym fala niemiecka, albo drugie pół świata zaleje, albo-li też odbita cofnie się na długie wieki, w dawniej zajęte łożysko.

Lecz to nie zaraz jeszcze miało nastąpić. Tymczasem po świecie rozlegał się jęk i wołania o sprawiedliwość. Czytano list nieszczęsnego narodu w Krakowie i w Pradze i na dworze papieskim i w innych królestwach zachodnich. Do księcia Janusza przywieźli to otwarte pismo owi bojarzynkowie, którzy z Broniszem z Ciasnoci przybyli. Niejeden więc z Mazurów mimowoli macał korda przy boku i rozważał w duszy, czyby z własnej ochoty pod znak Witoldowy się nie zaciągnąć. Wiedziano, że rad był wielki książę hartownej lechickiej szlachcie, równie zażartej w boju, jak, litewscy i zmujdzczy bojarzynowie, a więcej ćwiczonej i lepiej zbrojnej. Niektórych popychała też i nienawiść do starych wrogów lechickiego plemienia, a innych litość: "Słuchajcie, słuchajcie! wołali — do królów, książąt i wszystkich narodów Zmujdzini: — Wolnym-ci my byli szlachetnej krwi ludem, a Zakon chce nas w niewolników

przemienić! Nie dusz on naszych szuka, lecz ziemi i dóbr. Już nędza nasza taka, że nam chyba żebrać, lub rozbijać! Jako-że im wodą chrztu nas obmywać, gdy sami nie mają rąk czystych! My chcemy chrztu, ale nie krwią i mieczem, i chcemy wiary, ale jeno takiej, jakiej zaczęli monarchowie Jagiełło i Witold, nauczają. Słuchajcie i ratujcie nas, bo ginie! Chce nas Zakon chrzcić by nas uciemniał łatwiej; nie księży, lecz zasie katów nam posyła. Już ule nasze, już stada, już wszystkie płody ziemi nam zabrali, już nam ni ryby łowić, ni zwierza bić w puszczech nie wolno. Błagamy! słuchacie, bo oto zgięli nam wolne drzewiej karki do robót nocnych przy zamkach, dzieci nam jako zakładników uwieźli, a żony i córki w oczach mężów i ojców bezczeszcza. Nam słuszniej należałoby jęczeć niż mówić! Rodziny nasze ogniem popalili, panów do Prus uwieźli wielkich ludzi Korkucia, Wassygina, Swolka i Sagajłę, potracili—i jako wilcy krew naszą żłopia. O słuchajcie! Przecież my ludzie, nie zwierzęta, przeto wołamy do Ojca Świętego, by nas przez polskich biskupów chrzcić kazał, gdyż całą duszą chrztu pragniemy, ale chrztu wodą łaski, nie żywą krwią zniszczenia.”

Tak i tym podobnie skarżyli się Zmujdzi- ni, więc gdy ich skargi i na mazowieckim dworze usłyszano, zaraz kilku rycerzy i dworzan, postanowiło iść im w pomoc, rozumiejąc, że księcia Janusza nawet i pytać o pozwolenie nie trzeba, choćby z tego powodu, że księżna jest rodzoną siostrą Witolda. Zawrzały też powszechnym gniewem serca, gdy dowiedziano się od Bronisza i bojarzynek, że wielu

szlachetnych młodzianków żmujdzkich, będących zakładnikami w Prusiech, nie mogą znieść pohańbienia i okrucieństw, jakich dopuszczali się nad nimi Krzyżacy, poodbierali sobie życie.

Hława cieszył się zaś z tej ochoty mazowieckiego rycerstwa, myślał bowiem, że im więcej ludzi z Polski pociągnie do księcia Witolda, tem wojna rozgorzeje większa i tem pewniej można będzie czegoś przeciw Krzyżakom dokazać. Cieszyło go także i to, że zobaczy Zbyszka, do którego się przywiązał i starego rycerza Maćka, o którym mniemał, że godzien widzenia przy robocie, a razem z nimi nowe dzikie kraje, nieznane miasta, niewidziane dotychczas rycerstwo i wojska, wreszcie samego księcia Witolda, którego sława szeroko wówczas rozbrzmiewała po świecie.

I w tej myśli postanowił jechać “wielkimi i pilnemi drogami”, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, niż było dla wypoczynku koniom potrzeba. Owi bojarzynkowie, którzy z Broniszem z Ciasnoci przybyli i inni Litwini i znajdujący się na dworcu księżny, świadomi dróg i przejść wszelkich, mieli prowadzić jego i ochotniczych rycerzy mazowieckich, od osady do osady, od grodu do grodu i przez głuche, niezmierne puszcze, którei większa część Mazowska i Litwy i Żmujdzi, była pokryta.

III.

W lasach, o milę na wschód za Kownem, które sam Witold zniszczył, stały główne siły Skirwoiły, przerzucając się w razie potrzeby błyskawicą z miejsca na miejsce, czyniąc szybkie wyprawy bądź to w granice pruskie, bądź na zamki i zameczki, będące jeszcze w rękach krzyżackich i podsycając płomień wojny w całej krainie. Tam to znalazł wierny giermek Zbyszka, a przy nim i Maćka, który był dopiero przed dwoma dniami przyjechał. Po przywitaniu się ze Zbyszkim, przespał Czech całą noc, jak zabity, i dopiero na drugi dzień wieczorem, poszedł powitać starego rycerza, który będąc strudzon i zły przyjął go gniewliwie pytając, dlaczego wedle rozkazania w Spychowie nie został — i udobruchał się nieco dopiero wówczas znalazłszy sposobną chwilę, w której Zbyszka nie było w namiocie, usprawiedliwił się przed nim wyraźnym rozkazem Jagienki.

Powiedział też, że prócz rozkazu i prócz przyrodzonej ochoty do wojny, przywiodła go także w tę stronę chęć, by w razie czego, pchnąć zaraz gońca z wiadomością do Spychowa. “Panienka (mówił), która ma duszę jako anioł, sama, przeciw własnemu dobru, modli się za Jurandównę. Ale wszystkiemu musi być koniec. Jeśli Jurandowna nie żyje, to niech Bóg da jej światłość wiekuistą, boć

była jako jagnię niewinne, ale jeśli się odnajdzie, to trzeba panienkę jako najprędzej zawiadomić, aby wraz jechała precz ze Spychowa nie zaś dopiero po powrocie Jurandówny, jakoby wypędzona, ze sromotą i wstydem.”

Maćko słuchał tego z niechęcią, powtarzając od czasu do czasu: “Nic ci do tego”. Ale Hlawa, postanowiwszy mówić, otwarcie, wcale się tem nie tropił i w końcu rzekł:

—Lepiej było pannie w Zgorzelicach ostawać i na nic była ta podróż. Wmawialiśmy w niebogę, że Jurandówna już nie żywie, a może się pokazać inaczej.

— A kto opowiadał, że nie żywie, jeżeli nie ty? — zapytał z gniewem Maćko.—Trzeba było trzymać język za zębami. Ja zaś zabrałem ją, bo się bała Cztana i Wilka.

—Pozór to tylko był—odpowiedział giermek.— Mogła siedzieć w Zgorzelicach bezpiecznie, bo oniby tam sobie wzajem przeskadzali. Ale baliście się, panie, żeby w razie śmierci Jurandówny nie ominęła pana Zbyszka i panienka i dlategoście ją zabrali.

—Cóżes tak zhardział? Zaliś to już rycerz pasowany, nie sługa?

—Sługam ci jest, ale sługa panny, przeto dbam, aby jej hańba nie spotkała.

A Maćko zamyślił się posepnie, gdyż nie był z siebie rad. Nieraz on już sobie wyrzucał, że zabrał Jagienkę ze Zgorzelic, czuł bowiem, że w każdym razie, w takim podwożeniu Jagienki Zbyszkowi była jakowaś dla niej ujma, a na wypadek, gdyby Danusia się odnalazła—więcej niż ujma. Czuł również, że w hardych słowach Czecha tkwi prawda, bo choć Jagienkę zabrał dlatego, by ją do opata odwieźć, mógł

jednak, dowiedziawszy się o jego śmierci, w Płocku ją zostawić, a tymczasem on ją aż do Spychowa przywiózł, by w razie czego blisko przy Zbyszku była:

— Dyc mnie to do łba nie przyszło—rzekł jednak, chcąc siebie i Czecha stumanić—jeno sama się jechać naparła.

—Jużci się naparła, bośmy w nią wmówili, że tamtej niema na świecie, a że braciom bezpieczniejsze było bez niej, niż z nią — więc i pojechała.

—Tyś wmówił!—zakrzyknął Maćko.

—Ja i moja wina. Ale teraz musi się pokazać, jako jest. Trzeba, panie, coś wskórać. Inaczej lepiej poginemy.

—Co tu wskórasz — rzekł z niecierpliwością Maćko — z takim wojskiem, w takiej wojnie.... Będzie-li coś lepszego, to dopiero w lipcu, bo dla Niemców dwie są pory wojenne: zimą i suchem latem, a teraz, to się jeno tli, nie pali. Książ Witold podobno do Krakowa pojechał królowi się opowiedzieć i pozwolenstwo, a pomoc jego sobie zjednać.

—Są przecie w pobliżu zamki krzyżackie. Gdyby choć ze dwa zdobyć, znaleźlibyśmy może Jurandównę, albo wiadomość o jej śmierci.

—Albo i nic.

—W tę stronę ją przecie Zygfryd wywiózł.

—Powiadali on nam i w Szczytnie i wszędy i samiśmy tak myśleli.

—A widziałeś to wojsko? Wyjdź-że za namiot i spojrz. Niektórzy pałki jeno mają, a niektórzy miedziane miecze po pradziadach.

—Ba! Jako słyszałem, chłopcy do bitki dobre!

—Ale nie im z gołymi brzuchami zamków dobywać, zwłaszcza krzyżackich.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Zbyszka i Skirwoiły, który był wodzem Zmujdzinów. Był to mąż małego wzrostu, ale krzepki w sobie i barczysty. Pierś posiadał tak wypukłą, że prawie wyglądała na garb i niezmiernie długie, sięgające prawie do kolan ręce. Wogóle przypominał Zyndrama z Maszkowic, słynnego rycerza, którego Maćko i Zbyszko poznali swego czasu w Krakowie, miał bowiem również ogromną głowę i takie same pałakowate nogi. Mówiono o nim także, że dobrze rozumiał się na wojnie. Wiek życia zbiegł mu w polu przeciw Tatarom, z którymi długie lata walczył na Rusi i przeciw Niemcom, których nienawidził jak zarazy. W tych wojnach nauczył się po rusińsku, a potem na dworze Witoldowym nieco po polsku; po niemiecku umiał, a przynajmniej powtarzał, tylko trzy wyrazy: "ogień, krew i śmierć." W swojej ogromnej głowie miał zawsze pełno pomysłów i podstępów wojennych, których Krzyżacy nie umieli, ani przewidzieć, ani im zapobiedz — dlatego bano się go w pogranicznych komturyach.

—Mówiliśmy o wyprawie rzekł, — z niezwykłym ożywieniem do Maćka Zbyszko — i dlategośmy tu przyśli, byście też swoje doświadczone zdanie rzekli.

Maćko usadził Skirwoiłę na sosnowym pniaku, pokrytym niedźwiedzią skórą, następnie kazał przynieść czeladzi stągiewkę miodu, z której poczęli czerpać rycerze blaszankami i pić, gdy zaś pokrzepili się godnie, dopieroż Maćko zapytał:

—Chcecie wyprawę uczynić, albo co?

—Zamki Niemcom okurzyć....

—Któren?

—Ragnetę, albo Nowe Kowno.

—Ragnetę—rzekł Zbyszko. — Cztery dni temu byliśmy pod Nowem Kownem i pobili nas.

—To właśnie — rzekł Skirwoiło.

—Jakże to?

—Dobrze.

—Poczekajcie,—rzekł Maćko— bo ja tutejszej krainy nie znam. Gdzie jest Nowe Kowno, a gdzie Ragneta?

— Stąd do Starego Kowna niespełna mila, —odpowiedział Zbyszko—a od Starego do Nowego też mila. Zamek jest na wyspie. Onegdaj chcieliśmy się przeprawić, ale pobili nas u przeprawy. Scigali nas pół dnia, aż utailiśmy się w tych lasach, a wojsko tak się rozprószyło, że niektórzy dopiero dziś nad ranem się znaleźli.

—A Ragneta?

Skirwoiło wyciągnął swe długie, jak gałąź ramię na północ i rzekł:

—Daleko! daleko....

—Właśnie dlatego, że daleko! — odparł Zbyszko.—Spokój tam wokoło, co było zbrojnych ludzi z tej strony granicy, to ściągnęło ku nam. Nie spodziewają się tam teraz Niemcy żadnej napaści, więc na ubezpieczonych uderzym.

—Słusznie prawis — rzekł Skirwoiło.

Maćko zaś spytał:

—Zali myślicie, że będzie można i zamku dobyć?

Na to Skirwoiło potrząsnął głową na znak przeczenia, a Zbyszko odpowiedział:

—Zamek mocny, więc chybaby wypadkiem. Ale krainę spustoszym, wsie i miasta popalim, spyże poniszczym, a co nadewszystko, jeńców nabierzemy, między którymi mogą być ludzie znaczni, takich chętnie Krzyżacy wykupują, albo-li też wymieniają....

Tu zwócił się do Skirwoiły:

—Samiście, kniaziu przyznali, że słusznie prawie, a teraz rozważajcie jeno: Nowe Kowno na wyspie. Ni tam wsi nie poburzym, ni stad nie zagarniem, ni jeńców nie nabierzem. I przecie dopiero co nas pobili. Ej! pójdźmy lepiej tam, gdzie się nas teraz nie spodziewają.

—Kto pobije ten się napaści najmniej spodziewa — mruknął Skirwoiło.

Lecz tu zabrał głos Maćko — i począł popierać zdanie Zbyszkowe, zrozumiał bowiem, że młodzianek ma większą nadzieję dowiedzieć się czegoś pod Ragneta, niż pod Starem Kownem—i że pod Ragneta łatwiej będzie przedewszystkiem schwytać jakiego znacznego jeńca, któryby mógł posłużyć na wymianę. Mnie-mał także, że w każdym razie lepiej jest iść dalej i wychynąć niespodzianie w kraj mniej strzeżony, niż porywać się na wyspę, od przyrody obrońną, a strzeżoną prócz tego przez silny zamek i zwycięską załogę.

Jako zaś człowiek doświadczony w wojnie, mówił jasno i przytaczał tak walne powody, że każdego mógł przekonać. Tamci słuchali go też uważnie. Skirwoiło poruszał kiedy niekiedy wzniesionemi brwiami jakby na znak przytakiwania, chwilami pomrukiwał: "Słusznie prawi"—wreszcie wsunął swą ogromną głowę między szerokie ramiona, tak że wyglądał całkiem jak garbaty i zamyslił się głęboko.

Lecz po pewnym czasie wstał —i nie mówiąc, począł się żegnać.

—A jako-że, kniaziu, będzie?— spytał go Maćko:—dokąd ruszym?

Ow zaś rzekł krótko:

—Pod Nowe Kowno.

I wyszedł z namiotu.

Maćko i Czech spoglądali czas jakiś ze zdziwieniem na Zbyszka, poczem stary rycerz uderzył się dłońmi po udach i zawołał:

—Tfu! cóż to za pień!... To niby słucha, słucha a potem swoje. Żal gęby drzeć!...

—Słyszałem ci ja o nim, że taki jest —odrzekł Zbyszko:—a po prawdzie, to i cały tu naród uporczywy, jako mało który. Cudzego zdania wysłucha, a potem, jakoby kto na wiatr dmuchał.

—To czego pyta?

—Bośmy pasowani rycerze i dlatego, żeby każdą rzecz na dwie strony rozważyć. Ale głupi on nie jest.

—Pod Nowem Kownem też może najmniej się nas spodziewają — zauważył Czech — właśnie dlatego, że dopiero co was pobili. W tem miał ci on słusność.

Pójdźmy obaczyć tych ludzi, którymi ja przywodzę —rzekł Zbyszko, któremu duszno było w namiocie; — trzeba im zapowiedzieć, aby zaś byli gotowi.

I wyszli. Na dworze noc już zapadła zupełna chmurna i ciemna, rozświecona tylko przez ogniska, przy których siedzieli Zmujdzini.

IV.

Dla Maćka i dla Zbyszka, którzy służyli poprzednio u Witolda, napatrzyli się do sytu litewskim i żmujdzkim wojownikom, widok obozowiska nie przedstawiał nic nowego; ale Czech patrzył na nich z ciekawością, rozważając sobie zarazem w umyśle, czego od takich ludzi można w bitwie oczekiwać i porównując ich z polskim i z niemieckim rycerstwem. Obóz stał w nizinie otoczonej borem i bagnami, zatem ubezpieczon zupełnie od napadu, albowiem żadne inne wojsko nie zdołałoby przebrnąć przez owe zdradliwe mokradła. Sama niziną, na której stały szałas, była także grzązka i błotnista, lecz oni, nakrzesawszy jodłowych i sosnowych gałęzi, przyrzucili ją niemi tak grubo, że spoczywali jakby na najsuchszym miejscu. Kniaziowi Skirwoille skliccono naprędce coś w rodzaju "numy", czyli chaty litewskiej z ziemi i drewnianych nie ociosanych bierwion, dla znaczniejszych ludzi u wito z gałęzi kilkadziesiąt szałasów, pospolici zaś wojownicy siedzieli koło ognisk, pod gołym niebem, mając ochronę przeciw zmianom pogody, dżdżom, tylko w kozuchach skrórzanych, które na gołym ciele nosili. W obozie nikt nie spał jeszcze, albowiem ludzie, nie mając po ostatniej porażce nic do roboty, sypiali we dnie. Niektórzy siedzieli, lub leżeli wokół ja-

snych ognisk, podsycanych suszem i gałęzmi z jałowca, inni grzebali, w przygasłych już i zasutych popiołem watrzyskach, od których rozchodził się zapach pieczonej rzepy, zwykłego pokarmu Litwinów, swąd przypalonych mięsiw. Między ogniskami widniały stosy broni poskładane blisko, tak, aby w danym razie łatwo było każdemu za swój oręż pochwycić. Hława przypatrywał się z ciekawością oszczepom o grotach wązkich i długich, wykutych z hartownego żelaza, kiścieniom uczynionym z młodych dębczaków, w które ponabijano krzemieni, lub gwoździ, okszom, o trzonkach krótkich, podobnych do polskich toporów, którymi posługiwali się jezdni, i okszom o trzonkach tak niemal długich, jak u berdyszów, którymi walczyli piesi. Trafiały się między nimi miedziane, pochodzące z dawnych czasów, kiedy żelazo w małym jeszcze było użyciu w tych zapadłych stronach. Niektóre miecze były również z miedzi, ale większość z dobrej, dostarczanej z Nowogrodu, stali. Czech brał w rękę oszczepy, miecze, oksze, smoliste, prażone w ogniu łuki i przy blasku płomienia, badał ich doskonałość. Koni niewiele było przy ogniskach, gdyż stada pasły się opodal w lasach i na łąkach pod strażą czujnych kconiuchów, ale że znaczniejsi bojarrowie chcieli mieć swoje rumaki na zawołanie, przeto było ich w obozie kilkadziesiąt, które niewolnicy pańscy karmili z ręki u toku. Hławę zdumiewały kudłate ciała tych rumaków, nadzwyczaj drobnych, że zachodni rycerze poczytywali je, za jakieś całkiem odmienne zwierzęta leśne, więcej do jednorożców, niż do prawdziwych koni podobne.

—Na nic tu wielkie bojowe ogiery, — mówił doświadczony Maćko, wspominając swoje dawne służby u Witolda — bo wielki zaraz w młakach ugrzęźnie, tutejszy chmyz przejdzie wszędy, tak prawie, jako i człowiek.

—Ale w polu — odrzekł Czech — tutejsze wielkim niemieckim nie dostoja.

—Jużci nie dostoja. Za to nie ucieknie Niemiec przed Żmujdzinem, ani też go nie zgoni, bo te są tak właśnie ścigłe, albo i ściglejsze, niż tatarskie.

—A wszelako dziwno mi to jest, bo com widział jeńców Tatarów, których rycerz Zych do Zgorzelic przyprowadził, to chłopcy były nie duże i takiego byle koń udźwignie, a to lud rosły.

Lud zaś istotnie był dorosły. Przy blasku ognia widać było z pod skór i kożuchów szerokie piersi i tęgie ramiona. Chłop w chłopca suchy był, ale kościsty i długi, wogóle zaś wzrostem ludzie ci przewyższali mieszkańców innych krain litewskich, albowiem siedzieli na ziemiach lepszych i obfitszych, w których głody, trapiące kiedy niekiedy Litwę, rzadziej dawały się we znaki. Natomiast dzikością przewyższał jeszcze Litwinów. W Wilnie był dwór wielkoksiążęcy, do Wilna ściągali księza ze wschodu i zachodu, przychodziły poselstwa, napływał kupiec zagraniczny, przez co mieszkani miasta i okolicy oswajał się nieco z obczyzną; tu cudzoziemiec zjawiał się tylko pod postacią Krzyżaka, lub mieczowego kawalera, niosących w głucho leśne osady ogień, niewolę i chrzest z krwi, więc wszystko tu było grubsze, surowsze i bardziej do dawnych czasów zbliżone, bardziej przeciw nowościom zawzię-

te: starszy obyczaj starszy tryb wojowania, a i pogaństwo uporczywsze dlatego, że czci Krzyża nauczał, nie łagodny zwiastun Dobrej Nowiny, z miłością apostoła, lecz zbrojny niemiecki mnich z duszą kata.

Skirwoiło i znaczniejsi kniaziowie, a bojarzyni byli już chrześcijanami, albowiem poszli za przykładem Jagiełły i Witolda. Inni, nawet najprostszy i najdzikszy wojownicy nosili w piersiach głuche poczucie, że nadchodzi śmierć i skon dawnemu światu, dawnej ich wierze. I gotowi byli pochylić głowy pod Krzyżem, byle tego Krzyża nie wnosiły niemieckie, nienawistne ręce. “My prosimy chrztu,—wołali do stwószkich książąt i narodów —lecz wspomnijcie, że ludzie jesteśmy, nie zwierzęta, które można darować, kupić i sprzedać”. Tymczasem gdy dawna wiara gasła, jak gaśnie ognisko, do którego nikt drow nie przyrzuca, a do nowej odwracały się serca właśnie dlatego, że zmuszała ją niemiecka przemoc, rodziła się w ich duszach pustka, niepokój i żal po przeszłości i głęboki smutek. Czech, który od dziecka zrósł się z wesołym gwarem żołnierskim, z pieśniami szumną muzyką, widział po raz pierwszy w życiu obóz tak cichy i posępny. Ledwie gdzieś tam, przy dalszych od Skirwoiłowej “numy” ogniskach, słyszał było odgłos fujarki, lub piszczałki, albo słowa przyciszonej pieśni, którą śpiewał “burtinikas”. Wojownicy słuchali z pochylonemi głowami i oczyma utkwionemi w zarzewie. Niektórzy siedzieli w kucki wedle ognia, mając łokcie wsparte na kolanach, a twarze ukryte w dłoniach, okryci skórą, podobni do drapieżnych zwierząt leśnych. Lecz gdy podnosili ku

przechodzącym rycerzom głowy, blask płomienia oświecał twarze łagodne i niebieskie źrenice, wcale nie srogie, ni drapieżne, ale tak raczej patrzące, jak patrzą smutne i pokrzywdzone dzieci. Na krańcach obozowiska leżeli na mchach ranni, których zdołano unieść z ostatniej bitwy. Wróżbiści tak zwani "łabdarysy" i "sejtonowie", mruzcili nad nimi zaklęcia lub opatrywali ich rany, przykładając na nie znane sobie zioła gojące, a oni leżeli w milczeniu, znosząc cierpliwie ból i męki. Z głębin leśnych, od strony polan i łągów, dochodziło poświstywanie koniuchów, kiedy niekiedy podnosił się wiatr, przysyłając dymami obozowisko i napełniając szumem bór ciemny. Ale noc czyniła się coraz późniejsza, więc ogniska poczęły mdleć i gasnąć i cisza zapadała jeszcze większa, potęgując owe wrażenie smutku i jakby pogńębienia.

Zbyszko wydał rozkazy ludziom, którymi przychodził i z którymi łatwo mógł się rozmówić, albowiem była między nimi garść Połocczan, poczem zwrócił się do swego giermka i rzekł:

— Napatrzyłeś się dowoli, a teraz czas wrócić pod namiot.

— Jużci się napatrzyłem, — odpowiedział giermek, alem niebardzo rad z tego, com widział, bo zaraz znać, że to pobici ludzie.

— Dwa razy cztery dni temu przy zamku i onegdaj u przeprawy. A teraz chce się Skirwoille trzeci raz tam iść, by trzeciej porażki doznać.

— Jakże, to on nie rozumie, że z takim wojskiem przeciw Niemcom nie wskóra? Powiadał mi to już rycerz Maćko, a teraz i sam

miarkuję, że liche to muszą być i do bitki pacholki.

—I w tem się mylisz, bo to lud chrobry, jak mało który w świecie. Jenó się kupą bezładną biją, a Niemcy w szyku. Jeśli się udasz rozzerwać, to częściej Zmujdzin Niemca, niż Niemiec Zmujdzina położy. Ba, ale tamci to wiedzą i tak się zwierają, że jako ściana stoją.

—A już o zamków dobywaniu, to pewnie niema co i myśleć—rzekł Czech.

—Boć nijakiego sprzętu do tego niema — odpowiedział Zbyszko.—Sprzęt ma kniaź Witold i póki ku nam nie nadciągnie, nie ugryziem żadnego zamku, chybaby trafunkiem, albo zdradą.

Tak rozmawiając, doszli do namiotu, przed którym płonął duży podsycany przez czeladź ogień, a w nim kopciły się przygotowane przez czeladź mięsiwa. W namiocie chłodno było i wilgotno, więc obaj rycerze i z nimi i Hlawa, pokładli się przed ogniem na skórach.

Zaczem posiliwszy się próbowali zasnąć lecz nie mogli. Maćko przewracał się z boku na bok, a następnie ujrzawszy, że Zbyszko siedzi przed płomieniem, otoczywszy ramionami kolana zapytał.

—Słuchaj! Dlaczegoś ty radził iść daleko pod Ragnetę, nie tu blisko pod ten Gotteswerder. Co masz w tem?

—Bo tak mi coś do duszy gada, że Danuśka jest w Ragnecie —i tam się mniej strzegą, niż tu.

—Nie było czasu się rozgadać, bom i sam był utrudzon i tyś ludzi po boru po klęsce

zbierał. Ale teraz mówże, jako jest chcesz-li ty zawsze tej dziewczki szukać?

—Dyć to nie żadna dziewczka, jeno moja niewiasta—odpowiedział Zbyszko.

Nastało milczenie, albowiem Maćko rozumiał dobrze, że niema na to odpowiedzi. Gdyby Danuśka była dotychczas panną Jurandówną, byłby niechybnie stary rycerz namawiał bratanka, by jej poniechał, ale wobec świętości sakramentu, poszukiwanie stało się prostą powinnością, i Maćko nie byłby nawet zadawał takiego pytania, gdyby nie to, że nie będąc obecny, ni na ślubie, ni na weselu, mimo-wiednie uważał Jurandównę zawsze za dziewczkę.

—Jużci!—rzekł po chwili. — Ale o com przez te dwa dni miał czas się spytać, tom się spytał i rzekłeś mi, że nic nie wiesz.

—Bo nic nie wiem, jeno to, że chyba gniew Boski jest nade mną.

Wtem Hława przypodniósł się z niedźwiedziej skóry, siadł i nastawiwszy uszu, począł słuchać pilnie, a ciekawie.

A Maćko rzekł.

—Pókić sen nie zmorzy, gadaj: coś widział, coś robił i coś wskórał w Malborgu?

Zbyszko odgarnął włosy, które dawno niepodcinane z przodu, spadały mu aż na brwi, chwilę posiedział w milczeniu, poczem jął mówić:

—Dałby Bóg, abym ja tyle mógł wiedzieć o mojej Danuśce ile wiem o Malborgu. Pyta cie: com tam widział? Widziałem potęgę krzyżacką niezmierną, przez wszystkich królów i przez wszystkie narody wspomaganą, z którą

nie wiem, czyli kto w świecie mierzyć się zdoła. Widziałem zamek, jakiego chyba i sam cesarz rzymski nie ma. Widziałem skarby nieprzebrane, widziałem zbroje, widziałem mrowie orężnych mnichów, rycerzy i knechtów — i relikwie jakby u Ojca Świętego w Rzymie i mówię wam, że aże dusza zdrętwiała we mnie, bom sobie pomyślał: gdzie się tam komu na nich porywać? kto ich zmoże? kto się im oprze? kogo ich siła nie przełamie?

—Nas! zatracona ich mać!—zawołał, nie mogąc wytrzymać, Hlawa.

Maćkowi dziwne wydały się także słowa Zbyszka, więc choć chciało mu się poznać wszystkie przygody młodzianka, jednakże przerwał mu i rzekł:

—A toś zapomniał o Wilnie? A mało to razy zderzaliśmy się z nimi tarczą o tarcz i łbem o łeb! A toś zabaczył, jako im niesporo bywało ku nam— i jak na zatwardziałość naszą narzekali: że to nie dość było konia zapocić i kopię pokruszyć, jeno trza było cudze gardło wziąć, albo swoje dać! Byli tam przecie i goście, którzy nas pozywali—a wszyscy z hańbą odeszli. Cóżes to tak zmiękł?

—Nie zmiękleł ja, bom się i w Malborgu potykał, gdzie też i na ostre gonili. Ale wy ich wszystkiej potęgi nie znacie.

Lecz stary rozgniewał się.

—A ty znaszli całą moc polską? Widziałeś wszystkie chorągwie w kupie? Nie widziałeś. A ich potęga na krzywdzie ludzkiej i na zdradzie stoi, bo tam i pędzi ziemi niema, któraby była ich. Przyjęli ci ich książęta nasi, jak się ubogiego w dom przyjmuje—i obdarowali, a oni, podrósłszy w moc, pokąsali tę rękę, co ich

żywiła, jako psi bezecni i wściekli. Ziemię zagarnęli, miasta zdradą pobrali i ot ich moc! Ale choćby wszyscy królowie świata szli im w pomoc—nadejdzie dzień sądu i pomsty.

—Skoroście mi kazali gadać, com widział a teraz się gniewacie, to wolej zaniecham — rzekł Zbyszko.

Maćko zaś sapał przez czas jakiś gniewnie, po chwili jednak uspokoił się i rzekł:

—Albo to raz tak bywa! Stoi ci w lesie chojar jako wieża sroga, myślałbyś, że wiek wieków postoi, a stukniesz w niego godnie obuchem, to ci się pustka odezwie. I próchno się w nim sypie. Taka to i krzyżacka moc. Ale jam ci kazał gadać, coś robił i coś wskórał. Gonileś tam na ostre—powiadasz?

—Goniłem. Hardo i niewdzięcznie mnie tam z początku przyjęli, bo było im już wiadomo, zem się z Rotgierem potykał. Może i przygodziłoby mi się co złego, jeno że n z listem księcia przyjechał, pan Lorsche, którego oni szanują, od ich złości mnie bronił. Ale potem przyszły uczty, gonitwy, w których Pan Jezus mi pobłogosławił.

Toście słyszeli, że mnie brat Mistrzów, Ulyk, pokochał— dał mi rozkaz od samego Mistrza na piśmie, aby mi Danuskę wydali?

—Powiadali nam ludzie—rzekł Maćko—że popręg mu pękł przy siodle co ty widząc, nie chciałeś na niego uderzać.

—Jużci podniosłem kopię w górę, a on mnie od tej pory pokochał. Hej, miły Boże! srogie mi pisma dali, z którymi mogłem od zamku do zamku jeździć i szukać. Już myślałem, że koniec mojej biedy i mego frasunku — a teraz ot tu siedzę, w dzikiej stronie, bez rady

nijakiej, w strapieniu i smutku, a codzień ci mi gorzej i tęskniej....

Tu umilkł na chwilę, poczem rzucił z całej mocy wiórem w ogień, aż skry posypały się z płonących głowni i rzekł:

—Bo jeśli ta nieboga, jęczy tu gdzie w jakim zamku, a myśli, że ją zabaczył, to niechby mnie nagle śmierć nie minęła!

I tyle w nim się widocznie zapiekło zniecierpliwienia i bólu, że jał znów rzucać wiórami w ogień, jak gdyby nagłym ślepym bólem uniesion, a oni zdumieni się bardzo, nie przypuszczali bowiem, żeby tak kochał Danuskę.

—Pohamuj się! — zawołał Maćko. — Jakże było z nowym glejtem? Zali komturowie nie chcieli rozkazu Mistrza słuchać?

—Pohamuj się panie—rzekł Czech — Bóg was pocieszy—może wkrótce.

Zbyszkowi zaś łzy błysnęły w źrenicach, ale uspokoił się nieco i rzekł:

—Otwierali odmienne zamki więzienia. Byłem wszędy, szukałem. Aż wybuchła ta wojna i w Gierdawach powiedział mi wójt von Heideck, że wojenne prawo inne, że glejty, wydane w czasie pokoju, nie znaczą. Pozwałem go zaraz, ale nie stanął i z zamku mnie wyznąć kazał.

— A w innych?—spytał Maćko.

—Wszędy to samo. W Królewcu komtur, który jest zwierzchnikiem gierdawskiego wójta, nie chciał nawet czytać mistrzowego pisma, mówiąc że, wojna wojną—i głowę, póki cała, kazał mi precz unosić. Pytałem i gdzie indziej — wszędy to samo.

—To teraz rozumiem—rzekł stary rycerz. —Widząc, że nic nie wskórasz, wolałeś tu przyjść, gdzie chociaż pomsta może się zdarzyć.

—Tak jest — odpowiedział Zbyszko.— Myślałem także, że jeńców nabierzem i może zamków kilka ogarniem, ale oni nie umieją zamków zdobywać.

—Hej, przyjdzie sam kniaź Witold, to będzie inaczej.

—Daj go Bóg.

—Przyjdzie. Słyszałem na mazowieckim dworze, że przyjdzie, a może i król z nim razem z całą potęgą polską.

Lecz dalszą rozmowę przerwało im przyście Skirwoiły, który wychylił się niespodzianie z cienia i rzekł:

—W pochód ruszamy.

Usłyszawszy to rycerze, powstali żywo na nogi, Skirwoiło zaś zbliżył ku ich twarzom swoją ogromną głowę i rzekł przyciszonym głosem:

—Są nowiny: Idą do Nowego Kowna posiłki. Dwóch rycerzy prowadzi knechtów, bydło i spyżę. Zaskoczym im.

—To przejdziem Niemen? — zapytał Zbyszko.

—Tak. Wiem bród.

—A w zamku wiedzą o posiłkach?

—Wiedzą i wyjdą im na spotkanie, ale na tych uderzycie wy.

I począł im objaśniać, gdzie mają się zradzić, tak, aby niespodzianie uderzyć na tych, którzy pokwapią się z zamku. Chodziło mu o to, by jednocześnie stoczyć dwie bitwy i pomścić ostatnie porażki, co mogło się udać tem ła-

twiej, że po świeżem zwycięstwie nieprzyjaciół czuł się zupełnie bezpieczny. Więc wskazał im miejsce i czas, w którym mieli tam zdążyć, a resztę zdał na ich męstwo i przemyślność. Oni zaś uradowali się w sercach, gdyż zaraz poznali, że mówi do nich, wojownik doświadczony i sprawny. Skończywszy, kazał im iść za sobą i wrócił do swej "numy", w której czekali już na niego kniaziowie i bojarzynie setnicy. Tam powtórzył rozkazy, wydał nowe, a wreszcie podniósłszy do ust piszczałkę, wyrzeźbioną z wilczej kości, wydał donośny i przeraźliwy świst, który usłyszano od jednego do drugiego końca obozu.

Na ów odgłos zakotłowało się coś wedle przygasłych ognisk; tu i ówdzie poczęły strzelać iskry, potem błysnęły płomyki, które rosły i wzmaczały się z każdą chwilą, a przy ich blasku widać było dzikie postacie wojowników, zbierające się koło stosów z bronią. Bór zadrgał i zbudził się. Po chwili z głębin poczęły dochodzić wołania koniuchów, pędzących stada ku obozowi.

V.

Doszli rankiem do Niewiaży i przeprawili się: kto konno, kto przy ogonie końskim, kto na pęku łóz. Poszło to tak prędko że, Maćko, Zbyszko, Hlawa i ci z Mazurów, którzy przyszli na ochotnika, dziwili się sprawności tego ludu i teraz dopiero zrozumieli, dlaczego ni bory, ni bagna, ni rzeki nie mogły powstrzymać wypraw litewskich. Wyszedszy z wody, żaden nie zewlókł odzieży, nie zrzucił kozucha, ni wilczury, jeno suszyli się nadstawiając grzbieity słońcu, aż dymiło się z nich jak ze smolarni i po małym wypoczynku ruszyli spiesznym pochodem na północ. Ciemnym wieczorem dotarli do Niemna. I tu przeprawa, jako przez rzekę wielką, a do tego nabrzmiąłą wiosennymi wodami, nie była łatwa. Bród, o którym wiedział Skirwoiło, zmienił się miejscami w topiel, tak, że konie musiały pływać więcej, niż na ćwierć stajania. Dwóch ludzi uniósł prąd, tuż przy boku Zbyszka i Czecha, którzy na próżno chcieli ich ratować, albowiem z powodu ciemności i wzburzonej wody rychło stracili ich z oczu, oni zaś nie śmieli wołać o ratunek, ponieważ poprzednio wódz wydał rozkaz, aby przeprawa odbyła się, w jak najgłębszem milczeniu. Jednakże wszyscy inni dotarli szczęśliwie do drugiego brzegu, na którym przesiedzieli bez ognia do rana.

O pierwszym brzasku, całe wojsko rozdzieliło się na dwa oddziały. Z jednym Skirwoiło poszedł w głąb kraju, na spotkanie owych rycerzy, prowadzących posiłki do Gotteswender, drugi powiodł Zbyszko, wstecz ku wyspie, aby zaskoczyć ludziom zamkowym, którzy na-przeciw tamtym wyjść chcieli. Dzień czynił się w górze jasny i pogodny, ale na dole bór, łęgi i krze przysłonione były gęstym, białym oparem, który całkiem zakrywał dal. Była to dla Zbyszka i jego ludzi okoliczność pomyślna, albowiem, Niemcy, ciągnący od zamku, nie mogli ich dojrzeć i w porę cofnąć się przed bitwą. Młody rycerz rad był z tego niezmiernie, tak mówił do jadącego obok Maćka:

Pierwej uderzym się o siebie, niż się w takim tumanie zobaczymy, daj Bóg tylko, aby nie zrzedniał choć do południa.

To rzekłszy, poskoczył naprzód, by wydać setnikom, jadącym na przodzie rozkazy, niebawem jednak wrócił i rzekł:

—Niezadługo trafimy na gościniec, idący od przewozu przed wyspą do środka kraju. Tam się w gęstwinie położym, będziemy na nich czekać.

—Skąd wiesz o gościńcu?—zapytał Maćko.

—Od chłopów tutejszych, których mam między ludźmi kilkunastu. Oni to wszędy nas prowadzą.

—A jak daleko od zamku i od wyspy przypadniesz?

—W mili.

—To dobrze, bo gdyby było bliżej, mogliby, z zamku knechtów w pomoc pchnąć, a tak — nietylko nie nadążą, ale i krzyku nie usłyszą.

—Jużci, że o tem pomyślałem.

—Pomyślałeś o jednym, pomyślże i o drugim: jeśli to wierne chłopcy, wyślij ich dwóch, albo trzech naprzód, aby który pierwszy obaczył Niemców, zaraz dał nam znać, że idą.

—Ba, już i to zrobione!

—Tedy jeszcze ci coś powiem. Każ stu, albo dwustu ludziom, zaraz, jak tylko bitka się zacznie, nie mieszać się do niej, jeno skończyć i przeciąć drogę od wyspy.

—Pierwsza rzecz!—odpowiedział Zbyszko —ale i takie rozkazy wydane. Wpadną Niemce, jakoby w potrzask, albo jako w oklepcę!

Usłyszawszy to, Maćko spojrzał na bratanka życzliwym okiem, rad bowiem, że Zbyszko mimo wczesnych lat życia, tak dobrze wojnę rozumiał, więc uśmiechnął się i mruknął:

—Nasza prawa krew!

Lecz giermek Hława uradowyny był w duszy jeszcze bardziej od Maćka, gdyż nie było dla niego większej nad bitwę rozkoszy.

—Nie wiem,—rzekł—jak ci nasi ludzie będą się potykali, ale idą cicho, sprawnie i ochotę znać po nich okrutną. Jeżeli ów Skirwoiło dobrze wszystko wymądrował, to żywa noga nie powinna wyjść.

—Da Bóg, mało się ich wymknie — odpowiedział Zbyszko.—Ale kazałem jak najwięcej jeńców brać, a gdyby trafił się między nimi rycerz, albo brat zakonny, to już koniecznie nie zabijać.

—A czemu to, panie?—spytał Czech.

—Zbyszko zaś odrzekł:

—Pilnujcie i wy, aby tak było. Rycerz, jeśli z gości, to włóczy się po miastach, po

zamek, siła ludzi widuje i siła nowin słyszy, a jeśli zakonny, to jeszcze więcej. Toć Bogiem, a prawdą, po to ja tu przyjechałem, żeby kogoś pochwycić i zamianę uczynić. Jedna mi ta droga ostała.... jeżeli jeszcze ostała.

To rzekłszy, dał ostrogi koniowi i znów wysunął się na czoło oddziału, aby wydać ostatnie rozporządzenia i uciec razem od smutnych myśli, na które brakło i czasu, albowiem miejsce na zasadzkę wybrane, nie było już zbyt odległe.

—Czemu to młody pan tuszy, że jego niewiastka jeszcze żyje i że się w tych stronach znajduje?—spytał Czech.

—Bo jeśli jej Zygryd odrazu w Szczytnie w pierwszym zapędzie nie zamordował — odparł Maćko — to sprawiedliwie można się spodziewać, że jeszcze żywa. A jeśliby ją był zamordował, toby szczycieński ksiądz nie był nam takich rzeczy rozpowiadał, które przecie i Zbyszko słyszał. Ciężka to rzecz nawet dla największego okrutnika podnieść rękę na niewiastę bezbronną, ba! na dziecko niewinne.

—Ciężka, ale dla Krzyżaka. A księcia Wictoldowe dzieci?

—Prawda jest, że wilcze oni serca mają, wszelako i to prawda, że w Szczytnie jej nie zgładził, a że sam w tę stronę pociągnie, więc może i ją w którymś zamku ukrył.

—Hej! żeby się to tak udało tę wyspę i ten zamek ubiedz!

— Spójrzyj jeno na tych ludzi — rzekł Maćko.

—Pewnie! pewnie! ale mam ci ja jedną myśl, którą młodemu panu powiem.

—Choćbyś miał dziesięć, dzidami murów nie rozwalisz.

To powiedziawszy, ukazał Maćko szereg dzid, w które większa część wojowników była uzbrojonych, poczem zapytał:

—Widziałeś kiedy takie wojsko?

A Czech rzeczywiście nic podobnego nie widział. Przed nimi jechał gęsty zastęp wojowników i jechał bezładnie, bo w boru i wśród krzyków trudno się było trzymać szeregów. Zresztą piesi pomieszani byli z konnymi, aby nadażyć krokom końskim, trzymali się grzyw, kulbak i ogonów. Barki wojowników pokryte były skórami wilków, rysiów, niedźwiedzi, z głów sterczały, to kły dzicze, to rogi jelenie, to kosmate uszy, tak, że gdyby nie broń stercząca w górę i nie smoliste łuki i kobiałki ze strzałami na plecach, patrzącym z tyłu mogłoby się wydawać, zwłaszcza we mgle, że to całe gromady dzikich leśnych bestyj wyruszyły z głębi leśnych mateczników — i ciągną gdzieś na wyraj, gnane żądzą krwi, lub głodem. Było w tem coś strasznego, a zarazem tak niezwykłego, jak gdyby się patrzyło na ów dziw, zwany gomon, w czasie którego, jak wierzy, prostactwo, zrywają się i idą przed się zwierzęta, a nawet kamienie i krzaki.

To też na ów widok, jeden z owych włódczków z Łękawicy, którzy przybyli z Czechem, zbliżył się do niego, przeżegnał się i rzekł: .

—W imię Ojca i Syna! Dyc ze stadem prawych wilków idziem, nie z ludźmi.

Hława zaś, choć sam pierwszy raz podobne wojsko oglądał, odrzekł jako doświadczo-

ny człowiek, który wszystko przeznał i niczemu się nie dziwi:

—Wilcy stadem w zimie chadzają, ale krzyżacka jucha smakuje i na wiosnę.

A rzeczywiście była już wiosna — maj! Leszczyna, którą bór był podszyty, pokryła się jasną zielenią. Z mchów puszystych a miękkich, po których stapały bez szelestu nogi wojowników, wydobywały się białe i siwe nasanki, oraz młode jagodzisko i ząbkowana paproć. Zmoczone obfitymi dżdżami drzewa, pachniały wilgotną korą, a z leśnego podłoża biła surowa woń opadłego cgliwia i próchna. Słońce grało tęczę, na zwieszonych wśród liści kropkach i ptactwo głosiło się w górze radośnie.

Oni szli coraz prędzej, bo Zbyszko przynagłał. Po chwili przyjechał znów na tyły oddziału, gdzie był Maćko z Czechem i mazurskimi ochotnikami. Nadzieja dobrej bitki widocznie ożywiła go znacznie, bo w twarzy nie miał zwykłej troski i oczy świeciły mu po dawnemu.

—Nuże!—zawołał.—W przodku nam teraz iść, nie w ociagu!

I powiodł ich na czoło oddziału.

—Słyszycie—rzekł im jeszcze: — może zaatakujemy Niemcom niespodzianie, ale jeśli co wymiarkują i w szyku zdołają stanąć, to już ci pierwsi uderzymy, bo zbroja na nas godniejsza i miecze lepsze.

—Tak ono i będzie—rzekł Maćko.

Inni zaś osadzili się mocniej w kulbakach, jakby już zaraz mieli się uderzać. Ten i ów nabrał w piersi powietrza i zmacał, czy kord łaćtwo z pochew wychodzi.

Zbyszko powtórzył im jeszcze raz, aby, jeśli wśród pieszych knechtów, znajdą się rycerze, lub bracia w białych płaszczach na zbroi, nie zabijać ich, jeno w niewolę brać, poczem skoczył znów do przewodników i po chwili zatrzymał oddział.

Przyszli do gościńca, który od przystani, leżącej naprzeciw wyspy biegł w głąb kraju. Właściwie nie był to jeszcze prawdziwy gościńiec, ale raczej szlak niedawno przez lasy przetarty i wyrównany tylko o tyle, aby wojska i wozy od biedy mogły przejść po nim. Z obu stron wysokopienny bór, a po obu brzegach piętrzyły się pościnane dla otwarcia drogi, pnie starych sosen. Leszczynowe podszycie było miejscami tak gęste, że przesłaniało całkiem głąb leśną. Wybrał przytem Zbyszko miejsce na zakręcie, aby nadchodzący, nie mogąc nic dojrzeć zdala, nie mieli czasu albo cofnąć się w porę, albo ustawić w bojowym szyku. Tam zajął oba boki szlaku i kazał czekać nieprzyjaciela.

Zżyci z borem i z leśną wojną Zmujdzini, przypadli tak sprawnie za kłody, za wykroty, za leszczynowe krze i kępy młodej jedliny — jakby ich ziemia pochłonęła. Człowiek się nie ozwał, koń nie parsknął. Od czasu do czasu, koło zaczajonych ludzi przeciągał, to drobny, to gruby zwierz leśny, dopiero niemal otarłszy się o nich, rzucał się z przerażeniem i fukiem w bok. Chwilami zrywał się powiew i napęlniał bór szumem uroczystym i poważnym, chwilami cichnął, a wówczas słyhać było tylko odległe kukanie kukułek i bliskie kucie dzięciołów.

Zmujdzini słuchali z radością tych odgłosów, albowiem szczególnie dzieciół był dla nich zwiastunem dobrej wróżby. Było zaś owych ptaków pełno w tym boru i kowanie dochodziło ze wszystkich stron, usilne, szybkie, podobne jakby do pracy ludzkiej. Rzekłbyś, wszystkie tam miały swe kuźnie i od wczesnego rana zabrały się do gorliwej roboty. Maćkowi i Mazurom, zdawało się, że słyszą cieśłów, pobijających krokwie na nowym domu i przypomniwały im się strony rodzinne.

Lecz czas upływał i dłużyl się, a tymczasem nic nie było słyszać prócz szumu leśnego i głosów ptacwa. Mgła leżąca na dole rzredła, słońce podniosło się znacznie, jeło przygrzewać, a oni leżeli ciągle. Wreszcie Hława, któremu znudziło się oczekiwanie i milczenie, pochylił się do ucha Zbyszka i począł szepać:

—Panie... Jeśli da Bóg, żaden z psubratów żyw nie ujdzie, czybyśmy nie mogli nocą pociągnąć pod zamek, przeprowadzić się i zdobyć go niespodzianie.

—A to myślisz, że tam łodzi nie strzegą, i hasła nie mają?

—Strzegą i mają — odrzekł Czech; — ale jeńcy pod nożem hasło powiedzą, ba! sami się po niemiecku do nich odezwą. Byle na wyspę się dostać, to sam zamek....

Tu przerwał, gdyż Zbyszko położył mu nagle dłoń na ustach, albowiem z gościńca doszło krakanie kruka.

—Cichaj! — rzekł: — to znak!

Jakoż we dwa pacierze później, na szlaku zjawił się Zmujdzin na małym kudłatym koniu, którego kopyta obwinięte były w skóre

baranią, tak, aby nie wydawały tętentu i nie zostawiały śladów na błocie.

Jadąc, rozglądał się bystro na obie strony, i nagle usłyszawszy z gąszczy odpowiedź na krakanie, nurknął w las, a po chwili był już przy Zbyszku.

—Idą!...—rzekł.

VI.

Zbyszko począł wypytywać spiesznie, jak idą, ile jest jazdy, ilu knechtów pieszych, a przede wszystkim, jak daleko się jeszcze znajdują. Z odpowiedzi Zmujdzina dowiedział się, że oddział nie przenosi stu pięćdziesięciu wojowników, z tych pięćdziesięciu konnych, pod wodzą nie Krzyżaka, lecz jakiegoś świeckiego rycerza, że idą w szyku, prowadząc za sobą puste wozy, a na nich zapas kół, że przed oddziałem idzie w odległości dwóch strzeleń z łuku "straż", złożona z ośmiu ludzi, która zjeżdża często z gościńca, bada bór i gąszcza, a na koniec, że znajdują się o ćwierć mili.

Zbyszko niebardzo był rad, że idą w szyku. Wiedział z doświadczenia, jak trudno w takim razie rozerwać sfornych Niemców i jak taka "kupia" umie bronić się, cofając i ciąć na kształt osaczonego przez psy odyńca. Natomiast ucieszyła go wiadomość, iż są niedalej, niż o ćwierć mili, wymiarkował bowiem z tego, że ów zastęp ludzi, których poprzednio wysłał, zajął już był tyły Niemcom i że w razie ich klęski, nie puści żadnej żywej duszy. Co do czaty, idącej w przodzie oddziału, niewiele z niej sobie robił, gdyż spodziewając się z góry, że tak będzie, rozkazał już poprzednio swym Zmujdzinom, albo przepuścić ową straż spokojnie, albo też, gdyby ludzie z niej chcieli

badać wewnątrz boru, wyłowić ich po cichu co do jednego.

Lecz to ostatnie polecenie okazało się zbyt niebezpiecznem. Podjazd nadciągnął niebawem. Ukryci pod wykrotami bliżej gościńca Zmujdzini, widzieli doskonale tych knechtów, jak stanawszy na skrócie, poczęli z sobą rozmawiać. Naczelnik, tęgi rudobrody Niemiec, nakazawszy im znakiem milczenie, począł następnie nasłuchiwać. Przez chwilę widać było, że waha się, czyby nie zjechać w bór, wreszcie słysząc tylko kowanie dzięciołów, widocznie pomyślał, iż ptactwo nie pracowałoby tak swobodnie, gdyby w lesie był kto ukryty, więc machnął ręką i powiódł oddział dalej.

Zbyszko przeczekał, póki nie znikli za następem skrzemem, poczem zbliżył się cicho do samego gościńca na czele cięższej zbrojnych mężów. Był między nimi Maćko, Czech, dwóch władyków z Łękawicy, trzech młodych rycerzy z pod Ciechanowa i kilkunastu znaczniejszych, lepiej zbrojnych bojarów zmujdzkich. Dalsze ukrywanie się nie było już zbyt potrzebne, miał więc Zbyszko zamiar, zaraz gdy zjawia się Niemcy, wysunąć się na środek szlaku, skoczyć, uderzyć w nich i rozerwać. Gdyby to się udało gdyby walka ogólna zamieniła się na szereg pojedynczych, mógł już być pewien, że Zmujdzini poradzą sobie z Niemcami.

I znów nastała chwila ciszy, którą mąciły tylko zwykły gwar leśny. Ale wkrótce do uszu wojowników, doszły od wschodniej strony gościńca i głosy ludzkie. Zrazu pomieszane i dość odległe, stopniowo stawały się coraz bliższe i wyraźniejsze.

Zbyszko w tej samej chwili wyprowadził swój oddział na środek gościńca i ustawił go w klin. Sam stał na czele, mając za sobą bezpośrednio Maćka i Czecha. W następnym szeregu stało trzech ludzi, w następnym czterech. Zbrojni byli wszyscy dobrze: brakło im wprawdzie potężnych “drzew” czyli kopii rycerskich, gdyż te stawały się w leśnych pochodach wielką zawadą; natomiast mieli w rękę krótkie i lżejsze dzidy żmujdzkie do pierwszego natarcia, a miecze i topory, przy siodłach do walki w ścisku. Hława nastawił pilnie uszy, posłuchał, a następnie szepnął do Maćka:

—Śpiewają, zatracona ich mać!

—Ale mi to dziwno, że tam bór zamyka się przed nami i że ich nie widać dotąd—odpowiedział Maćko.

Na to Zbyszko, który już dalsze ukrywanie się, a nawet ciche mówienie, uważał za zbyteczne, odwrócił się do nich i rzekł:

— Bo gościniec idzie wedle strumienia i przez to często się zakręca. Obaczym się niespodzianie, ale to lepiej.

—A wesoło ci jakoś śpiewają!—powtórzył Czech.

Istotnie zaś Niemcy śpiewali wcale nie pobożną pieśń, co łatwo było z samej nuty wymiarkować. Wsłuchawszy się można również było odróżnić, że śpiewa nie więcej, niż kilkunastu ludzi, a tylko jeden wyraz powtarzają wszyscy, który też wyraz rozlegał się jak grzmot po lesie.

I tak sobie szli ku śmierci, weseli i pełni ochoty.

—Wnet już ich ujrzym —rzekł Maćko.

Przyczem twarz zmierzchła mu nagle i nabrała jakiegoś wilczego wyrazu, gdyż dusza w nim była nieużyta i zawzięta, a prócz tego nie odplacił dotychczas za ów postrzał z kuszy, który otrzymał wtedy, gdy dla ratowania Zbyszka, wyprawił się z listem siostry Witoldowej do Mistrza.

Więc teraz poczęło się w nim burzyć serce, a zaś żądza pomsty oblała go, jak ukrop.

—Nie będzie temu dobrze, któren się z nim pierwszy zczepi — pomyślał Hlawka, rzuciwszy okiem na starego rycerza.

Tymczasem powiew przyniósł wyraźnie okrzyk, który powtarzali wszyscy chórem: “Tandaradei! tandaradei!”—wraz Czech usłyszał słowa znajomej sobie pieśni:

“Bi den roesen er wol mac,
Tandaradei!

Merken wa mir’z houlet lac’”.....

Wtem pieśń, urwała się, albowiem po obu stronach szlaku rozległo się krakanie tak gwałtowne i rozgłośnie, jakby w tym zakęcie lasu odbywał się sejm kruków. Niemców zadziwiło jednak to, skąd się mogło wziąć ich tyle i dlaczego wszystkie głosy odzywają się z ziemi, nie zaś z wierzchołków drzew. Pierwszy szerek knechtów ukazał się i stanął jak wryty, na widok nieznanych, stojących naprzeciw jeźdźców.

A Zbyszko w tej samej chwili pochylił się na siodle, uderzył konia ostrogami i skoczył:

—W nich!

Za nim skoczyli inni. Z obu stron boru podniósł się straszliwy okrzyk żmujdzkich wojowników. Około dwustu kroków dzieliło Zbyszkowych ludzi od Niemców, którzy w

mgnieniu oka pochyłili las dzied ku jeźdcom, podczas gdy dalsze szeregi zwróciły się z równą szybkością czołem ku obu stronom lasu, aby bronić się od napaści z boków. Byliby podziwiali ową sprawność polscy rycerze, gdyby znaleźli czas na podziw i gdyby konie nie niosły ich w największym pędzie ku błyszczącym, nadstawionym grotom.

Pomyślnym dla Zbyszka wypadkiem, jazda niemiecka znajdowała się z tyłu oddziału przy wozach. Ruszyła ona wprawdzie zaraz ku swojej piechocie, ale ani przejechać przez nią, ani jej ominąć, a tem samem i zasłonić od pierwszego uderzenia nie mogła. Otoczyło przytem ją samą mrowie Zmujdzinów, którzy poczęli się wysuwać z gąszczów, jak jadowity rój os, których gniazdo niebaczny podróżny nogą potrafi. Zbyszko uderzył tymczasem razem ze swoimi ludźmi o piechotę.

I uderzył bez skutku. Niemcy, powbijawszy tylne końce ciężkich włóczni i berdyszów w ziemię trzymali je tak równo i krzepko, że lekkie mierzyny zmujdzkie przełamać tego muru nie mogły. Maćków koń, cięty berdysem w goleń, wspiał się na tylne nogi, a następnie zarył nozdrzami w ziemię. Przez chwilę śmierć zawisała nad starym rycerzem, lecz on, świadom wszelkiej bitwy i doświadczony w przygodach, wypuścił nogi ze strzemion, chwycił potężną dłoń za ostrze niemieckiej dzidy, która zamiast pograżyć się w jego piersiach posłużyła mu tem samem jako oparcie, zaczętem zerwał się, uskoczył między konie i dobywszy miecza, począł nacierać nim na dzidy i berdysze, równie, jak drapieżny krzeczot naciera jadłe stado długodziobych żórawi.

Zbyszko, gdy koń jego powstrzymany w zapędzie, siadł prawie całkiem na zadzie, podparł się dziirytem—i złamał go, więc jął się także miecza. Czech, który wierzył nadewszystko w topór, rzucił nim w kupę Niemców—i chwilowo pozostał bezbronny. Jeden z włodyków z Łękawicy zginał, drugiego ogarnął na ten widok szal wściekłości, tak, iż począł wyć jak wilk i wspinając skrwawionego konia, parł naoslep w środek zastępu. Bojarowie żmujdcy siekli brzeszczotami po grotach i drzewcach, z po za których spoglądały twarze knechtów, jakby przejęte zdziwieniem i zarazem jakby pokurczone przez upór i zawziętość. Lecz stało się, że szyk nie został rozerwany. Żmujdzini też, którzy uderzyli z boków, odskoczyli zrazu od Niemców, jak od jeża. Wrócili wprawdzie niebawem z większą jeszcze natarczywością, ale nie wskórać nie mogli.

Niektórzy powdrapywali się na przydrożne chojary i poczęli szyć z łuków w środek knechtów, których dowódca spostrzegłszy to, wydał rozkaz cofania się ku swojej jeździe. Kusznicy niemieccy jęli się też odstrzeliwać, więc od czasu do czasu niejeden ukryty między gałaziami sosny Żmujdzin spadał jak dojrziała szyszka na ziemię i konając, darł, rękoma mchy leśne, lub rzucał się na kształt wyjętej z wody ryby. Otoczeni ze wszystkich stron, Niemcy nie mogli sprawdzie liczyć na zwycięstwo, widząc jednak skuteczność obrony, Niemali, że może choć garść ich zdoła się wycofać z pogromu i dostać się napowrót do rzeki.

Zadnemu nie przyszło na myśl poddać się, gdyż sami nie oszczędzając jeńców, wiedzieli, że nie mogą rachować na litość przywiedzio-

nego do rozpacz i zbuntowanego ludu. Co-fali się więc w milczeniu chłop przy chłopie, ramię przy ramieniu, to podnosząc, to zniżając włócznie i berdysze, tnąc, bodąc, rażąc z kusz, o ile zamęt bitwy na to pozwalał i zbliżając się ciągle ku swojej jeździe, która walczyła na śmierć i życie z innymi zastępami nieprzyjaciół.

Wtem stało się coś dziwnego, co rozstrzygnęło losy uporczywej bitwy. Oto ów włodyka z Łękawicy, którego pochwycił szał po śmierci brata, pochylił się, nie zsiadając z konia i podniósł ciało z ziemi, pragnąc widocznie zabezpieczyć od stratowania i złożyć gdzieś tymczasem w spokojnem miejscu, aby łatwiej odnaleźć je po bitwie. Ale w tej samej chwili nowa fala wściekłości napłynęła mu do głowy i odjęła zupełnie przytomność, albowiem zamiast zjechać z drogi, uderzył na knechtów i rzucił trupa na ostrza łwóczni, które utkwivszy w jego piersiach, brzuchu i biodrach, pochyliły się pod ciężarem, nim zaśknechci zdolali je wydobyć, szaleniec runął przerwą w szeregi, przewracając ludzi jak burza.

W mgnieniu oka dziesiątki rąk wyciągnęły się ku niemu, dziesiątki włóczni przebiły boki konia, ale tymczasem szeregi zwichrzyły się i zanim przyszły do sprawy, wpadł najprzód jeden z bojarów żmujdzkich, który najbliżej się znajdował, po nim Zbyszko, po nim Czech i straszliwy zamęt powiększał się z każdą chwilą. Inni i bojarowie chwycili również za ciała poległych i poczęli je rzucać na ostrza; z boków natarli znów Żmujdzini. Cały sforny dotychczas zastęp zakotłował się i zatrzęsł jak drzewo pod klinem i wreszcie prysnął.

Bitwa zmieniła się w jednej chwili w rzeź. Długie dzidy niemieckie i berdysze stały się w ścisku nieużyteczne. Natomiast brzeszczoty konnych zgrzytały po czaszkach i karkach. Konie wpierały się w gęstwę ludzką, przewracając i tratując nieszczęnych knechtów. Jeźdźcom łatwo było ciąć z góry, cieli więc bez odetchnienia i spoczynku. Z boków drogi wysypywały się coraz nowe gromady dzikich wojowników w wilezych skórach i z wileczą żądzą krwi w piersiach. Wycie ich głużyło błagalne głosy o litość i jęki konających. Zwycięzcy rzucali broń; niektórzy usiłowali wymknąć się do lasu; niektórzy, udając zabitych, padali na ziemię; niektórzy stali prosto, mając twarze blade jak śnieg i zmrużone oczy, inni modlili się; jeden, któremu umysł pomieszał się widocznie z przerażenia, począł grać na piszczałce, przyczem uśmiechał się, podnosząc w górę oczy, póki maczuga żmujdzka nie strzaskała mu głowy. Bór przestał szumieć, jakby się przeląkł śmierci.

Stopniała wreszcie garść krzyżacka. Czasem tylko w gąszczach zabrzmiał odgłos krótkiej walki, lub krzyk rozpaczliwy. Zbyszko i Maćko, a za nimi wszyscy konni, skoczyli teraz ku jeździe.

Ta zaś broniła się jeszcze, ustawiona kręgiem, tak zawsze bowiem bronili się Niemcy, gdy nieprzyjaciół zdołał ich przeważną siłą otoczyć. Jeźdźcy, siedząc na dobrych koniach i w zbrojach lepszych od piechurów walczyli mężnie i z godnym podziwu uporem.

Nie było między nimi żadnego białego płaszcza, jeno przeważnie średnia i drobniejsza szlachta pruska, która miała obowiązek stawać

do wojny na rozkaz Zakonu. Konie ich po większej części były także zbrojne, niektóre w kropieże, a wszystkie w żelazne naczółki, z osadzonym we środku stalowym rogiem. Dowództwo nad nimi dzierżył wysoki smukły rycerz w ciemno-błękitnym pancerzu i w takimże hełmie z zapuszczoną przyłbicą.

Z głębin leśnych padała na nich ulewa strzał, ale groty odbijały się bezskutecznie od naczółków, od pancerzy i hartownych naramienników. Wał pieszych i jezdnych Żmujdzinów otaczał ich zblizka, lecz oni bronili się, tnąc i bodąc długimi mieczami, tak zażarcie, iż przed kopytami końskimi leżał wieniec trupów. Pierwsze szeregi napastników chciały się cofać i parte z tyłu—nie mogły. Naokół uczynił się ścisk zamęt. Oczy olśniewały od migotania włóczni, od błysków mieczów. Konie poczęły kwiczeć, kasać i wierzgać. Przypadli bojarzynie żmujdzy, przypadł Zbyszko i Czech i Mazurowie. Pod ich potężnymi ciosami poczęła się “kupia” chwiać i kołysać, jak bór pod wichrem, oni zaś na podobieństwo drwali rąbiących gęstwinę leśną, posuwali się zwolna naprzód w trudzie i znoju.

Lecz Maćko kazał zbierać na pobojuwisku długie berdysze niemieckie i uzbroiwszy nimi blisko trzydziestu dzikich wojowników, począł przeciskać się przez skrzęt ku Niemcom. Dotarłszy, krzyknął: “Konie po nogach!”—i wnet okazał się skutek straszliwy. Rycerze niemieccy nie mogli dosięgnąć mieczami jego ludzi, a tym czasem berdysze poczęły kruszyć okrutnie golenie końskie. Poznał wówczas błękitny rycerz, że nadchodzi koniec bitwy, i że pozostaje

tylko, albo przebić się przez ten zastęp, który odcinał drogę powrotną, albo zginać.

Wybrał to pierwsze — i w mgnieniu oka z jego rozkazu ława rycerzy zwróciła się czołem w stronę, z której nadeszła. Zmujdzini wnet wsiedli im na karki, atoli Niemcy zarzuciwszy na plecy tarcze i tnąc od przodu i na boki, rozzerwali otaczający ich pierścień, rozpuścili konie i poczęli gnać nakształt huraganu ku wschodowi. Skoczył im na spotkanie ów oddział, który właśnie nadjeżdżał do bitwy, lecz zgniecion przez przewagę zbroi i koni, padł w jednej chwili pokotem jak łan zboża pod wichrem. Droga do zamku była wolna, ale ocalenie dalekie i niepewne, albowiem konie zmujdzkie ściągłejsze były od niemieckich. Błękitny rycerz zrozumiał to doskonale.

— Biada! — rzekł sobie w duszy: — nie uratuje się z nich nikt, chyba, że własną krwią okupię ich ratunek.

I pomyślawszy to począł krzyczeć na najbliższych, aby wstrzymali konie, sam zaś zatoczył koło — i niebaczając, czy ktokolwiek posłuchał jego wezwania, zwrócił się czołem ku nieprzyjacielowi.

Zbyszko biegł pierwszy, więc uderzył go Niemiec w zakrywający oblicze okap od hełmu, ale go nie strzaskał i twarzy nie uszkodził. Wówczas Zbyszko, zamiast odpowiedzieć cięciem na cięcie, chwycił rycerza wpół, związał się z nim, pragnąc koniecznie wziąć go żywcem, usiłował wyciągnąć z siodła. Ale strzemię pękło mu od zbytniego parcia i spadli obaj na ziemię. Przez chwilę tarzali się, walcząc rękoma i nogami, wnet jednak niezwykle krzepki młodzian pokonał przeciwnika i przy-

gniótlszy mu brzuch kolanami, trzymał pod sobą, jak wilk trzyma psa, który ośmielił się stawić mu w gęstwinie czoło.

I trzymał niepotrzebnie, gdyż Niemiec zemdłał. Tymczasem nadbiegł Maćko i Czech, których dostrzegłszy, Zbyszko począł wołać:

—Bywaj i wiąż! Znaczny to jakiś rycerz— i pasowany!

Czech zeskokczył z konia, ale widząc bezwładność rycerza, nie wiązał go, natomiast rozbroił, odpiął naramienniki odjął pas z wiążącą przy nim mizerykordyą, poprzecinał rzemienie, podtrzymujące hełm— wreszcie zabrał się do śrub, zamykających przyłbicę.

Lecz zaledwie spojrzał w twarz rycerza, zerwał się i zawołał:

—Panie! panie, patrzcie tu jeno!

—De Leorche!—zakrzyknął Zbyszko.

A de Lorche leżał z bladą, spotniałą twarzą i z zamkniętymi oczyma, bez ruchu do trupa podobny.

VII.

Zbyszko kazał go włożyć na jeden ze zdobytych wozów, naładowanych nowemi kołami i osiami dla owej wyprawy, która ciągnęła zamkowi w pomoc. Sam przesiadł się na innego konia i ruszyli razem z Maćkiem w dalszą pogoń za pieszych Niemcami. Nie była to pogoń zbyt trudna, albowiem konie niemieckie złe były do ucieczki, zwłaszcza na znacznie rozmiękłym od wiosennych deszczów szlaku. Szczególnie Maćko, mając pod sobą ścigłą, a lekką klacz po zabitym włodyce z Łękawicy, minął po kilku stajach wszystkich niemal Zmujdzinów i wnet potem dojechał pierwszego rajtara. Wezwał go wprawdzie, wedle rycerskiego zwyczaju, żeby, albo oddał się w niewolę, albo zawrócił do walki, ale gdy ów, udając głuchego, cisnął nawet tarczę dla ulżenia koniowi i pochyliwszy się, bódł mu ostrogami boki, ciał go okrutnie stary rycerz szerokim toporem między łopatki—i zwałił z konia.

I tak mścił się na uciekających, za ów zdradziecki postrzał, który niegdyś otrzymał, a oni zaś biegli przed nim, nakształt stada jeleni, mając w sercu trwogę nieznośną, a w duszy chęć nie do walki, ni do obrony, jeno do ucieczki przed strasznym mężem. Kilku wpadło w bór, ale jeden ulgnał przy ruczaju, i tego zdusili powrozem Zmujdzini. Za pozostałymi

całe gromady rzuciły się w gąszcza, w których wnet rozpoczęły się dzikie łowy, pełne wrzasków, okrzyków i nawoływań. Brzmiały nimi długo głębiny kniei, dopóki wszystkich nie pochwytano. Zaczem stary rycerz z Bogdańca, a z nim Zbyszko i Czech, wrócili na pierwsze pobojuwisko, na którym leżeli wycięci piesi knechtowie. Trupy ich były już poobdzierane do naga, a niektóre poszpecone okrutnie rękoma mściwych Zmujdzinów. Zwycięstwo było znaczne i lud upojon radością. Po ostatniej klęsce Skirwoiły pod samem Gotteswerder, już zniechęcenie poczęło było ogarniać zmujdzkie serca, zwłaszcza, że przyobiecane przez Witolda posiłki nie przychodziły tak prędko, jak się ich spodziewano; teraz jednakże odżyła nadzieja i zapal rozgorzał nanowo, właśnie jak płomień, gdy nowych na węgle dREW dorzucisz.

Zbyt wielu było poległych i Zmujdzinów i Niemców, by ich grześć, lecz Zbyszko kazał wykopać dźwidami doły, dla dwóch włodyków z Łekawicy, którzy głównie przyczynili się do zwycięstwa i pochować ich pod sosnami, na których korze wyciosał mieczem krzyże. Potem, przykazawszy Czechowi pilnować pana de Lorche, który wciąż był nieprzytomny, ruszył ludzi i szedł spiesźnie tym samym szlakiem ku Skirwoille, aby na wszelki wypadek podać mu pomoc skuteczną.

Lecz po długim pochodzie trafili na puste już pobojuwisko, zasypane, jak i poprzednie, trupami Zmujdzinów i Niemców. Łatwo zrozumiał Zbyszko, że groźny Skirwoiło musiał też odnieść znaczne zwycięstwo, gdyby bowiem został rozbity, spotkaliby ciągnących ku zamkowi Niemców. Lecz zwycięstwo musiało być

krwawe, gdyż dalej, po za właściwem polem bitwy, leżały jeszcze gęsto ciała poległych. Doświadczony Maćko wywnioskował z tego, że część Niemców zdołała się nawet wycofać z pogromu.

Czy Skirwoiło ścigał ich, czy nie, trudno było odgadnąć, gdyż ślady były błędne, zatarłyte jedne przez drugie. Wywnioskował jednakże również Maćko, że bitwa odbyła się dość dawno, wcześniej może od Zbyszkowej, albowiem trupy były poczerniałe i wzdęte, a niektóre nadżarte już przez wilki, które pierzchały w gąszcz za zbliżeniem się zbrojnych mężów.

Wobec tego postanowił Zbyszko nie czekać na Skirwoiłę i wrócić w dawne bezpieczne obozowisko. Przybywszy późną nocą, znalazł już tam żmujdzkiego wodza, który przyciągnął nieco wcześniej. Ponura zwykle twarz jego rozświeciła tym razem złowroga radość. Zaraz począł rozpytywać o bitwę, a dowiedziawszy się o zwycięstwie, rzekł głosem, do krakania kruka podobnym:

—Z ciebiem rad i z siebiem rad. Nieprędko przyjdą posiłki, a jeśli kniaź wielki nadejdzie, będzie też rad, bo zamek będzie nasz.

—Kogoś wziął z jeńców?—spytał Zbyszko.

—Płóć jeno, żadnej szczuki. Była jedna, było dwie, ale uszły. Zębate szczuki! ludzi nacięły i uszły!

—Mnie Bóg zdarzył jednego — odrzekł młodzian. — Można to rycerz i znamienity, chociaż świecki — gość!

A straszny Zmujdzin objął się za szyję rękoma, poczem prawicą uczynił giest, jakby pokazując idący w górę od szyi powróż:

—Będzie mu tak! —rzekł: — tak jako i innym... tak.

Na to Zbyszko zmarszczył brwi.

—Nie będzie mu ani tak, ani inak, gdyż to mój jeniec i przyjaciel. Razem nas książę Janusz pasował, i jednym palcem tknąć ci go nie dam.

—Nie dasz?

—Nie dam.

I poczęli patrzeć sobie w oczy, marszcząc brwi. Zdawało się, że obaj wybuchną, lecz Zbyszko, nie chcąc kłótni ze starym wodzem, którego cenił i szanował, a mając przytem serce rozkołysane wypadkami dnia, chwycił go nagle za szyję, przycisnął do piersi i zawołał:

—Zali chciałbyś mi go wydrzeć, a z nim i nadzieję ostatnią? Za co mnie krzywdzisz?

Skirwoiło nie bronił się uściskom, a wreszcie wysunawszy głowę z ramion Zbyszka, począł spoglądać na niego z podełba i sapać.

—No, — rzekł po chwili milczenia — jutro każę moich jeńców powiesić, ale jeśli ci który był potrzeny, to ci go też daruję.

Poczem uściskali się po raz wtóry i rozeszli w dobrej zgodzie, ku wielkiemu zadowoleniu Maćka, który rzekł:

—Złością widać z nim nic nie wskórasz, ale dobrocią możesz go jako воск ugnieść.

—Taki to już naród — odpowiedział Zbyszko:—jeno Niemce o tem nie wiedzą.

I to rzekszy, kazał przywieść przed ognisko pana de Lorche, który wypoczywał w szalasi; jakoż po chwili przyprowadził go Czech, rozbrojonego, bez hełmu, jeno w skórzanym kaftanie, na którym wyciśnięte były pęgi od

pancerza, i w czerwonej mycce na głowie. De Lorche wiedział już przez giermka, czym jest jeńcem, ale właśnie dlatego przyszedł chłodny, dumny, z twarzą, na której przy blasku płomienia można było czytać upór i wzgardę.

—Dziękuj Bogu — rzekł mu Zbyszko— iż cię podał w moje ręce, bo nic ci ode mnie niegrozi.

I wyciągnął ku niemu przyjaźnie dłoń, lecz de Lorche ani się ruszył.

—Nie podaję ręki rycerzom, którzy cześć rycerską pohańbili, z Saracenami przeciw chrześcianom walcząc.

Jeden z obecnych Mazurów przełożył jego słowa, których znaczenia Zbyszko i tak się zresztą domyślił. Więc w pierwszej chwili zagotowała się w nim krew, jak ukrop.

—Głupcze!— krzyknął, chwytając mimowolnie za rękę jeńcy mizerykordyi.

A de Lorche podniósł głowę.

—Zabij mnie — rzekł; — wiem, iż wy nie szczędzicie jeńców.

—A wy ich szczędzicie?—zawołał, nie mogąc znieść spokojnie takich słów Mazur. — A to nie powiesiliście na brzegu wyspy wszystkich, których ujęliście w poprzedniej bitwie. Dlatego Skirwoiłł wiesza waszych.

—Tak uczyniono, — odrzekł de Lorche — ale to byli poganie.

Jednakże widać było jakby pewien wstyd w jego odpowiedzi i nie trudno było odgadnąć, że w duszy takiego uczynku nie pochwalał.

Tymczasem Zbyszko ochłonął i ze spokojną powagą rzekł:

—De Lorche! Z jednych rąk dostaliśmy pasy i ostrogi; znasz mnie też, wiesz, że cześć

rycerska nad życie i szczęście mi milsza—prze-
to słuchaj co ci pod przysięgą na świętego Je-
rzego powiem: wielu z tych ludzi nie od wczoraj
przyjęło chrzest, a ci którzy nie są jeszcze
chrześcianami, jak do zbawienia wyciągają rę-
ce do Krzyża, ale zali wiesz, kto im przesko-
dy czyni, do zbawienia nie dopuszcza i chrztu
broni?

Mazur przetłómaczył w lot Zbyszkowe sło-
wa, więc de Lorche spojrzał pytającym wzro-
kiem w twarz młodzianka.

A ów zaś rzekł:

—Niemce! Nie może być! — zakrzyknął
geldryjski rycerz.

—Na włócznie i na ostrogi Świętego Je-
rzego, Niemce! o gdyby tu krzyż zapanował,
utraciliby pozór do najazdów, do panowania
nad tą ziemią i do gnębienia tego nieszczęsne-
go ludu. Tyś ich przecie poznał, de Lorche i
wiesz najlepiej, zali sprawiedliwe są ich u-
czynki.

—Alem mniemał, że grzechy gładzą, z po-
gany walcząc i do chrztu ich nakłaniając.

—Chrzczą ci oni ich mieczem i krwią, nie
wodą zbawienia. Czytaj jeno tę kartę, a zaraz
poznasz, czy nie ty to właśnie krzywdzicielom,
drapieżnikom i starościcom piekielnym, prze-
ciw wierze i miłości chrześcijańskiej służysz.

To rzekłszy podał mu list Zmujdzinów do
królów i książąt, który bardzo był wszędy u-
powszechnion, a de Lorche wziął go i zaczął
przebiegać oczyma, przy blasku ognia.

I przebiegł prędko, albowiem nie była mu
obcą, trudna sztuka czytania, zaczem zdumiał
się niepomrotnie i rzekł:

—Zali to wszystko prawda?

—Tak mnie i tobie dopomóż Bóg, któren najlepiej widzi, że nie w własnej ja tu sprawie, ale i sprawiedliwości służyć.

De Lorche zamilkł na chwilę, poczem rzekł:

—Jeńcem twoim jestem.

—Daj rękę—odpowiedział Zbyszko.—Bratem moim jesteś nie jeńcem.

Więc podali sobie prawice i zasiedli do wspólnej wieczerzy, którą Czech kazał przygotować pachołkom. Podczas posiłku de Lorche dowiedział się z niemniejszym zdumieniem, że Zbyszko mimo listów nie odzyskał Danusi i że komturowie zaprzeczali ważności glejtom z powodu wybuchu wojny.

—To teraz rozumiem dlaczegoś ty tu jest,— rzekł do Zbyszka— i dziękuję Bogu, że ci mnie jeńcem oddał, bo tak myślę, że za mnie oddadzą ci zakonni rycerze kogo zechcesz, gdyż inaczej wielki byłby krzyk na Zachodzie, albowiem z możnego rodu pochodzę....

Tu uderzył się nagle dłonią w myckę i zawołał:

— Na wszystkie relikwie z Akwizgranu! Toż na czele posiłków, które nadciągały do Gotteswerder stali Arnold von Baden i stary Zygfryd von Loewe. Wiemy to z listów, które do zamku przyszły. Zali ich nie wzięto w niewolę?

—Nie! — rzekł, zrywając się Zbyszko. — Nikogo ze znaczniejszych! ale prze-Bóg! wielką mi nowinę powiadasz. Prze-Bóg! są i uni jeńce, od których dowiem się, nim ich powieszą, czyli nie było jakiej niewiasty przy Zygfrydzie.

I począł wołać na pacholków, aby świecili mu łuczywem i biegł w stronę, gdzie byli pobrani przez Skirwoiłkę jeńce. De Lorche, Maćko i Czech biegli z nim razem.

—Słuchaj!—mówił mu po drodze Geldryjczyk.—Puścisz mnie na słowo, sam w całych Prusiech będę jej szukał, a gdy ją znajdę, wrócę do ciebie i wówczas mnie za nią wymienisz.

—Jeżeli żywa! —odrzekł Zbyszko.

Ale tymczasem dobiegli do ławy Skirwoiłkowych jeńców. Jedni z nich leżeli na wznak, drudzy stali przy pniach, okrutnie przykrępowani do nich łykiem. Łuczywo jasno oświecało głowę Zbyszka, więc wszystkie oczy nieszczęśników zwróciły się ku niemu.

Wtem z głębi zawołał jakiś donośny, pełen przerażenia głos:

—Panie mój i obrońco! ratuj mnie!

Zbyszko porwał z rąk pacholka parę płonących szczepów, skoczył z niemi do drzewa, z pod którego dochodził głos —i podniósłszy je w górę, zawołał:

—Sanderus!

—Sanderus! —powtórzył ze zdumieniem Czech. A ów, nie mogąc poruszyć skrępowanemi rękoma, wyciągnął szyję i jął znowu wołać:

Miłosierdzia!... wiem, gdzie, jest córka Juranda.... ratujcie mnie!

VIII.

Pachołkowie rozwiązali go zaraz, lecz on, mając członki zdrtwiałe, upadł na ziemię, a gdy go podniesiono, począł mdleć raz po raz, gdyż był srodze poturbowan. Próżno z rozkazu Zbyszka zawiedziono go przed ognisko, dano jeść i pić, natarto sadłem, a następnie okryto ciepło skórami: Sanderus nie mógł przyść do siebie, a następnie zapadł w sen tak głęboki, że zaledwie na drugi dzień w południe zdołał go Czech rozbudzić.

Zbyszko, którego niecierpliwość paliła jak ogniem, przyszedł do niego natychmiast. Z początku nie mógł się jednak niczego dowiedzieć, albowiem, czy to ze strachu po strasznych przejściach, czy z folgi, jaka ogarnia zwykle słabe dusze, gdy grożące im niebezpieczeństwo przeminie, porwał Sanderusa płacz, tak niepohamowany, iż próżno usiłował odpowiadać na zadawane mu pytania. Łkanie ścisnęło mu gardło, wargi się trzęsły, a z oczu płynęły łzy tak obfite, jakby życie miało razem z niemi wypłynąć.

Wreszcie przemógłszy się nieco i pokrzepion kobylem mlekiem, którem Litwa nauczyła krzepić się od Tatarów, począł biadać, że go "synowie Beliala" zbili na leśne jabłko dzidami, że mu zabrali konia, na którym wioził relikwie wyjątkowej mocy i ceny, a nakoniec,

że gdy go przykrępowano do drzewa, mrówki pogryzły mu tak nogi i całe ciało, iż czeka go napewno śmierć, nie dziś, to jutro.

Lecz Zbyszka schwycił w końcu gniew, więc porwał się i rzekł:

—Odpowiadaj popsinogo, na to, o co pytam i bacz, aby cię coś gorszego nie spotkało!

—Jest tu opodał mrowisko czerwonych mrówek—ozwał się Czech.—Każcie go, panie na niem położyć, a wnet język w gębie odnajdzie.

Hława nie mówił tego szczerze i uśmiechał się nawet, albowiem w sercu miał dla Sanderusa życzliwość, lecz ów przeraził się i jął wołać:

—Miłosierdzia! miłosierdzia! Dajcie mi jeszcze tego pogańskiego napitku, a opowiem wszystko, com widział i czegom nie widział!

—Jeśli choć słowo żelżesz, wbiję ci klin między żęby!—odrzekł Czech.

Lecz zbliżył mu powtórnie do ust bukłak z kobyłem mlekiem, ów zaś chwycił go, przywarł do niego chciwie ustami, jak dziecko do piersi matki i począł łykać, otwierając i zamykając naprzemian oczy. Aż gdy wyciągnął ze dwie kwarty, lub więcej, otrząsnął się, położył sobie na kolanach bukłak i rzekł, jakby się poddając konieczności:

—Paskudztwo!....

Poczem do Zbyszka:

—Ale teraz pytaj, zbawco!

—Była-li moja niewiasta w tym oddziale, z którym szedłeś?

Na twarzy Sanderusa odbiło się pewne zdziwienie. Słyszał on był wprawdzie, że Danu-

sia była żoną Zbyszka, i że ślub był tajny i że zaraz ją porwano, więc w duszy zawsze myślał o niej tylko jak o Jurandowej córce.

Jednakże odpowiedział z pośpiechem:

—Tak, wojewodo! była! ale Zygfryd de Loewe i Arnold von Baden, przebili się przez nieprzyjaciół.

—Widziałeś ją?—pytał z bijącym sercem młodzian.

—Oblicza jej nie widziałem, panie, ale widziałem między dwoma końmi kolebkę z wikliny, całkiem zamkniętą, w której kogoś wieźli, strzegła jej ta sama jaszczurka, ta sama służka zakonna, która przyjeżdżała do Danvelda do Leśnego dworu. A i śpiewanie słyszałem też żałosne z kolebki dochodzące....

Zbyszko aż pobladł ze wzruszenia, siadł na pniu i przez chwilę nie wiedział, o co pytać więcej. Maćko i Czech byli też wzruszeni niepomrotnie, gdyż ważną i wielką usłyszeli nowinę. Czech pomyślał może przytem, o tej swojej kochanej pani, która została w Spychowiu, a dla której wiadomość ta była jakby wyrokiem na niedolę.

Nastała chwila milczenia.

Wreszcie chytry Maćko, który Sanderusa nie znał— i zaledwie coś o nim poprzednio zasłyszał, spojrzał na niego podejrzliwie i spytał:

—Coś ty za jeden? i coś robił między Krzyżakami?

—Com za jeden, wielmożny rycerzu, —odpowiedział włóczęga — niech ci na to odpowiedzą: ten waleczny książę (tu wskazał Zbyszka) i ten mężny czeski hrabia, którzy mnie znają oddawna.

Tu widocznie kumys począł na niego działać, bo się ożywił i zwróciwszy się do Zbyszka, począł mówić donośnym głosem, w którym nie było już ani śladu poprzedniego osłabienia.

—Panie, ocaliliście mi podwójnie życie. Bez was byliby mnie wilcy zjedli, albo dosięgła kara biskupów, którzy wprowadzeni w błąd przez moich nieprzyjaciół (o, jak ten świat jest niegodziwy!), wydali rozkaz ścigania mnie za sprzedaż relikwii, których podejrzewali prawdziwość. Ale ty, panie, przygarnąłeś mnie: dzięki tobie i wilcy mnie nie strawili i pościg nie mógł mnie dosięgnąć, albowiem brano mnie za jednego z twoich ludzi. Nigdy też nie zabrakło mi przy tobie, ni jadła, ni napoju—lepszego, niż to tu kobyle mleko, którem się brzydzę, ale którego napiję się jeszcze, aby okazać, że ubogi, pobożny pielgrzym, nie cofa się przed żadnem umartwieniem.

—Gadaj, skomorochu, żywo, co wiesz i nie błaznuj—zawołał Maćko.

Lecz ów podniósł bukłak do ust, opróżnił go całkowicie i jakby nie słysząc słów Maćkowych, zwrócił się do Zbyszka:

—Za to też pokochałem cię panie. Święci, jak mówi Pismo, dziewięć razy na godzinę grzeszyli, więc i Sanderusowi czasem zdarzy się zgrzeszyć, ale Sanderus nie był i nie będzie niewdzięcznikiem. Przeto, gdy przyszło na cię nieszczęście, pamiętasz, panie, com ci rzekł: oto pójde od zamku i nauczając ludzi po drodze, będę szukał twojej straty. Kogom nie pyta! gdzieś nie był! — długoby mówić; dość, że znalazł i od tej chwili, nie tak rzep

przyczepi się do opończy jako ja przyczepiłem się do starego Zygfrieda. Uczyniłem się sługą jego i od zamku do zamku, od komturyi do komturyi, od miasta do miasta, chodziłem za nim bez przestanku, aż do ostatniej bitwy.

Zbyszko tymczasem opanował wzruszenie i rzekł:

—Wdzięcznym ci jest i nie ominie cię nagroda. Ale teraz odpowiadaj, o co zapytam: zali przysięgniesz mi na zbawienie duszy, że ona żyje?

—Przysięgam na zbawienie duszy! — odrzekł poważnie Sanderus.

—Czemu Zygfried opuścił Szczytno?

—Nie wiem, panie, jeno się domyślam: Nie był ci on nigdy starostą w Szczytnie, a opuścił je może, bojąc się rozkazu Mistrza, który jako mówiono, pisał do niego, aby brankę oddał księżnie mazowieckiej. Może przed owem pismem uciekał, gdyż dusza zapiekła się w nim od boleści i pomsty za Rotgiera. Powiadają teraz, że to był jego syn. I nie wiem, jako tam było, jeno wiem, że aż mu coś w głowie pomieszało z zaciekłości i że póki żyw, póty córki Jurandowej—chciałem rzec: młodej pani — z rąk nie popuści.

—Dziwne mi się to wszystko zdawa, — przerwał nagle Maćko — bo gdyby ów stary pies, taki był na całą Jurandową krew zawzięty, toby był Danuškę zabił.

—I chciał to uczynić, — odparł Sanderus — ale cości go takiego potkało, że aż potem ciężko zachorzał i o mało ostatniej pary nie puścił. Siła o tem szepcą sobie jego ludzie. Niektórzy prawią, jako idąc nocą na wieżę, aby młodą

panią zamordować, napotkał złego ducha—in-
ni, że właśnie Anioła. Dość, że go znaleziono
na śniegu przed wieżą, całkiem bez duszy.
Teraz jeszcze, gdy o tem wspomni, to mu włosy
dębem stają na głowie, a przez to i sam nie
śmie podnieść na nią ręki i boi się innym roz-
kazać. Wozi z sobą niemowę, dawnego kata
szczycieńskiego, ale nie wiadomo dlaczego, bo
ów się też boi, jako wszyscy.

Słowa te uczyniły wielkie wrażenie. Zbysz-
sko, Maćko i Czech, zbliżyli się do Sanderusa,
który przeżegnał się i tak dalej mówił:

—Niedobrze tam być między nimi. Nieraz
słyszałem i widziałem rzeczy, od których ciar-
ki po skórze chodzą. Waszym miłościom mówi-
łem już, że staremu komturowi popsowało się
coś w głowie. Ba, jakoże inaczej miało być,
kiedy go duchy z tamtego świata nawiedzają!
Byle sam został, poczyną coś koło niego sapać
tak właśnie, jakby komuś tchu nie stało. A to
jest ów Danveld, którego zabił straszny pan ze
Spychowa. To Zygfryd mówi mu: "Czego?
Msze ci na nic, po coż przychodzisz?" A tam-
ten tylko zgrzytnie i potem znów sapie. Ale
częściej jeszcze przychodzi Rotgier, po którym
też siarkę w izbie czuć i z nim jeszcze więcej
komtur rozmawia: "Nie mogę! (mówi mu) nie
mogę." Słyszałem także, jak się go pytał: "Zali
ci to ulży, synku?" I tak ciągle. A i to bywa,
że przez dwa albo i trzy dni do nikogo słowem
się nie odezwie, na twarzy zaś widać mu bo-
leść okrutną. Kolebki onej pilnie strzeże i on
i ta służka zakonna, tak, że młodej pani nikt
nigdy dojrzeć nie może.

—Nie znęcają się nad nią?—spytał głucho
Zbyszko.

—Szczerą prawdę Waszej Miłości powiem, zem bicia i krzyków nie słyszał, ale śpiewanie żalosne tom słyszał, a czasem jakoby ptak kwilił....

—Gorzej!— ozwał się przez zaciśnięte zęby Zbyszko.

Lecz Maćko przerwał dalsze pytania:

—Dość tego—rzekł.—Praw teraz o bitwie. Widziałeś? Jokozę uszli i co się z nimi stało?

—Widziałem — odpowiedział Sanderus—i wiernie opowiem. Bili się z początku okrutnie, ale gdy poznali, że ich obskoczono ze wszystkich stron, dopieroż poczęli myśleć, jakoby się wyrwać. I rycerz Arnold, który jest prawy olbrzym, pierwszy rozerwał koło i taką drogę otworzył, że przedostał się przez nią stary komtur razem z kilkoma ludźmi i z kolebką, która była między dwoma końmi przywiązana.

—A to pogoni nie było? Jakże się stało, że ich nie dościgli?

—Pogoń była, ale nie mogła nic poradzić, bo jak dotarła zbyt blisko, to rycerz Arnold zwracał się ku niej i potykał się ze wszystkimi. Boże broń każdego od spotkania się z nim, gdyż to jest człek tak strasznej siły, że nic mu to —i ze stoma się potykać. Trzy razy się tak zwracał, trzy razy pościg powstrzymał. Ludzie, co byli przy nim, poginęli — wszyscy. Sam on był, widzi mi się ranny i konia miał rannego, ale ocalał, a przytem dał czas staremu komturovi do przepiecznej ucieczki.

Maćko, słuchał tego opowiadania, pomyślał jednak, że Sanderus prawdę mówi, przypomniał sobie bowiem, iż począwszy od miejsca, w którem Skirwoiło stoczył bitwę, droga na długiej przestrzeni w stronę odwrotną po-

kryta była trupami Zmujdzinów, pociętych tak strasznie, jakby ich pobiła ręka olbrzyma.

—Wszelako, jakże ty to wszystko mógł widzieć?—zapytał Sanderusa.

—Widziałem to,—odparł włóczęga.—bom się chycił za ogon jednego z tych koni, które niosły kolebkę i uciekałem razem, pókim nie dostał kopytem w brzuch. Naonczas mnie zem-dliło i dlatego się dostał w ręce waszmo-ściów.

—Już-ci mogło się tak przygodzić,—rzekł Hlawka—ale ty bacz, abyś czego nie żelgał, gdyż źle byś na tem wyszedł!

—Znak jeszcze jest — odpowiedział San-derus:—kto chce, może go obaczyć; wszelako, lepiej jest na słowo uwierzyć, niż być potępio-nym za niedowiarstwo.

—Choćbyś i prawdę czasem niechcący rzekł, będziesz wył za świętokupstwo.

I poczęli się przekomarzać, jak to mieli zwyczaj czynić dawniej, lecz dalszą rozmowę przerwał Zbyszko:

—Szedłeś tamtym krajem więc go znasz. Jakież tam są w pobliżu zamki i gdzie, jak mniemasz, gdyż wszystko tam jedna puszcza, przez którą niedawno przerąbany jest ów go-ścińiec. Wsi i osad też nie ma, bo co było, to sami Niemcy popalili, wskroś tej przyczyny, że jak się zaczęła ta wojna, to tamtejszy lud, któ-ry z tegoż samego plemienia, co tutejszy po-chodzi, podniósł się także przeciw krzyżackiemu panowaniu. Ja myślę, panie, że Zygfryd i Ar-nold, tułają się teraz po boru, albo będą chcieli wrócić skąd przyszli, albo przedostać się ukrad-kiem do onej fortecy, do której ciągnęliśmy przed ową nieszczęsną bitwą.

—Pewnikiem tak i jest!—rzekł Zbyszko.

—I zamyślił się głęboko. Ze zmarszczonych jego brwi i skupionego oblicza, łatwo było wymiarkować z jakim rozmyśla wysiłkiem, ale nie trwało to długo. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

—Hlawa! Niech konie i pacholcy będą gotowi, bo wraz ruszamy w drogę.

Giermek, który nie miał nigdy zwyczaju zapytywać się o powody rozkazów, podniósł się i nie rzekłszy ni słowa, skoczył ku koniom; natomiast Maćko wytrzeszczył na bratanka oczy i zapytał ze zdumieniem:

—A... Zbyszko? Hej! A ty dokąd? Co?... Jakże?.....

Lecz ów odpowiedział równie pytaniem:

—A wy co myślicie? Zalim nie powinien?

Na to zamilkł stary rycerz. Zdumienie gasło stopniowo na jego twarzy; ruszył głową raz i drugi, a wreszcie odetchnął z głębi piersi i rzekł, jakby dopowiadając sobie samemu:

—No! jużci... Niema rady!

I poszedł też ku koniom, Zbyszko zaś zwrócił się do pana de Lorche i za pośrednictwem umiającego po niemiecku Mazura, rzekł mu:

—Tego od ciebie nie mogę chcieć, abyś mi przeciw tym ludziom pomagał, z którymi pod jedną chorągwią służyłeś, przeto jesteś wolny i jedź gdzie chcesz.

—Nie mogę ci teraz mieczem przeciw czci mojej rycerskiej pomagać—odparł de Lorche—ale co do wolności, to też nie. Zostaję twoim jeńcem na słowo i stawię się na wezwanie, do kąd każesz. A ty w razie jakowejś przygody

pamiętaj, że za mnie każdego jeńca Zakon wymieni, gdyż nietylko z możnego, lecz i zasłużonego Krzyżakom rodu pochodzę.

I poczęli się żegnać, położywszy sobie wedle zwyczaju dłonie na ramionach i całując się w policzki, abyś wiedział, że jeśli nie tu, to tam mnie znajdziesz. Poseł twój niech mi je-no powie dwa słowa: Lotaryngia-Geldrya!

—Dobrze!—odpowiedział Zbyszko.—Pójdę jeszcze do Skirwoiły, by ci dał znak, którego Zmujdzini szanują.

Poczem udał się do Skirwoiły. Stary wódz dał znak i nie czynił żadnych trudności co do odjazdu, wiedział bowiem o co chodzi, lubił Zbyszka, był mu wdzięczny za ostatnią bitwę i przytem nie miał żadnego prawa zatrzymywać rycerza, który należał do innego kraju, a przyszedł tylko z własnej ochoty. Więc dziękując za znaczną usługę, jaką oddał, opatrzył go żywnością, która w opustoszałym kraju przydać się mogła i pożegnał życzeniem, aby kiedyś w życiu mogli się jeszcze napotkać w jakiejś wielkiej i ostatecznej z Krzyżakami rozprawie.

Temu zaś spieszo było, albowiem trawiła go jakby gorączka. Ale przyszedłszy do pocztu, zastał wszystko gotowe, a między ludźmi i stryja Maćka już na koniu, uzbrojonego w koleczugę i hełmie na głowie. Więc zbliżywszy się do niego rzekł:

—To i wy ruszacie ze mną?

—A zaś co mam robić—spytał nieco opryskliwie Maćko.

Na to Zbyszko nie odrzekł nic, pocałował tylko zbrojną prawicę stryja, poczem siadł na koń i ruszyli.

Sanderus jechał z nimi. Droge, aż do pobojowiska wiedzieli dobrze, ale dalej on miał być przewonikiem. Liczyli też i na to, że jeśli napotkają gdzie w lasach chłopów miejscowych, to ci jako nienawidząc swych panów krzyżackich, pomogą im w tropieniu starego komtura i owego Arnolda von Baden, o którego nadludzkiej mocy i męstwie tyle Sanderus opowiadał.

IX.

Do pobojuwiska, na którem Skirwoiło wy-
ciał Niemców, droga była łatwa, bo znajoma.
Dotarli też do niego rychło, ale przejechali je
pospiesznie z przyczyny nieznosnego zaduchu,
jaki wydawały niepogrzebione ciała. Przejeż-
dzając, spędzili precz wilków i ogromne sta-
da wron, kruków i kawek, poczem jęli szukać
na szlaku śladów. Jakkolwiek przeszedł tą
drogą poprzednio cały oddział, jednakże do-
świadczony Maćko znalazł bez trudu na strato-
wanej ziemi wyciski olbrzymich kopyt, idące
w kierunku powrotnym, i tak począł mniej
biegłej w wojennych sprawach młodzieży rzecz
objaśniać.

—Szczęście, iż od bitwy nie było deszczu.
Baczenie jeno: koń Arnoldów, jako niosący
męża nad miarę wielkiego, musiał też być o-
gromny, a i to łącno wymiarkować, że cwału-
jąc w ucieczce, mocniej nogami bił w ziemię,
niż idąc powoli w tamtą stronę i większe powy-
bijał doły. Patrz, któren masz oczy, jako na
wilgotnych miejscach znać podkowy! Da Bóg,
wysłakujemy psu bratów godnie, byle przedtem
gdzie za murami ochrony nie znaleźli.

—Sanderus mówił—odpowiedział Zbyszko
—że niemasz tu w pobliżu zamków i tak to
jest, gdyż kraj ten świeżo Krzyżacy zajęli i nie
zdążyli się w nim pobudować. Gdzie im się

schronić? Chłopi, którzy tu mieszkali, są w obozie u Skirwoiły, bo to ten sam lud, co i Zmujdzini.... Wsie, jako mówił Sanderus, sami popalili, a baby z dziećmi w głębiach borowych zatajone. Byle koni nie żałować, to ich dognamy.

—Koni trzeba żałować, bo choćby się nam i udało, to potem w nich zbawienie nasze—rzekł Maćko.

— Rycerz Arnold — wtracił Sanderus — był w bitwie kiścieniem po plecach uderzon. Nie zważał na to, bił się i zabijał, ale później musiało go rozebrać, bo tak zawsze bywa, że zrazu nic a potem boli. Z tej przyczyny nie lża im zbyt prętko umykać, a może trzeba będzie i wypoczywać.

—A ludzi, mówiłeś, niema przy nich nijakich —zapytał Maćko.

—Jest dwóch, którzy między siodłami kolebkę wiozą, a prócz nich rycerz Arnold i stary komtur. Była spora garść i innych, ale tych Zmujdzini, dognawszy, pozabijali.

—Tak ma być,—rzekł Zbyszko — że tych ludzi, co przy kolebce, nasi pachołkowie powiążą, wy stryju, chwycicie starego Zygfyryda, a ja na Arnolda uderzę.

—No!—odpowiedział Maćko:—już ci Zygfydowi poradzę, bo za łaską Pana Jezusową moc w kościach żywie! Ale ty sobie zbyt nie dufaj, bo tamten ma być wielkolud.

—O wa! obaczym — odparł Zbyszko.

—Krzepkiś jest, tego nie przeczę, ale przecie są teżsi od ciebie. Zaliś to zabaczył o tych naszych rycerzach, którycheśmy w Krakowie widzieli? A panu Powale z Taczewa dałbyś rady? a panu Paszkowi Złodziejowi z Biskupic,

a tembardziej Zawiszy Czarnemu? “Co?” Nie pusz zbytńio i bacz o co chodźi.

—Rotgier był też nie ułomek! — mruknał Zbyszko.

—A dla mnie znajdzie się robota? — spytał Czech.

Lecz nie otrzymał odpowiedzi, gdyż myśl Maćka była zajęta czem innym.

—Jeśli nam Bóg pobłogosławi, — rzekł— to byle się potem do puszczy mazowieckich dostać! Tam już będziemy przepieczni i raz się wszystko skończy.

Lecz po chwili westchnął, pomyślawszy zapewne, że wówczas jeszcze nie wszystko się skończy, trzeba bowiem będzie coś zrobić z nieszczęsną Jagienką.

—Hej!—mruknał:—dziwne są wyroki bōskie. Nieraz o tem myślę, czemu też to nie przypadło na cię spokojnie się ożenić, a mnie spokojnie przy was siedzieć.... Bo przecie najczęściej tak bywa—i wśród wszystkiej ślachty w naszym królestwie, my jedni tylko włóczym się ot po różnych krajach i wertepach, miast doma gospodarzyć po bożemu.

—A no! prawda jest, ale wola boska!—odpowiedział Zbyszko.

I czas jakiś jechali w milczeniu, poczem znów stary rycerz zwrócił się do synowca:

—Ufasz ty temu powsinodze? Co to za jeden?

Człek jest lekki i może nicpoń, ale dla mnie życzliwy i zdrady się od niego nie boję.

—Jeśli tak, niechże jedzie naprzód, bo jeśli ich zgoni, tedy się nie spłoszą. Powie im, że z niewoli uciekł, czemu łącno uwierzą. Lepiej tak będzie, bo gdyby nas zdala ujrzeli, to albo-

by zdołali się gdzieś zataić, albo obronę przygotować.

—W nocy on sam naprzód nie pojedzie, bo jest strachliwy, — odrzekł Zbyszko — ale w dzień pewnie, że tak będzie lepiej. Powiem mu, żeby trzy razy w dzień zatrzymywał się i czekał na nas; jeśli zaś nie znajdziem go na postoju, to będzie znak, że już jest z nimi i wtedy, dojechawszy jego śladem, uderzym na nich niespodzianie.

—A nie ostrzeże ich?

—Nie. Lepiej on mnie życzy, niż im. Powiem mu też, że napadłszy na nich, zwiążem i jego, by się zaś ich pomsty później nie potrzebował bać. Niech się do nas wcale nie przyznaje.....

—To ty myślisz tamtych żywych ostawić?

—A jakoże ma być? — odpowiedział nieco frasobliwie Zbyszko.—Widzicie... Żeby to było na Mazowszu, albo gdzie u nas, to byśmy ich pozwali, jako Rotgiera pozwałem i potykali się na śmierć, ale tu w ich kraju nie może to być... Tu chodzi o Danuskę i o pośpiech. Trzeba się duchem i cicho sprawić, aby biedy na się nie zapytać, a potem jakoście rzekli, co pary w koniach walić do puszczy mazowieckich. Uderzywszy zaś niespodzianie, może zaskoczym ich bez zbroi, ba i bez mieczów! To jakoże ich zabijać? Hańby mi strach! Obaśnij teraz pasowani, a i oni także....

—Już-ci — rzekł Maćko.—Ale może i do potkania się przyjsć.

Lecz Zbyszko zmarszczył brwi i w twarzy odbiła mu się głęboka zawziętość, wrodzona widocznie wszystkim mężom z Bogdańca, albowiem w tej chwili stał się, zwłaszcza ze spoj-

rzenia tak do Maćka podobny, jakby był jego rodzonym synem.

—Czegobym też chciał,—rzekł głucho— to cisnąć tego krwawego psa, Zygfyryda, pod nogi Jurandowi! Daj-że to Bóg!

—A daj-że, daj!—powtórzył zaraz Maćko.

Tak rozmawiając, ujechali spory szmat drogi, gdy zapadła noc, pogodna wprawdzie, ale bez miesiąca. Trzeba się było zatrzymać, dać wytechnąć koniom i ludzi pokrzepić jadłem i snem. Przed spoczynkiem zapowiedział jednakże Zbyszko Sanderusowi, że nazajutrz ma sam jechać naprzód, na co ten zgodził się chętnie, wymówiwszy sobie tylko, by w razie niebezpieczeństwa od zwierza lub miejscowego ludu miał prawo ku nim uciekać. Prosił też, by nie trzy, ale cztery razy wolno było czynić postoje, gdyż w samotności ogarnia go zawsze jakowyś niepokój, nawet w zbożnych krajach, a cóż dopiero w boru tak dzikim i szkaradnym, jak ów, w którym znadują się obecnie.

Rozłożyli się tedy na nocleg i pokrzepiwszy siły jadłem, pokładli się na skórach przy małym ognisku, nanieconem pod wykrótem, o pół stajania od drogi. Pacholicy pilnowali kolejno koni, które wytarzawszy się, drzemały po zjedzeniu obroków, zakładając sobie wzajem głowy na karki. Lecz zaledwie pierwszy brzask osrebrzył drzewa, zerwał się pierwszy Zbyszko, pobudził innych i o świcie ruszyli w dalszy pochód. Ślady olbrzymich kopyt Arnoldowego ogiera odnalazły się znów bez trudności, albowiem zaschły w niskim, błotnistym zwykle gruncie i utrwaliły się od posuchy. Sanderus wyjechał naprzód i znikł im z oczu, wszelako na połowie czasu między wschodem

słońca, a południem znaleźli go na postoju. Powiedział im, że nie widział żywej duszy, prócz wielkiego tura, przed którym jednakże nie umykał, ponieważ zwierz pierwszy zeszedł mu z drogi. Natomiast o południu, przy pierwszym posiłku, oświadczył, iż ujrzał chłopą, bartodzieja z leziwem, i nie zatrzymał go tylko z obawy, że w głębi boru mogło się ich znajdować więcej. Próbował go o to i owo wypytywać, ale nie mogli się rozmówić.

W czasie następnego pochodu Zbyszko począł się niepokoić. Co będzie, jeśli przyjadą w okolice wyższe i suchsze, gdzie na twarzym szlaku znikły widoczne dotąd ślady? Również gdyby pościg trwał zbyt długo i doprowadził ich do kraju ludniejszego, w którym mieszkańcy przyzwyczaili się już zdawna do posłuszeństwa Krzyżakom, napad i odebranie Danusi stało by się prawie niepodobnem, albowiem, choćby Zygfryda i Arnolda nie ubezpieczyły mury jakiego zamku, lub gródka, ludność miejscowa wzięłaby z pewnością ich stronę.

Lecz na szczęście obawy te okazały się płonne, gdyż na następnym postoju nie znaleźli o umówionej porze Sanderusa, a natomiast odkryli na sośnie, stojącej tuż przy drodze, wielki zacios w kształcie krzyża, świeżo widocznie uczyniony. Wówczas spojrzeli na się i spoważniały im twarze, a serca poczęły bić żywiej. Maćko i Zbyszko zeskoczyli natychmiast z siodeł, by zbadać ślady na ziemi i szukali pilnie, ale niedługo gdyż same rzucały się w oczy.

Sanderus widocznie zjechał z drogi w bór, idąc za wyciskami wielkich kopyt, nie tak

głębokimi, jak na gościńcu, ale dość wyraźnymi, grunt bowiem był tu torfiasty i ciężki, koń wtlaczał za każdym krokiem igliwie hacelami, po których zostawały czarniawe po brzegach dolki.

Przed bystremi Zbyszkowemi oczyma nie ukryły się i inne wyciski, więc siadł na koniu, a Maćko za nim i poczęli się naradzać z sobą i Czechem cichymi głosami, jakby nieprzyjaciół był tuż.

Czech radził, by zaraz pójść piechotą, ale oni nie chcieli tego czynić, nie wiedzieli bowiem, jak daleko przyjdzie im jechać borem. Piesi pacholcowie mieli ich jednak poprzeczać i w razie dostrzeżenia czego, dać znać, aby byli w pogotowiu.

Jakoż niebawem ruszyli w bór. Drugi zacios na sośnie upewnił ich, iż nie stracili śladu Sanderusa. Wkrótce też dostrzegli, że są na dróźnie, a przynajmniej na pociętej leśnej, którą nieraz ludzie musieli przechodzić. Wówczas byli już pewni, że znajdują jakąś osadę leśną, a w niej tych, których szukają.

Słońce zniżyło się już nieco i świeciło złotem między drzewami. Wieczór zapowiadał się pogodny. Bór był cichy, albowiem zwierzę i ptactwo miało się ku spoczynkowi. Gdzieś-niegdzie tylko wśród świecących w słońcu gałęzi migwały wiewiórki, całkiem od wieczornych promieni czerwone. Zbyszko, Maćko, Czech i pacholcy jechali jeden za drugim, gęsiego. Wiedząc, że piesi pacholcy znacznie są na przodzie i że w porę ostrzegą, stary rycerz mówił tymczasem do bratanka nie tłumiąc zbyt głośno:

—Porachujmy się ze słońkiem —mówił.—
Od ostatniego postoju do miejsca, w którym
był zacios, ujechaliśmy okrutny szmat drogi.
Na krakowskim zegarze byłoby godzin ze trzy.
To tedy Sanderus dawno jest między nimi i
miał czas opowiedzieć im swoje przygody. Byle
jeno nie zdradził.

—Nie zdradzi odrzekł Zbyszko.

—I byle mu uwierzyli kończył Maćko; —bo
jeśli nie uwierzą, to będzie z nim źle.

—A czemu by zaś nie mieli uwierzyć?
Albo to o nas wiedzą? A przecie jego znają.
Nieraz zdarzy się brańcowi z niewoli uciec.

—Bo mnie o to chodzi, że jeśli powiedział
im, iż z niewoli ucieka, może pościgu się za
nim bali i zaraz ruszyli.

—Nie. Potrafi on klimkiem ruszyć. A to
rozumieją, że pościg tak dalekoby nie poszedł.

Na czas umilkł, lecz po chwili Maćkowi
zdało się, że Zbyszko coś szeptem do niego,
więc się odwrócił i zapytał:

—Jako powiadasz?

Ale Zbyszko oczy miał wzniesione w górę
i nie do Maćka szeptał, tylko polecał Bogu Da-
nuśkę i swoje śmiałe przedsięwzięcie.

Maćko począł się też żegnać, ale zaledwie
uczynił pierwszy znak krzyża, gdy jeden z po-
słanych naprzód pacholików wysunął się ku
nim nagle z leszczynowych gąszczów.

—Smolarnia! — rzekł: — Są!

—Stój!—szepnął Zbyszko i w tej samej
chwili zeskoczył z konia.

Za nim zeskoczył Maćko, Czech i pacholi-
kowie, z których trzech dostali rozkaz, aby za-
trzymali się z końmi, mając je w pogotowiu i

bacząc, aby broń Boże, który z rumaków nie zarżał. Pięciu pozostałym rzekł Maćko:

—Będzie tam dwóch masztalerzy i Sanderus, których w mig mi powiążecie, a gdyby któren zbrojny był i chciał się, bronić to go w łeb.

I ruszyli zaraz na przód. Po drodze szepnął jeszcze Zbyszko stryjcowi:

Bierzecie starego Zygfryda, a ja Arnolda.

—Pilnuj się jeno!—odpowiedział stary.

I mrugnął na Czecha, dając mu do zrozumienia, aby w każdej chwili gotów był nieść pomoc młodemu panu.

Ow zaś skinął głową, że tak i będzie, przy czem nabrał tchu w piersi i zmacał, czy miecz łatwo mu wychodzi z pochew.

Lecz Zbyszko spostrzegł to i rzekł:

—Nie! Tobie rozkazuję ku kolebce zaraz skoczyć i nie odstępować jej ni pędzią podczas bitki.

Szli szybko i cicho, ciągle wśród leszczy-nowej gąstwy, ale nie szli już daleko, gdyż najwyżej pod dwóch stajaniach zarośla urywały się nagle, okalając małą polankę, na której widać było wygasłe kopce smolarskie i dwie zimne chaty, czyli numy, w których zapewne mieszkali smolarze, dopóki nie wygnała ich stąd wojna. Zachodzące słońce oświecało ogromnym blaskiem łąkę, kopiec i obi stojące daleko od siebie numy. Przed jedną z nich siedziało na kłodzie dwóch rycerzy, przed drugą —barczysty, czerwonowłosy prostak i Sanderus. Ci obaj zajęci byli wycieraniem szmatami pancerzy, a u nóg Sanderusa leżały prócz tego dwa miecze, które widocznie miał zamiar oczyścić później.

—Patrz, —rzekł Maćko, cisnąc z całej siły ramię Zbyszka, aby go jeszcze przez chwilę powstrzymać.—Umyślnie im wziął miecze i pancerze. Dobrze! Ten z siwą głową musi być....

—Naprzód!—krzyknął nagle Zbyszko.

I wichrem skoczyli na polanę. Tamci zerwali się także, lecz nim zdolali dobiec do Sanderusa, chwycił groźny Maćko starego Zygfryda za pierś, przegiął w tył i w jednej chwili wziął go pod siebie. Zbyszko i Arnold szczepili się z sobą jak dwa jastrzębie, opletli się ramionami i poczęli się zмагаć straszliwie. Barczysty Niemiec, który siedział przedtem koło Sanderusa, porwał wprawdzie za miecz, ale nim zdołał nim machnąć, uderzył go pacholek Maćków, Wit, obuchem w rudą głowę i rozciągnął na miejscu. Rzucili się potem wedle rozkazu starego pana wiązać Sanderusa, ten zaś, choć wiedział, iż to rzecz umówiona, jął tak ryczeć ze strachu, jak ciele, któremu podrzynają gardło.

Lecz Zbyszko, chociaż tak krzepki, iż ścisnąwszy gałąź drzewa, sok z niej wiciskał, poczuł, że dostał się jakby nie w ludzkie, ale w niedźwiedzie łapy. Poczuł nawet i to, że gdyby nie pancerz, który miał na sobie, nie wiedząc, czy nie przyjdzie mu potykać się na ostre, olbrzymi Niemiec, byłby mu pokruszył żebra, albo może i kość pacierzową połamał. Uniósł go wprawdzie nieco młodzian w górę, ale ów podniósł go jeszcze wyżej i zebrawszy wszystkie siły, chciał grzmotnąć nim o ziemię, tak aby wzięcj nie powstał.

Lecz Zbyszko ścisnął go również z tak okrutnym wysiłkiem, że aż oczy Niemca krwią

zaszły, poczem wsunął mu nogę między kolana, uderzył w zgięcie i zwałił na ziemię.

Zwalili się raczej oba, młodzian jednakże padł pod spód, ale w tej chwili bacznym na wszystko Maćko, rzucił nawpół zgniecionego Zygryda w ręce pacholkom, sam zaś ruszył ku leżącemu, w mgnieniu oka skrepował pasem nogi Arnolda, poczem skoczył, siadł na nim, jak na zabitym dziku i przyłożył mu ostrze mizerykordyi do karku.

Ow zaś krzyknął przeraźliwie i ręce obsuwały mu się bezwładnie ze Zbyszkowych boków, a potem począł jęczeć, nietyle od ukłócia, ile dlatego, że nagle uczuł okrutny i niewypowiedziany ból w plecach, w które otrzymał był uderzenie maczugą jeszcze podczas bitwy ze Skirwoiłą.

Maćko chwycił go obu rękoma za kołnierzy i ściągnął ze Zbyszka, a Zbyszko przypodniósł się z ziemi i siadł, poczem chciał wstać i nie mógł, więc siadł znów i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Twarz miał bladą i spłtniałą, oczy krwią nabiegłe i posiniąłe usta — i spoglądał przed się, jakby nie całkiem przytomnie.

—Coć jest?—zapytał z niepokojem Maćko.

—Nic, jenom utrudzon bardzo. Pomóźcie mi stanąć na nogach.

Maćko zasunął mu ręce pod pachy i podniósł go odrazu.

—Możesz stać?

—Mogę.

—Boli cię co?

—Nic. Jenom mi brak tchu.

Tymczasem Czech, ujrzawszy widocznie, że na majdanie wszystko już ukończone, zjawił się przed numą, dzierżąc za kark służkę zakonną. Na ten widok zapomniał Zbyszko o trudzie, siły wróciły mu odrazu i jak gdyby nigdy nie zmagął się ze strasznym Arnoldem, skoczył do numy.

—Danuśka! Danuśka!

Ale na to wołanie nie odpowiedział żaden głos.

—Danuśka! Danuśka! — powtórzył Zbyszko.

I umilkł. W izbie było ciemno, zatem w pierwszej chwili nie mógł nic dojrzeć. Natomiast z po za kamieni, przyładowanych pod ognisko, doszedł go szybki i głośny oddech, jakby przyczajonego zwierzątka.

—Danuśka! przebóg! to ja! Zbyszko!

A wtem ujrzał w mroku i jej oczy, szeroko otwarte, przerażone, nieprzytomne.

Więc skoczył ku niej i chwycił ją w ramiona, lecz ona nie poznała go zupełnie i wyrywając mu się z rąk, poczęła powtarzać zdyszczanym szeptem:

—Boję się! boję się! boję się!...

X.

Nie pomogły łagodne słowa, ni pieszczoty, ni zaklęcia— Danusia nie poznawała nikogo i nie odzyskała przytomności. Jedynem uczuciem, które opanowało całą jej istotę, był przestach, podobny do takiego płochliwego przestachu, jaki okazują schwyte ptaki. Gdy przyniesiono jej posiłek, nie chciała przy ludziach jeść, jakkolwiek z chciwych jej spojrzeń, rzucanych na jadło, znać było głód, może nawet zadawniony. Zostawszy sama, rzuciła się na spyzę z łakomstwem dzikiego zwierzątka, ale gdy Zbyszko wszedł do izby, w tej chwili skoczyła w kąt i skryła się za wiązką suchego chmielu. Próżno Zbyszko otwierał ramiona, próżno wyciągał ręce, próżno błagał, dusząc w sobie łzy. Nie chciała z tego ukrycia wyjść nawet wówczas, gdy naniecono ognia w świetlicy i gdy przy jego blasku mogła dobrze rozeznąć rysy Zbyszka. Zdawało się, że pamięć opuściła ją razem ze zmysłami. On za to patrzył na nią i na jej wychudłą twarz z zastygłym wyrazem przerażenia, na zapadłe oczy, na potargane strzępy odzieży, w które była przybrana serce skowyczało w nim z bólu i wściekłości na myśl, w jakich była rękach i jak się z nią obchodzono. Porwał go wreszcie szal gniewu tak straszny, że chwyciwszy za miecz, skoczył z nim ku Zygfriedowi

i byłby go uśmiercił niechybnie, gdyby Maćko nie był go schwytał za ramię.

Poczęli się wówczas pasować z sobą prawie po nieprzyjacielsku, ale młodzian, który był osłabion poprzednią walką z olbrzymim Arnoldem, że stary rycerz przemógł go i wykręciwszy mu rękę, zawołał:

—Wciekłeś się, czy co?

—Puście!—odpowiedział, zgrzytając, Zbyszko — bo się dusza we mnie podrze.

—Niech się podrze! Nie puszczę! Wolej łąb rozbij o drzewo, niż byś miał pohańbić siebie i cały ród.

I ściskając, jakoby w żelaznych cęgach, dłoń Zbyszkową, począł mówić groźnie:

—Obacz się! Pomsta ci nie ucieknie, a pasowanyś jest rycerz. Jakoże to? Związane go jeńca będziesz dźgał? Danuśce nie pomożesz, a co ci zostanie? Nic, jeno hańba. Rzekniesz, iż królom i książętom nieraz przygodziło się jeńców mordować? Ba! nie u nas! I co im uchodzi, tobie nie ujdzie. Mają ci oni królestwa, miasta, zamki, a ty co masz? Rycerską cześć. Kto im nie przygani, tobie w oczy plunie. Opamiętaj się, przebóg!

Nastała chwila milczenia.

—Puście! — powtórzył ponuro Zbyszko — nie zadżgam go.

—Pójdź do ognia, naradzim się.

I powiodł go za rękę do ogniska, które pacholkiwie naniecili wedle smolistych kopców. Tam siadłszy, Maćko zamyślił się nieco, poczem rzekł:

—Wpomnij też i to, żeś tego starego psa Jurandowi obiecał. Ten ci się dopiero pomści nad nim i za swoją i za Danusią mękę! Ten

ci mu zapłaci, nie bój się! I powinienes w tem Jurandowi wygodzić. Należy mu się to. A czego tobie niewolno, to Jurandowi będzie wolno, bo nie on jeńca wziął, jeno go w podarunku od ciebie dostanie. Bez hańby i bez przygany może go choć i ze skóry obłupić—rozumiesz mnie?

—Rozumiem -- odpowiedział Zbyszko. — Słusznie mówicie.

—To ci widać rozum wraca. Jeśliby cię dyabeł jeszcze kusił, pamiętaj także i na to, żeś ty przecie i Lichtensteinowi i innym Krzyżakom ślubował, a gdybyś bezbronnego jeńca zarzwał i gdyby się to przez pacholków rozgłosiło, żaden rycerz nie chciałby ci stanąć i byłby praw. Boże uchowaj. Nieszczęśliwości i tak nie brak, niechże choć hańby nie będzie. Lepiej ot gadajmy o tem, co teraz należy czynić i jako nam się obrócić.

—Radźcie!—rzekł młodzian.

—Poradzę tak: tę żmiję, która była przy Danusi, możnaby zgładzić, ale że nie przystoi rycerzom niewieścią krwią się babrać, przeto ją księciu Januszowi oddamy. Knuła ona zdrady jeszcze w leśnym dworcu przy księciu i księżnie, niechże ją mazowieckie sądy sądzą, a jeśli jej kołem za to nie pokruszą, to chyba sprawiedliwość Boską chcą obrazić. Póki innej jakiej niewiasty nie spotkamy, któraby się przy Danusi starunku podjęła, póty ona potrzebna, potem się ją koniowi do ogona przywiąże. Ninie trzeba nam do puszczy mazowieckich jako najprędzej wykreścić.

—Jużci nie zaraz, bo noc. Może też Bóg da jutro Danusce większe opamiętanie.

—Niech i konie dobrze wypoczną. O świtanu ruszym.

Dalszą rozmowę przerwał im głos Arnolda von Baden, który leżał opodal na plecach, związany w kij do własnego miecza, począł coś wołać po niemiecku. Stary Maćko podniósł się i poszedł ku niemu, ale nie mogąc dobrze wyrozumieć jego mowy, począł się oglądać za Czechem.

Ale Hlawa nie mógł zaraz przyjść, albowiem zajęty był czem innem. Podczas ich rozmowy przy ognisku, poszedł właśnie do służki zakonnej i położywszy jej dłoń na karku i potrząsnąwszy nią, jak gruszką, rzekł:

—Słuchaj, suko!—Pójdziesz do chaty i wymościsz dla pani posłanie ze skór, ale przedtem wdziejesz na nią swoje porządne szaty, a sama ubierzesz się w te łachmany, w których kazaliście jej chodzić..... zatracona wasza mać!

I nie mogąc także pohamować nagłego gniewu, trząsnął nią tak silnie, że aż oczy wylazły jej na wierzch. Byłby jej może skrzył kark, ale że widziała mu się jeszcze potrzebna, więc puścił ją wreszcie, rzekłszy:

—A potem wybierzem dla cię gałąź.

Ona chwyciła go w przerażeniu za kolana, ale gdy w odpowiedzi kopnął ją, skoczyła do chaty i rzuciwszy się do nóg Danusi, poczęła skrzeczeć:

—Obroń mnie! nie daj!

Ale Danusia przymknęła tylko oczy, a z ust wyszedł zwykły, zdyszany szept:

—Boję się, boję się, boję się!

I następnie zdrętwiała całkiem, albowiem każde zbliżenie się do niej służki zakonnej wywołało zawsze ten skutek. Pozwoliła się też rozebrać i oblec w nowe szaty. Służka, wymościwszy posłanie, położyła ją na niem, jak figurkę

drewnianą lub woskową, sama zaś siadła koło ogniska, bojąc się wyjść z izby.

Ale Czech wszedł po chwili i zwróciwszy się najprzód do Danusi, rzekł:

— Między przyjaciółmi jesteście, pani, więc w imię Ojca i Syna i Ducha, śpijcie spokojnie!

I przeżegnał ją ręką, a następnie, nie podnosząc głosu, aby jej nie przełęknąć, rzekł do służki:

— Ty poleżysz związana za progiem, ale jeśli narobisz krzyku i przestraszysz, to ci zaraz szyję pokruszę. Wstań i chodź!

I wywiódłszy ją z izby, skrepował, jako rzekł, mocno, poczem udał się do Zbyszka.

Kazałem oblec panią w te szaty, które miała na sobie ta jaszczurka — rzekł. — Posłanie wy-moszczone i pani śpi. Najlepiej, nie chodźcie tam już, panie, by się zaś nie przełęknęła. Da Bóg, jutro po spoczynku oprzytomnieje, a wy teraz pomyślcie też o jadle i spoczynku.

— Położę się przy progu izby — odrzekł Zbyszko.

— To odciągnę sukę na stronę do tego trupa z ryżymi kudłami, ale teraz musicie jeść, bo droga i trud niemały przed wami.

To rzekłszy, poszedł wydobyć z biesagów wędzone mięsiwo i wędzoną rzepe, w którą zaopatrzyli się na drogę w obozie żmujdzkim, ale zaledwie złożył zapas przed Zbyszkiem, Maćko odwołał go do Arnolda.

— Wymiarkuj-no rzetelnie — rzekł — czego chce ten walgóra, bo choć niektóre słowa wiem, nijak nie mogę go wyrozumieć.

— Poniosę go, panie, do ogniska, to się tam rozmówicie — rzekł Czech.

I odpasawszy się, przeciągnął pas pod ramionami Arnolda, poczem zadał go sobie na plecy. Zgiął się pod ciężarem olbrzymia mocno, ale chłopem będąc krzepkim, doniósł go do ogniska i rzucił, jak wór grochu, obok Zbyszka.

—Zdejmijcie ze mnie pęta—rzekł Krzyżak.

—Mogłoby to być! — odpowiedział przez Czecha stary Maćko— gdybyś na cześć rycerską porzysiągł, że się za jeńca będziesz uważał. Jednakże i bez tego każę ci wyciągnąć miecz z pod kolan i rozwiązać ręce, abys mógł się przy nas, zaś powrozów na nogach nie popuszczyć, póki się nie rozmówim.

I skinał na Czecha, ten zaś przeciął Niemcowi pęta na rękę, a następnie pomógł mu uśiąść. Arnold spojrzał hardo na Maćka i na Zbyszka i zapytał:

—Co wyście za jedni?

—A ty jak śmiesz pytać? Co ci do tego? Wywiedź się sam.

— To mi do tego, że na cześć rycerską mógłbym tylko rycerzom przysięgać.

—To patrz!

I Maćko, uchyliwszy opończy, pokazał pas rycerski na biodrach.

Na to Krzyżak zdumiał się wielce i dopiero po chwili rzekł:

—Jakże to? I łotrzykujecie dla łupu po puszczy? i pogan przeciw chrześcijanom wspomagacie?

—Łżesz! — zawołał Maćko.

I w ten sposób poczęła się rozmowa, nieprzyjazna, harda, często do kłótni podobna. Gdy jednak Maćko zakrzyknął w uniesieniu, że właśnie Zakon nie dopuszcza do chrztu Litwy

i gdy przytoczył wszystkie dowody, zdumiał się znów i zamilkł Arnold, gdyż prawda ta była tak oczywista, iż niepodobna było jej nie widzieć lub jej zaprzeczyć. Uderzyły szczególnie Niemca te słowa, które Maćko wyrzekł, czyniąc przy nich zarazem znak krzyża: "Kto wie, komu wy w rzeczy służycie, jeśli nie wszyscy, to poniektórzy!" — a uderzyły go dlatego, że i w samym zakonie był posąd na kilku komturów, że oddają cześć szatanowi. Nie czyniono im z tego sprawy, ni żadnych procesów, aby hańby na wszystkich nie ścigać, ale Arnold wiedział dobrze, że szeptano sobie takie rzeczy między braćmi i że podobne słuchy chodziły. Przytem Maćko, wiedząc z opowiadań Sanderusa, o niepojętem zachowaniu się Zygfyryda, zaniepokoił do reszty prostodusznego olbrzyma.

—A ówże Zygfyryd, z którym szedłeś w pochód na wojnę— rzekł — zali Bogu i Chrytusowi służy? Zaliś to nigdy nie słyszał, jak ze złymi duchami gadał, jako z nimi szeptał i śmiał się, albo zgrzytał?

—Prawda jest!—mruknął Arnold.

Ale Zbyszko, któremu żal i gniew napłynęły do serca nową falą, zakrzyknął nagle:

—I ty o czci rycerskiej prawisz? Hańba ci, boś katu i piekielnikowi pomagał! Hańba ci, boś na mękę bezbronnej niewiasty i rycerskiej córki spokojnie patrzył, boś może i sam ją dręczył. Hańba ci!

A Arnold wytrzeszczył oczy i czyniąc w zdumieniu znak krzyża, rzekł:

—W imię Ojca i Syna i Ducha!... Jak to?... ta opętana dziewczka, w której głowie dwudziestu siedmiu dyabłów mieszka?... ja?...

—Gorze! gorze! — przerwał chrapliwym głosem Zbyszko.

I chwyciwszy za rękojeść mizerykordyi, począł znów spoglądać dzikim wzrokiem w stronę leżącego opodał w mroku Zygfryda.

Maćko położył mu spokojnie dłoń na ramieniu i przycisnął z całej mocy, aby mu przytomność powrócić, sam zaś, zwróciwszy się do Arnolda, rzekł:

—Ta niewiasta—to córka Juranda ze Spychowa, a żona tego młodego rycerza. Rozumiesz-że teraz, dlaczego ślakowaliśmy was i dlaczego jeńcem naszym zostałeś!

—Przebóg!—rzekł Arnold. — Skąd? Jak? Ona ma rozum pomieszany....

—Bo ją Krzyżacy jako jagnię niewinne porwali i męką do tego ją przywiedli.

Zbyszko przy wyrazach "jagnię niewinne" zbliżył pięść do ust i ścisnął zębami gnykieć, a z oczu poczęły mu kapać jedna za drugą wielkie łzy niepohamowanej boleści. Arnold siedział w zamyśleniu, Czech zaś w kilku słowach opowiedział mu zdradę Danvelda, porwanie Danusi, mękę Juranda i pojedynki z Rotgierem. Gdy skończył, nastąpiła cisza, którą mącił tylko szum lasu i trzaskanie skier w ognisku.

—Nietylko na rycerką cześć, lecz na krzyż Chrystusów przysięgam wam, że tej niewiasty prawie nie widział, że nie wiedział kto ona i że do jej męki w niczem i nigdy ręki nie przyłożył.

—To przysięż-że jeszcze, że dobrowolnie pójdziesz za nami i że ucieczki nie będziesz

próbował, a każe cię całkiem rozwiązać — rzekł Maćko.

— Niech i tak będzie, jak mówisz — przysięgam! Dokąd mnie powiedzicie?

— Na Mazowsze, do Juranda ze Spychowa.

To mówiąc, Maćko rozciął mu sam powrót na nogach, poczem wskazał mięsiwo i rzepę. Zbyszko po niejakiem czasie podniósł się i poszedł spocząć u progu chaty, przy którym nie znalazł już służki zakonnej, albowiem poprzednio zabrali ją pacholćkowie między konie. Tam położywszy się na skórze, którą mu przyniósł Hława, postanowił czekać bezsennie, czy świt jakiej szczęśliwej zmiany w Danusi nie przyniesie.

Czech zaś wrócił do ogniska, gdyż ciążyło mu na duszy coś takiego, o czem chciał pogadać ze starym rycerzem z Bogdańca. Zastał go pogrążonego też w zadumie i nie zważającego na chrapanie Arnolda, który po spożyciu niezmierniej ilości wędzonej rzepy i mięsiwa zasnął z trudem snem kamiennym.

— A wy nie spoczniecie, panie? — spytał giermek.

— Sen ucieka mi z powiek odrzekł Maćko.

— Daj Bóg dobre jutro....

I to powiedziawszy, spojrział ku gwiązdom.

— Wóz widać już na niebie, a ja wciąż rozmyślam, jako to ono wszystko będzie.

— I mnie nie do spania, bo mi panienska ze Zgorzelic w głowie.

— Hej, prawda, nowa bieda! Toć przecie ona w Spychowie.

— A w Spychowie. Wywieźliśmy ją ze Zgorzelic niewiadomo po co.

—Sama chciała do opata, a gdy opata nie stało, cóżem miał czynić — odrzekł niecierpliwie Maćko, który nie lubił o tem mówić, bo w duszy poczuwał się do winy.

—Tak, ale co teraz?

Ha! cóż? Odwiozę ją napowrót do domu i dziej się wola Boska!...

Po chwili jednak dodał:

—Już-ci, dziej się wola Boska, ale żeby chociaż ta Danuśka, była zdrowa i taka jako inni ludzie, byłoby przynajmniej wiadomo co robić. A tak, licho wie! Nuż nie ozdrowieje... nie zamrze. Niechby Pan Jezus dał już na tę, alibo na tamtą stronę.

Ale Czech myślał w tej chwili o Jagience.

—Widzicie, Wasza miłość—rzekł—panienka gdym wyjeżdżał ze Spychowa i zegnał się z nią, powiedziała mi tak: “W razie czego przyjedziecie tu przed Zbyszkiem i przed Maćkiem, bo (powiada) mają przez kogo innego nowinę przysłać, to przysła przez was i odwieziecie mnie do Zgorzelic.

—Hej! — odpowiedział Maćko. — Pewnie, że jakoś nieskładnoby jej było zostawać w Spychowie, gdy Danuśka przyjedzie. Pewnie, że trzeba jej teraz do Zgorzelic. Żal mi sierotki, szczerze żal, ale skoro nie było woli Boskiej, to i trudno! Jeno jakoże to urządzić? Poczekaj.... Powiadasz, że kazała ci wracać przed nami z nowiną, a potem odwieźć się do Zgorzelic?

—Kazała, jakom wam wiernie powtórzył.

—A no to możebyś i ruszył przed nami.

Staremu Jurandowi teżby trza oznajmić, że się córka znalazła, aby go zaś nagła radość nie zabiła. Jak mi Bóg miły, niema nic lepszego do

zrobienia. Wracaj, powiedz, żeśmy Danusię odbili i że niebawem z nią przyjdziem, a sam zabierz tamtą niebogę i wieź ją doma.

Tu westchnął stary rycerz, bo żal mu istotnie było i Jagienki i tych zamiarów, które w duszy piastował.

Po chwili znów spytał:

—Wiem, żeś chłop i roztropny i mocny, ale potrafisz-że ty ustrzedz jej od jakiej krzywdy, albo przygody? Bo to w drodze łatwiej się może to i'owo zdarzyć.

—Potrafię, choćby też przyszło i łbem nałożyć. Wezmę kilku dobrych pachółków, których mi pan spychowski nie pożałuje i doprowadzę ją przezpiecznie, choćby na koniec świata.

—No zbytnio sobie nie dufaj. Pamiętaj też, że na miejscu, w samych Zgorzelicach, trzeba znów mieć oko na Wilków z Brzozowej i na Cztana z Rogowa. Ale prawda! Nie do rzeczy gadam, bo ich trzeba było strzedz, póki się nie miało co innego na myśli. A teraz nie żywie już nadzieja i będzie co ma być.

—Wszelako ustrzegę ją panienki i od tamtych rycerzy, bo ta, pana Zbyszkowa nieboga, ledwie chudziątko zipie..... nużby zmarła!

—Słusznie jak mi Bóg miły: ledwie chudziątko zipie — nużby zmarła....

—Trzeba to na Pana Boga zdać, a teraz myślmymy jeno o panience zgorzelickiej.

—Po sprawiedliwości —rzekł Maćko— godziłoby się, abym ją do ojcowizny odprowadził. Ale trudna rada. Nie mogę ja teraz Zbyszka odstąpić, a to z różnych wielkich przyczyn. Widziałeś jako zgrzytał i jako się do tego starego komtura rwał, by go zadźgać, niby

warchlaka. Niechże, jako powiadasz, ta dziewczka skapieje w drodze, to nie wiem, czy i ja go pohamuję. Ale jeśli mnie nie będzie, to nie go nie wstrzyma i hańba wiekuista spadnie na niego i na cały ród, czego nie daj Bóg, amen!

Na to zaś Czech:

—Ba! jest przecie prosty sposób. Dajcie mi jego katowską mac, a już ja go nie uronię i dopiero w Spychowie panu Jurandowi z worka go wytrąsnę.

—A niechże ci Bóg da zdrowie! O, to masz rozum!— zawołał z radością Maćko. —Prosta rzecz! prosta rzecz! Zabieraj go razem i byleś go żywcem do Spychowa dowioźł, rób z nim co chcesz.

—To dajcie mi i cnę sukę szczycieńską. Jeśli mi nie będzie po drodze wadzić, to dowiozę ją też, a jeśli będzie, to na gałąź!

—Prędzej też może Danuskę strach opuści i prędzej się opamięta, gdy nie obaczy tych dwojga. Ale jeśli służkę zabierzesz, jakoże bez pomocy niewieściej się obejdzie?

Nie bez tego, byście w puszczach nie spotkali jakich miejscowych, albo zbiegłych chłopów z babami. Weźmiecie pierwszą lepszą, a już każda będzie lepsza od tej. Tymczasem panna Zbyszkowa opieka wystarczy.

—Dziś jakoś roztropniej mówisz, niż zwyczajnie. Prawda i to. Może się prędzej obaczy, widząc Zbyszka wciąż przy sobie. Potrafi ci on być dla niej jako ojciec i matka. Dobrze. A kiedy ruszysz?

—Nie będę świtania czekał, ale teraz przylegnę trochę. Nie ma jeszcze chyba północkska.

—Chwała Bogu, żeśmy cokolwiek uradzili, bo okrutnie było mi markotno.

I to rzekłszy, Czech wyciągnął się przy dogasającym ognisku, nakrył się kudłatą skórą i w mig zasnął. Niebo jednak nie pobielalo jeszcze ani trochę i noc była głęboka, gdy zbudził się, wylazł z pod skóry, spojrzał ku gwiazdom i przeciągnawszy zeszywniałe nieco członki zbudził Maćka.

—Czas mi się zbierać—rzekł.

—A dokąd?—zapytał nawpół przytomnie Maćko, przecierając pięściami oczy.

—Do Spychowa.

—A prawda! Kto tu tak chrapie obok? Umarłego by rozbudził.

—Rycerz Arnold. Dorzucę gałęzi na głownie i idę do pacholków.

Jakoż odszedł i po chwili wrócił jednak pospiesznym krokiem i począł wołać zdaleka cichym głosem:

— Panie jest nowina — i to zła!

— Co się stało? — zawołał, zrywając się, Maćko.

—Służka uciekła. Wzięli ją pacholcy między konie i rozwiązali jej nogi, żeby ich pioruny zatrzasły! a gdy się pospali, wyczołgała się jako wąż z pomiędzy nich i uciekła. Pójdźcie panie.

Zaniepokojony Maćko ruszył spiesźnie z Hławą do koni, ale zastali przy nich jednego tylko pacholka. Inni rozbiegli się szukać zbiegłej. Głupie to jednak było szukanie w ciemnościach i w gęstwinie; jakoż powracali wkrótce z pospuszczanemi głowami. Maćko począł ich okładać w milczeniu pięścią, poczem wrócił do ogniska, gdyż nie było nic innego do zrobienia. Po chwili nadszedł Zbyszko, który strażował przed chatą i nie mógł spać, a usły-

szawszy stapania, chciał wiedzieć co to jest. Maćko opowiedział mu co uradzili razem z Czechem, potem zaś oznajmił o ucieczce służki zakonnej.

—Nieszczęście wielkie nie jest —rzekł — bo albo zdechnie z głodu w lesie, albo znajdą ją chłopci, którzy dadzą jej łupnia, jeśli wpierw nie znajdą jej wilcy. Żal jeno, że ją kara w Spychowie minęła.

Zbyszko żałował także, że ją kara minęła, ale zresztą przyjął wiadomość spokojnie. Nie sprzeciwił się również odjazdowi Czecha z Zygrydem, gdyż wszystko, co nie dotyczyło wprost Danusi, było mu obojętne. Zaraz też zaczął o niej mówić:

—Wezmę ją jutro przed się na koń i tak pojedziem—rzekł.

—A jakoże tam? śpi?—zapytał Maćko.

—Czasem kwili trocha, ale nie wiem, przez sen-li, czy na jawie, a nie chcę wchodzić, aby się nie przelekła.

Dalszą rozmowę przerwał im Czech, który, ujrawszy Zbyszka, zawołał:

—O, to i Wasza Miłość na nogach? No, czas mi! Konie gotowe i stary dyabeł przywiązany do siodła. Wkrótce zaświta, bo teraz noc krótka. Ostawajcie z Bogiem Wasza Miłości!

—Jedź z Bogiem, a zdrowo.

Ale Hława odciągnął jeszcze Maćka na bok i rzekł:

—Chciałem też pięknie prosić, wrazie, gdyby co zaszło... wiecie, panie... niby jakowe nieszczęście, albo co... aby pchnąć zaraz pachotka na łeb do Spychowa. Jeślibyśmy zaś już wyjechali, niech nas goni!

—Dobrze— rzekł Maćko. —Zabaczyłem ci też powiedzieć, byś Jagienkę do Płocka wiozł, rozumiesz! Idź do biskupa i powiedz mu, kto ona jest, że opatowa chrześniaczka, dla której jest u biskupa testament, a dalej proś dla niej o opiekuństwo, bo to też stoi w testamencie.

—A jeśli zaś biskup, każe nam ostać w Płocku?

—Słuchaj go we wszystkim i uczyn jak o poradzi.

—Tak będzie, panie. Z Bogiem!

—Z Bogiem.

XI.

Rycerz Arnold dowiedziawszy się nazajutrz o ucieczce służki zakonnej, uśmiechnął się pod wąsem, ale rzekł to samo, co Maćko: że albo ją wilcy zjedzą, albo Litwini zabiją. Jakoż było to prawdopodobne, albowiem ludność miejscowa, litewskiego pochodzenia nienawidziła Zakonu i wszystkiego, co miało z nim styczność. Chłopi częścią pouciekali do Skirwoiły, częścią poburzyli się i pomordowali tu i owdzie Niemców, pokryli się razem z rodzinami i dobytkiem w niedostępnych głębiach leśnych. Szukano jednakże na drugi dzień służki, ale bez skutku, bo niezbyt gorliwie, a to z tej przyczyny, że Maćko i Zbyszko, mając głowy zajęte czem innem, nie wydali dość surowych rozkazów. Pilno im było jechać ku Mazowszu i chcieli zaraz o wschodzie słońca wyruszyć, ale nie mogli tego uczynić, gdyż Danuska usnęła nadedniem głęboko i Zbyszko nie dał jej budzić. Słyszał ją, jak "kwiliła", w nocy, domyślał się, że nie spała, więc teraz wiele sobie dobrego z tego snu obiecywał. Dwukrotnie zakradał się do chaty i dwukrotnie widział przy świetle, wpadającym przez szpary między bierwionami, jej zamknięte oczy, otworzone usta i mocne rumieńce na twarzy, takie, jakie mają głęboko uspięne dzieci. Topniało w nim wówczas z rozrzewnienia

serce i mówił do niej: "Daj ci Bóg wypoczynek i zdrowie, kwiatuszku najmilszy!" A potem mówił jeszcze: "Skończona twoja niedola, skończone płkanie, da Pan Jezus miłosierny, to szczęśliwość będzie jako te wody rzeczne nieprzepłynione." Przytem mając prostą i dobrotliwą duszę, wznosił ją ku Bogu i zapytywał sam siebie: czemu by się wywdzięczyć, czemu by się wypłacić, coby jakiemu kościołowi ofiarować z dóbr, z ziarna, ze stad, z wosku, albo z innych podobnych, miłych Boskiej potędze rzeczy? Byłby nawet zaraz ślubował i wymienił dokładnie, co ofiaruje, ale wołał zaczekać, nie wiedząc bowiem, w jakim zdrowiu Danuśka się rozbudzi i czy się rozbudzi przytomna, nie miał jeszcze pewności, czy będzie za co dziękować.

Maćko chociaż rozumiał, że będą zupełnie bezpieczni dopiero w krajach księcia, Janusza był jednak także zdania, że nie należy Danusi mieć tego spoczynku, który mógł być dla niej zbawieniem, więc trzymał wprawdzie w pogotowiu parobków i juczne konie, ale czekał.

Wszelako, gdy minęło południe, a ona wciąż spała jeszcze, poczęli się niepokoić. Zbyszko, który ustawicznie zaglądał przez szpary i przez drzwi, wszedł wreszcie po raz trzeci do chaty siadł na pieńku, który wczorajszego wieczoru służka przyciągnęła do posłania i na którym przebierała Danusię.

Siadł i wpatrzył się w nią, ona zaś nie otworzyła wcale oczu, ale po upływie takiego czasu, jakiego potrzebaby na odmówienie bez pośpiechu "Ojcie nasz i Zdrowaś," drgnęły nieco jej usta i wyszeptała, jakby widząc przez zamknięte powieki:

—Zbyszko....

On zaś rzucił się w jednej chwili przed nią na kolana, chwycił jej wychudzone ręce i całując je z uniesieniem, jął mówić przerywanym głosem:

—Bogu dzięki! Danuśka! poznałaś mnie!

Głos jego rozbudził ją zupełnie, więc siadła na posłaniu i z otwartymi już oczyma powtórzyła:

—Zbyszko...

I poczęła mrugać, następnie rozglądać się naokoło, jakoby ze zdziwieniem.

—Już ty nie w niewoli!— mówił Zbyszko.

— Wydarłem cię im i do Spychowa jedziem!

Ale ona wysunęła dłonie z jego rąk i rzekła:

—To wszystko przez to, że tatusiowego dozwolenstwa nie było. Gdzie pani?

—Przebudź-że się ty, jagódko. Księżna daleko, a my cię Niemcom odjęli.

Na to ona, jakby nie słysząc tych słów i jakby sobie coś przypominając:

—Zabrali mi też luteńkę i o mur rozbili— hej!

—Na miły Bóg — zawołał Zbyszko.

I dopiero spostrzegł, że oczy jej są nieprzytomne i błyszczące, a policzki pałają. W tejże chwili mignęła mu przez głowę myśl, że ona może być ciężko chora i że wymówiła dwukrotnie jego imię tylko dlatego, że się jej mąjaczny w gorączce.

Więc zadrżało w nim serce z przerażenia i pot zimny pokrył mu czoło.

—Danuśka— rzekł — widzisz-że ty mnie i rozumiesz?

A ona odrzekła głosem pokornej prośby:

—Pić!... Wody!

—Jezu miłosierny!

I wyskoczył z izby. Przed drzwiami potrącił starego Maćka, który szedł właśnie zobaczyć, jak tam jest i rzuciwszy mu jedno słowo: "Wody!"—przebiegł pędem ku strumieniowi, płynącemu w pobliżu wśród gęstwy i mchów leśnych.

Po chwili wrócił z napełnionem naczyniem i podał je Danusi, która poczęła pić chciwie. Przedtem jeszcze wszedł do izby Maćko i popatrzywszy na chorą, spochmurniał widocznie.

—W gorętwie jest?—rzekł.

—Tak! —jęknął Zbyszko.

—Rozumie, co mówisz?

—Nie.

Stary zmarszczył brwi, poczem podniósł rękę i począł się dłonią trzeć po karku i po tylicy.

—Co robić?

—Nie wiem!

—Jedna jest tylko rzecz — zaczął Maćko.

Ale Danusia przerwała mu w tej chwili. Skończywszy pić, utkwiała w nim swe rozszerzone przez gorączkę źrenice, poczem rzekła:

—I wam też nie zawiniłam. Mieścież zmiłowanie!

—Mam ci ja zmiłowanie nad tobą dziecko i tylko dobra chcę twojego — odpowiedział z pewnem wzruszeniem stary rycerz.

A potem do Zbyszka:

—Słuchaj! — Na nic jej tu ostawać. Jak ją wiatr owieje, a słońko ogrzeje — to może się jej lepiej robi. Nie trać-że ty chłopcze głowy, jeno ją bierz do tej samej kołyski, w

której ją wieźli, albo też na kulbakę i w drogę! Rozumiesz!

To rzekłszy, wyszedł z izby, aby dać ostatnie rozporządzenia, ale zaledwie spojrzał przed siebie, gdy nagle stanął, jak wryty.

Oto silny zastęp pieszego ludu, zbrojnego w dzidy i berdysze otaczał z czterech stron, jakby murem, chatę, kopce i polankę.

— Niemce! — pomyślał Maćko.

Więc zgroza napełniła mu duszę, ale w mgnieniu oka chwycił za głównię miecza, zaciśnął zęby i stał tak, podobny do dzikiego zwierza, który niespodzianie przez psy osaczon, gotuje się do rozpaczliwej obrony.

A w tem od kopca począł iść ku niemu olbrzymi Arnold z jakimś drugim rycerzem, zbliżywszy się, rzekł:

— Wartkie koło fortuny. Byłem waszym jeńcem, a teraz wyście moimi.

To rzekłszy, spojrzał z dumą na starego rycerza, jakby na lichszą od siebie istotę. Nie był to człowiek całkiem zły, ani zbyt okrutny, ale miał przywarę wspólną wszystkim Krzyżakom, którzy, ludzie, a nawet układni w nie-szczęściu, nie umieli nigdy pohamować ani pogardy dla zwyciężonych, ani bezgranicznej pychy, gdy czuli za sobą większą siłę.

— Jesteście jeńcami! — powtórzył wyniośle.

A stary rycerz spojrzał ponuro naokół. W piersi jego było nie tylko nie płochliwe, lecz aż nazbyt zuchwałe serce. Gyby był we zbroi na bojowym koniu, gdyby miał przy sobie Zbyszka i gdyby obaj mieli w ręku miecze, topory, albo owe straszne "drzewa", które tak sprawnie władała ówczesna lechicka szlachta, byłby może próbował przełamać ów otaczają-

cy go mur dzid i berdyszów. Ale Maćko stał przed Arnoldem pieszo, sam jeden, bez pancerza, więc spostrzegłszy, że pacholćkowie porzucali już oręż i pomyślawszy, że Zbyszko jest w chacie przy Danusi całkiem bez broni, zrozumiał, jako człek doświadczony i z wojną wielce obyty, że niema żadnej rady.

Więc wyciągnął zwolna kord z pochwy, a następnie rzucił go pod nogi owego rycerza, który stał przy Arnoldzie. Ów zaś z niemniejszą od Arnolda dumą, ale zarazem z łaskawością, ozwał się w dobrej polskiej mowie:

—Wasze nazwisko, panie? Nie każę was wiązać, boście widzę pasowany rycerz i obeszlście się po ludzku z bratem moim.

—Słowo! — odpowiedział Maćko.

I oznajmiwszy kto jest, zapytał, czy wolno mu będzie wejść do chaty i ostrzedz bratanka, "by zaś czego szalonego nie uczynił" —zaczem, uzyskawszy pozwolenie, zniknął we drzwiach, a po niejakiem czasie zjawił się znów z "mizerykordyą" w ręku.

—Bratanek mój nie ma nawet miecza przy sobie —rzekł— i prosi, aby, póki w drogę nie ruszycie, mógł zostać przy swojej niewieście.

—Niech zostanie — rzekł brat Arnoldów— przyśle mu jadło i napitek, bo w drogę nie ruszym zaraz, gdyż lud utrudzon, a nam samym pożywić się i spocząć potrzeba. Prosim też was, panie, do kompanii.

To rzekłszy, zwrócili i poszli ku temu samemu ognisku, przy którym Maćko noc spędził, ale bądź to przez pychę, bądź przez prostactwo, dość między nimi powszechnie, poszli przodem, dozwalając mu iść z tyłu. Ale

on, jako wielki bywalec, rozumiejący jaki ma być w każdym zdarzeniu zachowany obyczaj, zapytał:

—Proście, panie, jako gościa, czy jako jeńca?

Dopieroż zawstydził się brat Arnoldów, bo zatrzymał się i rzekł:

—Przejdźcie, panie.

Stary rycerz przeszedł, nie chcąc jednak ranić miłości własnej człowieka, na którym mogło mu dużo zależeć, rzekł.

—Widać, panie, że nietylko znacie różne mowy, lecz i obyczaje macie dworne.

Na to Arnold, rozumiejąc zaledwie niektóre słowa, ozwał się:

—Wolfgang, o co chodzi i co on mówi?

—Do rzeczy mówi!— odpowiedział Wolfgang, któremu widocznie pochlebiły Maćkowe słowa. Poczem zasiedli przy ognisku i przyniesiono jeść i pić. Nauka dana Niemcom przez Maćka, nie poszła jednakże w las, gdyż Wolfgang od niego zaczynał poczęstunek. Z rozmowy dowiedział się przytem stary rycerz, jakim sposobem wpadli w pułapkę. Oto Wolfgang, młodszy brat Arnolda, prowadził człuchowską piechotę także przeciw zbuntowanym Zmujdzinom, do Gotteswerdes, ta jednakże, jako pochodząca z dalekiej komturyi, nie mogła nadażyć jeździe, Arnold zaś nie potrzebował na nią czekać, wiedząc, że po drodze napotka inne pieszce oddziały z miast i zamków bliższych litewskiej granicy. Z tej przyczyny młodszy ciągnął o kilka dni drogi później i właśnie znajdował się na szlaku w pobliżu smolarni, gdy służka zakonna, zbiegłszy nocą, dała mu znać o przygodzie, jaka spotkała starszego

brata. Arnold słuchając tego opowiadania, które powtórzono mu po niemiecku, uśmiechnął się z zadowoleniem, a wreszcie oświadczył, że spodziewał się, iż tak się może zdarzyć.

Ale przebiegły Maćko, który w każdym położeniu starał się znaleźć jakąś radę, pomyślał, że z pożytkiem będzie zjednać sobie tych Niemców— więc po chwili rzekł:

—Ciężka to zawsze rzecz popaść w niewolę, wszelako Bogu dziękuję, że mnie nie w inne, jeno w wasze oddał ręce, bo wiera, żeście prawi rycerze i czci przestrzegający.

Na to Wolfgang przymknął oczy i skinął głową, wprowadzie dość sztywnie, ale z widocznym zadowoleniem.

A stary rycerz mówił dalej:

—I że to mowę naszą znacie! Dał wam wiedzę Bóg rozum do wszystkiego!

—Mowę waszą znam, bo w Czuchowej narów po polsku mówi, a my z bratem od siedmiu lat pod tamtejszym komturem służym.

—A z porą i z czasem weźmiecie po nim i urząd! Nie może inaczej być!... Wždy wasz brat nie mówi tak po naszymu.

—Rozumie trochę, ale nie mówi. Brat ma siłę większą, chociaż i ja nie ułomek, a za to dowcip tepszy.

—Hej! nie widzi mi się i on głupi! — rzekł Maćko.

—Wolfgang! co on powiada? — zapytał znów Arnold.

—Chwali cię — odpowiedział Wolfgang.

—Jużci chwale— dodał Maćko — bo prawy jest rycerz, a to grunt! Szczerze wam też powiem, że chciałem go dziś całkiem na słowo puścić, niechby był jechał, gdzie chciał, byle

się chociaż i za rok stawiał. Także to przecie między pasowanymi rycerzami przystoi.

I począł pilnie patrzeć w twarz Wolfganga, ale ów zmarszczył się i rzekł:

—Puściłbym może i ja was na stawienictwo, gdyby nie to, żeście psom pogańskim przeciwko nam pomagali.

—Nieprawda jest— odparł Maćko.

I począł się znów taki sam spór, jak wczorajszego dnia z Arnoldem. Staremu rycerzowi jednak chociaż miał słuszość trudniej szło, gdyż Wolfgang bystrzejszy był istotnie od starszego brata. Wynikła wszelako z owego sporu ta korzyść, że i młodszy dowiedział się o wszystkich szczycieńskich zbrodniach, krzywoprzysięstwach i zdradach, a zarazem o losach nieszczęsnej Danusi. Na to, na owe niegodziwości, któremi rzucał mu w oczy Maćko, nie umiał nic odpowiedzieć. Musiał przyznać, że pomsta była sprawiedliwą i że polscy rycerze mieli prawo tak czynić, jako czynili, a wreszcie rzekł:

—Na błogosławione kości Liboryusza! nie ja będę Danvelda żałował. Mówili o nim, że się czarną magią parał, ale moc i sprawiedliwość Boska od czarnej magii mocniejsze! Co do Zygfyryda, nie wiem, czyli takóž dyabłu służył, ale za nim nie pogonię, bo najprzód konnicy nie mam, a powtóre, jeśli jako powiadacie, ową dziewicę udręczył, to niechby też z piekła nie wyrzwał!

Tu przysięgnął się i dodał:

—Boże, bądź mi ku pomocy i przy skonaniu!

—A z ową nieszczęsną męczennicą jakoże będzie?—zapytał Maćko.—Zali nie pozwolicie

jej odwieźć do domu? Zali ma w waszych podziemiach konać? Wspomnijcie na gniew Boży...

—Mnie do niewiasty nie—odpowiedział szorstko Wolfgang.—Niech jeden z was odwiezie ją ojcę, byle się potem stawil; ale drugiego nie puszczę.

—Ba, a gdybym na cześć i na włócznie św. Jerzego zaprzysiągł?

Wolfgang zawahał się nieco, gdyż wielkie to było zaklęcie, ale w tej chwili Arnold spytał po raz trzeci:

—Co on powiada?

I dowiedziawszy się o co chodzi, począł przeciwie się zapalczywie i po grubijańsku wypuszczeniu obu na słowo. Miał on w tem swoje przewidywanie: Oto był zwyciężony w większej bitwie przez Skirwoillę, a w pojedynczej przez tych polskich rycerzy. Jako żołnierz, wiedział także że ta piechota brata musi teraz wracać do Malborga, bo chcąc iść dalej do Gotteswerder, szłaby po zniszczeniu poprzednich oddziałów, jako na rzeź. Wiedział więc, że trzeba mu będzie stanąć przed Mistrzem i marszałkiem i rozumiał, że mniejszy mu będzie wstyd, gdy będzie miał do pokazania choć jednego znaczniejszego jeńca. Żywy rycerz, którego się przedstawia do oczu, więcej znaczy, niż opowiadanie, że się takich dwóch wzięło w niewolę.

Jakoż Maćko, słuchając chrapliwego wrzasku i klątw Arnolda, pojął odrazu, że należy przyjąć, co dają, gdyż więcej nic nie wskóra i rzekł, zwracając się do Wolfganga:

—To proszę was, panie, jeszcze o jedno: pewien-ci jestem, iż mój bratanek sam będzie rozumiał, że jemu wypada zostać przy żonie,

a mnie z wami. Ale na wszelki wypadek pozwólcie oznajmić mu, że niema o tem co gadać, bo taka wasza wola.

—Dobrze; wszystko mi to jedno — odpowiedział Wolfgang.—Pomówmy jeno, o okupie, który wasz bratanek za siebie i was ma przywieźć, bo od tego wszystko zależy.

—O okupie? zapytał Maćko, który wolałby był odłożyć tę rozmowę na później. Albo to mało mamy czasu przedsobą? Gdy z pasowanym rycerzem sprawa, to słowo tyle znaczy, co gotowe pieniądze, a i wedle ceny, można się na sumienie zdać. My też pod Gotteswerder wzięliśmy w niewolę znacznego waszego rycerza niejakiego pana de Lorche i bratanek mój (on to bowiem go pojmał) puścił go na słowo, wcale się o cenę nie umawiając.

—Wzięliście pana de Lorche? — zapytał żywo Wolfgang.—Ja go znam. Można to był rycerz. Ale czemu to nie spotkaliśmy go w drodze?

—Bo widać tedy nie pojechał, jeno do Gotteswerder, albo ku Ragnecie — odparł Maćko.

—Możny i znakomitego rodu to rycerz — powtórzył Wolfgang. Suto się obłowicie. Ale dobrze, żeście o tem wspomnieli, bo teraz i was za byle co nie puszcze.

Maćko przygryzł wąsa, jednakże podniósł dumnie głowę:

—My i bez tego wiemy, ileśmy warci.

—Tem lepiej— rzekł młodszy von Baden.

Ale zaraz potem dodał:

—Tem lepiej nie dla nas, bośmy pokorni mnisi, którzy ubóstwo ślubowali, lecz dla Zakonu, który waszych pieniędzy użyje na chwałę Bożą.

Maćko nie odrzekł na to nic, spojrzał tylko na Wolfganga,, tak, jakby mu chciał powiedzieć: "Powiedz to komu innemu" — i po chwili poczęli się układać. Była to dla starego rycerza ciężka i drażliwa rzecz, bo z jednej strony czuł był wielce na wszelką stratę z drugiej zaś rozumiał, że nie wypada mu siebie i Zbyszka zbyt mało cenić. Wił się tedy, jak piskorz, tembardziej, że Wolfgang, lubo niby ludzki i gładki w mowie, okazał się niepomrotnie chciwym i twardym jako kamień. Jedyną pociechą była Maćkowi myśl, że za płaci za to wszystko de Lorche, ale i tak żałował straconej nadziei zysku, na przybytek zaś z wykupu Zygfrieda nie liczył, myślał bowiem, że Jurand, a nawet i Zbyszko za żadną cenę nie wyrzekną się jego głowy.

Po długich układach zgodził się wreszcie na ilość grzywien i na termin i zawarowałwszy, ilu pachółków i ile koni ma wziąć Zbyszko, poszedł mu to oznajmić, przyczem, widocznie w obawie, aby Niemcom nie strzeliła jaka inna myśl do głowy, radził mu, aby wyjeżdżał natychmiast.

—Tak to w rycerskim stanie — mówił wzdychając:—wczoraj tyś za łeb trzymał, dzisiaj ciebie trzymają! Ano, trudno! Da Bóg, przyjdzie znów nasza kolej! teraz czasu nie trać. Wartko jadący zgonisz Hławę i pieczniej wam będzie razem, a byle raz z puszcz się wydostać i w ludzkim kraju na Mazowszu stanąć, tego przecie u każdego szlachcica, alibo włodyki, znajdziecie gościnę i pomoc i starunek. Obcym ci tego u nas nie odmówią, a cóż dopiero swoim! Dla tej niebogi może też być w tem zbawienie.

Tak mówiąc, spoglądał na Danusię, która pogrążona w półśnie, dychała szybko i rozgłośnie. Przezroczyście jej ręce, leżące na ciemnej, niedźwiadkowej skórze, drgały gorączkowo.

Maćko przeżegnał ją i rzekł:

—Hej bierz ją i jedź! Niechże to Bóg odmieni, bo widzi mi się, że cienko ona przedzie!

—Nie mówcie! — zawołał z rozpaczliwym przyciskiem Zbyszko.

—Moc boska! Każę ci tu konie podprowadzić, a ty jedź!

I wyszedłszy z izby, zarządził wszystko do odjazdu. Turczynkowie, podarowani od Zawiszy, podprowadzili konie z kołyską wymoszczoną mchem i skórami, a pacholek Wit Zbyszkowego wierzchowca — i po chwili Zbyszko wyszedł z izby, trzymając na ręku Danusię. Było w tem coś tak wzruszającego, że obaj bracia von Baden, których ciekawość przywiodła przed chatę, ujrzawszy nawpół dziecinną jeszcze postać Danuśki, jej twarz, podobną istotnie do twarzy świętych panienek z kościelnych obrazów i jej słabość tak wielką, że nie mogąc dźwignąć głowy, trzymała ją wspartą ciężko na ramieniu młodego rycerza, poczęli spoglądać po sobie ze zdziwieniem i burzyć się w sercach przeciw sprawcom jej niedoli. „Jużci katowskie, nie rycerskie serce miał Zygfryd — szepnął do brata Wolfgang — a ową zmiję, chociaż za jej przyczyną uwolnion, każę różgami osmagać”. Wzruszyło ich i to także, że Zbyszko niesie Danusię na ręku, jak matka dziecko — i zrozumieli jego kochanie, gdyż obaj mieli jeszcze młodą krew w żyłach.

On zaś zawahał się przez chwilę, czy chorą przed się wziąć na siodło i trzymać w drodze przy piersi, czy też złożyć w kołysce. Namyslił się wreszcie na to ostatnie, mniemając, że wygodnie jej będzie jechać leżący. Zatem zbliżywszy się do stryjca, pochylił się do jego ręki, aby ucałować ją na pożegnanie, ale Maćko, który w rzeczy miłował go, jak żrenicy oka, jakkolwiek nie chciał okazywać przy Niemcach wzruszenia, nie mógł się jednak powstrzymać i objąwszy go mocno, przycisnął usta do jego bujnych złotych włosów.

—Boże cię prowadź!—rzekł. —A o starym przecie pamiętaj, bo niewola zawsze to ciężka rzecz.

—Nie zapomnę —odpowiedział Zbyszko.

—Daj ci Matka Najświętsza pociechę!

—Bóg wam zapłać i za to... i za wszystko.

Po chwili Zbyszko siedział już na koniu, ale Maćko przypomniał sobie jeszcze coś, gdyż skoczył ku niemu i położywszy mu dłoń na kolanie, rzekł:

—Słuchaj! A jeśli Hławę dogonisz, to co do Zygryda, bacz, byś hańby i na się i na mój siwy włos nie ściągnął. Jurand — dobrze, ale nie ty! Na miecz mi to przysięgniej i na cześć!

—Póki nie wrócicie to i Juranda pobamuję, aby się na was za Zygryda nie pomścili — odpowiedział Zbyszko.

—Także ci o mnie chodzi?

A młodzianek uśmiechnął się smutno:

—Przecie wiecie.

—W drogę! Jedź w zdrowiu!

Konie ruszyły i wkrótce przysłoniła je jasna leszczynowa gęstwina. Maćkowi stało się

nagle okrutnie markotno i samotnie, a dusza rwała mu się ze wszystkich sił za tym umiłowanym chłopakiem, w którym była cała nadzieja rodu. Ale wraz otrząsnął się z żalu, gdyż był człowiekiem twardym i moc nad sobą mającym.

—Dziękować Bogu, że nie on w niewoli jest, jeno ja.....

I zwrócił się ku Niemcom:

—A wy, panie, kiedy ruszycie i dokąd?

—Kiedy nam się spodoba — odpowiedział Wolfgang — a ruszymy do Malbarga, gdzie przed Mistrzem naprzód musicie, panie, stanąć.

—Hej, jeszcze mi tam szyję gotowi za pomaganie Żmujdzinom uciąć! — rzekł sobie Maćko.

Jednakże uspokajała go myśl, że jest w odwodzie pan de Lorche i że sami von Badenowie będą bronili jego głowy, choćby dlatego, aby ich okup nie minął.

—Bo, jużci — mówił sobie — że w takowem zdarzeniu Żbyszko nie potrzebowałby ni sam stawać, ni chudoby pomniejszać.

I myśl ta przyniosła mu pewną ulgę.

XII.

Zbyszko nie mógł zgonić swego giermka, albowiem ów jechał dniem i nocą, tyle tylko wypoczywając, ile było koniecznie trzeba, aby konie nie popadały, które, jako żywione samą trawą, mdłe były i nie mogły czynić tak wielkich pochodów, jak w krajach w których łatwiej było o owies. Sam siebie Hlawka nie szczędził, a na późny wiek i osłabienie Zygfryda nie zważał. Cierpiał też stary Krzyżak okrutnie, tembardziej, że żyłasty Maćko nadwreżył mu poprzednio kości. Ale najcięższe były dla niego komary, rojące się w wilgotnej puszczy, od których, mając związane ręce, a przykrępowane do brzucha końskiego nogi, opędzać się nie mógł. Giermek nie zadawał mu wprawdzie żadnych osobnych mąk, ale i litości nad nim nie miał i uwalniał mu prawicę z więzów tylko na postojach przy jedle: "Jedz, wilcza mordo, abym cię żywiego panu na Spychowie mógł dowieźć!" Takie były słowa, któremi go do posiłku zachęcał. Zygfrydowi przysła wprawdzie z początku podróży myśl, aby się głodem zamorzyć; ale gdy usłyszał zapowiedź, że będą mu zęby nożem podwazyć i przemocą w gardło lać, wołał ustąpić, aby do poniewierania swej godności zakonnej i czci rycerskiej nie dopuścić.

A Czech chciał koniecznie znacznie przed “panem” przybyć do Spychowa, aby swoją uwielbianą panienkę od wstydu uchronić. Prostym, ale roztropnym i niepozobawionym uczuc rycerskich szlachetką będąc, rozumiał to jednak doskonale, że byłoby w tem coś upokarzającego dla Jagienki, gdyby znalazła się w Spychowie razem z Danusią. Można będzie w Płocku biskupowi powiedzieć “myślał”, że staremu panu z Bogdańca z opiekuństwa tak wypadło, że ją z sobą musiał brać, a potem, niech się jeno rozgłosi, że ona pod biskupią opieką i że prócz Zgorzelic jeszcze i po opacie dziedzictwo na nią idzie dla niej za dużo. I ta myśl osładzała mu trudy pochodów, bo zresztą trapił się myślą, że ta szczęsna nowina, którą do Spychowa wiezie, będzie jednak dla panienki wyrokiem niedoli.

Często też stawiała mu przed oczyma rumiana jak jabłuszko Sieciechówna. Naówczas, o ile drogi pozwalały, łechtał boki konia ostrogami, albowiem tak pilno było mu do Spychowa.

Jechali błędnemi drogami a raczej, bezdrożem przez bór, wprost przed siebie, jak sierpem rzucił. Wiedział tylko Czech jadąc nieco ku zachodowi, a wciąż na południe, musi dojechać na Mazowsze, a wówczas wszystko już będzie dobrze. W dzień kierował się słońcem, a gdy pochód w noc się przeciągnął, gwiazdami. Puszcza przed nimi zdawała się nie mieć granic, ni końca. Płynęły im wśród mroków nocnych dnie i noce, nieraz myślał Hława, że nie przewiezie młody rycerz żywej niewiasty przez te okropne bezludzie, gdzie znikąd żywności, gdzie nocami koni trzeba by-

ło strzedz od wilków i niedźwiedzi, w dzień ustępować z drogi stadom żubrów i turów, gdzie straszne odyńce ostrzyły krzywe kły o korzenie sosen i gdzie często, kto nie przedział z kuszy, albo nie przebódl dzidą, cętkowanych boków jelonka lub warchlaka, ten całymi dniami jeść co nie miał.

— Jakże tu będzie — myślał Hława — jechać z taką niedomęczoną dziewczką, która ostatnim tchem goni!

Przychodziło im raz po raz objeżdżać rozległe grzęzawy lub głębokie parowy, na których dnie szumiały wzdęte wiosennymi dżdżami potoki. Nie brakło w puszczy i jezior, w których widywali przy zachodzie słońca pławiące się w rumianych wygładzonych wodach całe stada łosiów lub jeleni. Czasem spostrzegali też dymy, zwiastujące obecność ludzi. Kilkakrotnie Hława zbliżał się ku takim borowym osadom, ale wysypywał się z nich na spotkanie lud dziki, przybrany w skóry na gołym ciele, zbrojny w kiścienie i łuki, a i patrzący tak złowrogo z pod skręcanych przez kołtun czupryn, że trzeba było korzystać co do ducha z pierwszego, zdumienia w jakie ich wprowadzał widok rycerzy i odjeżdżać jak najspieszniej.

Dwa razy jednak świstały za Czechem grotty i gonił go okrzyk: "Wokili" (Niemcy) on zaś wolał umykać, niż wywodzić się kto jest. Nareszcie, po kilku jeszcze dniach, zaczął przypuszczać, że może już i przejechał granicę, ale na razie nie było się kogo spytać. Dopiero od osaczników, mówiących polską mową, dowiedział się, że nakoniec stanął na ziemiach mazowieckich.

Tam szło już łatwiej chociaż całe wschodnie Mazowsze szumiało również jedną puszcza. Nie skończyło się także bezludzie, ale tam, gdzie zdarzyła się osada, mieszkaniec mniej był nieużyty, może dlatego, że nie karmił się wciąż nienawiścią, a może i z tej przyczyny, że Czech odzywał się zrozumiałym dla niego językiem. Bieda bywała tylko z niezmierną ciekawością tych ludzi, którzy otaczali gromadnie jeźdźców i zarzucali ich pytaniami, a dowiedziawszy się, że jeńca-Krzyżaka wiedzą, mówili:

Podarujcież go nam, panie: już my go sprawimy!

I prosili tak natarczywie, że Czech często musiał się gniewać, albo tłómaczyć im, że jeńiec jest książęcy. To wówczas ustępowali. Później, w kraju już osiadłym, ze szlachtą i włódykami nie szło też łatwo. Wrzała tam nienawiść przeciw Krzyżakom, pamiętano bowiem żywo wszędzie zdradę i krzywdę wyrządzoną księciu, wówczas, gdy w czasie największego spokoju porwali go Krzyżacy pod Złotoryją i zatrzymali jako więźnia. Nie chciało tam już wprowadzić "sprawiać" Zygfrйда, ale ten lub ów twardy szlachcie mówił: "Rozwiążcie go, to mu dam oręż i za miedzą pozwę go na śmierć". Tak im wkładał jako łopatą w głowę Czech, że pierwsze prawo do pomsty ma nieszczęsny pan spychowski i że nie wolno go jej pozbawić.

Ale w osiadłych stronach łatwo już szła podróż, bo były jakie takie drogi i konie wszędzie karmiono owsem, lub jęczmieniem. Jechał też Czech żywo, nie zatrzymując się nigdzie i

na dziesięć dni przed Bożem Ciałem stanął w Spychowiu.

Przyjechał wieczorem, jak wówczas, gdy go był Maćko zé Szczytna z wiadomością o swoim odjeździe na Zmujdź przysłał i tak samo jak wówczas zbiegła do niego, ujrzawszy go z okna Jagienka, a on jej do nóg padł, słowa przez chwilę nie mogąc przemówić. Ale ona podniosła go i pociągnęła co rychlej na górę, nie chcąc przy ludziach wypytywać.

—Co za nowiny?—spytała, drżącym z niecierpliwości głosem, ledwie mogąc dech złapać.

—Żywi są? zdrowi?

—Żywi! Zdrowi!

—A ona znalazła się?

—Jest, Odbilim ją.

—Pochwalony Jezus Chrystus!

Ale mimo tych słów twarz jej stała się jakby skrzepła, bo odrazu wszystkie jej nadzieje rozsypały się w proch.

Siły wszakże nie opuściły jej i nie straciła przytomności, a po chwili opanowała się zupełnie i poczęła znów pytać:

—Kiedy zaś tu staną?

—Za kilka dni! Ciężka to droga— z chorą.

—Chora ci jest?

—Skatowana. Umysł się jej od męki pomieszał.

—Jezu miłosierny!

Nastało krótkie milczenie, tylko przybłądłe nieco usta Jagienki poruszały się jakby w modlitwie.

—Nie obaczyła-że się przy Zbyszku? — spytała znowu.

—Może się i obaczyła, ale nie wiem, bom wraz wyjechał, aby wam, pani, oznajmić nowinę, nim tu staną.

—Bóg ci zapłać powiadaj: jako było?

Czech począł opowiadać w krótkich, słowach, jak odbili Danusię i wzięli olbrzyma Arnolda razem z Zygfydem. Oznajmił też, że Zygfyda przywiózł z sobą, albowiem młody rycerz chciał go dać w podarunku i dla pomsty Jurandowi.

—Trzeba mi teraz do Juranda! — rzekła, gdy skończył, Jagienka.

I wyszła, ale Hława niedługo pozostał sam, gdyż z alkierza wybiegła ku niemu Sieciechówna, a on, czy to dlatego, że niecałkiem był przytomny ze zmęczenia i trudów niezmiernych, czy, że tęsknił do niej i zapamiętał się na razie na jej widok, dość, że chwycił ją w pól, przycisnął do piersi i począł całować jej oczy, policzki, usta, tak, jakby dawno już przedtem powiedział jej wszystko, co przed takim uczynkiem powiedzieć dziewczynie wypada.

I może, że istotnie wypowiedział jej to już w duchu, w czasie podróży, bo całował i całował bez końca, a tulił ją do się z taką siłą, że aż w niej oddech zapierało, ona zaś nie broniła się, z początku ze zdumienia, a potem z omdłałości tak wielkiej, że byłaby obsunęła się na ziemię, gdyby trzymały ją mniej krzepkie ręce. Na szczęście, nie trwało to wszystko zbyt długo, gdyż na schodach dały się słyszeć kroki i po chwili wpadł do izby ojciec Kaleb.

Odskoczyli więc od siebie, a ksiądz Kaleb począł znów Hławę zarzucać pytaniami, na które ów, nie mogąc tchu złapać z trudnością

odpowiadał. Ksiądz myślał, że to z trudu. Usłyszawszy jednak potwierdzenie nowiny, że Danusia odbita i znaleziona, a kat jej przywiezion do Spychowa, rzucił się na kolana, aby Bogu dzięki uczynić. Przez ten czas uspokoiła się nieco krew w żyłach Hławy i gdy ksiądz wstał, mógł mu już spokojniej powtórzyć, jakim sposobem znaleźli i obronili Danusię.

—Nie poto ją Bóg wybawił—rzekł, wysłuchawszy wszystkiego, ksiądz—aby rozum jej i duszę w ciemnościach i we władaniu mocy nieczystych miał pozostawić! Położy Jurand na niej swoje święte ręce i jedną modlitwą przywróci jej rozum i zdrowie.

—Rycerz Jurand? — zapytał ze zdziwieniem Czech.—Takąż on ma moc? Świętym ci może za życia został?

—Przed Bogiem jest już za życia, a gdy zemrze, będą mieli ludzie w niebiesiech jednego więcej patrona-męczennika.

—Powiedzieliście wszelako, wielobny ojcie, że położy ręce na głowie córki. Zali-by mu prawica odrosła? bo wiem, żeście o to Pana Jezusa prosili.

—Powiedziałem: "ręce", jako się zwyczajnie mówi —odrzekł ksiądz—ale przy łasce Boskiej i jedna wystarczy.

—Pewnie!—odpowiedział Hława.

Ale w głosie jego było nieco zniechęcenia, gdyż myślał, że widomy cud zobaczy. Dalszą rozmowę przerwało wejście Jagienki.

—Oznajmiłam mu — rzekła — nowinę ostrożnie, aby go nagła radość nie zabiła, a on zaraz padł krzyżem i modlił się.

—On i bez tego całemi nocami tak leży, a dziś tembardziej pewnie do rana nie wstanie— powiedział ksiądz Kaleb.

Jakoż tak się stało. Kilka razy zaglądali do niego i za każdym razem znajdowali go leżącego, nie w uśpieniu, lecz w modlitwie tak gorliwej, że do zupełnego zapamiętania się dochodzącej.

Dopiero nazajutrz, znacznie po jutrzni, gdy Jagienka zajrzała znów do niego, dał znać, że chce widzieć Hławę i jeńca. Wyprawdzono wówczas z podziemia Zygfryda ze skrępowanemi w krzyż na piersiach rękoma i wszyscy razem z Tolimą udali się do starca.

W pierwszej chwili Czech nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, gdyż błoniaste okna mało przepuszczały światła, a dzień był ciemny z powodu chmur, które zawałyły całkiem niebo i zapowiadały groźną nawałnicę. Ale gdy bystre jego oczy przywykły do mroku, zaledwie go poznał, tak jeszcze wychudł i wynędniał.

Olbrzymi mąż, zmienił się w olbrzymiego kościeja. twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mlecznej barwy włosów i brody, a gdy przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydał się Hławie poprostu trupem.

Przy krześle stał stół, a na nim krucyfiks, dzban z wodą i bochenek czarnego chleba z utkwioną w nim mizerykordyą, czyli groźnym nożem, którego rycerze używali do dobijania rannych. Innego pokarmu, prócz chleba i wody, oddawna Jurand nie używał. Za odzież służyła mu gruba włosiennica, przepasana powrósem, którą nosił na gołym ciele. Tak to, od czasu powrotu ze szczycieńskiej nie-

woli, żył możny i straszny niegdyś rycerz ze Spychowa.

Posłyszawszy wchodzących, odsunął nogą oswojoną wilczycę, która ogrzewała mu bose stopy i podał się w tył. Wtedy to właśnie wydał się Czechowi, jak umarły. Nastąpiła chwila oczekiwania, spodziewano się bowiem, że uczyni jakiś znak, aby kto zaczął mówić, ale on siedział nieruchomy, biały, spokojny, z otwartymi nieco ustami, jakoby istotnie pogrążon w wiecznym uśpieniu śmierci.

— Jest tu Hlawa — ozwała się wreszcie słodkim głosem Jagienka — chcecie-li go wysłuchać?

Skinął głową na znak zgody, więc Czech rozpoczął po raz trzeci opowiadanie. Wspominał pokrótce o bitwach, stoczonych z Niemcami pod Gotteswerder, opowiedział walkę z Arnoldem von Baden i odbicie Danusi, ale nie chcąc przydawać staremu męczennikowi boleści do dobrej nowiny i budzić w nim nowego niepokoju, zataił, że umysł Danusi pomieszał się przez długie dni okrutnej niedoli.

Natomiast, mając serce zawzięte przeciw Krzyżakom i pragnąc, aby Zygfryd jak najniemiłosierniej był pokaran nie zataił umyślnie, że znaleźli ją przeleknioną, wynędzniałą, chorą, że znać było, że obchodzono się z nią po katowsku i że gdyby była dłużej pozostawała w tych strasznych rękach, byłaby uwiędła i zgasła tak właśnie, jako wędnie i ginie podeptane nogami kwiecie. Ponurej tej opowieści towarzyszył niemniej posepny pomruk zapowiadającej się burzy. Miedziane zwały chmur kłębiły się coraz potężniej nad Spychowem.

Jurand słuchał opowiadania bez jednego drgnienia i ruchu, tak, że obecnym zdawać się mogło, iż pogrążony jest we śnie. Słyszał jednak i rozumiał wszystko, bo gdy Hława zaczął mówić o niedoli Danusi, wówczas w pustych jamach oczu zebrały mu się dwie wielkie łzy i spłynęły mu po policzkach. Ze wszystkich ziemskich uczuć pozostało mu jeszcze jedno tylko: miłość do dziecka.

Potem sinawe jego usta poczęły się poruszać modlitwą. Na dworze rozlegały się pierwsze, dalekie jeszcze grzmoty i błyskawice jeły kiedy niekiedy rozświecać okna. On modlił się długo i znów łzy kapały mu na białą brodę. Aż wreszcie przestał i zapadło długie milczenie, które, przedłużając się nad miarę, stało się nakoniec uciążliwe dla obecnych, bo nie wiedzieli co mają z sobą robić.

Nakoniec stary Tolima, prawa Jurandowa ręka, towarzysz we wszystkich bitwach i główny stróż Spychowa, rzekł:

—Stoi przed wami, panie, ten piekielnik, ten wilkołak krzyżacki, który katował was i dziecko wasze: dajcie znak, co mam z nim uczynić i jako go pokarać?

Na te słowa przez oblicze Juranda przebiegły nagle płomienie—i skinął, aby mu przywiedziono tuż więźnia.

Dwaj pachołkowie chwycili go w mgnieniu oka za barki i przywiedli przed starca, a ów wyciągnął rękę, przysunął naprzód dłoń po twarzy Zygfryda, jakby chciał sobie przypomnieć lub wrazić w pamięć po raz ostatni jego rysy, następnie opuścił ją na piersi Krzyżaka, zmacał skrzyżowane na nich ramiona, dotknął

powrozów—i przymknąwszy znów oczy, przechylił głowę.

Obecni mniemali, że się namyślał. Ale cokolwiekbądź czynił, nie trwało to długo, gdyż po chwili ocknął się—i skierował dłoń w stronę bochenka chleba, w którym utkwiona była złowroga mizerykodary.

Wówczas Jagienka, Czech, nawet stary Tolima i wszyscy pacholłowie zatrzymali dech w piersiach. Kara była stokroć zasłużona, pomsta słuszną, jednakże na myśl, że ów nawpół żywy starzec będzie rzezał omackiem skrepowanego jeńca, wzdrygnęły się w nich serca.

Ale on, ująwszy w połowie nóż, wyciągnął wskazujący palec do końca ostrza, tak, aby mógł wiedzieć czego dotyka i począł przecinać sznury na ramionach Krzyżaka.

Zdumienie ogarnęło wszystkich, zrozumieli bowiem jego chęć—i oczom nie chcieli wierzyć. Tego jednak było im za dużo. Hława jął pierwszy szemrać, za nim Tolima, za tymi pacholłowie. Tylko ksiądz Kaleb począł pytać przerywanem przez niepohamowany płacz głosem:

—Bracie Jurandzie, czego chcecie? czy chcecie darować jeńca wolnością?

—Tak!—odpowiedział skinieniem głowy Jurand.

—Chcecie, by odszedł bez pomsty i kary?

—Tak!

Pomruk gniewu i oburzenia zwiększył się jeszcze, ale ksiądz Kaleb, nie chcąc, by zmarniał tak niesłychany uczynek miłosierdzia, zwrócił się ku szemrzącym i zawołał:

—Kto się świętemu śmie sprzeciwić? Na kolana!

I klękawszy sam, począł mówić:

—Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje....

I odmówił "Ojcie nasz" do końca. Przy słowach: "odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom" oczy jego zwróciły się mimowoli na Juranda, którego oblicze zajaśniało istotnie jakimś nadziemskim światłem.

A widok ów w połączeniu ze słowami modlitwy skruszył serca wszystkich obecnych, gdy stary Tolima o zatwardziałej w ustawicznych bitwach duszy, przeżegnawszy się krzyżem świętym, objął następnie Jurandowe kolana i rzekł:

—Panie, jeśli wasza wola ma się spełnić, to trzeba jeńca do granicy odprowadzić.

—Tak!—skinął Jurand.

Coraz częstsze błyskawice rozświecały okna: burza była bliżej i bliżej.

XIII.

Dwaj jeźdźcy zdążali wśród wichru i nawałnego już chwilami dżdżu ku spychowskiej granicy: Zygfryd i Tolima. Ten ostatni odprowadzał Niemca z obawy, aby po drodze nie zabili go chłopci czatownicy lub czeladź spychowska, płonąca ku niemu straszną nienawiścią i zemstą. Zygfryd jechał bez broni, ale i bez pęt. Burza, którą gnał wichur, była już nad nimi. Kiedy niekiedy, gdy huknął niespodziany grzmot, konie przysiadły na zadach. Oni jechali w głębokiem milczeniu, zapadłym wadołem, nieraz z powodu ciasnoty drogi, tak blisko siebie, że strzemień trącało o strzemień. Tolima przywykły od całych lat do stróżowania jeńców, spoglądał i teraz chwilami na Zygfryda bacznie okiem, jak gdyby mu chodziło o to, aby niespodzianie nie umknął — i dreszcz mimowolny przejmował go za każdym razem, albowiem wydawało mu się, że oczy Krzyżaka świecą w pomroce, jak oczy złego ducha, albo upiora. Przychodziło mu nawet do głowy, aby go przeżegnać, ale na myśl, że pod znakiem krzyża, może mu zawyje nieludzkim głosem i zmieniwszy się w szkaradny kształt, pocznie kłapać zębami, zdejmował go strach jeszcze większy. Stary wojownik, który umiał bić w pojedynkę i w całe kupy Niemców, jak jastrząb bije w stado ku-

ropatw—bał się jednakże sił nieczystych i nie chciał mieć z nimi do czynienia. Wolałby też był pokazać Niemcowi poprostu dalszą drogę i zawrócić, ale wstyd mu było samego siebie, więc odprowadził go aż do granicy.

Tam, gdy dotarli do krańca spychowskiego lasu, nastąpiła przerwa w dżdżu i chmury zajaśniały jakimś dziwnem żółtem światłem. Uczyniło się widniej i oczy Zygryda utraciły ów poprzedni niesamowity blask. Ale wówczas napadła na Tolimę inna pokusa: "Kazali—mówił sobie—odprowadzić tego wściekłego psa przezpiecznie do granicy, tom go i odprowadził; ale zaliż ma on odjechać bez pomsty i kary, ów kat pana mojego i jego dziecka i czy nie byłby to godny, a miły Bogu uczynek zgładzić go? Ej nużbym go pozwał na śmierć? Niema ci on wprawdzie broni, ale o milę zaraz, w pana Warcimowem dworzyszczu, dadzą mu przecie jaki miecz, albo okszę — i będę się z nim potykał. Da Bóg, obalę go, a potem dorznię, jako przystoi i głowę w gnoju zakopię!" Tak mówił do siebie Tolima i spoglądając łakomie na Niemca jał poruszać nozdrzami, jakby już zwiertzył zapach świeżej krwi. I ciężko musiał walczyć z tą żądzą, ciężko łamać się z sobą, aż dopiero, gdy pomyślał, że Jurad nie do granicy tylko darował życie i wolność jeńcowi i że w takim razie na nieby się nie przydał pański święty uczynek i zmniejszyłaby się za niego nagroda niebieska, przezwyciężył się wreszcie i powstrzymawszy konia, rzekł:

—Oto granica nasza i do waszej niedaleko. Jedź-że wolny, a jeśli cię zgryzota nie zadławi i piorun boski nie doścignie, to od ludzi nic ci nie grozi.

I to rzekłszy, zawrócił, a tamten pojechał przed siebie z jakąś dziką skamieniałością w twarzy, nie odezwawszy się ani jednym słowem i jakby nie słysząc, że kto do niego przemówił.

I jechał dalej szerszym już gościńcem, rzekłbyś pogrążon we śnie.

Krótką była przerwa w burzy i krótko trwało rozjaśnienie. Ściemniło się znów tak, iż rzekłbyś na świat padł mrok wieczorny i chmury zstąpiły nisko, prawie nad sam bór. Z góry dochodził złowrogi pomruk i jakby niecierpliwy syk i warczenie piorunów, które hamował jeszcze anioł burzy. Ale błyskawice rozświecały już co chwila oślepiającym blaskiem groźne niebo i przerażoną ziemię i wówczas widać było szeroką drogę, idącą wśród dwóch czarnych ścian boru, na niej zaś w pośrodku samotnego jeźdźca na koniu. Zygryd jechał nawpół przytomny, trapiiony przez gorączkę. Rozpacz, żrąca mu duszę od czasu śmierci Rotgiera, zbrodnie popełnione przez zemstę, zgryzoty, przerażające widzenia, duszne targaniny zmaciły jego umysł już oddawna do tego stopnia, że z największym tylko wysiłkiem bronił się szaleństwu, a chwilami nawet mu się poddawał. Świeżo zaś — i trudy podróży pod twardą ręką Czecha i noc spędzona w spychowskim więzieniu i niepewność losu, a nadewszystko ów niesłychany, nadludzki niemal czyn łaski i miłosierdzia który poprostu go przeraził wszystko to potargało go do ostatka. Chwilami tężała i krzepła w nim myśl, tak, że zupełnie tracił rozpoznanie, co się z nim dzieje, ale potem znów gorączka budziła go i zarazem budziła w nim jakieś głu-

che poczucie rozpacz, zraty, zguby—prze-
czucie, że wszystko już minęło, zgasło, skoń-
czyło się, że nadszedł jakiś kres, że naokół je-
no noc i noc i nicość i jakby jakaś otchłań o-
kropna, wypełniona przerażeniem, ku której
musi jednak iść.

—Idź! idź!—szepnął mu nagle nad uchem
jakiś głos.

A on obejrzał się—ujrzał śmierć. Sama
kształtu kościotrupa, siedząc na kościotrupie
końskim, sunęła tuż obok, biała i kłokocąca
gośćiami.

—Jesteś?—zapytał Krzyżak.

—Jestem. Idź! Idź!

Ale w tej chwili spostrzegł, że z drugiej
strony ma także towarzysza: strzemię w
strzemię jechał jakiś twór ciałem podobnym
do człowieka, ale z nieludzką twarzą, głowę
miał bowiem zwierzęcą, ze stojącemi uszami,
długą, śpiczastą i pokrytą czarną szerscią.

—Ktoś ty?—zawołał Zygryd.

Ów zaś, zamiast odpowiedzieć, pokazał
mu zęby i począł głucho warczeć.

Zygryd zamknął oczy, ale natychmiast
usłyszał potężniejszy chrzęst kości i głos mó-
wiący mu w samo ucho:

—Czas! czas! śpiesz się! idź!

I odpowiedział:

—Idę!....

Ale odpowiedź ta wyszła z jego piersi tak,
jakby ją dał kto inny.

Potem, rzekłbyś, popychany jakąś nieprze-
partą zewnętrzną siłą, zsiadł z konia i zdjął z
niego wysokie rycerskie siodło, a następnie
uzdę. Towarzysze, zsiadłszy także, nie odstą-
pili go ani na mgnienie oka — i zawiedli ze

środku drogi na kraj boru. Tam czarny upiór pochylił mu gałąź i pomógł przywiązać do niej ramię uzdy.

— Spiesz się! — szepnęła śmierć.

— Spiesz się! — zaszumiały jakieś głosy w wierzchołkach drzew.

Zyfgryd, pogrążony jakby we śnie, przewlókł drugi lejc przez sprzążkę, uczynił pętlę — i wstąpiwszy na siodło, które złożył poprzednio pod drzewem, założył ją sobie na szyję.

— Odepcnij siodło!... już Aa!

Tracone nogą siodło potoczyło się o kilka kroków — i ciało nieszczęsnego Krzyżaka zwiśło ciężko.

Przez jedno mgnienie oka wydało mu się, że słyszy jakiś chrapliwy, stłumiony ryk i że ów ohydny upiór rzucił się na niego, zakołysał nim i począł zębami szarpać mu piersi, aby ukąsić go w serce. Ale potem gasnące jego źrenice ujrzały jeszcze co innego: Oto śmierć rozplynęła się w jakiś białawy obłok, który zwolna posunął się ku niemu, objął go, ogarnął, otoczył i zakrył wreszcie wszystko okropną nieprzenikliwą zasłoną.

W tej chwili burza rozszalała się z niezmierną wściekłością. Piorun huknął w środek drogi, z tak strasznym łoskotem, jakby ziemia zapadła się w posadach. Cały bór ugiął się pod wichrem. Szum, świst, wycie, skrzywienie pni i trzask łamanych gałęzi wypełniły głębie leśne. Fale dżdżu, gnane wichrem przesłoniły świat — i tylko w czasie krótkich krwawych błyskawic można było dojrzeć rozhuśtany dziko nad drogą trup Zyfgryda.

Nazajutrz tą samą drogą posuwał się dość liczny orszak. Na przodzie jechała Jagienka z

Sieciechówną i Czechem, za nimi szły wozy, otoczone przez czterech zbrojnych w kusze i miecze pachołków. Z woźniców każdy miał też obok siebie oszczep i siekierę, nie licząc kutych wideł i innych narzędzi w drodze przydatnych. Potrzebne to było tak dla obrony od dzikiego zwierza, jak od kup rozbójniczych, które wiecznie grasowały na krzyżackiej granicy, a na które gorzko się skarżył Wielkiemu Mistrzowi Jagiełło i w listach i osobiście na zjazdach w Raciążu.

Ale mając ludzi sprawnych i dobry sprzęt obronny, można się było ich nie lękać, poczet więc jechał ufny w siebie i wolny od obaw. Po wczorajszej burzy nastał dzień przecudny, rzeźwy, cichy i tak jasny, że tam, gdzie nie było cienia, oczy podróżnych mrużyły się od zbytniego blasku. Żaden liść nie poruszał się na drzewach, a z każdego zwieszały się wielkie krople dżdżu, mieniające się tęczą w słońcu. Wśród sosnowych igieł błyszczały jakby wielkie dyamenty. Ulewa potworzyła na gościńcu małe strumyki, które spływały z wesołym szelestem ku niższym miejscom tworząc w zagłębieniach płytkie jeziorka. Cała okolica była zroszona, mokra, ale śmiejąca się w porannej jasności. W takie poranki radość ogarnia serce ludzkie, więc woźnice i parobcy podśpiewywali sobie z cicha, dziwiąc się milczeniu, które panowało między jadącymi na przedzie.

Oni zaś milczeli, bo na duszy Jagienki osiadła ciężka troska. W życiu jej coś się skończyło, coś złamało i dziewczyna, chociaż nie bardzo biegła w rozmyślaniu i nie umiejająca wypowiedzieć sobie wyraźnie, co się w

niej dzieje i co się jej wydaje, czuła jednak, że wszystko, czem dotychczas żyła, zawiodło i poszło na marne, że rozwiała się w niej wszelka nadzieja, jako poranna mgła rozwiewa się nad polami, że wszystkiego trzeba się będzie wyrzec, wszystkiego zaniechać o wszystkim zapomnieć i zacząć życie jakby całkiem nowe. Myślała też, że choćby z woli Bożej nie było ono całkiem złe, jednakże nie może być inne, jeno smutne, a w żadnym razie nie tak dobre, jak mogłoby być to, które się właśnie skończyło.

I żal niezmierny ścisnął jej serce po owej zamkniętej raz na zawsze przeszłości i podnosił się strumieniem łez do oczu. Ale nie chciała płakać, bo i bez tego czuła jakby w dodatku do całego brzemienia, które jej gniotło duszę, jeszcze i wstyd. Wolałaby była nie wyjeżdżać ze Zgorzelic, byle tak nie wracać teraz ze Sychowa. Bo, że tu przyjechała nietylko dlatego, że nie wiedziała co czynić po śmierci opata i nietylko dlatego, by Cztanowi i Wilkowi odjąć przyczynę do napaści na Zgorzelice, tego nie mogła przed sobą zaprzec! Nie! Wiedział o tem i Maćko, który też nie z tego powodu ją brał, a dowie się niechybnie i Zbyszko. Na tę myśl zapalały jej policzki i gorycz zalała serce. "Nie byłam ci dość harda, mówiła sobie w duszy, a teraz mam, czegom chciała". I do troski, i do niepewności jutra, do zgryźliwego smutku i do niezgłębionego żalu po przeszłości, dołączyło się upokorzenie.

Ale dalszy przebieg ciężkich myśli przerwał jej jakiś człowiek, nadchodzący pospiesznie z przeciwka. Czech mający na wszystko baczne oko, ruszył też koniem ku niemu i z

kuszy na ramieniu, z torby borsuczej i z piór sówki na czapce poznał w nim borowego.

—Hej! a ktoś jest? stój!—zawołał jednak dla pewności.

Ow zbliżył się pospiesznie i z obliczem poruszonem, jakie miewają zwykle ludzie, którzy chcą coś niezwykłego oznajmić, zawołał:

—Człowiek przed wami wisi nade drogą!

Czech więc zaniepokoił się, czy to nie jakaś sprawa zbójcka i począł pytać żywo:

—Daleko stąd?

—Na strzelenie z kuszy. Nad samą drogą.

—Nikogo przy nim?

—Nikogo. Spłoszyłem jeno wilka, który go obwachiwał.

Wzmianka o wilku uspokoiła Hławę, dowodziła bowiem, że w pobliżu nie było ludzi ni żadnej zasadzki.

Tymczasem Jagienka rzekła:

—Obacz, co to jest.

Hława skoczył przed siebie, a po chwili powrócił jeszcze szybciej.

—Zygfyrd wisi!—zawołał, osadzając przed Jagienką konia.

—W imię Ojca i Syna i Ducha! Zygfryd? Krzyżak?

—Krzyżak! Na uździenicy się powiesił!

—Sam?

—Sam widać, bo siodło leży wedle niego. Gdyby to zbójce uczynili, byliby go poprostu zabili i siodło byliby zabrali, bo zacne.

—Jako-że pojedziem?

—Nie jedźmy tam! nie jedźmy! — poczęła wołać bojaźliwa Anula Sieciechówna.—Jeszcze się co do nas przyczepi!

Jagienka przelekła się nieco także, gdyż wierzyła, że koło trupa samobójcy zbierają się całemi gromadami duchy paskudne, ale Hlawka, który był zuchwały i niczego się nie bojący, rzekł:

—A wa! Byłem blisko niego, a nawet trąciłem go oszczepem —i jakoś nie czuję dyabła na karku.

—Nie bluźnij!—zawołała Jagienka.

—Nie bluźnię—odpowiedział Czech—jeno ufam w moc Bożą. Wszelako, jeżeli się boicie, to można borem objechać.

Sieciechówna poczęła prosić, by objechać, ale Jagienka, namyśliwszy się przez chwilę, rzekła:

—Ej! nie godzi się umarłego nie pogrześć! Krześcijański to uczynek, od Pana Jezusa nakazany, a to przecie człowiek.

—Ba, ale Krzyżak, wisielec i kat! Kruki i wilcy się nim zajmą.

—Nie powiadaj byle czego! Za winy Bóg go będzie sądził, my zaś uczynimy swoje. Nie przyczepi się, też do nas nijakie zło, jeśli pobożne przykazanie spełnimy.

—Ha, to niech się i stanie wedle waszej woli—odrzekł Czech.

I wydał odpowiedni rozkaz parobkom, którego posłuchali z ociąganiem się i ze wstrętem. Bojąc się jednakże Hlawy, pobrali, w niedostatku łopat, widły i topory dla wybrania dołu w ziemi i poszli. Czech udał się też z nimi dla przykładu i przeżegnawszy się, przeciął własnoręcznie rzemień, na którym trup wisiał.

Zygfyda twarz zbłękitniała już na powietrzu i wyglądał dość okropnie albowiem oczy

miał nie zamknięte i przerażone, usta zaś otwarte jakby dla złapania ostatniego tchu. Prędko więc wykopali tuż obok dół i zepchnęli do niego ciało rękojeściami wideł, twarzą do ziemi, poczem przysypawszy je, poczęli szukać kamieni, był bowiem obyczaj odwieczny, że pokrywano nimi samobójców inaczej bowiem wstawali nocami i przeszkadzali podróżnym.

Kamieni było dosyć i na drodze i między mchami leśnymi, wkrótce więc urosła nad Krzyżakiem kopiasta mogiła, a potem Hława wyciął siekierą na pniu sosny krzyż, co uczynił nie dla Zygryda, lecz aby złe duchy nie zbierały się w tem miejscu i wrócił do orszaku.

— Dusza w piekle, a ciało już w ziemi — rzekł do Jagienki. — Możem teraz jechać.

I ruszyli, jednakże Jagienka przejeżdżając, uderła gałązkę sośniny i cisnęła ją na kamienie, a za przykładem pani uczynili tak samo wszyscy inni, bo i to nakazywał także obyczaj.

Długi czas jechali w zadumie, rozmyślając o tym złowrogim mnichu-rycerzu, o karze, jaka go dosięgła, a wreszcie Jagienka rzekła:

— Sprawiedliwość boska nie folguje. I nie godzi się nawet "Wieczny odpoczynek" za niego odmówić, bo dla niego nie masz zmiłowania.

— Litościwą macie i tak duszę, żeście kazali go pogrześć — odpowiedział Czech.

A następnie zaczął mówić z pewnem wahaniem:

— Ludzie prawią, ba! może i nie ludzie, jeno czarownice i czarowniki, że, niby powróż, albo też rzemień z wisielca daje jakoweś szczęście we wszystkim, ale nie wziąłem rzemienia z Zygryda, bo ja dla was nie

od czarnoksiężstwa, tylko do Pana Jezusowej
mocy szczęścia wyglądam.

Jagienka nie odrzekła na razie nic i po
chwili dopiero, westchnąwszy kilkakroć,
rzekła jakby sama do siebie:

—Hej! Moje szczęście za mną, nie prze-
de mną!

XIV.

Dopiero w dni dziewięć po wyjeździe Jagienki stanął Zbyszko na granicy Spychowa, ale Danusia była już tak bliska śmierci, że zupełnie stracił nadzieję, czy ją żywą ojcu dostanie. Zaraz następnego dnia, gdy poczęła nie do rzeczy odpowiadać, ale że przytem i ciało ogarnia jakaś choroba, przeciw której niema już sił w tem wycieńczonem przez niewolę, więzienie, mękę i ustawiczny strach dziecku. Może być, że odgłosy zacieklej walki, jaką Zbyszko i Maćko stoczyli z Niemcami, przepełniły ten kielich przerażenia i że właśnie w tej chwili napadła ją owa choroba, dość, że gorączka nie opuszczała jej odtąd prawie, aż do końca drogi. Była to nawet poniekąd okoliczność pomyślna, albowiem przez straszną puszcę, wśród niezmiernych trudów, wiózł ją Zbyszko jak martwą, nieprzytomną i o niczem nie wiedzącą. Po przebyciu puszczy, gdy weszli do "zbożnego" kraju, między osady kmiećce i szlacheckie, skończyły się niebezpieczeństwa i trudy. Ludzie, dowiadując się, że to wiozą swojackie dziecko, odbite Krzyżakom, a do tego córkę sławnego Juranda, o którym "gądkowie" tyle śpiewali już pieśni po gródkach, dworzyszczach i chatach, prześcigali się w usługach i pomocy. Dostarczano zapasów i koni. Wszystkie drzwi stawały otworem. Nie

potrzebował już Zbyszko wieść Danusi w kołebce między końmi, gdyż silni młodziankowie przynosili ją w noszach ode wsi do wsi, tak troskliwie i ostrożnie, jakby jakąś świętość nieśli. Niewiasty otaczały ją najtroskliwszą opieką. Mężowie słuchając opowieści o jej krzywdach, zgrzytali zębami i niejeden nakładał zaraz żelazne blachy, chwytął za miecz, za topór, albo za kopię i jechał dalej ze Zbyszkim, by pomścić się "z nawiązką", bo nie dość wydawało się zawziętemu pokoleniu równo krzywdę za krzywdę zapłacić.

Ale Zbyszko nie myślał w tej chwili o zemście, tylko jedynie o Danusi. Żył między przebłyskami nadziei, gdy chwilowo czyniło się chorej lepiej, a głuchą rozpaczą, gdy stan jej pogarszał się widomie. A co do tego nie mógł się już łudzić. Nieraz z początku podróży przelatywała mu przez głowę zabobonna myśl, że może tam gdzieś po bezdrożach, które przebywali, jedzie za nim ślad w ślad śmierć i czycha tylko na sposobną chwilę, by się rzucić na Dunusię i wyssać z niej ostatek życia. Widzenie to, a raczej poczucie, bywało zwłaszcza wśród ciemnych nocy tak wyraźne, że nieraz porywała go rozpaczliwa chęć zawrócić, wyzwać matwicę, jak się wyzywa rycerza i potykać się z nią do ostatniego tchu. Ale przy końcu drogi było jeszcze gorzej, czuł bowiem śmierć, nie za orszakiem, ale wśród samego orszaku, niewidzialną wprawdzie, ale tak bliską, iż obwiewało ich jej mroźne tchnienie. I rozumiał już, że przeciw temu nieprzyjacielowi na nic męstwo, na nic krzepka dłoń, na nic oręż, że trzeba mu będzie oddać bezradnie najdroższą głowę na łup, bez walki.

I to było uczucie najstraszliwsze, albowiem łączył się z niem żal, niepohamowany jak wichher, bezdenny jak morze. Jakże nie miała jęczeć, jakże nie miała się rwać z boleści w Zbyszku dusza, gdy spoglądając na swoją kochaną, mówił jej, jakby z mimowolną wymówką. "Na tożem cię miłował, na tom cię odszukał i odbił, aby cię jutro ziemią przysypać i nie widzieć cię już nigdy?" A tak mówiąc, spoglądał na jej kwitnące gorączką policzki, na jej mętne, nieprzytomne oczy i znów ją pytał: "Ostawisz mnie? Nie żal ci? Wolisz ode mnie, niż ze mną?" I wówczas myślał, że chyba i jemu samemu w głowie się pomiesza, piersi zaś rozpierał mu jakby płacz przeogromny, ale zapiekły i nie mogący wybuchnąć, albowiem tamowała mu ujście i jakaś złości jakiś gniew na tę bezlitosną siłę, która wywarła się na niewinne dziecko, ślepa i zimna. Gdyby złowrogi Krzyżak znajdował się wówczas w orszaku, byłby go poszarpał, jak dziki zwierz.

Dobiwszy się do leśnego dworca, chciał się zatrzymać, ale tam na wiosnę było pusto. Od stróżów dowiedział się przytem, że oboje księstwo wybrali się do brata, Zimowita, do Płocka, poniechał więc zamiaru jechania do Warszawy, gdzieby dworski medyk mógł dać chorej ratunek. Trzeba mu było ciągnąć do Spychowa, co było straszne, albowiem zdawało mu się, iż wszystko już się kończy i że trupa tylko dowiezie Jurandowi.

Ale właśnie na kilka godzin drogi przed Spychowem padł znów na jego serce jaśniejszy promyk nadziei. Policzki Danusi poczęły blednąć, oczy stawały się mniej mętne, oddech

nie tak głośny i mniej pospieszny. Zbyszko spostrzegł to natychmiast i po niejakiem czasie nakazał ostatni postój, aby mogła spokojniej oddychać. Byli mile może od Spychowa, zdaleła od mieszkań ludzkich, na wąskiej drodze między polem, a łąką. Ale stojąca w pobliżu dzika grusza dawała ochronę od słońca, za-trzymali się więc pod jej gałęziami. Pachółkowie pozłaziwszy z koni, rozkiełznali je, aby łat-ciej im było szczypać trawę. Dwie niewiasty najęte do posług przy Danusi i młodziankowie, którzy ją nieśli, znużeni drogą i upałem, po-kładli się w cieniu i usnęli; tylko Zbyszko czu-wał przy noszach i siadłszy tuż na korzeniach gruszy, nie spuszczał z chorej oczu.

A ona leżała wśród południowej ciszy, spokojnie, z przymkniętymi powiekami. Zby-szkowi wydawało się jednakże, że nie śpi. Ja-koż, gdy na drugim końcu rozległej łąki ko-szący siano chłop stanął i począł brzękać w ko-sę oselką, drgnęła lekko i otworzyła na chwilę powieki poczem przymknęła je zaraz; pierś jej podniosła się jakby głębszym oddechem, a z ust wyszedł ledwie dosłyszany szept:

—Kwiecie pachnie.

Były to pierwsze nie gorączkowe i nie błędne słowa, jakie od początku podróży wy-mówiła, albowiem z przygrzanej słońcem, łąki powiew przynosił istotnie mocną woń, w której czuć było siano i miód i przeróżne pachnące zioła. Więc w Zbyszku na myśl, że przytom-ność wraca chorej, zadrżało z radości serce. W pierwszym uniesieniu chciał rzucić się do jej nóg, ale z obawy, by jej nie przestraszyć, po-hamował się, klęknął tylko przy noszach i pochyliwszy się nad nią, jął wołać z cicha:

—Danusiu! Danusiu!

A ona otworzyła znów oczy; czas jakiś patrzyła na niego, poczem uśmiech rozjaśnił jej twarz tak samo, jako poprzednio w chacie smolarzy, ale daleko przytomniej wymówiła jego imię:

—Zbyszko!....

I próbowała wyciągnąć ku niemu ręce, ale dla zbytnej słabości nie mogła tego uczynić; on natomiast objął ją ramionami z sercem tak wezbranem, jakby jej dziękował za jakąś niezmierną łaskę.

—Przebudziłaś się! —mówił. — O, Bogu chwała... Bogu....

Poczem zabrakło mu głosu — i przez czas jakiś patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę polną mącił tylko wonny powiew od strony łąki, który szemrał w liściach gruszy, ksykanie koników w trawach i dalekie, niewyraźne śpiewanie kosiarza.

Danusia spoglądała coraz przytomniej i nie przestawała się uśmiechać, zupełnie jak dziecko, które we śnie widzi anioła. Powoli jednak w oczach jej poczęło się odbijać jakby pewne zdziwienie:

—Gdziem jest? — rzekła.

Wówczas z ust jego wyrwał się cały rój krótkich, przerywanych przez radość odpowiedzi.

—Przy mnieś jest! Pod Spychowem! Do tatusia jedziemy. Skończona twoja niedola. Oj! Danusko moja! Oj, Danusko szukałem cię i odbiłem. Nie w niemieckiej tyś już mocy. Nie bój się. Zaraz będzie Spychów. Chorzałaś, ale Pan Jezus się zmiłował! Ile było boleści, ile płakania Danusko... Teraz już dobrze!... Nie

jeno szczęśliwość przed tobą. Ej, com się nadszukał!... com się nawędrował!... Ej, mocny Boże!.. Ej!

I odetchnął głęboko, a prawie z językiem, jakby ostatek ciężaru boleści zrzucił z piersi.

Danusia leżała spokojnie, coś sobie przypominając, coś rozważając, a na koniec spytała:

—Toś ty nie zabaczył mnie?

I dwie łzy, wezbrawszy jej w oczach, stoczyły się po twarzy na wezgłowie.

—Ja miałbym ciebie zabaczyć! — zawołał Zbyszko.

Było zaś w tym stłumionym okrzyku więcej mocy, niż w największych zaklęciach i przysięgach, albowiem miłował ją zawsze całą duszą, a od czasu, gdy ją odzyskał, stała mu się droższą, niż cały świat.

Ale tymczasem zapadła ponownie cisza; w dali jeno chłop przestał śpiewać i jął raz drugi klepać osełką kosę.

Usta Danusi poczęły się poruszać, ale szeptem tak cichym, że Zbyszko nie mógł jej dosłyszeć, więc, pochyliwszy się, zapytał:

—Co zaś, jagódko, mówisz?

A ona powtórzyła:

—Kwiecie pachnie....

—Bośmy przy łące— odparł—ale wnet pojedziem dalej... Do tatusia, który to z niewoli wybawion. I będziesz moja do śmierci. Słyszysz-że ty mnie dobrze? rozumiesz?

Wtem targnął nim nagły niepokój, spostrzegł bowiem, że twarz jej czyni się blada i coraz bledsza, a na twarzy siadają gęsto drobne krople potu.

—Co ci jest?—spytał z okropnym przestrac-
chem.

I uczuł, jak włosy zjeżają mu się na głowie, a mróz przechodzi przez kości.

—Co ci jest powiedz!—powtórzył.

—Ciemno!—szepnęła.

—Ciemno? Słońko świeci, a tobie ciemno?
—zapytał zdyszczanym głosem. — Dopiero co
mówiłaś przytomnie! Na imię Boskie, rzeknij
choć słowo.

Poruszyła jeszcze ustami, ale nie mogła
już nawet szeptać. Zbyszko odgadł tylko, że
wymawia jego imię i że go woła. Wnet potem
wychudzone jej dłonie jęły drgać i trzepotać
się po kilimku, którym była okryta. Trwało to
chwilę. Nie było już się co łudzić: — konała!

—Danuska O! Jezu miłosierny!... Poczekaj
choć do Spychowa.! poczekaj! O Jezu! Jezu!
Jezu!

Podczas tego błagania rozbudziły się nie-
wiasty i nadbiegli pachołkowie, którzy byli o-
podał przy koniach na łące. Ale zrozumiawszy
od pierwszego rzutu oka, co się dzieje, pokłę-
kali i poczęli odmawiać w głos litanie.

Powiew ustał, przestały szemrać liście na
gruszy i tylko słowa modlitwy rozlegały się
wśród wielkiej, pełnej ciszy.

Danusia przed samym końcem litanii o-
tworzyła jeszcze oczy, jakby chcąc spojrzeć po
raz ostatni na Zbyszka i na świat słoneczny,
poczem zaraz zasnęła snem wiekuistym.

Niewiasty zamknęły jej powieki, a nastę-
pnie poszły po kwiaty na łąkę. Pacholcy udali
się ich śladem—i tak chodzili w słońcu, wśród
bujnych traw, podobni do duchów polnych,

pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal. Zbyszko klęczał w cieniu, przy noszach, z głową na kolanach Danusi, bez ruchu i słowa, sam jak martwy, a oni krążyli to bliżej, to dalej, rwąc złoty kaczemieć i dzwonki i obficie rosnące różowe smółki i białą, pachnącą miodem drobniczkę. W wilgotnych dołkach znaleźli też lilie polne, a na miedzy przy ugorze janowiec. Aż, gdy już mieli pełne narecza, otoczyli smutnym korowodem nosze i poczęli je maić. Pokryli więc prawie całkiem kwieciami i ziołmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonków i lilii bieląła, cicha, ukojona snem nieprzespanym, pogodna i anielska.

Do Spychowa nie było nawet i mili, więc po jakimś czasie, gdy im smutek i boleść łzami spłynęły, podnieśli nosze i ruszyli ku borom, od których zaczynały się już Jurandowe ziemie.

Pachołcy wiedli za orszakiem konie. Sam Zbyszko niósł w głowach nosze, a niewiasty, obarczone zbywającymi pękami ziół i kwiatów, śpiewały na przedzie pieśni pobożne — i tak zwolna szli i szli między zieloną łąką, a równym szarym ugiorem, jakby jaka procesya żałosna.

Na niebie nie było żadnej chmurki i świat cały wygrzewał się w złotym blasku słonecznym.

KRZYŻACY.

HENRYK SIENKIEWICZ

KRZYŻACY



TOM V.



CHICAGO.
NAKŁADEM I DRUKIEM WŁ. DYNIEWICZA.
1907.

I.

Przyszli na koniec ze zwłokami dziewczyny do borów Spychowskich, na których granicy stróżowali dniem i nocą zbrojni pachółkowie Jurandowi. Jeden z nich skoczył z wieścią do starego Tolimy i do księdza Kaleba, inni poprowadzili orszak z początku krętą i zapadłą, a potem szeroką leśną drogą, aż do miejsca, gdzie bór się kończył, a poczynały się rozległe wilgotne grudzie i grzęskie, rojne od błotnego ptactwa trzęsawy, za którymi, na suchej wyźni, leżał Spychowski gródek. Poznali też wraz, że już żałobna wieść o nich doszła do Spychowa, gdyż zaledwie wychylili się z leśnego cienia na jasne błonie, doleciał do ich uszu odgłos dzwonu z gródkowej kaplicy. Wkrótce potem ujrzeli idącą zdala naprzeciw liczną drużynę ludzi, w której byli mężowie i niewiasty. Gdy gromada owa zbliżyła się na trzy lub dwa strzelenia z łuku, można już było rozróżnić osoby. Na czele szedł sam Jurand, podtrzymywany przez Tolimę i macając przed sobą kosturem. Łatwo go było poznać po ogromnym wzroście, po czerwonych jamach w miejscu oczu i po białych, opadających, aż na ramiona włosach. Obok postępował z krzyżem i w białej komży ksiądz Kaleb. Za nimi niesiono chorągiew z Jurandowym znakiem, przy której szli zbrojni "woje" spychowscy, a za ni-

mi niewiasty zameżne w nałęczkach na głowach i przetowłose panny. Na końcu gromady ciągnął wóz, na którym miano złożyć zwłoki.

Zbyszko, ujrzawszy Juranda, kazał postawić nosze na ziemi, które sam niósł do tej chwili od strony wezgłowia, zaczęm posuwaj się ku niemu, jał wołać takim okropnym głosem, jakim woła niezmierna boleść i rozpacz:

—Szukałem ci jej, pókim nie znalazł i odbiłem, ale ona wołała do Boga, niż do Spychowa!

I boleść złamała go zupełnie, albowiem padłszy na piersi Juranda, objął go za szyję i począł jęczeć:

—O Jezu, o Jezu! o Jezu!....

Na ów widok wzburzyły się serca zbrojnej czeladzi spychowskiej i poczęli bić włóczniami o tarcze, nie wiedząc, jak inaczej swój ból i swoją chęć pomsty wyrazić. Niewiasty uczyniły lament i zawodząc jedna przez drugą, podnosiły zapaski do oczu, albo też całkiem pokrywały niemi głowy, wołając w niebogłosy: "Hej! Dola! Dola! Tobie wesele, a nam płkanie.—Śmierć cię skosiła, Kościej cię zabrał—oj! oj!" A niektóre, pochylając w tył głowy i zamykając oczy, wołały znów: Zle ci tu było, kwiatuszk, z nami — źle? Ostał się rodzic w wielkiej żałobie, a ty już chodzisz po boskich pokojach—oj! oj" Inne nakoniec wymawiały zmarłej, że się nie ulitowała tatkowego i mężowego sieroctwa i łez. A był ten lament i ten żal nawpół śpiewem, bo nie umiał ów lud inaczej swojego bólu wypowiadać.

Atoli Jurand, wysunawszy się z ramion Zbyszka, wyciągnął kosztur przed siebie, na

znak, iż chce iść do Danusi. Wówczas Toli-
ma ze Zbyszkiem chwycili go pod ramiona i
przywiedli do noszów, a on klęknął przy zwłó-
kach, powiódł po nich dłonią od czoła, aż do
złożonych w krzyż rąk zmarłej i pochylił kil-
kakrotnie głowę, jakby chciał rzec, że ona to
jest, jego Danusia, nie kto inny — i że poznaje
dziecko. Potem objął ją jednym ramieniem, a
drugie, pozbawione dłoni, wzniosł w górę, zaś
obecni odgadli także i tę, niemą skargę przed
Bogiem, wymowniejszą od wszelkich słów bo-
leści. Zbyszko, któremu po chwilowym wybu-
chu odrętwiała znów twarz zupełnie, klęczał
z drugiej strony milczący, do kamiennego posą-
gu podobny i naokół uczyniło się tak cicho, że
słyszać było ksykanie koników polnych i brzę-
czenie każdej przelatującej muchy. Wreszcie
ksiądz Kaleb pokropił święconą wodą Danusię,
Zbyszka, Juranda i rozpoczął "Requiem aeter-
nam". A po ukończeniu pieśni długi czas mo-
dlił się głośno, przyczem ludziom zdawało się,
że słyszą proroczy głos, gdy błagał, aby ta mę-
ka niewinnego dziecka była oną kroplą, która
przepełnia naczynie nieprawości i aby nastał
dzień sądu, kary gniewu i klęski.

Następnie ruszyli do Spychowa; ale nie
położyli Danusi na wóz, tylko nieśli ją na
przedzie orszaku na umajonych noszach.
Dzwon, nie przestając bić, zdawał się ich wzy-
wać i zapraszać ku sobie, a oni szli śpiewają-
cy szerokiem błoniem, pod ogromną złotą zo-
rzę wieczorną, jakby ich ta zmarła prowadziła
naprawdę do odwiecznych blasków i jasności.
Wieczór już był i trzody wracały z pól, gdy
doszli. Kaplica w której złożono zwłoki, ja-
śniała od pochodni i świec jarzących. Z rozka-

zu księdza Kaleba siedm panien odmawiało kolejno litanie nad ciałem, aż do świtu. Do świtu również Zbyszko nie odstępował Danusi i sam po jutrzni wkładał ją w trumnę, którą biegli rzemieślnicy uciesali przez noc z pnia dębowego, wprawiwszy w wieku nad głową szybę złotego bursztynu.

Juranda nie było przytem, albowiem działały się z nim dziwne rzeczy. Zaraz po powrocie do domu utracił władzę w nogach, a gdy położono go na łożu, utracił ruch i świadomość gdzie jest i co się z nim dzieje. Próżno ksiądz Kaleb przemawiał do niego, próżno zapytywał co mu jest: nie słyszał, nie rozumiał, tylko, leżąc na wznak, podnosił do góry powieki pustych oczu i uśmiechał się z twarzą rozjaśnioną i szczęśliwą, a czasem poruszał ustami, jak gdyby z kim rozmawiał. Ksiądz i Tolima rozumieli, że ze zbawioną córką rozmawia i do niej się śmieje. Rozumieli również, że już kona i własną wieczną szczęśliwość żrenicami duszy ogląda, ale w tem się pomylili, gdyż on, nieczuły i głuchy na wszystko, śmiał się tak całe tygodnie i Zbyszko, wyjechawszy wreszcie z okupem za Maćka, zostawił go jeszcze przy życiu.

II.

Po pogrzebie Danusi Zbyszko nie chorzał obłożnie, ale żył w odrętwieniu. Z początku, przez pierwsze dni, nie było z nim tak źle: chodził, rozmawiał o swojej zmarłej niewieście, odwiedzał Juranda i siadywał przy nim. Opowiedział też księdzu o niewoli Maćkowej i uradzili obaj wysłać do Prus i Malbarga Tolimę, aby wywiedziały się gdzie Maćko jest i żeby go wykupił, zapłaciwszy zarazem i za Zbyszka tyle grzywien, na ile zgodzili się z Arnoldem von Baden i jego bratem. W spychowskich podziemiach nie brakło srebra, które Jurand bądź swego czasu wygospodarzył, bądź zdobył, przypuszczał więc ksiądz, że Krzyżacy, byle otrzymali pieniądze, łatwo i starego rycerza wypuszczą i nie będą żądali, aby młody stawiał się osobiście.

—Jedź do Płocka—rzekł na drogę Tolimie ksiądz — i weź od tamtejszego księcia glejt. Inaczej pierwszy lepszy komtur złupi cię i samego uwięzi.

—Ba! przecie ich znam—odrzekł stary Tolima. —Wzdyć umięją oni łupić nawet i tych, którzy z glejtami przyjeżdżają.

I pojechał. Ale niebawem pożałował ksiądz Kaleb, że samego Zbyszka nie wyprawił. Bał się on wprawdzie, że w pierwszych chwilach boleści nie potrafi się młodziak sprawić jak

należy, lub może przeciw Krzyżakom wybuchnie i na niebezpieczeństwo się poda; wiedział również, że trudno mu będzie zaraz odjechać od kochanej trumny, w świeżym żalu, w świeżem osieroceniu i wnet po takiej strasznej, a bolesnej podróży, którą, aż gdzieś od Götteswerder do Spychowa odbył. Potem jednak żałował, iż wziął to wszystko w rachubę, gdy Zbyszkowi z każdym dniem czyniło się ciężej. Zył on, aż do śmierci Danusi w okrutnym wysiłku, w okrutnem natężeniu wszystkich sił: jeździł na kraje świata, potykał się, odbijał swoją niewiastę, przeprawiał się przez dzikie puszcze i nagle to wszystko skończyło się, jakby kto mieczem uciął, a została tylko pamięć, że to wszystko poszło na marne, że trudy były daremne—i że wprawdzie przeszły, ale razem z nimi przeszła część życia, przeszła nadzieja, przeszło dobro, zginęło kochanie, a nie pozostało nic. Każdy żyje jutrem, każdy coś zamierza i coś układa sobie na przyszłość, a Zbyszkowi jutro stało się obojętne, co zaś do przyszłości, to miał takie poczucie, jakie miała Jagienka, gdy wyjeżdżając ze Spychowa mówiła: "Moje szczęście za mną, nie przede mną". Ale nadomiar w jego duszy to poczucie bezradności, pustki i niedoli wyrastało na gruncie ogromnej boleści i coraz większego żalu po Danusi. Ow żal przejmował go, opanowywał i zarazem tężał w nim coraz bardziej, tak, że w końcu nie było w Zbyszkowem sercu miejsca na nic innego. Więc o nim tylko myślał hodował go w sobie i żył z nim jednym, nieczuły na wszystko inne, zamknięty w sobie, pogrążon jakby w półśnie, nieświadom tego, co się naokół dzieje. Wszystkie władze jego

duszy i ciała, jego dawna wartkość i dzielność, przeszły w stan folgi. W spojrzeniu i w ruchach miał teraz jakąś ociężałość starca. Całymi dniami i nocami przesiadywał, albo na przyźbie, grzejąc się w południowych godzinach w blasku słonecznym. Chwilami zapamiętywał się tak, że nie odpowiadał na pytania. Ksiądz Kaleb który go miłował, począł obawiać się, aby ów ból nie przeżar go tak, jak rdza przeżera żelazo — i ze smutkiem myślał, że może lepiej było wyprawić Zbyszka, choćby do Krzyżaków z okupem. “Trzeba — mówił do miejscowego klehy, z którym w braku kogo innego o swoich frasunkach rozmawiał — aby jakowaś przygoda targnęła nim, jako wichler drzewem, bo inaczej gotów skapieć do szczętu. A kleha poświadczał roztropnie, mówiąc dla porównania, że gdy się człek kością udławi, to także najlepiej dać mu dobrze po karku.

Przygoda żadna nie przytrafiła się jednak, ale natomiast w kilka tygodni później, przyjechał niespodzianie pan de Lorche. Widok jego wstrząsnął Zbyszka, albowiem przypominał mu wyprawę na Zmujdź i odbicie Danusi. Sam de Lorche bynajmniej nie wahał się potrącać tych bolesnych wspomnień. Owszem, dowiedziawszy się o nieszczęściu Zbyszka, poszedł zaraz modlić się z nim razem nad trumną Danusi, mówił też o niej bezustannie będąc przez pół mistrelem, ułożył o niej pieśń, którą śpiewał przy lutniach w nocy u kraty podziemia, tak rzewliwie i żałośnie, że Zbyszka, chociaż słów nie rozumiał od samej nuty chwycił ogromny płacz, do samego świtania trwający.

A potem, zmożon tym płaczem i żalem i niewywczasem, zapadł w długi sen, lecz gdy się zbudził, znacznie widać mu boleść łzami spłynęła, gdyż był rzeźwiejszy niż dni poprzednich i raźniej przed się spoglądał. Ucieszył się też wielce i podszedł do pana de Lorche i począł mu za przybycie dziękować, a następnie wypytywać skądby się o jego nieszczęściu dowiedział.

A ów odpowiedział mu przez usta księdza Kaleba, że o śmierci Danusi dowiedział się dopiero w Lubawie, od starego Tolimy, którego widział w więzach u tamtejszego komtura, ale że do Spychowa i tak jechał, by oddać się Zbyszkowi w niewolę.

Wieść o uwięzieniu Tolimy wielkie i na Zbyszku i na księdzu uczyniła wrażenie. Zrozumeli, że okup przepadł, albowiem nie było trudniejszej rzeczy w świecie, niż wydrzeć z gardła Krzyżakom raz zagrabione pieniądze, Wobec tego należało jechać z drugim okupem.

—Gorzej!—zawołał Zbyszko. — To biedny stryjko czeka tam i myśli, żem go przepomniał! Trzeba mi teraz co ducha do niego spieszyć.

Potem zwrócił się do pana de Lorche:

—Wiesz, jako się zdarzyło? Wiesz, że on w rękach krzyżackich?

—Wiem—odpowiedział de Lorche — bom go widział w Malborgu i dlatego sam tu przyjechałem.

Tymczasem ksiądz Kaleb począł narzekać. —Zleśmy postąpili— mówił — ale nikt głowy nie miał.... Więcej się też po rozumie Tolimy spodziewałem. Czemu zaś nie jechał do Pło-

cka i bez nijakiego glejtu między tych rozbójników się puścił!

A na to pan de Lorche ruszył ramionami:

—Co im tam glejty! Albo to sam książę płocki, również jak i wasz tutejszy, mało od nich krzywd cierpią? Nad granicą wieczne bitwy i napaści—bo i wasi swego nie darują. Każdy też komtur, ba! każdy wójt robi co chce, w drapieżności to już chyba jeden drugiego prześciga.

—Tembardziej powinien był Tolima do Płocka jechać.

—Tak i chciał uczynić, ale go w drodze nad granicą z noclegu porwali. Byliby go zabili, gdyby im nie był rzekł, iż dla komtura do Lubawy pieniądze wiezie. Tem się ocalił, ale komtur postawi teraz świadków, jako Tolima sam to mówił.

—A stryjko Maćko jakoże się ma? zdrów? Nie nastają tam na jego szyję? — pytał Zbyszko.

—Zdrów jest — odrzekł de Lorche. — Zawziętość ta jest na "króla" Witolda i na tych, którzy pomagają Zmujdzinom, wielka i — pewnieby starego rycerza ścięli, gdyby nie to, że im żal okupu. Bracia von Baden także go z tej samej przyczyny bronią, a wreszcie chodzi kapitulę o moją głowę, którą gdyby poświęcili, zawrzałoby przeciw nim rycerstwo i we Flandryi i w Geldryi i w Burgundyi.... Wiecie jakozem jest krewny grafa galdryjskiego.

A przecz-że o twoją głowę ma chodzić? — przerwał ze zdziwieniem Zbyszko.

—Bom jest przez ciebie pojman. Powiedziałem w Malborgu tak: "Weźmiecie gardło

staremu rycerzowi z Bogdańca, to młody weźmie moje...”

—Nie wezmę! tak mi dopomóż Bóg!

—Wiem, że nie wezmiesz, ale oni się tego boją i przez to Maćko ostatek między nimi bezpieczny. Mówili mi, żeś i ty jest także w niewoli, bo cię tylko na rycerskie słowo Badenowie puścili, że zatem nie potrzebuję ci się stawiać. Ale ja odrzekłem im, że gdyś mnie w eństwo brał, byłeś wolny, nie oni ani tobie, ani Maćkowi nie uczynią. Ty okup von Badenom spłać, zaś za mnie żądaj we dwoje, alibo we troje tyle. Muszą zapłacić. Nie dlatego tak mówię, abym mniemał, żeś więcej od was wart, ale aby ich chciwość pokarać, którą pogardzam. Całkiem inne miałem o nich pojęcie niegdyś, ale teraz zbrzydli mi i oni i ich gościna. Pójdę do Ziemi Świętej, tam szukać przygód bo im dłużej służyć nie chcę.

—Albo też u nas, panie ostatek— rzekł ksiądz Kaleb.—A myślę, że tak i będzie, bo co do tego, żeby oni mieli okup za was dawać, to mi się nie wydaje.

—Jeśli nie zapłacą, to sam zapłacę — odrzekł de Lorche. — Przyjechałem tu z pocztą znaczną i wozy mam ładowne, a tego, co na nich jest, wystarczy...

Ksiądz Kaleb powtórzył Zbyszkowi te słowa, na które Maćko pewnie nie byłby pozostał nieczuły, ale Zbyszko, jako młody i mało o majątność dbający, odrzekł:

—Na moją cześć nie będzie tak, jako mówisz. Byłeś mi jako brat i przyjaciel i okupu nijakiego od ciebie nie wezmę.

Poczem uściskali się, czując, że nowy węzeł został między nimi zawiązany. Ale de Lorche uśmiechnął się i rzekł:

Dobrze niech jeno Niemce o tem nie wiedzą, bo się o Maćka będą droczyć. A widzicie muszę zapłacić, gdyż będą się bali że, inaczej rozgłoszę po dworach i między rycerstwem, że radzi niby zapraszają i widzą rycerskich gości, ale gdy który w niewolę popadnie, to o nim zapominają. A Zakonowi o gości okrutnie teraz chodzi, bo mu Witolda strach, a jeszcze bardziej Polaków i ich króla.

— To niech tedy tak będzie — rzekł Zbyszko, że ty tu останiesz, alibo gdzie chcesz na Mazowszu, a ja do Malbarga po stryjca pojedę i będę okrutną przeciw tobie udawał zawziętość.

— Na św. Jerzego! uczyn tak! — odpowiedział de Lorche. — Ale wpierw wysłuchaj, co ci powiem. W Malbörgu mówią, że ma zjechać do Płocka król polski i spotkać się z Mistrzem w samym Płocku, albo gdzie na granicy. Krzyżacy wielce tego pragną, albowiem chcą wymiarkować, czy król będzie pomagał Witoldowi, jeśli ów otwartą im wojnę o Żmujdź wypowie. Ha! chytry oni są jak węże, ale przecie w tym Witoldzie mistrza znaleźli. Zakon się go też boi, ponieważ nigdy niewiadomo co on zamyśla i co uczyni: "Oddał nam Żmujdź — mówią w kapitule — ale przez nią trzyma ciągle jakoby miecz nad naszymi karkami". "Słowo — mówią — rzeknie i bunt gotów!" Jakoż tak jest. Muszę się kiedy wybrać na jego dwór. Może przygodzi się w szrankach u niego potykać, a prócz tego, słyszałem, że i niewiasty tamtejsze anielskiej czasem bywają urody.

—Mówiliście panie o przyjeździe króla polskiego do Płocka?—przerwał ksiądz Kaleb.

—Tak jest. Niech Zbyszko przyłączy się do królewskiego dworu. Mistrz chce sobie króla ująć i niczego mu nie odmówi. Wiecie, że w potrzebie nikt nie umie być pokorniejszy od Krzyżaków. Niech się Zbyszko do orszaku przyłączy i niech się o swoje upomina, niech jak najgłośniej na bezprawie krzyczy. Inaczej go będą słuchali wobec króla i wobec krakowskich rycerzy, którzy sławni są w świecie i których wyroki szeroko rozchodzą się między rycerstwem.

—Przednia rada! na Pański Krzyż! przednia—zawołał ksiądz.

— Tak, potwierdził deLorche. I sposobności też nie braknie. Słyszałem w Malborgu, że będą uczty, będą turnieje, bo się goście zagraniczni koniecznie chcą z królewskimi rycerzami potykać. Na Boga! toż ma przyjechać i rycerz Jan z Aragonii, największy ze wszystkich w chrześcijaństwie. Nie wiecie? przecie on podobno, aż z Aragonii rękawicę waszemu Zawiszcy przysłał, aby zaś nie mówiono po dworach, że jest drugi równy jemu na świecie.

Przyjazd pana de Lorche, jego widok i cała rozmowa tak jednak rozbudziła Zbyszka z owej bolesnej martwoty, w której był przedtem pogrążon, że z ciekawością słuchał jego nowin. O Janie z Aragonii wiedział, gdyż pewnością było wówczas każdego rycerza znać i pamiętać nazwiska wszystkich najsłynniejszych wojowników, sława zaś szlachty aragońskiej, a szczególnie owego Jana, obiegała świat cały. Żaden rycerz nie sprostął mu nigdy w szrankach, a Maurowie pierzchali na

sam widok jego zbroi i powszechne było mniemanie, że on jest pierwszy w całym chrześcijaństwie.

Więc na wieść o nim ozwała się w Zbyszku bojowa rycerska dusza i począł wypytywać się z wielkiem zajęciem:

—Pozwał ci Zawiszę Czarnego?

—Rok już podobno, jak przyszła rękawica i jak Zawisza odesłał swoją.

—To Jan z Aragonii napewno już przyjedzie.

—Czy, napewno nie wiedzą, ale są takowe posłuchy. Krzyżacy dawno posłali mu zaproszenie.

—Daj Bóg takie rzeczy widzieć!

—Daj Bóg!—rzekł de Lorche. — I choćby Zawisza był pokonan, co łatwo się może zdarzyć, wielka to chwala dla niego, że go taki Jan z Aragonii pozwał, ba! i dla całego waszego narodu.

—A obaczym!—rzekł Zbyszko—mówię tylko: daj Bóg widzieć.

—A ja przywtarzam.

Jednak życzenie ich nie miało się tym razem spełnić, gdyż stare kroniki wspominają, że pojedynek Zawiszy z przesławnym Janem z Aragonii odbył się dopiero w kilka lat później, w Perpignano, gdzie w obecności cesarza Zygmunta, papieża Benedykta XIII, a dalej króla aragońskiego i wielu książąt i kardynałów, Zawisza Czarny z Garbowa zwałił z konia pierwszym uderzeniem kopii swego przeciwnika i świetnie nad nim odniósł zwycięstwo. Tymczasem wszelako i Zbyszko i de Lorche cieszyli się w sercach, myśleli bowiem, że gdyby nawet Jan z Aragonii nie mógł się na ów termin

stawić, to i tak ujrzą znamienite czyny rycerskie, bo w Polsce nie brakło zapaśników, mało co Zawiszy ustępujących, a między gośćmi krzyżackimi można było zawsze znaleźć najprzedniejszych szermierzy francuskich, angielskich, burgundzkich i włoskich, gotowych z każdym iść o lepszą.

—Słuchaj— rzekł do pana de Lorche Zbyszko. Cni mi się bez stryja Maćka i pilno mi go wykupić, przeto jutro zaraz do dnia do Płocka ruszę. Ale po co ty masz tu ostawać? Nibyś u mnie w niewoli, więc jedź ze mną, a obaczysz króla i dwór.

—Chciałem cię właśnie o to prosić — odrzekł de Lorche bom zdawna chciał widzieć waszych rycerzy, a przytem słyszałem, że damy z dworu królewskiego więcej do aniołów, niż do mieszkanki ziemskiego padółu są podobne.

—Dopiero coś to powiedział o Witoldowym dworze—zauważył Zbyszko.

III.

Zbyszko wyrzucał sobie w duszy, iż w swe boleści o stryjcu przepomniął, a że i bez tego prędko zwykł był wykonywać, co zamierzył, więc nazajutrz do dnia wyruszyli razem z panem de Lorche do Płocka. Nadgraniczne drogi nawet w czasach największego spokoju nie były bezpieczne z przyczyny łotrów, których liczne kupy wspierali i otaczali opieką Krzyżacy, co ostro wymawiał im król Jagiełło. Mimo skarg, które aż o Rzym się opierały, mimo pogroźek i srogiego wymiaru sprawiedliwości, komturowie sąsiedni pozwalali często zaciężnym knechtom łączyć się ze zbójami, wypierając się wprowadzie tych, którzy mieli niebezpieczeństwo wpaść w ręce polskie, ale dając schronienie powracającym ze zdobyczą i jeńcami nietylko we wsiach zakonnych, lecz i w zamkach.

W takie to właśnie zbójckie ręce dostawali się niejednokrotnie podróżni i mieszkańcy nadgraniczni a zwłaszcza dzieci bogatych ludzi, które porywano dla okupu. Ale dwaj młodzi rycerze, mając znaczne pocztę każdy, prócz woźniców, z kilkunastu orężnych pieszych i konnych pachołków, nie obawiali się napadu i bez przygód dotarli do Płocka, gdzie zaraz na wstępie miła czekała ich niespodzianka.

Oto w gospodzie znaleźli Tolimę, który przybył na dzień przed nimi. Stało się to takim sposobem, iż starosta krzyżacki z Lubawy, zasłyszawszy, że wysłannik w chwili, gdy go napadnięto niedaleko Brodnicy, zdołał ukryć część okupu, odesłał go z poleceniem do komtura, aby go zmusił do wskazania, gdzie pieniądze zostały schowane. Tolima skorzystał ze sposobności i uciekł, gdy zaś rycerze dziwili się, iż udało mu się to tak łatwo, objaśnił im rzecz jak następuje:

Wszystko przez ich łakomstwo. Nie chciał komtur brodnicki przydawać mi znacznej straży, bo nie chciał, by się o pieniądzech rozgłosilo. Może ułożyli się z lubawskim, że trzeba będzie znaczną część do Malbarga odesłać, albo i wszystko owym Badenom oddać. Dodał ci mi tedy jeno dwóch ludzi, jednego zaufanego knechta, który musiał po Drwęcy razem ze mną wiosłować i jakowegoś pisarza.... A zaś chodziło im, by nikt nas nie widział, więc było to pod noc i wiecie, że granica tuż. Dali im też wiosło dębowe... no — i łaska Boska... bom jest oto w Płocku.

—Wiem! a tamci nie wrócili! — zawołał Zbyszko.

Na to uśmiech rozjaśnił srogą twarz Tolimy.

—Wždy Drwęca do Wisły płynie—rzekł.— Jakoże im było pod wodę wracać? Znajdą ich Krzyżaki chyba w Toruniu.

—Pieniędzy część mi komtur lubawski zagabił, ale te, które przy napaści ukryłem tom odnalazł i teraz dałem je, panie, waszemu giermkowi do schowania, bo on w zamku u

księcia mieszka, a tam im przezpieczniej, niż u mnie w gospodzie.

—To mój giermek jest tu, w Płocku? a co on tu robi?—zapytał ze zdziwieniem Zbyszko.

—On przecie po przywiezieniu Zyg fryda odjechał z tą panną, która w Spychowie była, a teraz jest dwórką tutejszej księżny. Tak ci wczoraj gadał.

Ale Zbyszko, który przygłuszony boleścią po śmierci Danusi, o nic w Spychowie nie pytał i o niczem nie wiedział, teraz dopiero przypomniał sobie, że Czech był naprzód z Zyg frydem wyprawiony — i na to wspomnienie serce ścisnęło mu się żalem i pomstą.

—Prawda!— rzekł. —A gdzie zaś ów kat? co się z nim stało?

—Nie powiadał ksiądz Kaleb? Zyg fryd powiesił się, przejeżdżaliście, panie, wedle jego mogiły.

Nastąpiła chwila milczenia.

—Mówił giermek — rzekł wreszcie Tolima —iż się do was wybiera, a byłby to już dawno uczynił, jeno, że panny musiał pilnować, która tu po powrocie ze Spychowa chorzała.

A Zbyszko spytał znów, otrząsnąwszy się z żalosnych wspomnień jakby ze snu:

—Jakiej panny?

—No tej!— odrzekł stary— waszej siostry, albo krewniaczki, która tu z rycerzem Maćkiem do Spychowa w pacholikowych szatkach przyjechała, a po drodze pana naszego, omackiem idącego znalazła. Żeby nie ona, nie byłby rycerz Maćko, ani wasz giermek pana poznali. Miłował ci też ją nasz pan wielce, bo w takim go miała starunku, jak córka i prócz

księdza Kaleba, ona jedna mogła go wyrozumieć.

Więc młody rycerz otworzył ze zdumienia szeroko oczy.

— Nie powiadał mi ksiądz Kaleb o żadnej pannie i ja nijakiej krewniaczki nie mam.

— Nie powiadał, boście panie, w zapamiętaniu od boleści żyli i o Bożym świecie nie wiedzieli.

— A jakoż na ową pannę wołali?

— Wołali na nią Jagienka.

Zbyszkowi wydawało się, że śni. Myśl, że Jagienka z odległych Zgorzelic mogła przyjechać, aż do Spychowa, nie chciało mu się w głowie pomieścić. I po co? Dlaczego? Nie było mu wprawdzie tajne, że dziewczyna rada go widziała i lgnęła do niego w Zgorzelicach, ale on jej przecie wyznał, że był żonaty— więc wobec tego nie mógł żadną miarą przypuścić, aby stary Maćko zabrał ją do Spychowa w tym celu, aby ją za niego wydać. Zresztą i Maćko i Czech nawet mu o niej nie wspomnieli.... Wszystko to wydało mu się ogromnie dziwne i zupełnie niezrozumiałe, więc zaczął znów zarzucać pytaniami Tolimę, jak człowiek, który własnym uszom nie wierzy i chce, by mu powtórzono nieprawdopodobną nowinę.

Tolima jednakże nie umiał mu nic powiedzieć, nad to, co poprzednio powiedział, ale natomiast poszedł na zamek szukać giermka i niebawem, jeszcze przed zachodem słońca, z nim powrócił. Czech witał młodego pana z radością, ale i ze smutkiem, bo się już był poprzednio o wszystkim, co zaszło w Spychowie, dowiedział. A Zbyszko również rad mu był z całej duszy, czując, iż to jest serce przy-

jazne i wierne, jedno z takich, jakich człowiek w nieszczęściu najbardziej potrzebuje. Rozrzewnił się też i rozkliwił, opowiadając mu o śmierci Danusi i podzielił się z nim bólem, żalem łzami, tak właśnie, jak brat dzieli się z bratem. Długo to wszystko trwało, zwłaszcza, że w końcu, na prośbę Zbyszkową, powtórzył im pan de Lorche ową pieśń żalosną, którą był o zmarłej ułożył i śpiewając przy cytrze, w otwartem oknie, podnosząc oczy i twarz ku gwiązdom.

Aż gdy już im wreszcie znacznie ulżyło, poczęli mówić o sprawach, które czekały ich w Płocku.

—Wstąpiłem tu po drodze do Malborka—rzekł Zbyszek—bo to wiesz, że stryj Maćko w niewoli i że po niego z okupem jadę.

—Wiem—odparł Czech.—Dobrzeście zrobili, panie. Chciałem sam do Spychowa jechać, aby wam drogę na Płock doradzić; król w Raciażku ma układy z Wielkim Mistrzem prowadzić, przy królu zaś łatwiej się upomnieć, ile że wobec majestatu nie tacy Krzyżacy hardzi i udają pocziwość chrześcijańską.

—A mówił Tolima, że miałeś do mnie jechać, ale cię niezdrowie Jagienki Zychówny wstrzymało. Słyszałem, że ją stryj Maćko wte strony przywiózł i że w Spychowie też była? Okrutniem się dziwował! Ale gadaj, skroś jakiejże przyczyny stryj Maćko ją ze Zgorzelic zabierał?

—Siła było przyczyn. Bał się rycerz Maćko, że gdy ją bez nijakiej opieki zostawi, to rycerze Wilk i Cztan będą na Zgorzelice najeżdżali, przyczem mogła się stać i młodszymi dzieciom krzywda. A bez niej jużci przepie-

czniej, bo w Polsce, jako: zdarzy się, że szlachcic — nie mogąc inaczej — siłą dziewczkę bierze, ale na małe sieroty nikt ręki nie podniesie, gdyż za to i miecz katowski i gorsza od miecza hańba! Była wszelako i druga takowa przyczyna, że opat umarł i pannę dziedziczką swych włości uczynił, nad któremi opiekę miał tutejszy biskup. Przeto rycerz Maćko pannę do Płocka przywiózł.

—Ale ją i do Spychowa brał?

—Brał na czas wyjazdu biskupa i księstwa, gdyż nie było jej przy kim ostawić. I szczęście, że ją wziął. Gdyby nie panienska, bylibyśmy ze starszym panem przejechali wedle rycerza Juranda jak koło obcego dziada. Dopieroż, jak się poczęła nad nim litować, uznaliśmy kto ów dziad. Pan Bóg to wszystko zrządził przez jej miłosierne serce.

I począł opowiadać jak, następnie Jurand nie mógł się bez niej obyć, jak ją miłował i błogosławił, a Zbyszko, choć to już wiedział od Tolimy, słuchał tego opowiadania ze wzruszeniem i wdzięcznością dla Jagienki.

—Niech jej Bóg da zdrowie!—rzekł wreszcie — Dziwno mi jeno, żeście mi nic o niej nie mówili.

A Czech zakłopotał się nieco i chcąc zyskać czas do namysłu nad odpowiedzią, zapytał:

—Gdzie, panie?

—A u Skirwoiły, tam na Zmujdzi.

—Nie mówiliśmy? Jako żywo! Mnie się wydaje, żeśmy mówili, ale wam w głowie było co innego.

—Mówiliście, że Jurand wrócił, ale o Jagience nic.

—Ej! czyście nie zabaczyli? a wreszcie Bóg raczy wiedzieć! Może rycerz Maćko myślał, że ja powiedziałem, a ja, że on. Na nic to było, panie, cośkolwiek wam wtedy powiadać. I nie dziwota! Ale teraz rzekę co innego: Szczęście, że panienka też jest, bo ona i rycerzowi Maćkowi się przyda.

—Cóż zaś może wskórać?

—Niech jeno słowo tutejszej księżnie powie, która okrutnie ją miłuje! A znów Krzyżacy niczego księżnie nie odmawiają, bo raz, że królewska rodzona, a powtóre, wielka Zakonu przyjaciółka. Teraz, jakoście może słyszeli, książ Skirgiełł (też rodzony brat królewski) podniósł się przeciw kniaziowi Witoldowi i do Krzyżaków uciekł, którzy chcą go wspomódz i na Witoldowym stolcu posadzić. Król bardzo księżnę nawidzi i rad, jako mówią, ucha jej podaje, więc Krzyżacy chcą, by na stronę Skirgiełła przeciw Witoldowi króla skłoniła. Rozumieją to—mać ich zatracona!—że byle się Witolda pozbyli, będą mieli spokój. Więc posły krzyżackie od rana do wieczora księżnie pokłony biją i każdą jej chęć zgadują.

—Jagienka miłuje wielce stryja Maćka i pewnie za nim się wstawi— rzekł Zbyszko.

—Jużci, że nie będzie inaczej! Ale chodźcie, panie, na zamek i powiedzcie jej, jak i co mówić.

—Mieliśmy i tak na zamek z panem de Lorche iść — odrzekł Zbyszko — i po tom tu przyjechał. Trzeba nam tylko włosy utrefić i przyodziać się przystojnie.

Po chwili zaś dodał:

—Chciałem z żalości włosy obciąć, alem przepomniał.

—To i lepiej!—rzekł Czech.

I wyszedł wołać służebnych pacholców, wróciwszy zaś z nimi, podczas gdy dwaj młodzi rycerze przyozdabiali się godnie na wieczorną ucztę do zamku, powiadał dalej, co się na królewskim i książęcym dworze dzieje.

—Krzyżacy — mówił — jako mogą, pod kniazem Witoldem kopią, bo póki on żyw i z ramienia królewskiego potężną krainą władcze, póty nie zaznać im spokoju! Naprawdę jego jednego oni się boją! Hej! kopią, jako krety! Podburzyli już na niego tutejszych księstwa oboje, a ponoć okazali także, że nawet i książę Janusz teraz na niego krzyw, z przyczyny Wizny....

—A książę Janusz i księżna Anna też tu są?—zapytał Zbyszko. — Siła znajomych się znajdzie, bom przecie i w Płocku nie pierwszy raz.

—Jakże! — odrzekł giermek — są oboje, mają oni mało spraw z Krzyżakami, które to krzywdy chcą Mistrzowi przy królu do oczu wymówić.

—A król co? za kim jest? Zali mu nie gniewno na Krzyżaków i mieczem nad nimi nie potrzasa?

—Król Krzyżaków nie kocha, mówią, że zdawna już wojną grozi... A co do kniazia Witolda, to woli go król od rodzonego Skirgiełła, którego jest wicher i opój.... I dlatego, rycerze, którzy są przy majestacie, powiadają, że król się przeciw Witoldowi nie opowie i nie obiecuje Krzyżakom, że go nie będzie wspomagał. I to może być, bo od kilku dni księżna tutejsza Aleksandra bardzo wedle króla zabiega i jakaś frasobliwa chodzi.

—Zawisza Czarny tu jest?

—Niemasz go, ale i tym, którzy są, napa-
trzyć się nie mcżna i gdyby co do czego przy-
szło, hej, mocny Boże!— polecą też wiory i pa-
ździerze z Niemców, polecą!....

—Nie ja ich będę żałował.

W kilka pacierzy później, przybrawszy się
pięknie, wyszli na zamek. Uczta wieczorna
miała się odbyć tego dnia, nie u samego księ-
cia, lecz u starosty ogrodowego Andrzeja z Ja-
sieńca, którego obszerne domostwo leżało w
obróbie murów zamkowych przy Baszcie Wię-
kszej. Z powodu przecudnej, aż nazbyt ciepłej
nocy, starosta, bojąc się, aby gościom nie by-
ło duszno w izbach, rozkazał zastawić stoły na
podworcu, na którym z pomiędzy kamiennych
płyt wyrastały jarzęby i cisy. Płonące beczki
smolne oświecały je jasnym żółtym płomie-
niem ale jeszcze jaśniej oświecał księżyc, któ-
ry błyszczał na bezchmurnem niebie, wśród ro-
jów gwiazd, jak srebrna tarcza rycerska. Ko-
ronowani goście jeszcze nie nadeszli, ale roilo
się już od miejscowego rycerstwa, od ducho-
wnych, od dworzan, zarówno królewskich, jak
i książęcych. Zbyszko znał ich wielu, zwłaszcza
z dworu księcia Janusza, a z dawnych znajo-
mych krakowskich ujrzał Krzona z Kozich-
głów, Lisa z Targowiska, Marcina z Wroci-
mowic, Domarata z Kobylan i Staszka z Char-
bimowic, a w reszcie i Powagę z Taczewa, któ-
rego widok szczególnie go ucieszył, pamiętał
bowiem jaką życzliwość, mu okazał owego cza-
su ów sławny rycerz w Krakowie.

Nie mógł jednakże do żadnego z nich od-
razu dostąpić, albowiem miejscowi rycerze
mazowieccy otaczali każdego z nich ciasnem

kołem, wypytując się o Kraków, o dwór, o zabawy, o różne przewagi bojowe, a zarazem przypatrując się ich świetnym szatom, ich trenowaniu włosów, których cudne zwoje polepione były białkiem dla mocy i biorąc z nich we wszystkim wzór dworności i obyczajów.

Wszelako Powąła z Taczewa poznał Zbyszka i rozsunawszy Mazurów, zbliżył się ku niemu.

— Poznałem cię, młodzianku — rzekł, ścisnąc jego dłoń. — Jakoż się miewasz i skąd się tu znalazłeś? Dla Boga! widzę, że już pas i ostrogi nosisz. Inni do siwych włosów na to czekają, ale ty widać godnie św. Jerzemu służysz.

Szczęście wam Boże, szlachetny panie, — odrzekł Zbyszko. — Gdybym najprzedniejszego Niemca z konia zwał, nie takbym się ucieszył, jak z tego, że was wzdrowiu oglądam.

— Jam też rad. A rodzic twój gdzie?

— Nie rodzic, jeno stryj. W niewoli ci on u Krzyżaków i z wykupem za niego jadę.

— A oważ dziewczeczka, która cię nałęczką przykryła?

Zbyszko nie odrzekł nic tylko podniósł w górę oczy które załzawiły mu się w jednej chwili co widząc pan z Taczewa rzekł:

Padół to jest lez..... nic jeno prawy padół! Ale chodźmy na ławę pod jarzęba to mi opowiesz swoje rzewliwe przygody.

I pociągnął go w kąt dziedzińca. Tam Zbyszko, siadłszy obok niego począł mu opowiadać o niedoli Juranda, o pochwyceniu Danusi i o tem, jak jej szukał i jako mu zmarła po odbiciu. A Powąła słuchał uważnie i naprzemian to zdumienie, to gniew, to zgro-

za, to litość odbijały mu się na obliczu. Wreszcie, gdy Zbyszko skończył rzekł:

—Opowiem to królowi, panu naszemu! Ma on i tak upomnieć się u Mistrza o małego Jaska z Kretkowa i srogiej domagać się kary na tych, którzy go porwali. A porwali dlatego, że bogaty i chcą wykupu. Nie to u nich na dziecko rękę podnieść.

Tu zamyślił się nieco, poczem mówił dalej, jakby do siebie samego:

—Nienasycone to plemię, gorsze od Turków i Tatarów. Bo oni w duszy i króla i nas się boją, a jednak od grabieży i mordów nie mogą się powstrzymać. Napadają wsie, rzezają kmieciów, topią rybaków, chwytają dzieci jak wilcy. Cóżby to było, gdyby się nie bali!.... Mistrz na króla listy do obcych dworów wysyła, a w oczy mu się łasi, bo lepiej od innych naszą potęgę rozumie. Ale przebierze się w końcu miara!

I znów na chwilę ucichło, a potem położył dłoń na ramieniu Zbyszka.

—Powiem królowi— powtórzył— a w nim wre już zdawna gniew, jak ukrop w garnku i tego bądź pewien, że kara okrutna nie minie sprawców twojej niedoli.

—Z tych, panie, już żaden nie żywie— odparł Zbyszko.

A Powął spoglądał na niego z wielką przyjacielską życzliwością:

—Bogdajże cię! To widać swego nie darujesz. Jednemu Lichtensteinowi jeszcze nie odpłacił, bo wiem, żeś nie mógł. Myśmy mu także w Krakowie ślubowali, ale z tem trzeba chyba wojny—którą daj Bóg — doczekać, gdyż on bez pozwolenstwa mistrzowego stanąć nie

może, a Mistrzowi jego rozum potrzebny, dla którego ciągle go na różne dwory posyła, więc mu i nie łatwo pozwoli.

—Pierwej muszę stryjca wykupić.

—Tak... i wreszcie pytałem się o Lichtensteina. Niema go tu i nie będzie w Raciążku, gdyż wysłan jest do króla angielskiego po łuczników. A o stryjca niech cię głowa nie boli. Gdy król, albo tutejsza księżna słowo rzekną, to z okupem nie pozwoli Mistrz kręcić.

—Tembardziej, że mam jeńca znacznego, rycerza de Lorche, którego jest pan możny i między nimi sławny. Radby on się pewnie wam, panie, pokłonić i znajomość z wami uczynić, bo nikt więcej nad niego nie wielbi sławnych rycerzy.

To rzekłszy, skinął na pana de Lorche, który stał w pobliżu, a ów rozpytawszy się już poprzednio, z kim Zbyszko rozmawia, zbliżył się skwapliwie, bo istotnie zapłonął chęcią poznania tak sławnego jak Powąła rycerza.

Więc gdy ich Zbyszko zaznajomił skłonił się wytworny Geldryjczyk jak najukładniej i rzekł:

—Jeden tylko byłby większy zaszczyt, panie, od uściśnięcia waszej dłoni, a to potykać się z wami w szrankach, albo w bitwie.

Na to uśmiechnął się potężny rycerz z Taczewa, gdyż przy drobnym i szczupłym panu de Lorche wyglądał jak góra i rzekł:

A ja tam rad, że się spotkamy jeno przy pełnych konwiach i da Bóg, nigdy inaczej.

De Lorche zaś zawahał się nieco, a potem ozwał się jakby z pewną nieśmiałością:

—Gdybyście jednak, szlachetny panie, chcieli twierdzić, że panna Agnieszka z Dłu-

golasu nie jest najpiękniejszą i najcnotliwszą damą w świecie.... Wielki byłby dla mnie honor.... zaprzeczyć i....

Tu przerwał i począł patrzeć w oczy Powale z szacunkiem, ba! nawet z uwielbieniem, ale bystro i uważnie.

Ale ów, czy dlatego, że widział, iż zgniótłby go w dwóch palcach, jak orzech, czy dlatego, że duszę miał niezmiernie dobrotliwą i wesołą, roześmiał się głośno i rzekł:

Ba, ja swego czasu ślubowałam księżnie burgundzkiej, ale ona wówczas miała z dzie sięć roków więcej odemnie; jeżelibyście więc, panie, chcieli twierdzić, że moja księżna nie jest starsza od waszej panny Agnieszki, to trzeba nam będzie zaraz na koń....

Usłyszawszy to, de Lorche popatrzał przez chwilę w zdumieniu na pana z Taczewa, poczem jednak twarz poczęła mu drgać i wreszcie wybuchnął i on szczerym śmiechem.

A Powala pochylił się otoczył mu biodra ramieniem, nagle podniósł go z ziemi i począł kołysać go z taką łatwością, jakby pan de Lorche był niemowlęciem.

—Pax! pax — rzekł — jak mówi biskup Kropidło... Udaliście mi się rycerzu i przebóg, nie będziem się potykali o żadne damy.

Zaczem, uściskawszy go, postawił na ziemi, gdyż właśnie przy wejściu na dziedzińcu huknęły nagle trąby i wszedł książę Zimowit Płocki z małżonką.

—Tutejsi księstwo przed królem i przed księciem Januszem przybywają—rzekł do Zbyszka Powala—bo choć uczta u starosty, ale zawsze, w Płocku— oni gospodarze. Pójdź ze

mną do Pani, boć ją znasz jeszcze z Krakowa, gdzie się do króla za tobą przyczyniała.

I wzięwszy go za rękę, powiódł przez dziedziniec. Za księciem i za księżną szli dworzanie i dworki, wszyscy z powodu obecności króla bardzo strojni i świetni, że aż cały dziedziniec zajaśniał od nich, jak od kwiatów. Zbyszko, zbliżając się z Powalą, przepatrywał zdala twarze, czyli nie dojrzy między niemi znajomych i nagle, aż przystanął ze zdumienia.

Bo oto tuż za księżną ujrzał rzeczywiście znajomą postać i znajomą twarz, ale tak poważną, tak piękną i tak pańską, iż pomyślał, że go chyba oczy mylą:

—Jagienka li-to, czyli może córka księstwa na Płocku?

Ale to była Jagienka Zychówna ze Zgorzelic, gdyż w chwili gdy oczy ich spotkały się, uśmiechnęła się do niego zarazem przyjaźnie i litościwie, a potem przybladła nieco i nakrywszy oczy powiekami, stała w złotej przepasce na ciemnych włosach i w niezmiernym blasku swej piękności, wysoka i cudna, nietylko do księżniczki, ale do prawdziwej królowy podobna.

IV.

Zbyszko podjął Panią na Płocku pod nogi i służby jej swoje ofiarował, ale ona niepoznała go w pierwszej chwili gdyż nie widziała go od dawnego czasu. Aż dopiero, gdy jej powiedział jako go wołają,—rzekła:

—Prawdziwie! A ja myślałam, że kto z dworu królewskiego. Zbyszko z Bogdańca! Jakże! Gościł tu u nas wasz stryjko, stary rycerz z Bogdańca i pamiętam, jako i mnie i moim dwórkom służy ciurkiem leciały, gdy nam o was pawił. A odnaleźliście waszą niewiastę? gdzie ona teraz?

—Zmarła mi, Miłościwa Pani....

—O miły Jezu! Nie mówcie bo płakania nie strzymam. Jedno to pociecha, że pewnie w niebie, a wyście młodzi. Mocny Boże! mdłe to stworzenie —każda niewiasta. Ale w niebie za wszystko nagroda i tam ją znajdziecie. Zaś stary rycerz z Bogdańca jest tu z wami?

—Nie masz go bo w niewoli u Krzyżaków, z której jadę go wykupić.

—To i jemu się nie poszczęściło. A zdawał się człek bystry i wszelaki obyczaj znający. Ale jak go wykupicie, zajedźcie też do nas. Radzi was ugościm, bo szczerze powiadam, że jemu na rozumie, a wam na gładkości nie zbywa.

—Uczynim tak, Miłościwa Pani, tem bardziej, zem i teraz umyślnie tu przyjechał, aby Waszą Miłość o dobre słowo za nim prosić.

—Dobrze. Przyjdźcie jutro przed wyjazdem na łowy, to będę miała czas....

Dalsze jej słowa przerwał znowu huk trąb i kotłów, oznajmujących przybycie księstwa Januszów Mazowieckich. Poniewasz Zbyszko z panią na Płocku stał tuż przy wejściu, więc księżna Anna Danuta spostrzegła go odrazu i natychmiast zbliżyła się do niego, nie zważając na pokłony gospodarza starosty.

A w młodzianku rozdarło się na nowo serce na jej widok, więc klęknął przed nią i objawszy rękoma jej kolana, klęczał w milczeniu, ona zaś pochyliła się nad nim i ścisnąwszy mu dłońmi skronie, roniła łzę po łzie na jego jasną głowę, zupełnie jak matka, która płacze nad nieszczęściem syna.

I ku wielkiemu zdziwieniu dworzan i gości płakała tak długo, powtarzając: “O Jezu, o Jezu miłosierny!” — poczem podniosła Zbyszka z klęczek i rzekła:

—Płaczę po niej, po mojej Danusce i płaczę nad tobą. Bóg tak wszelako zrządził, że na nic były twoje trudy i na nic teraz nasze łzy. Ale ty mi praw o niej i jej śmierci, bo choć bym do północkska słuchała, nigdy nie będzie mi tego dosyć.

I wzięła go na stronę, tak, jak poprzednio brał go pan z Taczewa. Ci z gości, którzy nie znali Zbyszka, poczęli dopytywać o jego przygody i w ten sposób przez jakiś czas wszyscy rozmawiali tylko o nim, o Danusi i o Jurandzie. Dopytywali się także posłowie krzyżacy, Frydrych von Wenden, komtur to-

ruński, wysłany na spotkanie króla i Jan von Schoenfeld, komtur z Ostrody. Ten ostatni, Niemiec, ale rodem ze Śląska, umiając dobrze po polsku, z łatwością się dopytał o co chodzi i wysłuchawszy opowieści z ust Jaska z Zabierza, dworzanina księcia Janusza, rzekł:

—Danveld i de Loewe byli samemu Mistrzowi podejrzani,—że zajmowali się czarną magią.

Poczem pomiarkował wnet, że jednak opowiadanie podobnych rzeczy mogło rzucić na cały Zakon cień taki, jaki padł swego czasu na Templaryuszów i dodał prędko:

—Tak przynajmniej bajczarze prawili, ale to nie była prawda, bo takich nie masz między nami.

Lecz stojący w pobliżu pan z Taczewa odpowiedział:

—Komu wadzi chrzest Litwy, tego może mierzić i krzyż.

—My krzyż na płaszczech nosim — odpowiedział z dumą Schoenfeld.

Na to zaś Powąła:

—A trzeba go nosić w sercach.

Tymczasem zagrały trąby jeszcze rozgłośniej i nadszedł król, a z nim razem arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, biskup plocki, kasztelan krakowski i kilku innych dygnitarzy i dworzan, między którymi był i Zyndram z Maszkowic herbu Słońce i młody książę Jamont, przyboczny pański. Król mało się zmienił od czasu, jak go Zbyszko nie widział.

Na jagodach miał takie same mocne rumieńce, takie same długie włosy, które co chwila zakładał za uszy, i tak samo niespo-

kojnie strzelające oczy. Zdawało się tylko Zbyszkowi, że więcej ma w sobie powagi i więcej majestatu, jak gdyby się już czuł pewniejszy na tym tronie, który po śmierci królowej chciał być zrazu opuścić, nie wiedząc, czy się na nim osiedzi i jak gdyby świadomszy teraz był swej niezmiernej potęgi i siły. Obaj książęta mazowieccy ustawili się zaraz przy bokach pana, od przodu bili powitalne pokłony niemieccy posłowie, a naokół stanęli dygnitarze i przedniejsi dworscy. Mury okalające dziedziniec, drżały od nieustających okrzyków, od odgłosu trąb i grzmienia kotłów.

Gdy wreszcie nastała cisza, poseł krzyżacki von Wenden począł mówić o sprawach Zakonu, ale król, gdy po kilku słowach zmierzał, do czego zmierza przedmowa, machnął niecierpliwie ręką i ozwał się swym grubym, donośnym głosem:

— Mileżałbyś! Na uciechę my tu przyszedliśmy i jadło, a napitek, nie twoje pergaminy, radziobaczym.

Lecz uśmiechnął się przytem dobrotliwie, nie chcąc, aby Krzyżak myślał, że mu gniewnie odpowiada i dodał:

— O sprawach będzie czas gadać z Mistrzem w Raciążku.

Potem do księcia Zimowita:

— A jutro do puszczy na łów—co?

Pytanie to było zarazem oznajmieniem, że tego wieczoru nie chce o czem innem mówić, jeno o łowach, w których z całej duszy się kochał i dla których rad na Mazowsze przyjeżdżał, gdyż Mało i Wielkopolska mniej były lesiste, a w niektórych tak już zaludnione, że im zgoła brakło lasów.

Więc poweselały oblicza, bo wiadano, że król przy rozmowie o łowach bywa także i wesół i niezmiernie łaskaw. Książę Zimowit począł też zaraz opowiadać, dokąd pojadą i na jakiego zwierza będą polowali, a książę Janusz posłał jednego z dworzan, aby sprowadził z miasta jego dwóch “brońców”, którzy żubry wywodzili z ostępów za rogi i łamali kości niedźwiedzim, pragnąc ich bowiem królowi pokazać.

Zbyszko chciał bardzo pójść, pokłonić się Panu, ale nie mógł do niego dostąpić. Zdala tylko książę Jamont, zapomniawszy widocznie o ostrej odpowiedzi jaką swego czasu młody rycerz dał mu w Krakowie, kiwnął mu przyjaźnie głową, dając zarazem znać na migi, aby się do niego przy sposobności zbliżył. Ale w tej chwili jakaś ręka dotknęła ramienia młodego rycerza i słodki smutny głos ozwał się tuż przy nim:

—Zbyszku....

Młodzian odwrócił się i ujrzał przed sobą Jagienkę. Zajęty poprzednio powitaniem księżny Zimowitowej, a następnie rozmową z księżną Januszową, nie mógł dotychczas zbliżyć się do dziewczyny, więc ona sama, korzystając z zamieszania, jakie wywołało przybycie króla, przyszła ku niemu.

—Zbyszku,—powtórzyła—niech cię pocieszy Bóg i Najświętsza Panna.

—Bóg wam zapłać — odpowiedział rycerz.

I spojrzał z wdzięcznością w jej modre oczy, które w tej chwili przesłoniły się jakby rosą. Poczem stali przed sobą w milczeniu, bo choć ona przyszła do niego, jak dobra i smutna siostra, wydała mu się jednak w swej

królewskiej postawie i w świetnych dworskich szatach tak inną od dawnej Jagienki, że w pierwszej chwili nie śmiał nawet mówić jej: ty, jak ongi w Zgorzelicach i w Bogdańcu. Ona zaś myślała, że po tych słowach, które wyrzekła, nie ma mu nic więcej do powiedzenia.

I aż zakłopotanie odbiło się na ich twarzach. Ale w tej chwili "rum" uczynił się na dziedzińcu, albowiem król zasiadł do wieczerzy. Do Zbyszka zbliżyła się znów księżna Januszowa i rzekła:

—Założliwa to będzie dla nas obojga uczta, ale mi służ, jakoś dawniej służywał.

Więc młody rycerz musiał odejść od Jagienki, i gdy gościę zasiedli, stanął przy ławce za plecami księżny, aby zmieniać miski i nalewać jej wody i wina. Służąc mimowoli spoglądał kiedy niekiedy na Jagienkę, która, będąc dworką księżny na Płocku, siedziała tuż obok niej—i również mimowoli musiał podziwiać jej urodę. Jagienka od tych kilku lat urosła znacznie, ale zmienił ją jednak nietyle wzrost, ile powaga, której nie miała przedtem ani śladu. Dawniej, gdy w kożuszkach i z liśćmi w rozartganych włosach ganiała na koniu po borach i lasach, można ją było poczytać bogdaj za urodziwą chłopiankę, teraz na pierwszy rzut oka widać w niej było dziewczkę znacznego rodu i wielkiej krwi,—taki rozlewał się w jej twarzy spokój. Zbyszko zauważył też, że znikła jej dawna wesołość, ale temu mniej się dziwił, wiedział bowiem o śmierci Zycha. Dziwiła go natomiast najwięcej ta jakaś jej godność, i z początku zdawało mu się, że to strój daje jej takie pozory. Więc spoglą-

dał kolejno to na złotą przepaskę, która obejmowała jej białe jak śnieg czoło i ciemne włosy, spadające w dwóch warkoczach na plecy, to na niebieską obcisłą, a bramowaną purpurowym szlakiem szatę, pod którą rysowała się wyraźnie jej strzelista postać i dziewczę pierś — i mówił sobie: "Iście prawa księżniczka!" Ale potem uznał, że choćby teraz wzięła na siebie prosty kożuch, to jużby nie potrafił już tak być z nią śmiałym, jak dawniej.

Zauważył następnie, że rozmaici młodzi, a nawet starsi rycerze wpatrują się w nią pilnie i łagodnie, a raz, gdy zmieniał przed księżną miąg, spostrzegł zapatrzoną i jakby w niebo-wziętą twarz pana de Lorche i na ten widok uczuł na niego gniew w duszy. Nie uszedł geldryjski rycerz baczności i księżny Januszowej, która, poznawszy go, nagle rzekła:

—Widzisz: de Lorche! Pewnikiem znów się w kim kocha bo cały olśnął.

Zaczem pochyliła się nieco nad stołem i spojrzawszy w bok ku Jagience, rzekła:

—Wiera, że gasną inne świeczki przy tej pochodni.

Zbyszka ciągnęło jednak do Jakienki, gdyż wydała mu się jakby kochająca i kochana krewna i czuł, że lepszej spółniczki do smutku i większej litości w niczyjem sercu nie znajdzie, ale tego wieczoru nie mógł do niej więcej przemówić, a to dlatego, że był zajęty służbą, a powtórę, że przez cały czas uczyli gądkowie śpiewali pieśni, albo trąby czyniły tak hałaśliwą muzykę, że ci nawet, którzy koło siebie siedzieli, zaledwie mogli się dosłyszeć. Obie też księżne, a z niemi niewiasty, wstały wcześniej

od stołów, od króla, od książąt i rycerzy, którzy mieli zwyczaj do późna w noc zabawiać się kielichami. Jagience, która niosła poduszkę do siedzenia dla księżnej nijako się było za-trzymać więc odeszła także tylko na odcho-dnem uśmiechnęła się znów Zbyszkowi i ski-nęła mu głowę.

Późno, dopiero przededniem, młody ry-cerz, pan de Lorche i dwaj ich giermkowie wracali do gospody, Czas jakiś szli pogrążeni w myślach, ale gdy już byli niedaleko domu, de Lorche począł coś mówić do swego gierm-ka, Pomorzanina, umiającego dobrze po pol-sku, a ten zwrócił się następnie do Zbyszka:

Pan mój chciałby o coś Waszą Miłość za-pytać.

—Dobrze— odpowiedział Zbyszko.

Wówczas tamci znów pogadali chwilę z so-bą, poczem Pomorzanin, uśmiechając się nieco pod wąsem, rzekł:

—Pan mój chciałby spytać: czy to jest pe-wne, że ta panna, z którą Wasza Miłość rozma-wiała przed ucztą, jest śmiertelna, czyli też to jest właśnie anioł, albo święta?

—Powiedz twemu panu,—odpowiedział z pewną niecierpliwością Zbyszko— że już mnie drzewiej tak samo pytał i że aż mi cudnie tego słuchać. Bo jakże: w Spychowie mówił mi, że się na dwór księcia Witoldowy dla urody Li-twinek wybiera, potem skroś tejże przyczyny, chciał jechać do Płocka, w Płocku dziś chciał rycerza z Taczewa dla Agnieszki z Długolasu pożywać, a teraz znów w inną godzi. Zali taka to u niego stateczność i taka rycerska wiara?

Pan de Lorche wysłuchał tej odpowiedzi z ust swego Pomorczyka, westchnął głęboko,

popatrzył chwilę w blednące nocne niebo i tak na zarzuty Zbyszkowe odpowiedział:

—Słusznie mówisz. Ni statku, ni wiary! bom jest człek grzeszny i niegodziwy i niegodny ostróg rycerskich nosić. Co do panny Agnieszki z Długolasu — prawda, ślubowałem jej i Bóg da, że wytrwam, ale uważ, jak cię wzruszę, gdy ci opowiem, jak okrutnie ze mną w Czerskim zamku postąpiła.

Tu znów westchnął, znów spojrział w niebo, na którego wschodzie czyniła się coraz jaśniejsza smuga i poczekawszy, dopóki Pomorzanin nie przetłómaczy jego słów, tak dalej po chwili mówił:

—Powiedziała mi, że wrogiem jej jest pewien czarnoksiężnik, w wieży, wśród lasów mieszkający, który corocznie smoka przeciw niej wysyła, a ów podchodzi każdej wiosny pod mury czerskie i patrzy, czyby jej pochwycić nie zdołał. Co gdy rzekła, wraz oświadczyłem, że będę walczył ze smokiem. Ach! uważ co dalej opowiem: gdym stanął na wskazanem miejscu, ujrzałem okropną potworę, czekającą mnie nieruchomie i radość zalała mi duszę, bom myślał, że albo polegnę, albo dziewicę z plugawej paszczy ocalę i nieśmiertelną sławę pozyskam. Ale gdym natarł zbliżoną kopią na poczwarę, cóżem, jak mniemasz, ujrzał? Oto wielki wór słomy na drewnianych kołkach, z ogonem z powróseł! I śmiech ludzki, nie sławę, zyskałem i aż dwóch mazowieckich rycerzy musiałem potem pozwać, od których obu, ciężkie szwank w szrankach poniosłem. Tak postąpiła ze mną ta, którą nad wszystkie uwielbił i jedną jedyną kochać chciałem.....

Pomorzanin, tłómacząc słowa rycerza, wypychał językiem od środka policzki i chwilami przygryzał go, aby nie parsknąć, a i Zbyszko w innych czasach byłby się roześmiał z pewnością, ale, że boleść i niedola wyszlamowały w nim do cna wesołość, więc odrzekł poważnie:

—Może z pustoty to jeno uczyniła, nie ze złości.

—To też jej przebaczyłem, —odpowiedział de Lorche— a najlepszy dowód masz w tem, że się z rycerzem z Taczewa chciał o jej piękność i cnotę potykać.

—Nie czyni tego—rzekł jeszcze poważniej Zbyszko.

—Ja wiem, że to śmierć, ale wolej mi poledz, niż żyć w ciągłym smutku i strapieniu....

—Panu Powale już takie rzeczy nie w głowie. Pójdź lepiej jutro ze mną do niego i zawrzyjcie z nim przyjaźń.....

—Tak i postąpię, bo mnie do serca przycisnął, ale on jutro na łowy z królem jedzie.

—To pójdziem zrania. Król miłuje łowy, atoli i wywczasem nie gardzi, a dziś do późna biesiadował.

I tak uczynili, ale naprózno, gdyż Czech, który jeszcze przed nimi na ganek pospieszył, aby się widzieć z Jagienką, oznajmił im, że Powala spał nie u siebie tej nocy, jeno na pokojach królewskich. Opłacił im się wszelako za wód, bo spotkał ich książę Janusz i kazał im się do swego orszaku przyłączyć, przez co mogli wziąć udział w łowach. Jadąc ku puszczy, znalazł też Zbyszko sposobność rozmówienia się z kniazim Jamontem, który powiedział mu dobrą nowinę.

—Rozbierając króla do łoża,—rzekł—przypomniałem mu ciebie i twoją krakowską przygodę. A że był przytem rycerz Powała, więc zaraz przydał, że ci stryjca Krzyżacy chycili i prosił króla, aby się o niego upomniął. Król, który okrutnie jest na nich za porwanie małego Jaśka z Kretkowa i za inne napaści zagniewan rozsierdził się jeszcze więcej. “Nie z dobrem słowem (powiada) by do nich, ale z dzidą! z dzidą! z dzidą!” A Powała umyślnie drew na ów ogień dorzucał. Rano też, gdy posłowie krzyżaccy czekali przy bramie, ani ci na nich król spojrział, chociaż się do ziemi kłaniali. Hej! nie wydobędą oni z niego teraz obietnicy — i nie będą wiedzieli co począć. Ale ty bądź pewien, że o twego stryjca nie zaniecha król samego Mistrza przycisnąć.

I tak pocieszył jego duszę kniazik Jamont, a jeszcze bardziej ją Jagienka, która towarzysząc księżnie Zimowitowej do puszczy, postarała się o to, aby z powrotem jechać obok Zbyszka. Podczas łowów bywała wielka swoboda, wracano przeto zwykle parami, a że nie chodziło o to żadnej parze, by być zbyt blisko drugiej, więc można się było rozmówić swobodnie. Jagienka dowiedziała się już porzednio o Maćkowej niewoli od Czecha i nie straciła czasu. Na jej prośbę dała księżna list do Mistrza, a prócz tego wymogła, że nadmienić o tem i komtur toruński von Wenden w piśmie, w którem zdawał sprawę z tego co w Płocku się dzieje. Chwalił się on sam przed księżną, iż dopisał, że: “chcąc króla udobruchać, nie można mu w tej sprawie czynić trudności”. A Mistrzowi chodziło wielce w tej chwili o to, aby jak najbardziej potężnego władcę udobruchać i

z całkowitem bezpieczeństwem obrócić wszystkie siły na Witolda, z którym Zakon istotnie nie umiał sobie dotychczas dać rady.

—I tak, com mogła tam wskórała, bacząc, aby zaś nie było mitręgi—skończyła Jagienka; —a że król, nie chcąc siostrze w wielkich sprawach ustąpić, będzie się pewnie starał wygodzić jej choć w mniejszych, przeto mam jako najlepszą nadzieję.

—Zeby nie z tak zdraдлиwymi ludźmi sprawa,—odpowiedział Zbyszko — tobym prosto odwiózł okup i na temby się skończyło, z nimi wszelako może się przygodzić, jako się Tolimie przygodziło, że i pieniądze zagrabia i temu co je przywiózł nie przepuszczą, jeśli za nim jakowaś potęga nie stoi.

—Rozumiem — odrzekła Jagienka.

—Wy teraz wszystko rozumiecie, — zauważył Zbyszko — i pókim żyw, wdzięcznym wam będę. A ona podniósłszy na niego swe smutne i dobre oczy, zapytała:

—Czemu zaś nie mówisz mi: ty, jako znajomce od małego.

—Nie wiem—odpowiedział szczerze. —Coś mi niełacno.... i wyście już nie ten dawny skrzat, jakoście bywali, jeno... niby... coś całkiem....

I nie umiał znaleźć porównania, ale ona przerwała mu wysilek i rzekła:

—Bo mi kilka roków przybyło.... a Niemce i mnie rodzica na Śląsku zabiły.

—Prawda! —odrzekł, Zbyszko. — Daj mu Boże światłość wiekuistą.

Czas jakiś jechali cicho obok siebie, zamyśleni i jakby zasłuchani w nieszporny szum sosen, poczem ona spytała znowu:

—A po wykupnie Maćka ostaniecie w tych stronach?

Zbyszko spojrział na nią, jakby ze zdziwieniem, gdyż dotąd oddany był tak wyłącznie żalowi i smutkom, że ani do głowy nie przyszło mu pomyśleć o tem, co będzie później. Więc podniósł oczy w górę, jakby się namysławiając, a po chwili odrzekł:

—Nie wiem! Chryste miłosierny! skądże mam wiedzieć? To jeno wiem, że gdzie powędruję, tam i dola moja pójdzie za mną. Hej! ciężka dola!.... Stryja wykupię, a potem chyba do Witolda pójdę, ślubów przeciw Krzyżakom dopełnić— i może zginę.

A na to zamgliły się oczy dziewczyny i pochyliwszy się nieco ku młodziankowi, zaczęła mówić zcichą, jakby z prośbą:

—Nie giń, nie giń!

I znów przestali rozmawiać aż dopiero przed samemi murami miasta Zbyszko otrząsnął się z myśli, które go gryzły i rzekł:

—A wy.... a ty,-- ostaniesz tu przy dworze?

—Nie — odpowiedziała. — Cni mi się bez braci i bez Zgorzelic. Cztań i Wilk musieli się tam już pożenić, a chociażby i nie, to się już ich nie boję.

—Da Bóg, że cię stryj Maćko do Zgorzelic odwiezie. Taki on ci przyjacel, że we wszystkim możesz się na niego zdać. Ale i ty o nim pamiętaj....

—Święcie ci to przyrzekam, że mu będę jako rodzone dziecko...

I po tych słowach rozplakała się na dobre, bo w sercu uczyniło się jej ogromnie smutno.

Nazajutrz dzień Powała z Taczewa przyszedł do gospody Zbyszka i rzekł mu :

Po Bożem Ciele król zaraz do Raciążka wyjeżdża na spotkanie z Wielkim Mistrzem, a tyś jest do rycerzy królewskich zaliczon i razem z nami ruszysz.

A Zbyszko, aż się skłonił z uciechy po tych słowach — nietylko bowiem ubezpieczało go to zaliczenie do rycerzy królewskich od zdrad i podstępów krzyżackich, ale okrywało go chwałą niezmierną. Należał przecie do tych rycerzy Zawisza Czarny i bracia jego Farurej i Kruczek i sam Powała i Krzon Kozichgłów, i Stach z Chorbimowic i Paszko Złodziej z Biskupic i Lis z Targowiska — i wielu innych strasznych, najślawniejszych, o których wiedziano w kraju i za granicą. Niewielki ich zastęp wziął król Jagiełło ze sobą, bo niektórzy w domu zostali, a inni szukali przygód w zamorskich, odległych krajach, ale to wiedział, że i z tymi mógł, nie lękając się zdrady krzyżackiej, choćby do Malborka jechać, gdyż w razie czego mury pokruszyliby potężnemi ramionami i wysiekli mu drogę wśród Niemców. Mogło też zapłonąć dumą młode Zbyszkowe serce na myśl, że takich będzie miał towarzyszków.

Więc Zbyszko w pierwszej chwili zapomniał nawet o swoim żalu — i ściskając ręce Powały z Taczewa, mówił do niego z radością :

— Wam to, nie komu, winienem panie!

— Mnie w części — odrzekł Powała — w części tutejszej księżnie, ale najbardziej Panu naszemu Miłościwemu, którego idź zaraz podjąć pod nogi, by cię zaś o niewdzięczność nie posądził.

V.

Zjazd na wyspie wiślanej w Raciążku, na który król udał się koło Bożego Ciała, odbywał się pod złą wróżbą i nie doprowadził do takiej zgody i załatwienia różnych spraw, jak te, które w tem samym miejscu odbyły się we dwa lata później i na których odzyskał król zastawioną zdradliwie przez Opoleczyka Krzyżakom ziemię Dobrzyńską wraz z Dobrzyniem i Bobrownikami. Jagiełło przybył rozdrażnion wielce obmową, jakiej dopuszczali się względem niego Krzyżacy po dworach zachodnich i w samym Rzymie, a zarazem zgniewany nieuczciwością Zakonu. Mistrz nie chciał układów o Dobrzyń prowadzić, czynił to zaś umyślnie — i zarówno on sam, jak inni dygnitarze zakonni i powtarzali codziennie Polakom: — “Wojny ni z wami, ni z Litwą nie chcemy, ale Zmujdź nasza, bo sam Witold nam ją oddał. Obiecnijcie, iż nie będziecie mu pomagali, to wojna prędzej się skończy, a wówczas pora będzie gadać o Dobrzyniu i siła wam ustępstw poczynimy”. Ale rajcy królewscy mając bystry, doświadczony rozum i znając kłamstwo krzyżackie, nie dawali się zdurzyć: — “Gdy w potęgę wzrosiecie, zachwaleńci wam jeszcze przybędzie — odpowiadał Mistrzowi. — Mówicie, że nie wam do Litwy, a Skirgiełłę chcecie, na stolcu w Wilnie

posadzić. Ależ na miły Bóg! wždy to Jagiełłowę dziedzictwo, który jeden, kogo chce, księciem na Litwie stanowi — przeto się hamujcie, aby was nie pokarał nasz wielki król"! Na to Mistrz mówił, że jeśli król jest prawdziwym panem Litwy, niechże nakaze Witoldowi, by wojny zaniechał i Zakonowi Zmujdź wrócił — gdyż inaczej Zakon musi uderzyć w Witolda tam, gdzie go dosięgnąć i zranić może. I w ten sposób spory wlokły się od rana do wieczora, jakby błędną drogą, idącą w kółko. Król, nie chcąc się do niczego zobowiązać, niecierpliwił się coraz bardziej i mówił Mistrzowi, że gdyby Zmujdź była pod krzyżacką ręką szczęśliwa, nie poruszyłby się Witold i jednym palcem, bo nie znalazłby, ni pozoru, ni przyczyny. Mistrz który był człowiekiem spokojnym i lepiej od innych braci zdawał sobie sprawę z potęgi Jagiełłowej, starał się króla ułagodzić i nie zważając na szemranie niektórych zapalczywych i dumnych komturów, nie szczędził pochlebnych słów, a chwilami uderzał i w pokorę. Ale, że nawet w tej pokorze nieraz odzywały się ukryte pogróżki, przeto nie wiodło to do niczego. Układy o rzeczy ważne rozchwiały się prędko i drugiego już dnia poczęto mówić tylko o sprawach pomniejszych. Natarł król ostro na Zakon o utrzymywanie łotrów, o napaści i grabieże nad granicą, o porwanie Jurandówny i małego Jaska z Kretkowa, o mordowanie kmieciów i rybaków. Mistrz wypierał się, wykręcał, przysięgał, że to było bez jego wiedzy i wzajem wyrzuty czynił, że nie tylko Witold, ale i rycerze polscy pomagali pogańskim Zmujdzinom przeciw Krzyżakowi—na dowód czego przy-

toczył Maćka z Bogdańca. Szczęściem, wiedział już król przez Powalę, czego rycerze z Bogdańca szukali na Żmujdzi — i umiał na zarzuty odpowiedzieć tem łatwiej, że w orszaku jego był Zbyszko, a w Mistrzowym obaj von Badenowie, którzy przybyli w tej nadziei, że zdarzy im się może z Polakami w szrankach potykać.

Ale niebyło i tego. Chcieli Krzyżacy, w razie, gdyby im gładko poszło, zaprosić wielkiego króla do Torunia i tam przez kilka dni wyprawiać na jego cześć uczty i igrzyska, ale wobec nieudalnych układów, które zrodziły obopólną niechęć i gniew, brakło do zabaw ochoty. Na boku tylko w porannych godzinach, między sobą, popisywali się nieco wzajem rycerze siłą i zręcznością, lecz jak mówił wesoły książę Jamont: poszło to pod włos Krzyżakom, gdyż Powalę z Taczewa okazał się tęższym na rękę od Arnolda von Baden, Dobek z Oleśnicy kopią, a Lis z Targowiska skakaniem przez konie wszystkich przewyższył. Przy tej sposobności porozumiewał się Zbyszko z Arnoldem von Baden o okup. De Lorche, który jako hrabia i pan wielkiego znaczenia, patrzył na Arnolda z góry, sprzeciwiał się temu, twierdząc, iż sam wszystko na siebie bierze. Zbyszko jednak mniemał, że cześć rycerska nakazuje mu zapłacić tę ilość grzywien, do której się zobowiązał i dlatego, chociaż sam Arnold chciał spuścić z ceny, nie przyjął ani tego ustępstwa, ani pośrednictwa pana de Lorche.

Arnold von Baden był człowiekiem dość prostym, którego największą zaletę stanowiła olbrzymia siła ramienia, dość głupowatym,

nieceo na pieniądze łakomym, ale prawie uczciwym. Nie było w nim chytryści krzyżackiej i dlatego nie ukrywał przed Zbyszkciem, z jakiej przyczyny chce spuścić z umówionej ceny: "Do układów, mówił, między wielkim królem a Mistrzem nie przyjdzie, ale przyjdzie do wymiany jeńców — w takim razie będziesz mógł stryja darmo odebrać. Ja wolę wziąć coś, niż nic, gdyż mieszek u mnie zawsze próżny i nieraz ledwie na trzy garnce piwa dziennie wstrzyma, zaś bez pięciu lub sześciu krzywda mi" — Lecz Zbyszko gniewał się na niego za takie słowa: "Płacę, bom dał rycerskie słowo, a taniej nie chcę, abyś wiedział, żeśmy tyle warci." — Za to ściszał go Arnold, a rycerze i polscy i krzyżaccy, chwalili go, mówiąc: "Słuszną iże w tak młodych latach pas i ostrogi nosisi, bo się do czci i godności poczuwa". Tymczasem król z Mistrzem ułożyli się o wymianę jeńców, przyczem ukazały się dziwne rzeczy, o których biskupi i dygnitarze królestwa pisali później listy do papieża i różnych dworów: oto w rękach polskich sporo było wprawdzie jeńców, ale byli to mężowie dorośli w sile wieku, wzięci zbrojną ręką w nadgranicznych bitwach i potyczkach. Tymczasem w rękach krzyżackich znajdowała się większość niewiast i dzieci, pojmanych wśród nocnych napadów dla okupu. Sam papież w Rzymie zwrócił na to swoją uwagę i pomimo całej przebiegłości Jana von Felde, prokuratora krzyżackiego w stolicy apostolskiej, głośno wyrażał swój gniew i oburzenie na Zakon.

Co do Maćka, były trudności. Nie czynił ich Mistrz na prawdę, ale tylko pozornie, aby każdemu ustępstwu przydać wagi. Twierdził

więc, że rycerz chrześcijanin, który wojował razem ze Żmujdzinami przeciw Zakonowi, powinien być, po sprawiedliwości, skazan na śmierć. Próżno rajcy królewscy przytaczali na nowo wszystko, co im było wiadomem o Jurandzie i jego córce, oraz o straszliwych krzywdach jakich się względem tych dwojga i względem rycerzy z Bogdańca dopuścili słu-dzy Zakonu. Mistrz w odpowiedzi przytoczył dziwnym trafem te same prawie słowa, które powiedziała w swoim czasie księżna Aleksandra Zimowitowa do starego rycerza z Bogdańca:

—Za baranków się podajecie, a naszych za wilków. Tymczasem z tych czterech wilków, którzy w porwaniu Jurandówny wzięli udział, ani jeden nie żywie, a barankowie chodzą przepiecznie po świecie.

I była to prawda, wszelako na tę prawdę odpowiedział obecny przy obradach pan z Taczewa następującem pytaniem:

—Tak, ale czy zabito którego zdradą? i zali ci, którzy polegli, nie polegli wszyscy z mieczami w ręku? Mistrz nie miał co na to odrzec, a gdy spostrzegł przytem, że król poczyną marszczyć się i błyskać oczyma, ustąpił, nie chcąc doprowadzić groźnego władcy do wybuchu. Uradzili potem, że każda strona wyśle posłów po odbiór jeńców. Ze strony polskiej mianowani zostali w tym celu Zyndram z Maszkowa, który pragnął się potędze krzyżackiej zbliżka przypatrzeć i rycerz Powąła, a z nimi razem Zbyszko z Bogdańca.

Zbyszkowi usługę tę oddał kniaź Jamont. Przyczynił się za nim do króla w tej myśli, że młodzian i zobaczy prędzej stryjca i tem pewniej go odwiedzie, gdyż pojedzie po nie-

go, jako poseł królewski. A król nie odmówił prośbie kniazika, który z powodu swej wesołości, dobroci i cudnego oblicza był i jego i całego dworu ulubieńcem, a przytem nigdy o nic dla siebie nie prosił. Zbyszeko dziękował mu też z całej duszy, gdyż teraz był już zupełnie pewien, że Maćka z rąk krzyżackich wydostanie.

—Tobie nie jeden zajrzy,—mówił mu,—że przy majestacie zostajesz, ale to sprawiedliwie tak jest, bo jeno na dobro ludzkie swojej podu-fałości z królem używasz i lepszego nad cię serca nikt chyba nie ma.

—Przy majestacie dobrze,—odrzekł boja-rzynek—ale jabym jeszcze wolał w pole ku Krzyżakom—i tego tobie zajrzę, żeś w nich już bijał.

Po chwili zaś dodał:

—Komtur toruński von Wenden przyje-chał wczoraj, a dziś w wieczór pojedzie do nie-go na noc, z Mistrzem i z mistrzowym orsza-kiem.

—A potem do Malbörga.

—A potem do Malbörga?

Tu Jamont począł się śmiać:

—Niedaleka to będzie droga, ale kwaśna, bo nic od króla nie potrafili Niemce uzyskać, a z Witoldem nie będą mieli też uciechy. Ze-brał ci on pono całą potęgę litewską i na Zmujdź jedzie.

—Jeśli go król wspomóże, to będzie wiel-ka wojna.

—Proszą o to Pańa Boga wszyscy nasi ry-cerze. Ale choćby król z żalu nad krwią krze-ścijańską wielkiej wojny nie uczynił, wspomóże Witolda zbożem i pieniędzmi, a nie bez tego

także, aby coś polskich rycerzy na ochotnika do niego nie poszło.

—Jako — żywo odpowiedział Zbyszko. — A może za to sam Zakon wypowie królowi wojnę?

—Ej nie!— odpowiedział kniaź:—póki dzisiaj Mistrz żywie, nie będzie tego.

I miał słuszość. Zbyszko znał już Mistrza dawniej, ale teraz po drodze do Malborka, będąc razem z Zyndramem z Maszkowa i z Powałą prawie ciągle przy jego boku, mógł mu się lepiej przypatrzeć i lepiej go poznać. Owóż ta podróż utwierdziła go tylko w przekonaniu, że Wielki Mistrz, Konrad von Jungingen, nie był złym i zepsutym człowiekiem. Musiał on często postępować w sposób nieprawości. Musiał czynić krzywdy, bo cały Zakon zbudowany był na ludzkiej krzywdzie. Musiał kłamać, bo kłamstwo odziedziczył razem z oznakami Mistrzostwa, a od wczesnych lat przywykł uważać je tylko za polityczną przebiegłość. Ale nie był okrutnikiem, bał się sądu Bożego i ile mógł, hamował pychę i zuchwałość tych dygnitarzy zakonnych, którzy pchali umyślnie do wojny z potęgą Jagiełłową. Był jednakże człowiekiem słabym. Zakon tak dalece przywykł od całych wieków czyhać na cudze, grabić, zabierać siłą lub podstępem przyległe ziemie, że Konrad nie tylko nie umiał powściągnąć tego drapieżnego głodu, ale mimo woli, siłą nabytego pędu, sam poddawał mu się i usiłował go zaspokoić. Dalekie też były już czasy Winrycha von Kniprode, czasy zależnej karności, którą Zakon wprawiał w podziwienie świat cały. Już za poprzedniego przed Jungingiem Mistrza, Konrada Walenro-

da, a Zakon upoił się własną coraz wzrastającą potęgą, której nie zdołały osłabić chwilowe klęski, odurzył się sławą, powodzeniem, krwią ludzką tak, że rozluźniły się karby, które trzymały go w sile i jedności. Mistrz przestrzegał, ile mógł, prawa i sprawiedliwości, ile mógł, łagodził osobiście żelazną rękę Zakonu, ciążącą na chłopach, mieszczanach, a nawet na duchowieństwie i szlachcie, siedzącej na prawie lennem w ziemiach krzyżackich, więc w pobliżu Malborka ten i ów kmieć, albo mieszczanin mógł się pochwalić nietylko dostatkami, lecz i bogactwem. Ale w dalszych ziemiach samowola, srogość i rozpasanie komturów deptały prawo, szerzyły ucisk i zdzierstwa, wyciskały z pomocą nakładanych na własną rękę podatków, albo i bez wszelkiego po zoru ostatni grosz, wyciskały łzy, często krew.

W całych obszernych krainach jeden był jęk, jedna nędza i jedna skarga. Jeśli nawet dobro Zakonu nakazywało, jak chwilami na Zmujdzi, większą łagodność — i takie nakazy szły wniwecz wobec niesforności komturów i przyrodzonego im okrucieństwa. Czuł się więc Konrad von Jungingen, niby woźnicą, który rozhukanymi powodując końmi, wypuścił lejce z rąk i zdał wóz na wolę losu. Często też opanowały jego duszę złe przeczucia, często przychodziły mu na myśl prorocze słowa: "Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem ich na progu ziem chrześcijańskich, ale oto powstałi przeciw mnie. Bo nie dbają o duszę i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników i nie nauczając go przykazań Bożych i odejmując mu Sa-

kramenta Święte, na większe jeszcze piekielne męki go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. Przeto przyjdzie czas iżę wyłamane im będą zęby i będzie ucięta — im ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje”.

Mistrz wiedział, że owe wyrzuty, które tajemniczy głos uczynił Krzyżakom w objawieniu świętej Brygidy, był słuszny. Rozumiał, że gmach, zbudowany na cudzej ziemi i cudzej krzywdzie, wsparty na kłamstwie, podstępnie, srogości, nie może się długo ostać. Bał się, podmywany od lat całych krwią i łzami, runie od jednego uderzenia potężnej ręki polskiej; przeczuwał, że wóz, który ciągną rozhukane konie, musi skończyć w przepaści, więc starał się, aby przynajmniej godzina sądu, gniewu, klęski i nędzy przyszła jak najpóźniej. Z tej przyczyny pomimo swej słabości, w jednym tylko stawiał niezłomny opór swym dumnym i zuchwałym rajcom: oto nie dopuszczał do walki z Polską. Próżno zarzucono mu bojaźń i niedołęstwo, próżno pogranicznicy komturowie parli wszelkimi siłami do wojny. On, gdy ogień miał już, już wybuchnąć, cofał się zawsze w ostatniej chwili, a potem Bogu czynił dzięki w Malborgu, że mu się udało miecz podniesiony nad głową Zakonu zatrzymać.

Ale wiedział, że do tego przyjść musi. Więc owo przeświadczenie, że Zakon stoi nie na prawie Bożem, ale na nieprawości i kłamstwie i owo przeczucie bliskiego dnia zaguby czyniło go jednym z najbardziej nieszczęsnych ludzi w świecie. Byłby, niechybnie dał życie i krew, gdyby mogło być inaczej i gdyby czas

był jeszcze zawrócić na prawą drogę, ale sam czuł, że już nie czas! Zawrócić—toby znaczyło oddać prawym posiadaczom całe ziemie żyzne, bogate i pochwycone przez Zakon od Bóg wie jak dawna, a z niemi razem mnóstwo miast tak bogatych, jak Gdańsk. I nie dość! To znaczyło wyrzec się Zmujdzi, wyrzec się zamachów na Litwę, włożyć miecz do pochew, wreszcie całkiem wynieść się z tych krain, w których Zakon nie miał już kogo nawracać—i osiąść chyba znów w Palestynie, lub na której z wysp Greckich, aby tam Krzyża od prawdziwych bronić saracenów. Ale było to niepodobieństwem gdyż równałoby się wyrokowi zagłady na Zakon. Ktoby się na to zgodził? i jakim Mistrz mógł czegoś podobnego zażądać? Konradowi von Jungingen zawłóczyła się cieniem dusza i życie, ale człowieka, któryby z podobną radą wystąpił, on pierwszy skazałby, jako pozbawionego zmysłów, na ciemną izbę. Trzeba było iść dalej i dalej, aż do dnia, w którym sam Bóg kres zaznaczy.

Więc szedł, ale w dusznej trosce i smutku. Włos na brodzie i skroniach już mu się posrebrzył, a bystre niegdyś oczy pokryły się do połowy ociężałymi powiekami. Zbyszko ani razu nie spostrzegł na jego twarzy uśmiechu. Oblicze Mistrzowe nie było groźne, ani nawet chmurne, było tylko jakby zmęczone jakimś cichem cierpieniem. W zbroi, z krzyżem na piersiach, w środku którego był w czworokacie czarny orzeł — w białym wielkim płaszczu, również przyozdobion krzyżem, czynił wrażenie majestatu i smutku. Konrad niegdyś wesoły był i kochał się w krotachfilach, a i teraz nawet nie usuwał się od wspaniałych uczt, i

widowisk turniejów—owszem sam je wyprawał, ale ani w natłoku świetnego rycerstwa, które przybywało w gościnę do Malborga, ani w zgiełku radosnym, wśród huku trąb i szczęku oręża, ani przy puharach przepełnionych małmazją—nie rozweselał się nigdy. Wówczas, gdy wszystko wokół niego zdawało się dyszeć potęgą, świetnością, i nieprzebranem bogactwem, niezłomną mocą, gdy posłowi cesarza i innych królów zachodnich wykrzykiwali w uniesieniu, że Zakon sam starczy za wszystkie królestwa, za potęgę całego świata—on jeden się nie łudził — i on jeden pamiętał złowrogie słowa, objawione św. Brygidzie: “Przyjdzie czas iżę wyłamane będą ich zęby i będzie ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje”.

VI.

Jechali suchą drogą na Chełmżę do Grudziądza, gdzie zatrzymali się na noc i dzień, gdyż Wielki Mistrz miał tam do osądzenia sprawę o rybołówstwo między zamkowym starostą krzyżackim, a okoliczną szlachtą, której ziemie przylegały do Wisły. Stamtąd płynęli na skutach krzyżackich rzeką, aż do Malborka. Zyndram z Maszkowic, Powała z Taczewa i Zbyszko znajdowali się przez cały czas przy boku Mistrza, który ciekawy był, jakie wrażenie uczyni zwłaszcza na Zyndramie widziana zbliżona potęga krzyżacka. Chodziło zaś Mistrzowi o to dlatego, że Zyndram z Maszkowic był nie tylko mężnym i strasznym w pojedynkę rycerzem, ale nadzwyczaj biegłym wojownikiem. W całym królestwie nikt tak, jak on, nie znał się na prowadzeniu wielkich wojsk, na szykowaniu hufców do bitwy, na budowie i burzeniu zamków, na rzucaniu mostów przez szerokie rzeki, na "armacie", to jest na uzbrojeniu u rozmaitych narodów i na wszelkich wojennych sposobach. Mistrz, wiedząc, że na radzie królewskiej dużo zależało od zdania tego męża, mniemał, że jeśli zdoła go przerazić wielkość zakonnych bogactw i wojsk, to wojna odwlecze się jeszcze na długo. A przedewszystkiem sam widok Malborka mógł przejąć trwogą serce każdego Polaka, albo-

wiem z twierdzą ową, licząc Wysoki zamek, Średni i Przedzamcze, żadna inna w całym świecie nie mogła się nawet w przybliżeniu porównać 1). Już z dala płynąc Nogatem, ujrzeli rycerze potężne baszty, rysujące się na niebie. Dzień był jasny i przeźroczy, więc widać je było doskonale, a po jakimś czasie, gdy skutki zbliżyły się jeszcze bardziej zabłysły szczyty kościoła na wysokim zamku i olbrzymie mury, piętrzące się jedne nad drugimi, — w części barwy ceglanej, przeważnie jednak pokryte ową słynną szaro-białą zaprawą, którą przyrządzać umieli tylko mularze krzyżaccy. Ogrom ich przewyższał wszystko co w życiu widzieli polscy rycerze. Zdawać się mogło, że tam gmachy wyrastają na gmachach, tworząc w nizinnem z natruy miejscu jakby górę, której szczytem był stary zamek, a stokiem Średni i rozłożyste Przedzamcze, Biła od tego olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów moc i potęga tak nadzwyczajna, że nawet długa i zwykle posępna twarz Mistrza wypogodziła się nieco na ów widok.

Ex luto Marienburg — z błota Marienburg — rzekł, zwracając się do Zyndrama; — ale tego błota moc ludzka nie pokruszy.

Zyndram nie odpowiedział — i w milczeniu obejmował oczyma wszystkie baszty i ogrom murów, wzmocnionych potwornemi skarpami.

A Konrad von Jungingen dodał po chwili milczenia:

— Wy, panie, którzy się na twierdzach znacie, cóż nam o tej powiecie?

— Twierdza widzi mi się nie do zdobycia, — odrzekł jakby w zamysleniu polski rycerz — ale.....

—Ale co? Co w niej możecie przyganić?

—Ale każda twierdza może zmienić panów.

Na to Mistrz zmarszczył brwi.

—W jakiejże to myśli mówicie.

— W tej, że zakryte są przed oczyma ludzkiemi sądy i wyroki Boże.

I znów patrzył w zamyśleniu na mury, a Zbyszko, któremu Powala przetłómaczył należyte odpowiedź, spoglądał na niego z podziwem i wdzięcznością.

Uderzyło go przytem w tej chwili podobieństwo między Zyndramem, a zmujdzkim wodzem Skirwoiłą. Obaj mieli takie same ogromne głowy, jak gdyby wbite między szerokie ramiona, obaj równie potężne piersi i takie same pałakowate nogi.

Tymczasem Mistrz, nie chcąc, by ostateczne słowo zostało przy polskim rycerzu, znów zaczął:

—Mówią, — rzekł — że nasz Marienburg sześć razy większy od Wawelu.

—Tam na skale niemasz tyle miejsca, ile tu w równi, — odparł pan z Maszkowic — ale serce u nas na Wawelu większe.

Konrad podniósł ze zdziwieniem brwi:

—Nie rozumiem.

—Bo cóż ci jest sercem w każdym zamku, jeśli nie kościół? a nasza katedra za trzy takie, jak oto ów, obстанie.

I to rzekłszy, wskazał istotnie niewielki kościół zamkowy, na którego prezbiterium błyszczała na złotem tle olbrzymia mozaikowa figura Najświętszej Panny.

A Mistrz znowu był nierad z takiego obrotu rozmowy:

—Prędkie, ale dziwne macie, panie, odpowiedzi — rzekł.

W tymże czasie dojechali. Wyborna policja krzyżacka uprzedziła widocznie miasto i zamek o przyjeździe Wielkiego Mistrza, gdyż u przeprawy czekali już, prócz kilku braci, trębacze miejscy, którzy przygrywali zwykle Wielkiemu Mistrzowi w czasie przewozu. Z drugiej strony czekały gotowe konie, na które siadłszy, przebył orszak, miasto i przez Szewcką bramę, wedle Wróblej baszty, wjechał do Przedzamcza. W bramie witali Mistrza: wielki komtur Wilhelm von Helenstein, który zresztą tytuł już tylko nosił, albowiem od kilku miesięcy obowiązki jego sprawował naprawdę Kuno Lichtenstein, wysłan podówczas do Anglii; a dalej: wielki szpitalnik, krewny Kuno-na, Konrad Lichtenstein, wielki szatny Rumpenheim i wielki podskarbi Burgard von Wobbecke i wreszcie były komtur, przełożony nad warsztatami i nad zarządem zamku. Prócz tych dostojników, stało tam kilkunastu braci wyświęconych, którzy zawiadowali rzeczami, dotyczącemi kościoła w Prusiech i ciężko gnębili inne klasztory, oraz świeckie duchowieństwo, zmuszając je nawet do robót przy drogach i przy łamaniu lodów— a z nimi gromada braci świeckich, to jest rycerzy, nie obowiązanych do godzin kanonicznych. Rosłe i silne ich postawy (słabych nie chcieli Krzyżacy przyjmować), szerokie ramiona, kręte brody i srogie spojrzenia, czyniły ich podobniejszymi do drapieżnych zbójów-rycerzy niemieckich, niż do mnichów. Z oczu patrzała im odwaga, hardość i pycha niezmierna. Nie lubili oni Konrada za jego obawę wojny z potęgą Jagieł-

łową; nieraz na kapitułach otwarcie wyrzucali mu bojaźliwość, rysowali go na murach i poddawiali błaznów o wyśmiewania go w oczy. Jednakże na jego widok pochyłili teraz głowy z pozorną pokorą, zwłaszcza, że Mistrz wjeżdżał w towarzystwie obcych rycerzy i poskoczyli hurmem, aby powstrzymać mu konia za uzdę i strzemię.

Mistrz zaś, zsiadłszy, zwrócił się zaraz do Helfensteina zapytał:

—Są-li jakie nowiny od Wenera von Tettingen?

Werner von Tettingen, jako wielki marszałek, czyli przywódca zbrojnych sił krzyżackich był w tej chwili na wyprawie przeciw Zmujdzinom i Witoldowi.

—Ważnych nowin niema — odpowiedział Helfenstein — ale są szkody. Dżicz popaliła osady pod Ragneta i miasteczka przy innych zamkach.

—W Bogu nadzieja, że jedna wielka bitwa złamie ich złość i zatwardziałość — odparł Mistrz.

I to rzekłszy, podniósł oczy w górę, a usta jego poruszały się przez chwilę modlitwą, którą odmawiał za powodzenie wojsk zakonnych.

Poczem ukazał na polskich rycerzy i rzekł:

—To są wysłańcy króla polskiego: rycerz z Maszkowic, rycerz z Taczewa i rycerz z Bogdańca, którzy z nami dla wymiany jeńców przybyli. Niechaj komtur zamkowy wskaże im gościnne komnaty i podejmie ich i ugości, jako przystało.

Na te słowa bracia-rycerze poczęli spoglądać z ciekawością na wysłanników, a zwłaszcza na Powagę z Taczewa którego imię jako słynnego zapaśnika było niektórym znane. Tych zaś, którzy nie słyszeli o jego czynach na dworze burgundzkim, czeskim i krakowskim, przejmowała podziwem jego ogromna postawa i jego ogier bojowy, kat nadzwyczajnej wielkości, że bywalcom, którzy za młodych lat zwiedzili Ziemię Świętą i Egipt, przypominał wielbłądy i słonie.

Kilku poznało też Zbyszka, który swego czasu potykał się w szrankach w Malborgu i ci witali go dość uprzejmie, pamiętając, że potężny i mający wielką wziętość w Zakonie brat Mistrzów, Ulrich von Jungingen, okazywał mu szczerą przyjaźń i przychyłność. Najmniej zwracał uwagi i podziwu ten, który w niedalekiej już przyszłości miał być najstraszniejszym pogromcą Zakonu, to jest Zyndram z Maszkowic, albowiem, gdy zsiadł z konia wydawał się z powodu swej niezwyklej krępości i wysokich ramion prawie garbatym. Nazbyt długie jego ręce i kabłąkowate nogi budziły uśmiech w twarzach młodszych braci. Jeden z nich, znany krotofilnik, przystąpił nawet do niego, chcąc mu przymówić, ale spojrzawszy w oczy pana z Maszkowic, stracił jakoś ochotę i odszedł w milczeniu.

Tymczasem komtur zamkowy zabrał gości i powiódł ich z sobą. Weszli najprzód na niewielki dziedziniec, na którym prócz szkoły, starego lamusa i warsztatu siodlarskiego, znajdowała się kaplica św. Mikołaja, poczem przez most Mikołajewski wkroczyli na właściwe Przedzamcze. Komtur prowadził ich

przez niejaki czas wśród potężnych murów, bronionych tu i ówdzie mniejszemi i większemi basztami. Zyndram z Maszkowic pilnie przypatrywał się wszystkiemu, przewodnik zaś, nawet nie zapytywany chętnie pokazywał rozmaite budynki, jakby mu zależało właśnie na tem, aby goście przypatrzyli się wszystkiemu jak najdokładniej.

Ten okrutny gmach, który Wasze Miłości widzieli przed sobą, po lewej ręce — mówił — to nasze stajnie. Ubodzyśmy mnisi, a przecie ludzie mówią, że gdzieindziej i rycerze tak nie mieszkają jak u nas konie.

— Nie pomawiają was ludzie o ubóstwo — odrzekł Powąła — ale coś tu musi być więcej prócz stajni, bo gmach okrótnie wysoki, a koni przecie po schodach nie sprowadzacie.

— Nad stajnią, która jest w dole i w której czterysta koni się mieści — rzekł komtur zamkowy — są śpichrze, a w nich zboża choćby na dziesięć lat. Nie przyjdzie tu nigdy do obleżenia, ale gdyby przyszło, to głodem nas nie wezmą.

To rzekłszy, zawrócił w prawo i znów przez most między basztą św. Wawrzyńca, a basztą Pancerną wiódł ich na inny dziedziniec, olbrzymi, leżący w samym środku podzamcza.

Zważcie, Wasze Mości — rzekł Niemiec — że to wszystko, co ku północy widzicie jakkolwiek za łaską Bożą nie do zdobycia, jest tylko "Vorbürg" — i utwierdzeniem nie może się porównać, ani ze Średnim zamkiem, do którego Was prowadzę, ani tembardziej z Wysokim.

Jakoż oddzielna fosa i oddzielny zwodzony most dzieliły Średni zamek od dziedzińca i dopiero w bramie zamkowej, która leżała zna-

nieznie wyżej, rycerze, obróciwszy się za poradą komtura, jeszcze raz mogli objąć oczyma cały ów olbrzymi kwadrat, zwany podzamczem. Gmach tam wznosił się przy gmachu, tak, iż wydawało się Zyndramowi, iż widzi przed sobą całe miasto. Były tam nieprzebrane zapasy drzewa ułożone w szychty tak wielkie, jak domy, składy kul kamiennych, sterczące na kształt piramid, cmentarze, lazarety, magazyny. Nieco z boku, wedle leżącego w środku stawu, czerwieniały potężne mury "templu", to jest wielkiego magazynu z jadalnią dla najemników i czeladzi. Pod północnym wałem widać było inne stajnie dla koni rycerskich i dla wyborowych mistrzowskich. Wzdłuż młynówki wznosiły się koszary dla giermków i wojsk najemnych, a po przeciwległej stronie czworoboku mieszkania dla przeróżnych zaawodowców i urzędników zakonnych—znów składy, śpichrze, piekarnie, szatnie, ludwisarnie, niezmierny arsenał czyli Karwan, więzienia, stara puszkarnia, każdy gmach tak niezłomny i obronny, że w każdym można się było tak, jak w osobnej twierdzy bronić, a wszystko otoczone murem i gromadą groźnych baszt, za murem fosa, za fosą wieńcem olbrzymich palisad, za którymi dopiero na zachód, toczył żółte fale Nogat, na północ i wschód błyszczała toń ogromnego stawu, a od południa sterczały silniej jeszcze umocnione zamki: Sredni i Wysoki.

Gniazdo straszne, od którego biła nieubłagana potęga i w którym skupiły się dwie największe znane wówczas w świecie siły: siła duchowna i siła miecza. Kto oparł się jednej,

tego pokrószyła druga. Kto podniósł przeciw nim ramię, na tego krzyk powstawał we wszystkich krajach chrześcijańskich, że przeciw Krzyżowi je podnosi.

I wnet rycerstwo zbiegało się ze wszystkich stron na pomoc. Gniazdo też roiło się wiecznie rzemieślniczym i zbrojnym ludem i wrzało w niem ciągle, jak w ulu. Przed gmachami, w przejściach, przy bramach, w warsztatach — wszędzie panował ruch jak na jarmarku. Echo roznosiło odgłos młotów i dłut krzesających kamienne kule, huczenie młynów i deptaków, rzenie koni, szczęk zbroi i o-ręża, żdwięk trąb i piszczałek, nawoływania i rozkazy. Na owych dziedzińcach słyszałeś wszystkie mowy świata i mogłeś napotkać żołnierzy ze wszystkich narodów: więc niechybnych łuczników angielskich, którzy o sto kroków przeszywali gołębia, uwiązanego na szmacie, a których groty przebijały pancerze tak łatwo, jak sukno i strasznych szwajcarskich piechurów, walczących dwuręcznymi mieczami i męźnych, choć niepomiarkowanych w jedle i napoju Duńczyków i skłonnych zarówno do śmiechu jak zwady rycerzy francuskich i małomówną a dumną szlachtę hiszpańską i świetnych rycerzy włoskich, najbieglejszych fehmistrzów, przybranych w jedwabie, aksamity, a na wojnę w niezłomne zbroje, kowane w Wenecyi, Medyolanie i Florencyi,—i rycerzy burgundzkich ziem niemieckich. Kręciły się między nimi "białe płaszcze", jako gospodarze i zwierchnicy. "Wieża pełna złota", a ściżej: osobna izba zbudowana na Wysokim zamku, obok mieszkania Mistrza, napełniona od dołu do góry pienię-

dzmi i sztabami z drogocennego metalu, pozwałała Zakonowi na godne podejmowanie "gości", również jak na zaciągi najemnego żołdactwa, które wysyłano stąd na wyprawy i do wszystkich zamków, do rozporządzenia wójtów, starostów i komturów. Tak to z siłą miecza i z siłą duchowną kojarzyło się tu niezmierne bogactwo, a zarazem żelazny ład, który lubo rozluźniony już po prowincjach przez zbytnią ufność i upojenie się własną potęgą, trzymał się jeszcze w samym Malborgu mocą dawnego wezwyczajenia. Monarchowie przybyli tu nie tylko walczyć z pogany, lub pożyczać pieniędzy, lecz i uczyć się sztuki rządu, rycerze — uczyć się sztuki wojennej. W całym bowiem świecie nikt nie umiał tak rządzić i wojować, jak niegdyś Zakon. Gdy niegdyś przybył w te strony prócz szczupłej okolicy i kilku zamków, podarowanych przez niebaczного księcia polskiego, nie należała do niego ani piędź ziemi, teraz zaś władał obszerną, większą od wielu królestw krainą, pełną ziem żyznych, potężnych miast i niezdobytých zamków. Władał i czuwał, jak władca pajak rozpiętą siecią, której wszystkie nici dzierzył pod sobą. Stąd, z tego Wysokiego zamku, od Mistrza i od białych płaszców, rozbiegały się przez pocztowych pacholków rozkazy na wszystkie strony: do lennejszłachty, do rad miejskich, do burmistrzów do wójtów, podwójców i kapitanów najemnych wojsk, a co zrodziła i postanowiła myśl i wola, tam wnet wykonywały setki i tysiące żelaznych dłoni. Tu wszelakiego rodzaju spyża, tu daniny od jęczącego pod srogiem jarzmem świeckiego duchowieństwa i od innych klasztorów, na które

patrzył niechętnem okiem Zakon; stąd wreszcie wyciągały się drapieżne ramiona ku wszystkim okolicznym krajom i ludom.

Liczne pruskie, mówiące litewską mową narody, starte już były z oblicza ziemi. Litwa czuła do niedawna żelazną stopę krzyżacką, ciężącą na jej piersiach tak straszliwie, że za każdym tchnieniem oddawała zarazem krew z pod serca; Polska, lubo zwycięska w straszliwej bitwie pod Płowcami, straciła jednak za Łokietkowych czasów swe dzierżawy na lewym brzegu Wisły razem z Gdańskiem, Tczewem, Gniewem i Świeciem. Rycerski Zakon Inflancki sięgał po ziemie ruskie i szły oba te zakony jak pierwsza olbrzymia fala niemieckiego morza, które zalewało coraz szerzej i szerzej słowiańskie ziemie.

Aż nagle zaszło chmurą słońce krzyżacko-niemieckiej pomyślności. Litwa przyjęła chrzest z rąk polskich, a tron krakowski razem z ręką cudnej królowny odzierżył Jagiełło. Nie stracił wprawdzie Zakon przez to ani jednej ziemi, ani jednego zamku, ale uczuł, że przeciw sile stanęła siła i stracił przyczynę, dla której istniał w Prusiech. Po chrzcie Litwy wrócić im było chyba do Palestyny i strzedz pątników, dążących do świętego miejsca. Ale wrócić — to znaczyło wyrzec się bogactw, władzy, potęgi, panowania, miast, ziem i całych królestw. Więc począł miotać się Zakon w przerażeniu i wściekłości, jak potworny smok, w którego boku utkwiono żeleźce. Mistrz Konrad bał się stawić wszystkiego na jeden rzut kości i drżał na myśl o wojnie z wielkim królem, władcą ziem polskich, litewskich i obszernych dzierżaw ruskich, które Olgierd wy-

darł z gardła Tatarom, ale większość rycerzy krzyżackich parła do niej czując, że trzeba stoczyć bój na śmierć i życie, póki siły są nienaruszone, póki urok Zakonu nie zblednie, póki świat cały śpieszy mu na pomoc i póki gromy papieskie nie spadają na to ich gniazdo, dla którego rzeczą życia i śmierci było teraz — nie rozszerzanie chrześcijaństwa, lecz właśnie utrzymanie pogaństwa.

A tymczasem między narodami i po dworach, oskarżono Jagiełłę i Litwę o chrzest pozorny i fałszywy, przedstawiając jako rzecz niepodobną, aby stać się mogło w ciągu roku to, czego miecz zakonny nie mógł przez wieki dokonać. Burzono przeciw Polsce i przeciw jej władcy, królów i rycerzy, jako przeciw opiekunom i obrońcom pogaństwa — a głosy te, którym jedynie w Rzymie nie dowierzano, rozchodziły się szeroką falą po świecie i ściągały ku Malborgowi książąt, grafów i rycerzy z Południa i Zachodu, Zakon nabierał ufności i poczuwał się w mocy. Marienburg ze swymi groźnymi zamkami i Przedzamczem olśniewał ludzi potęgą więcej, niż kiedykolwiek — i olśniewało bogactwo, olśniewał pozorny ład — i cały Zakon wydawał się być władniejszy i bardziej na wiek wieków niepożytym, niż dawniej. I nikt z książąt, nikt z owych rycerskich gości — nikt, — prócz Mistrza, — nawet z pomiędzy Krzyżaków, nie rozumiał, że od czasu chrztu Litwy stało się coś takiego, jak gdyby te fale Nogatu, które osłaniały z jednej strony straszną twierdzę — zaczęły podmywać cicho i nieubłagalnie jej mury. Nikt nie rozumiał, że w owem olbrzymiem ciele została jeszcze siła — ale uleciała z niego dusza; kto świeżo przy-

był i, spojrzawszy na ów wzniesiony "ex luto" Marienburg, na owe mury, baszty, na czarne krzyże w bramach, na budynkach i na szatach, temu przedewszystkiem przychodziło na myśl, że i bramy piekielne nie przemogą tej północnej krzyża stolicy.

Z podobną też myślą patrzyli na nią nie tylko Powął z Taczewa i Zbyszko, który tu już był poprzednio, lecz i wile bystrzejszy od nich Zyndram z Maszkowic. I jemu, gdy w tej chwili spoglądał na to zbrojne rojowisko żołnierskie, objęte w ramię baszt i olbrzymich tynów, zmierzchła twarz, a na pamięć nasunęły się mimowoli dumne słowa, któremi niegdyś Krzyżacy grozili królowi Kazimierzowi:

"Większa nasza moc i jeśli nie ustąpisz, do samego Krakowa mieczami naszymi ścigać cię będziem".

Ale tymczasem komtur — zamkowy powiódł rycerzy dalej, do Średniego zamku, w którego wschodniej połacie leżały gościnne komnaty.

VII.

Maćko i Zbyszko długi czas trzymali się w ramionach, gdyż miłowali się wzajem zawsze, a w ostatnich latach wspólne przygody i nieszczęścia uczyniły tę miłość jeszcze silniejszą. Stary rycerz od pierwszego wejrzenia na bratanka odgadł, że Danusi niema już na świecie, więc nie pytał o nic, jeno tulił do siebie młodzianka, chcąc przez moc tego uścisku pokazać mu bliską żywą duszę, gotową podzielić się z nim niedolą.

Aż dopiero, gdy im smutek i boleść znacznie łzami spłynęły, zapytał po długim milczeniu Maćko:

—Zali wydarli ci ją znów, czyli też ci na rękę skonała.

—Na rękę mi skonała pod samym Spycho-wem —odrzekł młodzian.

I począł opowiadać jak i co było, płaczem i wzdychaniami przerywając sobie opowiadanie, a Maćko słuchał uważnie, wzdychał także i w końcu znów jął wypytywać:

—A Jurand żywie jeszcze?

—Juranda żywiącegom odjechał, ale nie długo mu na świecie i pewnie go już nie obaczę

—To może lepiej było nie odjeżdżać.

Jakoże— mi było was tu ostawić?

—Parę niedziel wcześniej, albo później wszystko jedno!

Ale Zbyszko popatrzał na niego bacznie i rzekł:

—I tak musieliście tu chorzeć? Jako Piotrowina wyglądacie.

—Bo choć słońko na ziemi przygrzewa, w podziemiu zawsze zimno i wilgoć tam jest okrutna z takowej przyczyny, że tu naokół zamku wody. Myślałem, że do szczętu spleśnieję. Dychać też niema czem i od tego wszystkiego rana mi się odnowiła—ta, wiesz..., co to mi w Bogdańcu po bobrowem sadle szczebrzuch wyłazł.

—Pamiętam— rzekł Zbyszko — bośmy po bobra z Jagienką chodzili. A to was tu psubraty w podziemiu trzymali?

Maćko poruszył głową i odpowiedział:

—Zeby ci tak szczerze rzec, to nie radzi oni mnie widzieli i już było ze mną źle. Wielka tu jest zawziętość na Witolda i Zmujdzinów, ale jeszcze większa na tych z pomiędzy nas, którzy im pomagają. Próżnom gadał, dlaczegośmy między Zmujdzinów poszli. Byliby mi głowę ucięli i jeśli tak nie uczynili, to jeno dlatego, że im wykupu było żal, bo jako wiesz, pieniądz im nawet i od pomsty wdzięczniejszy, powtóre chcieli mieć w ręku dowód, że król Polaków poganom w pomoc posyła. Bo, że Zmujdzini niebożęta proszą o krzest, byle nie z ich rąk, to wiemy, którzyśmy tam byli, ale Krzyżaki udają, że nie wiedzą i skarżą ich po wszystkich dworach, a z nimi razem i naszego króla.

Tu porwała Maćka zadyszka, tak, że musiał na chwilę umilknąć i dopiero odsapnąwszy, mówił dalej:

— I byłbym może skapiał w podziemiu. Wstawiał ci się za mną poprawdzie Arnold von Baden, któremu też o okup chodziło. Ale on nie ma między nimi nijakiej powagi i nazywają go niedźwiedziem. Szczęściem de Lorche dowiedział się o mnie od Arnolda okrutnego zaraz narobił warchołu. Nie wiem, czy ci o tem powiadał, bo on rad kryje swoje dobre uczynki....

Jego oni tu to za coś mają, bo już jeden de Lorche wielkie niegdyś w Zakonie piastował godności, a ten jest znamienitego rodu i bogacz. Mówił im tedy, że sam jest naszym jeńcem i że gdyby mi tu gardło wzięli, albo gdbym skapiał z głodu i wilgotności, to ty jemu szyję utniesz. Groził ci kapitule, że rozpowie po zachodnich dworach, jak Krzyżacy z pasowanymi rycerzami postępują. Aż zlekli się i wzięli mnie do lazaretu, gdzie i powietrze i strawa lepsza.

— Od Lorchego jednej grzywny nie wezmę, tak mi dopomóż Bóg!

— Miło od przyjaciela brać, ale przyjacielowi słuszną rzecz przepuścić — rzekł Maćko; — a skoro, jako słyszę, ugoda z królem o wymianę jeńców stanęła, to i za mnie nie potrzebujesz płacić.

— Ba! a nasze słowo rycerskie? — zapytał Zbyszko. — Ugoda ugoda, a Arnold bezecność mógłby nam zadać.

Usłyszawszy to, zatroskał się Maćko, pomyślał nieco i rzekł:

— A możnaby coś odtargować?

—Samiśmy się cenili. Zaliśmy to teraz mniej warci?

Maćko zatroskał się jeszcze bardziej, ale w oczach odbił się podziw i jakby jeszcze większa miłość dla Zbyszka.

—A czei potrafi strzedz!.. taki ci się już urodził—mruknął sam do siebie.

I począł wzdychać. Zbyszko myślał, że z żalu o te grzywny, które mieli von Badenowi zapłacić, więc rzekł:

—Wiecie! Pieniędzy i tak jest dość, byle dola nie była taka ciężka.

—Bóg ci ją odmieni!— rzekł ze wzruszeniem stary rycerz.—Mnie tam niedługo już na świecie.

—Nie powiadajcie! Będziecie zdrowi, niech jeno was wiater przewieje.

—Wiater? Wiater młode drzewo przygnie, a stare złamie.

—Owa! nie próchnieją w was jeszcze gnaty i do starości wam daleko. Nie smućcie się!

—Zeby tobie było wesoło i ja bym się śmiał. Wszelako mam ci ja i inną do smutku przyczynę, a prawdę rzekłszy, nietylko ja, ale i my wszyscy.

—Co zaś? —zapytał Zbyszko.

—A pamiętasz, jako cię w obozie u Skirwoiły zgromiłem za to, żeś moc krzyżacką sławił? W polu, jużci twardy jest nasz naród, ale tak z bliska, to ja się tutejszym psubratom dopiero teraz przypatrzył....

Tu Maćko, jakby w obawie, aby go kto nie dosłyszał, zniżył głos:

— I teraz widzą, żeś ty był praw, nie ja. Niech ręka boska broni, co to za moc, co to za

potęga! Swędzą naszych rycerzy ręce i chce im się jak najprędzej k' Niemcom, a nie wiedzą, że Krzyżaków wszystkie narody i wszyscy królowie wspomagają, że pieniędzy u nich więcej, że ćwiczenie lepsze, że zamki warowniejsze i sprzęt wojenny godniejszy. Niech ręka boska broni!... I u nas i tu mówią, że do wielkiej wojny przyjść musi i przyjdzie, ale gdy przyjdzie, to niechże Bóg zmiłuje się nad naszym królestwem i naszym narodem!

Tu objął dłońmi swą szpakowaną głowę, łokcie wsparł na kolanach i zamilkł.

Zbyszko zaś rzekł:

—A widzicie. W pojedynkę nie jeden z naszych od nich tęższy, ale co do wielkiej wojny, pomiarkowaliście sami.

—Oj, pomiarkowałem! a da Bóg i ci posłowie królewscy pomiarkują także, a zwłaszcza rycerz z Maszkowic.

—Widziałem, jako spochmurniał. Wielki z niego sprawca wojenny i powiadają, że nikt na świecie nie rozumie się tak na wojnie.

—Jeśli prawda, to chyba jej nie będzie.

—Jeśli Krzyżacy obaczą, że mocniejsi, to właśnie będzie. I powiem wam szczerze: bogdaj już przyszedł wóz, alibo przewóz, gdyż dłużej nie lża nam tak żyć....

I z kolei Zbyszko, jakby przygniecion niedolą własną i powszechną, opuścił głowę, a Maćko rzekł:

—Szkoda zacnego królestwa, a boję się, by nas Bóg za zbytnią zuchwałość nie pokarał.

Pamiętasz jak to rycerstwo na Wawelu przede mszą, wtedy, kiedy ci to mieli głowę uciąć i nie ucięli—samego Tumura Kuternogę wyzywało, którego czterdziestu królestw jest

panem i któren góry z głów ludzkich uczynił... Niedosć im Krzyżaków! wszystkich naraz chcieliby wyzwać — i w tem może być obraza boska.

A Zbyszko na ówo wspomnienie chwycił się za płowe włosy, bo go niespodzianie ogarnął żal okrutny — i zakrzyknął:

— A któż mnie wówczas od kata zratował, jeśli nie ona! O Jezu! Danuśka moja!... O Jezu!...

I począł drzeć włosy, a następnie gryźć pięści, któremi łkanie chciał stłumić, tak rozskowycało się w nim serce znagłego bólu.

— Chłopie miej Boga w sercu!... cichaj! — wołał Maćko. — Co wskórasz? Hamuj się! cichaj!....

Ale Zbyszko długi czas nie mógł się uspokoić i upamiętał się dopiero, gdy Maćko który był istotnie jeszcze chory zesłał tak bardzo, że zachwiał się na nogach i pałd na ławę w zupełnem zmysłów zamroczeniu. Wówczas młodzian położył go na tapczanie, pokrzepił winem, które przysłał komtur zamkowy i czuwał nad nim, póki stary rycerz nie zasnął.

Nazajutrz zbudzili się późno, rzeźwiejsi i wypoczęci.

— No — rzekł Maćko: — chyba jeszcze na mnie nie czas i tak myślę, że byle mnie wiatery polny przewiał, to i na koniu dosiedzę.

— Posłowie zostaną jeszcze kilka dni — odpowiedział Zbyszko — bo coraz to do nich ludzie przychodzą z prośbą o jeńców, którzy na Mazowszu, albo w Wielkopolsce na rozboju schwytani, ale my możemy jechać, kiedy chcecie i kiedy poczujecie się w siłach.

W tej chwili wszedł Hława.

—Nie wiesz zaś, co tam czynią posłowie?
—spytał go stary rycerz.

—Zwiedzają wysoki zamek i kościół—odrzekł Czech.—Komtur zamkowy sam ich oprowadza, a potem pójdą do wielkiego refektarza na obiad, na który i Wasze Miłoscie ma Mistrz zaprosić.

—A ty coś od rana czynił?

—A ja przypatrywałem się niemieckiej najemnej piechocie, którą kapitanowie ćwiczyli i przyrównywałem ją z naszą czeską.

—A ty czeską pamiętasz?

—Wyrostkiem mnie pojmał rycerz Zych ze Zgorzelic, ale pamiętam dobrze, bom od małego był do takich rzeczy ciekawy.

—No i cóż?

—A nic! Jużci tęga jest krzyżacka piechota i ćwiczona godnie, ale to są woły, a nasi Czesi wilcy. Gdyby tak przyszło co do czego, to przecie Wasze Miłoscie wiedzą: woły wilków nie jadają, a wilki okrutnie na wołowinę łakome.

Prawda jest— rzekł Maćko, który widocznie coś o tem wiedział: — kto się o waszych otrze, to jako od jeża odskoczy.

—W bitwie konny rycerz za dziesięciu piechoty stanie—rzekł Zbyszko.

—Ale Marienburga jeno piechota może do być— odpowiedział giermek.

I na tem skończyła się rozmowa o piechocie gdyż Maćko idąc za biegiem swych myśli rzekł:

—Słysz, Hlawa: dziś jak podjem i poczuję się w mocy— pojedziemy.

—A dokąd?—spytał Czech.

—Wiadomo, że na Mazowsze. Do Spycho-
wa — rzekł Zbyszko.

— I tam już ostaniem?

Na to spojrział Maćko na Zbyszka pytają-
cym wzrokiem, gdyż dotychczas nie było mię-
dzy nimi mowy o tem, co dalej uczynią. Mło-
dzian może miał gotowe postanowienie, ale nie
chciał niem widocznie srtyjca zasmucać, więc
rzekł wymijająco:

—Wpierw musicie wydobrzeć.

—A potem co?

—Potem? Wróćcie do Bogdańca. Wiem
jako Bogdaniec miłujecie.

—A ty?

—I ja miłuję.

—Nie mówię, żebyś do Juranda nie jechał
—rzekł powoli Maćko— bo jeśli zamrze, to po-
grześć go przystojnie należy, ale ty bacz, co
powiem, gdyż, jako młody, rozumem mi nie
dorównasz. Nieszczęśliwa to jakowaś ziemia
ten Spychów. Co cię spotkało dobrego — to
gdzieindziej, a tam nic jeno strapienia ciężkie
i frasunki.

—Prawdę mówicie, —rzekł Zbyszko — ale
tam Danusina truchełka....

—Cichaj!—zawołał Maćko w obawie, że
Zbyszka chwyci taki sam ból, jak wczoraj.

Ale na twarzy młodzianka odbiło się tylko
rozrzewnienie i smutek.

—Będzie czas uradzać— rzekł po chwili.—
W Płocku i tak musicie odpocząć.

—Starunku Waszej Miłości tam nie zbra-
knie— wtrącił Hława.

—Prawda — rzekł Zbyszko: — wiecie, że
tam jest Jagienka? Jest dwórką przy księżnie
Zimowitowej. Ba,— ale przecie wiecie, boście

ją sami tam przywieźli. Była i w Spychowie. Aż mi to dziwno, żeście mi nic o niej u Skirwoiłły nie wspomnieli.

—Nietylko była w Spychowie, ale bez niej Jurand. alboby dotychczas macał koszturęm drogi, alboby zmarł gdzie przy drodze. Przywiozłem ją do Płocka wedle opatowego dziedzictwa, a nie wspomniałem ci o niej, bo choćbym był wspomniał byłoby to samo. Na nic tyś, nieboże, wówczas nie baczył.

—Wielce ona was kocha— rzekł Zbyszko. —Chwalić Boga, że nijakie listy nie były potrzebne, ale ona od księżny dostała listy za wami i przez księżnę od posłów krzyżackich.

—Niech Bóg za to dziewce błogosławi, bo lepszej na świecie niema! — rzekł Maćko.

Dalszą rozmowę przerwało im wejście Zyndrama z Maszkowic i Powały z Taczewa, którzy, zasłyszawszy o wczorajszym omdleniu Maćka, przyszli go dziś odwiedzić.

—Pochwalony Jezus Chrystus—rzekł, przełapawszy próg Zyndram.—Jakoże wam dziś?

Bóg zapłać! Pomału! Zbyszko prawi, że byle mię wiater obwiał, to będzie całkiem dobrze.

—Co nie ma być?... będzie! Wszystko będzie dobrze— wtrącił Powala.

—Wywczasowałem się też na porządek! — odrzekł Maćko. —Nie tak, jak Wasze Miłości, którzy, jako słyszę, ranoście wstali.

—Naprzód przychodzili do nas ludzie tu-tejsi mianować jeńców,—rzekł Zyndram—a potem oglądaliśmy gospodarstwo krzyżackie: Przedzamecze i oba zamki.

—Tęgie gospodarstwo i tęgie zamki! — mruknął posepnie Maćko.

—Pewnie, że tęgie. Na kościele są arabskie ozdobności, o których powiadali Krzyżacy, że się takiego murowania od Saracenów w Sycylii nauczyli, a w zamkach komnaty ci osobliwe, na słupkach w pojedynkę, albo gromadami stojących. Obaczycie sami wielki refektarz. Utwierdzenie też wszędy okrutne, jakiego nigdzie nie masz. Takich murów i kula kamienna, chociażby największa, nie ugryzie. Wiera, iż miło patrzeć....

Zyndram mówił to tak wesoło, że Maćko spojrzał na niego zdziwiony i zapytał:

—A bogactwa ich, a porządki, a wojsko i gości—widzieliście?

—Wszystko nam pokazali, niby z gościnności, a w rzeczy dlatego, aby serce w nas upadło.

—No i cóż?

—A no, da Bóg, że jak przyjdzie wojna, wyżeniem ich het, za góry i morza,—tam skąd przyszli.

A Maćko, przepomniawszy w tej chwili o chorobie, aż zerwał się na równe nogi ze zdziwienia.

—Jak to, panie?—rzekł. Mówią, że rozum macie bystry.... Bo mnie, aż zemdliło, gdym się ich potęgi napatrzył... Dla Boga! z czegoż to miarkujecie?

Tu zwrócił się do bratanka:

—Zbyszku, każ zaś to wino, które nam przysłali postawić. Siadajcie, wasze moście, i mówcie, bo lepszej dryjakwi żaden medyk na moje choróbsko nie wymyśli.

Zbyszko zaciekawion też bardzo, sam postawił dzbaniec z winem, a przy nim kubki,

poczem siedli naokół stołu i pan z Maszkowie tak mówić począł:

—Utwierdzenie to jest nic, bo co ręką ludzką stawiane, to ręką ludzką zburzyć zdoła. Wiecie co trzyma w kupie cegły? — wapno! A wiecie co ludzi? — miłość.

—Rany boskie! miód wam panie, z gęby płynie zawołał Maćko.

A Zyndram uradował się w sercu tą pochwałą i tak dalej rzecz prowadził:

Z tutejszych ludzi — ten ci ma u nas w pętach brata, ten syna, ten krewniaka, inny zięcia, albo kogo. Komturowie graniczni każą im na rozbój do nas chodzić — więc niejednego polegnie i niejednego nasi ułapią. Ale, że tu już się zwiedzieli ludzie o ugodzie między królem a Mistrzem — przychodzili tedy do nas od samego rana podawać nazwiska jeńców, które nasz pisarz spisywał. Był naprzód bednarz tutejszy, możny mieszczanin, Niemiec, mający dom w Malborgu, który w końcu rzekł: “Bym mógł waszemu królowi i królestwu w czem się przysłużyć, nietylkobym majątność, ale głowę oddał”. Odprawiłem go, myśląc, że Judasz. Ale potem przychodzi ksiądz świecki z pod Oliwy, prosi o brata i tak powiada: “Prawdali to, że na naszych pruskich panów wojną nastąpicie? bo wiedzcie, że tu już cały naród, gdy mówił: “Przyjdź królestwo Twoje”, to o waszym królu myśli”. Było potem o synów, dwóch szlachty, co na lennych ziemiach wedle Sztumu siedzą; byli kupcy z Gdańska, byli rzemieślnicy, był, który dzwony w Kwidzynie leje, była różnych ludzi kupa — i wszyscy gadali to samo.

Tu przerwał pan z Maszkowic, wstał, obaczył, czy za drzwiami nikt nie podsłuchuje i wróciwszy, kończył przyciszonym głosem:

Długom ja o-wszystko wypytywał. Nienawidzą w całych Prusiech Krzyżaków i księża, i szlachta i mieszczenie i kmiecie. I nienawidzi ich nietylko ten naród, któren naszą, alibo pruską mową mówi, ale nawet i Niemcy. Kto musi służyć, służy- ale zaraza każdemu milsza, niż Krzyżak. Ot co jest.

—Ba ale co się to ma do krzyżackiej mocy — rzekł niespokojnie Maćko.

Zyndram pogładził dłonią swoje potężne czoło, pomyślał chwilę, jakby szukał porównania, a wreszcie uśmiechnął się i zapytał:

—Potykaliście się kiedy w szrankach?

—Jużci nieraz— odrzekł Maćko.

—To jakże myślicie? Nie zwali się z konia przy pierwszym starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, któren ma poderżnięty poprąg u siodła i strzemiona.

—Jako żywo!

—No, to widzicie: Zakon to taki rycerz.

—Przebóg!—zawołał Zbyszko.— Pewnie i w książce nic lepszego nie wyczytasz!

Maćko, aż wzruszył się i rzekł nieco drżącym głosem:

Bóg wam zapłać. Na waszą głowę, panie, chyba umyślnie płatnerz musi hełm robić, bo gotowego na nią, nigdzie nie masz.

VIII.

Obiecywali sobie Maćko i Zbyszko wyjechać zaraz z Malbarga, ale tego dnia, w którym tak bardzo pokrzepił ich dusze Zyndram z Maszkowic, nie wyjechali, gdyż był na Wysokim zamku obiad, a potem wieczerza na cześć posłów i gości, na którą Zbyszko był zaproszony jako królewski rycerz, a dla Zbyszka i Maćko. Obiad odbywał się w mniejszem gronie, we wspaniałym Wielkim refektarzu, który oświecało dziesięć okien, a którego palczaste sklepienie wspierało się, rzadko widzianym kunsztem budowniczym, tylko na jednym słupie. Prócz królewskich rycerzy, zasiadł do stołu z obcych tylko jeden burgundzki, który lubo bogatych władców poddany, przyjechał w ich imieniu pożyczyć pieniędzy od Zakonu. Z miejscowych, obok Mistrza, wzięło udział w obiedzie czterech dostojników, zwanych filarami zakonu, to jest Wielki komtur, jałmużnik, szatny i podskarbi. Piąty filar, to jest marszałek, był w tym czasie na wyprawie przeciw Witolowi.

Jakkolwiek Zakon ślubował ubóstwo, jedzono na złocie i srebrze, a popijano małmazą, albowiem Mistrz chciał olśnić oczy posłów polskich. Lecz pomimo mnóstwa potraw i obfitego poczęstunku przykrzyła się nieco gościom ta uczta, z powodu trudności rozmowy i

powagi, jaką wszyscy musieli zachowywać. Natomiast wieczerza w olbrzymim refektarzu zakonnym (Convents Rémter) wiele była weselsza, albowiem zgromadził się na nią cały konwent i wszyscy ci goście, którzy nie zdążyli jeszcze pociągnąć przeciw Witoldowi z wojakiem marszałka. Wesołości tej nie zamącił żaden spór, ni żadna kłótnia. Wprawdzie rycerze zagraniczni, przewidując, że przyjdzie im się kiedyś spotkać z Polakami, patrzeli na nich niechętnem okiem, ale Krzyżacy z góry, zapowiedzieli im, że muszą się zachować spokojnie prosili ich o to bardzo usilnie, bojąc się, w osobach posłów obrazić króla i całe królestwo. Ale nawet i w tym wypadku okazała się niezyczliwość Zakonu, przestrzegali bowiem gości przed zapalczywością Polaków: "że każde ostrzejsze słowo wraz brodę ci wyszarpie, albo cię nożem pchnie". Więc goście zadziwieni byli potem dobroduszością i Powąły z Tarczewa i Zyndrama z Maszkowic, a bystrzejsi pomiarkowali, że nie obyczaje polskie są grube, lecz języki krzyżackie złośliwe i jadowite.

Niektórzy, przywykli do wykwinnych zabaw na polerownych dworach zachodnich, nie-szczególne nawet wynieśli pojęcie o obyczajach samychże Krzyżaków, gdyż była na tej uczcie wrzaskliwa nad miarę kapela, grubijańskie pieśni "szpylmanów", grube żarty trefników, płasy niedźwiedzie i płasy bosych dziewczek. A gdy dziwiono się obecności niewiast na Wysockim zamku, wydało się, że zakaz łamano już oddawna i że sam wielki Winrych Kniprode tańczył tu swego czasu z piękną Maryą von Alfleben. Bracia tłómaczyli, że na Zamku niewiasty nie mogą tylko mieszkać, ale mogą

przychodzić do refektarza na uczty, że zeszłego roku księżna Witoldowa, która mieszkała w urządzanej po królewsku w starej Puszkarni na Przedzamczu, przychodziła jednak tu codziennie grywać w złote arcaby, które jej każdego wieczora darowano.

Grano i tego wieczora nie tylko w arcaby i wszachy, lecz i w kości; więcej tego nawet było niż rozmowy, którą głużyły pieśni i owa zbyt wrzaskliwa kapela. Jednakże, wśród powszechnego gwaru, zdarzały się chwile ciszy i raz, korzystając z takiej chwili, Zyndram z Maszkowic, niby to nie wiedząc o niczem, zapytał Wielkiego Mistrza, czyli poddani we wszystkich ziemiach bardzo miłują Zakon.

Na co Konrad von Jungingen rzekł:

—Kto miłuje Krzyż, ten i Zakon powinien miłować.

Odpowiedź ta podobała się i zakonnikom, gościom, więc poczęli go za nią chwalić, ów zaś, ucieszywszy się, tak mówił dalej:

—Kto nam przyjaciel temu pod nami dobrze, a kto nieprzyjaciel, na tego mamy dwa sposoby.

—Jakież to?—zapytał polski rycerz.

—Wasza cześć może nie wiesz, że ja tu z moich komnat schodzę do tego refektarza małymi schodkami w murze, a przy tych schodach jest pewna sklepiona izba, do której gdybym Waszą cześć zaprowadził, poznałbyś pierwszy sposób.

—Jako żywo! — zawołali bracia.

A pan z Maszkowic domyślił się, że Mistrz mówi o owej "wieży" pełnej złota, którą się chlubili Krzyżacy, więc zastanowił się nieco i odpowiedział:

—Niegdyś hej! okrutnie dawno, pokazał pewien cesarz niemiecki naszemu posłowi, który zwał się Skarbek, taką komorę i rzekł: “Mam ja twojego pana czym pobić!” Skarbek dorzucił ci mę pierścień kosztowny i powiada: “Idź złoto do złota, my Polacy bardziej w żelazie się kochamy....” I wiecie Wasze czeście co potem było?—potem było Hundsfield....

Co to takiego Hundsfield?—zapytało kilkunastu naraz rycerzy.

—To — odpowiada spokojnie Zyndram — takie pole, na którem nikt nie mógł nadażyć grześć Niemców i grzebli ich w końcu psi.

Więc stropili się bardzo i rycerze i bracia zakonni, usłyszawszy taką odpowiedź i nie wiedzieli, co mają mówić, a Zyndram z Maszkowic rzekł, jakby na zakończenie:

—Złotem przecież żelazu nie wskórasz.

—Ba!—zawołał Mistrz—wždy to nasz drugi sposób — żelazo. Widziałeś Wasza cześć na Przedzamczu płatnerskie majsternie. Kuja tam młoty noc i dzień i takich pancerzy, równie jak mieczów, na świecie niemasz.

Lecz na to znów Powąła z Taczewa wyciągnął rękę ku środkowi stołu, wziął długi na łokieć i szeroki więcej niż na pół piędzi tasak, służący do rąbania mięsa, zwinął go lekko w trąbkę jak pergamin, podniósł w górę, tak aby wszyscy mogli go widzieć, a potem podał Mistrzowi.

—Jeśli takie i w mieczach żelazo—rzekł—to niewiela nimi dokażecie.

I uśmiechnął się, rad ze siebie, a duchowni i świeccy aż popodnosili się ze swych miejsc i hurmem zbiegli do Wielkiego Mistrza, poczem jeden drugemu podawał zwinięty w trąbkę ta-

sak, ale milczeli wszyscy, mając na widok takiej mocy struchlałe w piersiach serca.

— Na głowę św. Liboryusza! — zawołał w końcu Mistrz — żelazne, panie macie ręce.

A graf burgundzki dodał:

— I z lepszego, niż to, żelaza. Takci zwinął ten tasak, jakby był z wosku.

— Nawet się nie spłonił i żyły mu nie nabrały! — zawołał jeden z braci.

— Bo — odpowiedział Powął — prosty jest nasz naród, nie znający takich dostatków i wygod, jakie tu widzę, ale czerstwy.

A tu zbliżyli się ku niemu rycerze włoscy i francuscy i poczęli odzywać się do niego swym dźwiękliwym językiem, o którym stary Maćko mówił że jest taki, jakby kto cynowe misy potrasał. Podziwiali tedy jego siłę, on zaś trącał się z nimi kielichami i powiadał.

— Często u nas przy biesiadach takie rzeczy czynią, a zdarzy się, że mniejszy tasak, to ci i poniektóra dziewczka zwinie.

Niemcy, którzy lubili się chełpić między obcymi wzrostem i mocą, wstyd było — i brała ich złość, więc stary Helfenstein jał wołać przez cały stół:

— Hańba to dla nas! Bracie Arnoldzie von Baden, pokaż, że i nasze kości nie ze świec kościelnych uczynione! Dajcie mu tasak.

Służba przyniosła wnet tasak i położyła go przed Arnoldem, ale on, czy to, że zmieszał go widok tylu świadków, czy, że siłę w palcach miał istotnie mniejszą od Powąły, zgiał wprowadzić tasak przez połowę, ale nie zdołał go skrócić.

Więc niejeden z gości zagranicznych, któremu nieraz poprzednio szeptali Krzyżacy,

jako w zimie nastąpi wojna z królem Jagiełłą, zamyślił się mocno i przypomniał sobie w tej chwili, że zima w tym kraju okrutnie bywa ciężka i że lepiejby może wrócić póki czas pod łagodniejsze niebo, do rodzinnego zamku.

A było w tem to dziwnego, że podobne myśli poczęły im przychodzić do głowy w lipcu, czasu pięknej pogody i upałów.

IX.

W Płocku Zbyszko i Maćko nie zastali nikogo z dworu, albowiem oboje księstwo razem z ośmiorgiem dzieci pojechali w odwiedziny do Czerska, dokąd ich zaprosiła księżna Anna Danuta. O Jagience dowiedzieli się od biskupa, że miała zostać w Spychowie przy Jurandzie, aż do jego śmierci. Wiadomości te były im na rękę, bo i sami chcieli jechać do Spychowa. Maćko wysławiał przytem bardzo pocziwość Jagienki, że wołała udać się do umierającego człowieka, który nie był nawet jej krewny, niż na zabawy czerskie, na których płasów i wszelakiej ochoty nie mogło zbraknąć.

—Może uczyniła to i dlatego, aby się z nami nie zminąć—mówił stary rycerz.— Nie widziałem jej już dawno i rad ją obaczę, gdyż wiem, że ona dla mnie życzliwa. Musiała mi dziewczka wyrosnąć — i pewno jeszcze gładsza, niż była.

A Zbyszko rzekł:

—Odmieniła się okrutnie. Gładka była zawsze, ale pamiętałem ją prostą dziewczką, a teraz to jej... choćby na pokoje królewskie.

—Także ci się odmieniła? Ba! ale to i stary ród tych Jastrzębców ze Zgorzelic, którzy się "Na gody!" czasu wojen wołają.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem znów ozwał się stary rycerz:

—Pewnie tak będzie, jakom ci mówił, że jej się zechce do Zgorzelic.

—Mnie i to dziwno było, że z nich wyjeżdżała.

—Bo chorego opata chciała doglądać, któren należytego starunku nie miał. Bała się przytem Cztana i Wilka, a ja sam jej rzekłem, że przezpieczniej będzie braciom bez niej, niżeli przy niej.

—Wiera, że nijak im było sieroty najeżdzać.

A Maćko zamyślił się.

—Ale czy się tam na mnie nie pomścili za to, żem ją wywiózł i czy z Bogdańca choć jedno drewno zostało, Bóg raczy wiedzieć! Nie wiem też, czy wróciwszy podołam im się obronić. Chłopy młode i krzepkie, a ja stary.

—Ej! to, to, już chyba mówcie temu, kto was nie zna — odpowiedział Zbyszko.

Jakoż Maćko nie mówił tego zupełnie szczerze, chodziło mu bowiem o co innego, ale na razie machnął tylko ręką:

—Żebyśmy był nie chorzał w Malborgu, no, to jeszcze!— rzekł. — Ale o tem w Spychowie pogadamy.

I nazajutrz po noclegu w Płocku, ruszyli do Spychowa.

Dni były jasne, droga sucha, łatwa, a przytem bezpieczna, gdyż z powodu ostatnich układów strzymali Krzyżacy rozboje na granicy. Zresztą dwaj rycerze należeli do takich podróżnych, którym i dla zbój a lepiej się zdawało pokłonić, niż zbliżać się do nich, więc podróż szła wartko i piątego dnia po wyjeździe z Pło-

cka stanęli rankiem bez trudu w Spychowie. Jagienka, która była przywiązana do Maćka, jak do najlepszego w świecie przyjaciela, witała go niemal tak, jakby witała ojca, a on choć nie byle co mogło go poruszyć, rozrzewnił się jednak tą życzliwością kochanej dziewczyny—i gdy w cbwilę później, Zbyszko, wypytawszy się o Juranda, poszedł do niego i do swojej “truchelki”—odetchnął stary rycerz głęboko i rzekł:

—A no! kogo Bóg chciał wziąć, to wziął, a kogo chciał ostawić, to ostawił, ale tak myślę, że przecie skończone te nasze mitręgi i te nasze wędrowania po różnych mierzejach i wertebach.

Po chwili zaś dodał:

—Hej! gdzie to nas Pan Jezus przez te ostatnie lata nie nosił!

—Ale was ręka boska piastowała— odrzekła Jagienka.

—Prawda, że piastowała, wszelako szczerze rzekłszy czas już do dom.

—Trzeba nam tu zostać, póki Jurand żywie— rzekła dziewczyna.

—A jako-że z nim?

—Patrzy do góry i śmieje się: widać już raj ogląda, a w nim Danuskę.

—Pilnujesz go?

—Pilnuję, ale ksiądz Kaleb powiada, że i anieli go pilnują. Wczoraj gospodyni tutejsza dwóch widziała.

—Powiadają — rzekł na to Maćko — że szlachcicowi najprzystojniej w polu umierać, ale tak, jak Jurand kona, to i na łożu dobrze.

—Nie je nic, nie pije, jeno się ciągiem śmieje rzekła Jagienka.

—Pójdźmy do niego. Zbyszko też tam musi być.

Ale Zbyszko krótko zabawił przy Juran-dzie, który nikogo nie poznawał i poszedł na-stępnie do Danusinej trumny, do podziemia. Tam zabawił doputy, dopóki stary Tolima nie przyszedł szukać go na posiłek. Wychodząc, zauważył przy blasku pochodni, że na trumnie pełno było wianuszków z chabru i z nagietków, a naokół wymieciona czysto polepa przytrząśnięta była tatarakiem, kaczeńcem i kwiatem lipowym, który roznosił woń miodową. Więc wezbrało w młodzianku na ten widok serce i zapytał:

—Któż to tak zdobi tę truchelkę?

—Panna ze Zgorzelic — odpowiedział To-lima.

Młody rycerz nie rzekł na to nic, ale w chwilę później, ujrawszy Jagienkę, pochylił się nagle do jej kolan i objawszy je, zawołał:

—Bóg-że ci zapłać za twoją pocziwość i za one kwiecie dla Danuśki.

I to rzekłszy, rozpłakał się rzewnie a ona objęła mu rękoma głowę jako siostra, która pragnie kwilącego brata utulić i rzekła:

Oj, mój Zbyszku, radabym cię bardziej pocieszyć!

Poczem łzy obfite puściły się jej z oczu.

X.

Jurand umarł w kilka dni później. Przez cały tydzień odprawiał ksiądz Kaleb nabożeństwa nad jego ciałem, które nie psuło się wcale — w czem wszyscy cud boży widzieli — i przez cały tydzień roilo się od gości w Spychowie. Potem przyszedł czas ciszy, jaki zwykle bywa po pogrzebach. Zbyszko chadzał do podziemia, a czasem też z kuszą do boru, z której zresztą nie strzelał do zwierza, jeno chodził w zapamiętaniu, aż wreszcie pewnego wieczoru przyszedł do izby, w której dziewczyny siedziały z Maćkiem i Hławą — i niespodzianie rzekł:

—Posłuchajcie co powiem! — Nie płuży smutek nikomu, a przez to lepiej wam do Bogdańca i do Zgorzelic wracać niżeli tu w smutku siedzieć.

Nastało milczenie, wszyscy bowiem odgadli, że to będzie wielkiej wagi rozmowa — i dopiero po chwili ozwał się Maćko:

Lepiej nam, ale i tobie lepiej.

Lecz Zbyszko potrząsnął swymi jasnymi włosami.

—Nie! — rzekł — wrócę, da Bóg i ja do Bogdańca, ale taraz w inną mi trzeba drogę.

—Hej! — zawołał Maćko — mówiłem, że koniec, a tu nie koniec! Bójże ty się Boga, Zbyszku!

—Przecie wiecie, iżem ślubował.

—To ta jest przyczyna? Nie masz Danuśki, nie masz i ślubowania. Śmierć cię od przysięgi zwolniła.

—Mojaby mnie zwolniła, ale nie jej. Na rycerską cześć ja Bogu przysięgał. Jakoże chcecie? Na rycerską cześć!

Każde słowo o rycerskiej czci, wywierało na Maćka jakby czarodziejski wpływ. W życiu, prócz przykazań boskich i kościelnych, niewiele się innymi kierował, ale natomiast temi kilkoma kierował się niezachwianie.

—Ja ci nie mówię, żebyś przysięgi nie dotrzymał — rzekł.

—Jeno co?

—Jeno to, żeś młody i że na wszystko masz czas. Jedź teraz z nami; wypoczniesz z żalu i boleści się otrząchniesz a potem ruszysz, dokąd zechcesz.

—To już wam tak szczerze, jak na spowiedzi powiem odrzekł Zbyszko jeżdżę, widzicie, gdzie trzeba, gadam z wami, jem i piję, jak każdy człowiek, a sprawiedliwie mówię, że we wnętrzu i w duszy, rady sobie nijakiej dać nie mogę. Nic jedno smutek we mnie, nic, jedno boleść, nic jedno te gorzkie śluzy — same mi z oczu płyną!

—To ci właśnie między obcymi będzie najgorzej.

—Nie—mówił Zbyszko.—Bóg widzi, że do reszty bym skapiał w Bogdańcu. Kiedy wam mówię, że nie mogę to nie mogę! Wojny mi trza, bo w polu łatwiej zapomnieć. Czuję, że jak ślubu dokonam, jak onej zbawionej duszy będę mógł rzec: wszystkom ci spełnił, com przyobiecał dopiero mnie popuści. A pier-

wej —nie! Nie utrzymalibyście mnie i na powrozie w Bogdańcu.....

Po tych słowach stało się w izbie cicho, tak, że słyhać było muchy latające pod pułapem.

—Ma-li skapieć w Bogdańcu to niech lepiej jedzie— ozwała się wreszcie Jagienka.

Maćko założył obie ręce na kark, jak miał zwyczaj czynić w chwilach wielkiego frasunku, poczem westchnął ciężko i rzekł:

—Ej, mocny Boże!....

Jagienka zaś mówiła dalej:

—Zbyszku, ale ty przysięgnij, że jeżeli cię Bóg zachowa, to nie останiesz tutaj, jeno powrócisz do nas.

—Cobym nie miał wrócić! Jużci nie ominę Spychowa, ale tu nie останę.

—Bo— ciągnęła dalej cichszym nieco głosem dziewczyna— jeśli ci o tę truchelkę chodzi, to my ci ją zawieziem do Krześni...

—Jaguś!—zawołał z wybuchem Zbyszko.

I w pierwszej chwili uniesienia i wdzięczności padł jej do nóg.

XI.

Stary rycerz pragnął koniecznie towarzyszyć Zbyszkowi do wojsk księcia Witoldowych, ale ów nie dał sobie nawet o tem mówić. Uparł się jechać sam, bez pocztu, bez wozów, z trzema tylko konnymi pachołkami, z których jeden miał wieźć spyżę, drugi zbroję i ubiory, trzeci niedźwiedzie skóry do spania. Próżno Jagienka i Maćko błagali go, by wziął z sobą chociaż Hlawę, jako giermka wypróbowanej siły i wierności. Uparł się i nie chciał, mówiąc, że trzeba mu o tej boleści, która go toczy, zapomnieć, a obecność giermka przypominałaby mu właśnie wszystko, co było i przeszło.

Ale jeszcze przed jego wyjazdem toczyły się ważne narady nad tem, co uczynić ze Spychowem. Maćko radził tę majątność sprzedać. Mówił, iż to jest ziemia nieszczęsna, która nikomu nie przyniosła nic prócz klęski i niedoli. W Spychowie dużo było wszelakiego bogactwa, począwszy od pieniędzy, aż do zbroi, koni, szat, kozuchów, drogich skór, kosztownych sprzętów i stad, więc Maćkowi chodziło w duszy o to, aby owem bogactwem wspomódz Bogdaniec, który milszy był mu od wszystkich innych ziem. Radzili tedy nad tem długo, ale Zbyszko żadną miarą nie chciał się zgodzić na sprzedaż.

—Jakoże mi — mówił — Jurandowe kości sprzedawać? Tak ci to mu się mam wypłacić za one dobrodziejstwa, któremi mię obsypał?

—Obiecaliśmy ci wziąć Danusinę truchelkę— odrzekł Maćko— możemy i Juranda ciała zabrać.

—Ba, on tu z ojcami, a bez ojców będzie mu się cniło w Krześni. Weźmiecie Danuskę, to on tu ostanie zdala od dziecka, weźmiecie i jego, to tu ojce sami ostaną.

—Bo ty nie baczysz, że Jurand w raju wszystkich codzień ogląda, a ojciec Kaleb powiada, że on w raju — odpowiedział stary rycerz.

A ksiądz Kaleb, który był po stronie Zbyszka, rzekł:

—Dusza w raju, ale ciało na ziemi, aż do dnia sądu.

Maćko zaś zastanowił się nieco i idąc dalej za własną myślą, dodał:

—Jużci: takiego chyba Juranda nie widzi, któren nie został zbawion, na to wszelako nie-ma rady.

—Co tu wyroków boskich dochodzić! — odrzekł Zbyszko. — Ale i tego nie daj Bóg, aby obcy człek nad tymi świętymi prochami mieszkiał. Lepiej tu wszystkich ostawię, a Spycho-wa nie przedam, choćby mi za niego księstwo dawali.

Po tych słowach wiedział już Maćko, że niema rady, bo znał uporczywość bratanka i wielbił ją w głębi duszy, na równi ze wszystkimi co tylko w młodzianku było.

Więc po chwili rzekł:

—Prawda jest, że pod włos mi chłop mówi, ale w tem co mówi, to praw.

I zafrasował się, bo jednakże nie wiedział co czynić.

Ale Jagienka, która milczała dotychczas, wystąpiła z nową radą:

—Żeby tak znaleźć pocziwego człowieka, co by tu rządził, alibo dzierżawą Spychów wziął, to byłaby wyborna rzecz. Najśluszniej by, wydzierżawić, bo nijakich nie mielibyście kłopotów, jeno gotowy grosz. Możeby Tolima?... Stary on jest i więcej się na wojnie niż na gospodarstwie rozumie, ale jeśli nie on, to może ojciec Kaleb?....

—Miła panno!—odpowiedział na to ksiądz Kaleb obu nam z Tolimą ziemia się patrzy, ale ta, która nas pokryje, nie ta, po której chodzimy.

I to rzekłszy, zwrócił się do Tolimy:

—Prawda stary?

Więc Tolima ogarnął dłonią śpiczaste ucho i zapytał: o co chodzi? a gdy mu powtórzono głośniejsz, rzekł:

—Święta to prawda. Nie do gospodarstwa ja! Topór głębiej orze od pługa.... Pana i dziecko tobym rad jeszcze pomścić...

I wyciągnął chude, lecz żyłaste dłonie z zakrzywionymi nakształt szponów drapieżnego ptaka palcami, poczem zwracając swą siwą, podobną do wilczej głowy, w stronę Maćka i Zbyszka, dodał:

Na Niemców Wasze Moście mnie weście — to moja służba!

I miał słuszość. Przysporzył on niemało bogactwa Jurandowi, ale tylko drogą wojny i łupu—nie gospodarstwem.

Więc Jagienka, która przez czas tej rozmowy namyslała się, co ma powiedzieć, rzekła znów:

—Tu by się patrzył człek młody, a nie bojący, bo zaś ściana krzyżacka obok; taki, powiadam, coby się przed Niemcami nietylko niechował, ale jeszcze ich szukał, więc tak myślę, że nie przymierzając, Hława — w sam razby się do tego nadawał...

—Obaczcie jak to uradza! — rzekł Maćko, któremu, pomimo całej miłości do Jagienki, nie chciało się w głowie pomieścić, by w takiej sprawie zabierała głos niewiasta, a do tego dziewczka przetowłosa.

Ale Czech podniósł się z ławy, na której siedział i rzekł:

—Bóg na mnie patrzy, że radbym z panem Zbyszkim na wojnę iść, bośmy już razem trocha Niemców wyłuskali— i jeszcze się zdarzyło. Ale jeśli mam zostawać, tobym tu został. Tolima mi przyjaciel i on mnie zna.... Sciana krzyżacka obok, to i co? To właśnie! A obaczy, komu się somsiedztwo wpierw uprzykrzy! Miałbym się ja ich bać, to niech oni się mnie boją. Nie daj też Panie Jezu, aby ja Waszym Mościom krzywdę w gospodarstwie czynił i k'sobie wszystko garnął. W tem panienska za mną poświadczy, bo wie, iżebym wolał szczeznąć sto razy, niżli jej nierzetelne oczy pokazać.... Na gospodarstwie tyle się znam, ilem się w Zgorzelicach napatrzył, ale tak miarkuję, że więcej tu trzeba toporem i mieczem, niż pługiem gospodarować. I to wszystko wielce mi jest po myśli, jeno, że przecie, tak... niby tu zostać.....

—To i co?—zapytał Zbyszko. — Czego się ociągasz?

A Hława zmieszał się wielce i tak dalej, jakając się, mówił:

—Niby, że jak panienka odjedzie, to z nią i wszyscy odjadą. Wojować— dobrze i gospodarzyć też, ale tak samemu.... bez nijakiej pomocy.... Okrutnieby mi się tu cniło bez panienki i bez.... tego, jako właśnie chciałem rzec.... i jako, że panienka nie sama jeździła po świecie.... to jakby mi tu nikt nie pomógł... to nie wiem!....

—O czem ten chłop gada?—spytał Maćko.

—Rozum macie bystry, a niceście nie pomiarkowali — odrzekła Jagienka.

—Bo co?

A ona, zamiast odpowiedzi, zwróciła się do giermka:

A— jakby tak Anulka Sieciechówna z tobą ostała— wytrzymałbyś?

Na to Czech grzmotnął się do jej nóg, aż kurz powstał z polepy.

—I w pieklebym z nią wytrzymał!— zawołał, obejmując jej stopy.

Zbyszko, usłyszawszy ten okrzyk, patrzył ze zdumieniem na giermka, gdyż poprzednio o niczem nie wiedział i niczego się nie domyślał, a Maćko dziwił się także temu w duszy, ile to niewiasta znaczy we wszystkich ludzkich sprawach i jak przez nią każda rzecz może się udać, albo zgoła chybić.

—Bóg łaskaw — mruknął — że już ja do nich nie ciekaw.

Jednakże Jagienka, zwróciwszy się znów do Hławy, rzekła:

—To teraz trzeba nam jeno wiedzieć, czy i Anula z tobą wytrzyma.

I zawołała Sieciechównę, a ta weszła, wiedząc lub domyślając się widocznie o co chodzi, gdyż weszła z zasłanionemi ramieniem oczyma z głową spuszczoną tak, że widać było tylko rozbiór jej jasnych włosów, które rozjaśniał jeszcze bardziej padający na nie promień słońca. Naprzód zatrzymała się przy drzwiach, potem skoczywszy ku Jagience, padła przed nią na kolana i ukryła twarz w fałdach jej spódnicy.

A Czech klęknął koło niej i rzekł do Jagienki:

—Pobłogosławcie nas, panienko.

XII.

Nazajutrz nadeszła chwila odjazdu Zbyszka. On sam siedział wysoko na rośłym koniu bojowym, a swoi otaczali go dokoła. Jagienka, stojąc wedle strzemienia, wzniosła ku młodziankowi w milczniu swe smutne niebieskie oczy, jakby chcąc przed rozstaniem napatrzeć się na niego dowoli. Maćko razem z księdzem Kalebem przydrugiem strzemieniu, a tuż obok giermek z Sieciechówną. On zwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, zamieniając z nimi takie krótkie słowa, jakie zwykle powiada się przed długą podróżą: “Ostańcie zdrowi!” — “Niech cię Bóg prowadzi!” — “Czas już!” — “Hej, czas! czas!” Poprzednio już był pożegnał się ze wszystkimi i z Jagienką, którą pod nogi podjął, dziękując jej za życzliwość. A teraz, gdy spoglądał na nią z wysokiego rycerskiego siodła miał ochotę powiedzieć jej jeszcze, jakie dobre słowo, gdyż jej wzniesione oczy i twarz mówiły mu tak wyraźnie: “Wróć!” — że serce wzbierało mu rzetelną wdzięcznością.

I jak gdyby odpowiadając na tę jej niemą wymowę, rzekł:

— Jaguś, ku tobie, jako ku siostrze rodzonej.... Wiesz!... Nic więcej nie rzekę!

— Wiem. Bóg ci zapłaci.

— I o stryjcu pamiętaj.

—I ty pamiętaj.

—Jużci wrócę, jeśli nie zginę.

—Nie giń.

Raz już w Płocku gdy wspomniał o wyprawie, powiedziała mu tak samo: "Nie giń", ale teraz słowa te wyszły z jeszcze większej głębi jej duszy i może dla ukrycia łez pochyliła się przytem tak, że czoło jej dotknęło na chwilę kolana Zbyszka.

A tymczasem pacholłowie konni przy bramie, trzymający juczne konie, gotowi już do drogi, poczęli śpiewać:

"Nie zginie pierścień, złocisty pierścień

Nie zginie.

Kruk go odniesie, z pola odniesie

Dziewczynie.

—W drogę!—zawołał Zbyszko.

—W drogę.

—Boże cię prowadź! Matko Najświętsza....

Zatętniły kopyta na drewnianym zwodzonym moście, jeden z koni zarżał przeciągle, inne poczęły parskać rozgłośnie i orszak ruszył.

Ale Jagienka, Maćko, ksiądz, Tolima oraz Czech ze swą niewiastą i ci słudzy, którzy zostawali w Spychowiu, wyszli na most i patrzyli na odjeżdżających. Ksiądz Kaleb żegnał ich krzyżem czas długi, aż wreszcie znikli za wysokimi krzami olszyny, rzekł:

—Pod tym znakiem nie dosięgnie ich zła przygoda.

A Maćko dodał:

—Pewnie, ale i to też dobrze, że konie czyniły parskanie okrutne.

Lecz i oni nie zostali już długo w Spycho-
wie. Po dwóch tygodniach załatwił stary ry-
cerz sprawę z Czechem, który osiadł dzierżawą
na majątności, sam zaś na czele długiego sze-
regu wozów, otoczonych zbrojną czeladzią, ru-
szył z Jagienką w stronę Bogdańca. Niezupeł-
nie radzi patrzyli na owe wozy ksiądz Kaleb
i stary Tolima, bo prawdę rzekszy, Maćko
złupił trochę Spychów—ale ponieważ Zbyszko
całkiem zdał na niego rządy — nikt nie śmiał
mu się sprzeciwić. Zresztą, byłby zabrał je-
szcze więcej, gdyby go nie hamowała Jagien-
ka, z którą sprzeczał się wprawdzie, wydzi-
wiając na “babskie rozumy”—ale której słu-
chał prawie we wszystkim.

Trumny Danusinej nie wieźli jednak, gdyż,
skoro Spychów nie został sprzedan, Zbyszko
wolał, aby została z ojcami. Wieźli natomiast
moc pieniędzy i różnych bogactw w znacznej
części złupionych swego czasu na Niemcach w
rozlicznych bitwach, które stoczył z nimi Ju-
rand. To też Maćko, spoglądając teraz na ła-
downe, pokryte rogożami wozy, radował się w
duszy na myśl jak wspomóże i urządzi Bogda-
niec. Zatrzuwała mu jednak tę radość obawa,
że Zbyszko może poledz, ale znając sprawność
rycerską młodzianka, nie tacił jednak nadziei,
że wróci szczęśliwie i z rozkoszą o tej chwili
rozmyślał.

—Może to Bóg tak chciał— mówił sobie --
żeby wpierv dostał Zbyszko Spychów, a potem
Moczydoły i wszystko, co po opacie zostało?
Niech jeno wróci szczęśliwie, to mu kasztel go-
dny w Bogdańcu wystawię; a wtedy obaczym!
Tu przypomniało mu się, że Cztań z Rogo-
wa i Wilk z Brzozowej pewnie niezbyt mile go

przyjmą i że może trzeba się będzie z nimi potykać, ale o to nie dbał, równie jak stary koń bojowy nie dba, gdy mu do bitwy iść przyjdzie. Zdrowie mu wróciło, czuł siłę w kościach i wiedział, że tym zabijakom, groźnym wprawdzie, ale nie umiejącym nijakiego ćwiczenia rycerskiego łatwo da rade. Wprawdzie co innego mówił przed niedawnym czasem Zbyszkowi—mówił to jednak tylko dlatego, by go do powrotu skłonić.

—Hej! szczuka ja, a oni kielbie—myślał—niech mi lepiej od głowy nie zachodzą!

Natomiast zaniepokoiło go co innego. Zbyszko Bóg wie kiedy oto wróci, a przytem Jagienkę uważa całkiem tylko za siostrę. Nuż dziewczka patrzy na niego też jak na brata i nuż nie zechce czekać na jego niepewny powrót?

Więc zwrócił się do niej i rzekł:

—Słuchaj, Jagna: nie mówię ja o Cztanie i Wilku, bo to rube chłopiska i nie dla ciebie. Tyś teraz dwórka!... Ale wedle tego, że to roki ci są!... Już nieboszczyk Zych powiadał, że czujesz Bożą wolą, a to temu kilka lat.... Bo ja tam wiem! Mówią, że jak dziewczce zaciasno we wianuszk, to ci sama gotowa szukać takiego, coby jej go z głowy zdjął.... Ma się rozumieć, że ni Cztan, ni Wilk.... Ale jakoże miarkujesz?

—Co wy się pytacie?

—Nie wydasz-li ty się za kogo?

—Ja?...Ja mniszką ostanę.

—Nie powiadaj byle czego! A jak Zbyszko wróci?

Ale ona potrzęsnęła głową:

—Mniszką ostanę.

—No, a jakby cię pokochał? jakby cię prosił okrutnie?

Na to dziewczyna odwróciła zarumienioną twarz do pola, ale wiatr, który właśnie od pola wiał, przyniósł Maćkowi cichą odpowiedź:

—To nie ostanę.

XIII.

Zabawili czas jakiś w Płocku, aby się z dziedzictwem i z testamentem opatowym ułatwić, a potem zaopatrzeni w należyte dokumenta, ruszyli dalej, niewiele wypoczywając w drodze, która była łatwa i bezpieczna, gdyż upał osuszył błota, pozwężał rzeki, a gościńce szły krajem spokojnym, zamieszkanym przez lud swojacki i gościnny. Z Sieradza pchnął ostrożny Maćko pachołka do Zgorzelic, o przybyciu swoim i Jagienki oznajmić, skutkiem czego Jaśko, brat Jagienki wyskoczył ku nim na pół drogi i naczele zbrojnych parobków odprowadził ich do domu.

Było przytem spotkaniu niemało radości, powitań i okrzyków. Jaśko podobny był zawsze do Jagienki, jak dwie krople wody, ale już ją przerósł. Chłopak był na schwał: dziarski, wesoły, jak nieboszczyk Zych, po którym ochotę do ciągłego śpiewania odziedziczył, a żywy, jak skra. Poczul się też już w latach, w sile i za dojrzałego męża się uważał, bo rządził swymi pachołkami jak prawy wódz, a oni w mig każdy jego rozkaz spełniali, bojąc się widocznie jego powagi i władzy.

Dziwili się więc temu Maćko i Jagienka, a on dziwił się także z wielką uciechą urodzie i dworności siostry, której oddawna nie widział. Mówił przytem, że już się ku niej wybierał i że

maluczko, a byliby go w domu nie zastali, gdyż i tak trzeba mu świat obaczyć, o ludzi się otrzeć, ćwiczenia rycerskiego nabrać i sposobność tu i owdzie znaleźć do potykania się z wędrownymi rycerzami.

Świat i obyczaje ludzkie poznać — rzekł mu na to Maćko — dobra jest to rzecz, gdyż uczy to, jak się w każdej przygodzie znaleźć, co powiedzieć i wzmaga przyrodzony rozum. Ale co do potykania się lepiej, że ja ci powiem, i żeś na to jeszcze za młody, niż żeby ci to miał jakiś obcy rycerz powiedzieć, którenby cię przysmiał wyśmiać nie omieszkął.

—Toby po tym śmiechu zapłakał — odrzekł na to Jaśko — a jeśli nie on, to jego żona i dzieci.

I pojrzał z okrutną zuchwałością przed siebie, jakby chciał rzec wszystkim wędrownym rycerzom na świecie: "Gotujcie się na śmierć!" Lecz stary rycerz z Bogdańca zapytał:

—A Cztan i Wilk ostawili tu was w pokoju? Bo to oni radzi na Jagienkę patrzyli.

—Ba! Wilk zabit na Śląsku. Chciał tam jednego kasztelu niemieckiego dobyć i dobył, ale że go kłoda z murów przywalili, więc po dwóch dniach ostatnią parę puścił.

—To go szkoda. Chadzał jego ojciec na Niemców do Śląska, którzy tam nasz naród cisną — i łupy z nich brał.... Najgorsze to dobywanie zamków, bo przy niem ni zbroja ni ćwiczenie rycerskie nie pomoże. Da Bóg, że tam ksiązę Witold nie będzie zamków dobywał, jeno w polu Krzyżaków gnębił.... A Cztan? co z nim słyhać?

Jaśko począł się śmiać:

—Cztan się ożenił! Wziął córkę kmiecia z Wysokiego Brzegu, sławną z urody. Hej! nie tylko gładka dziewczka, ale i zaradna, bo Cztanowi niejednen woli z drogi ustąpić, a ona go po włochatym pysku bije i za nozdrza ci go wodzi, jako niedźwiedzia na łańcuchu.

Rozweselił się, usłyszawszy to, stary rycerz.

—Widzisz ją! wszystkie baby jednakie! Jagienka i ty taka będziesz! Chwała Bogu, że nie było z tymi dwoma zabijakami kłopotu, bo szczerze mówiąc, aże mi to dziwno, że na Bogdańcu złości nie wywarli.

—Cztan chciał, ale Wilk, który był mądrzejszy, nie dał mu. Przyjechał do nas do Zgorzelic pytać: co się z Jagienką stało? Rzekłem, iż pojechała po opatowe dziedzictwo. A on powiada: “Czemu zaś mi Maćko o tem nie mówili?” Więc ja znów na to: “A cóż to Jagienka twoja, żeby ci się mieli opowiadać?” On też, pomyślawszy chwilę: “Prawda, mówi, że nie moja”. I jako to rozum miał bystry, zaraz widać pomiarkował, że was i nas sobie zjedna, jeśli Bogdańca będzie przed Cztanem bronił. Potykali się też na Ławicy wedle Piasków i poszczerbili się wzajem, a potem pili na umor, jak to im się zawdy przytrafiało.

—Panie świeć nad Wilkową duszą!—rzekł Maćko.

I odetchnął głęboko rad, że w Bogdańcu nie znajdzie innych szkód nad te, których długa jego nieobecność mogła być przyczyną.

Jakoż i nie znalazł: owszem, pomnożył się nawet dobytek w stadach, a z niewielkiego stadka świerzo przybyły już żrebaki dwulatki, niektóre po bojowych fryzyjskich ogierach,

nad zwykłą miarę rosło i silne. Szkoda znalazła się tylko w tem, że kilku brańców uciekło, ale niewielu, bo mogli uciekać wyłącznie do Śląska, a tam Niemcy lub zniemczeni rabusie rycerze gorzej obchodzili się z jeńcami, niż szlachta polska. Stare ogromne domisko pochyliło się jednakże znacznie do upadku. Popękały polepy skrzywiły się ściany i pułapy, a modrzewiowe belki, zrębione przed dwustu, albo i więcej laty, poczęły próchnieć. We wszystkich izbach, które zamieszkiwał ongi liczny rój Gradów Bogdanieckich, zaciekało w czasie obfitych dżdżów letnich. Dach zdziurawiał i pokrył się całemi kępami zielonych i rudych mchów. Cała budowa przysiadła i wyglądała jak grzyb rozłożysty, ale zmurszały.

—Zeby był starunek, toby jeszcze trwało, bo od niedawna zaczęło się psować — mówił Maćko do starego karbowego Kondrata, który podczas nieobecności panów zawiadował majątnością.

A po chwili:

—Jabym i tak do śmierci domieszkał, ale Zbyszkowi kasztel się patrzy.

—O dla Boga! Kasztel?

—He! Albo co?

Była to ulubiona myśl starego postawić Zbyszkowi i przyszłemu jego dzieciakom kasztel. Wiedział, że szlachcica, który nie w zwykłym dworcu, ale za rowem i częstokołem siedzi, a przytem czatownię ma, z której straż spogląda na okolicę, zaraz sąsiedzi “za coś uważają” — o urząd mu łatwiej. Dla siebie nie wiele już żądał Maćko, ale dla Zbyszka i jego synów nie chciał na małym poprzestać,

tembardziej teraz, gdy majątność wzrosła tak znacznie.

—Niechby jeszcze Jagienkę wziął — myślał—a z nią Moczydoly i opatowe dziedzictwo: niktby w okolicy nie był z nami na równi — co daj Boże!

Ale to wszystko zależało od tego, czy Zbyszko wróci—a to była rzecz niepewna i zależna od łaski boskiej. Mówił sobie tedy Maćko, że trzeba mu być teraz z Panem Bogiem jak najlepiej nie tylko w niczem mu się nie narażać, ale czem można to go zjednać. W tej chęci, nie żałował dla kościoła w Krześni ni wosku, ni odsepów, ni zwierzyny, a pewnego wieczoru, przyjechawszy do Zgorzelic, tak rzekł do Jagienki:

—Do Krakowa ci jutro jadę, do grobu św. naszej królowej Jadwigi.

A ona aż zerwała się z ławy ze strachu.

—Zaliście dostali jaką złą nowinę?

—Nijakiej nowiny nie było, bo i nie mogło jeszcze, być. Ale ty pamiętasz, jako wtedy, gdym chorzał od tego zadzióra w boku — co —toście wiesz—po bobry ze Zbyszkciem chodzili — ślubowałem, że jeśli Bóg mi wróci zdrowie, to do tego grobu pójde. Bardzo mi wonczas wszyscy tę chęć chwalili. I pewnie! Ma tam Pan Bóg dość świętej czeladzi, ale przecie byle święty nie znaczy i tam tyle, co nasza Pani, której urazić nie chcę i wskrós tej przyczyny, że mi i o Zbyszka chodzi.

—Prawda! jako żywo! — rzekła Jagienka.

—Ale żeście dopiero z takiej okrutnej wędrówki wrócili.....

—To i co! Wolę już wszystko naraż odbyć, a potem siedzieć spokojnie doma, aż do

Zbyszkowego powrotu. Niech jeno królowa nasza wstawi się za nim do Pana Jezusa, to mu, przy dobrej zbroi i dziesięciu Niemców nie poradzi.... Będę potem z lepszą nadzieją kasztel budował.

—Ale też kości macie niepożyte!

—Pewnie, żem jeszcze jary. Powiem ci też i co innego. Niech Jaśko, któren się w drogę rwie jedzie ze mną. Jam człek doświadczony i pohamować go potrafię. Gdyby przygodą się jaka trafiła— bo to chłopaka ręce swędzą to — wiesz przecie, że i potykać mi się nie nowina, zarówno pieszo jak konno — na miecze, alibo na topory....

—Wiem! Nikt go lepiej od was nie ustrzeże.

—Ale tak myślę, że nie przygodzi się potykać, bo póki królowa żyła, to pełno bywało w Krakowie obcych rycerzy, którzy jej urodę chcieli oglądać — ale teraz wolą do Malbarga ciągnąć, bo tam beczki z małmazją pękatsze.

—Ba! przecie jest nowa królowa.

A Maćko skrzywił się i machnął ręką:

—Widziałem!—i nie więcej nie rzekę— rozumiesz.

Po chwili zaś dodał:

—Za trzy, albo cztery niedziele będziemy z powrotem.

Jakoże tak się stało. Kazał tylko stary rycerz poprzysiąc Jaśkowi na rycerską cześć i na głowę świętego Jezego, że się w żadną dalszą drogę nie będzie napierał—i wyjechali.

W Krakowie stanęli bez przygody, bo kraj był spokojny, a od wszelkich napadów ze strony zniemczonych książątek granicznych i zbójów rycerzy niemieckich ubezpieczał go strach

przed potęgą królestwa i męstwem mieszkań-
ców. Po odprawieniu ślubów, dostali się przez
Powagę z Taczewa i kniazika Jamonta na
dwór królewski. Myślał Maćko, że i na dworze
i po urzędach będą go skwapliwie wypytywali
o Krzyżaków, jako człeka, który ich przeznał
dobrze i który im się z bliska przypatrywał.
Ale po rozmowie z kanclerzem i miecznikiem
krakowskim przekonał się ze zdziwieniem, że
wiedzą oni o Krzyżakach nie tylko nie mniej,
ale więcej od niego. Wiedzano wszystko, aż
do najdrobniejszych szczegółów, co się działo
i w samym Malborgu i w innych choćby naj-
odleglejszych zamkach. Wiedzano jakie są
komendy, jaka gdzie liczba żołnierza, jaka
ilość dział, ile czasu trzeba na zebranie wojsk,
jakie są zamiary Krzyżaków na wypadek woj-
ny. Wiedzano nawet o każdym komturze, czy
jest człowiek porywczy i zapalczywy, czy
rozważny, a zapisywano wszystko tak troskli-
wie, jakby wojna miała jutro wybuchnąć.

Stary rycerz uradował się tem w sercu
wielce, zrozumiał bowiem, że do owej wojny
gotują się daleko rozważniej rozumniej i po-
tężniej w Krakowie, niż w Malborgu. “Pan
Jezus dał nam takie, albo i większe męstwo—
mówił sobie Maćko—a widać większy rozum
i większą zapobiegliwość”. I tak wówczas by-
ło. Dowiedział się też niebawem skąd pocho-
dzą owe wiadomości: oto dostarczyli ich sami
mieszkańcy Prus, ludzie wszystkich stanów,
zarówno Polacy, jak i Niemcy. Zakon potra-
fił taką, wzbudzić przeciw sobie nienawiść, że
wszyscy w Prusiech wyglądali jak zbawienia
przyjścia wojsk Jagiellowych.

Maćkowi przypomniało się wówczas, co swego czasu mówił w Malborgu Zyndram z Maszkowic— i jął powtarzać sobie w duchu:

—Ten ci ma głowę czysty ceber!

I rozpamiętywał każde jego słowo, a raz zapożyczył nawet od niego mądrości, bo gdy trafiło się, że młody Jaśko począł wypytwać o Krzyżaków, rzekł:

—Mocni oni, juchy są, ale jakoże myślisz? zali nie wyleci z siodła rycerz choćby najmocniejszy, jeśli ma poderznięty poprag i strzemiona?

—Wyleci, jako to prawda, że tu stoję! — odrzekł młodzianek.

—Ha! widzisz!—zawołał grzmiącym głosem Maćko.— Do tego cię chciałem przywieść!

—Bo co?

—Bo Zakon to taki rycerz!

A po chwili dodał:

—Z lada gęby tego nie usłyszysz — nie bój się!

I gdy młody rycerzyk nie mógł jeszcze wymiarkować dobrze o co chodzi, począł mu rzecz wyjaśniać, zapomniał jednak dodać, że porównanie to nie sam wymyślił, ale, że wyszło ono co do słowa z potężnej głowy Zyndrama z Maszkowic.

XIV.

W Krakowie niedługo zabawili, a byliby zabawili jeszcze krócej, gdyby nie prośby Jaśka, który chciał się ludziom i miastu napałnić, albowiem wszystko wydawało mu się snem cudownym. Jednakże staremu rycerzowi spieszyło się okrutnie do domowych pieleszy i do żniw więc niewiele pomogły i prośby, tak, że na Wniebowzięcie N. Panny byli już z powrotem— jeden w Bogdańcu, drugi w Zgorzelicach, przy siostrze.

I od tej pory poczęło im się życie wlec dość jednostajnie, wypełnione pracą gospodarczą i zwykłymi wiejskimi zabiegami. Żniwa w położonych nizinie Zgorzelicach, a zwłaszcza w Jagienkowych Moczydółach, wypadły wyśmienicie, ale w Bogdańcu z powodu suchego roku plon okazał się chudy i nie trzeba było dużo trudu, by go zebrać. Wogóle skąpo tam mieli ziemi uprawnej, bo majątność była pod borem, a wskutek długiej niebytności pánów, te nawet lechy, które już był karczunkiem przysposobił pod orkę opat, zapuszczono z braku rąk nanowo. Stary rycerz, jakkolwiek czuł na każdą stratę, nie brał tego zbyt do serca, wiedział bowiem, iż przy pieniądzach łatwo będzie wprowadzić we wszystko ład i porządek— byle tylko było dla kogo trudzić się i pracować. Ale właśnie ta wątpliwość za-

truwała mu pracę i dni. Ręk wprawdzie nie opuszczał, wstawał do dnia, jeździł do stad, doglądał robót polnych i leśnych, wybrał nawet miejsce na kasztel i przysposabiał budulec, ale gdy po dniu znojnym słońce roztapiało się w złotych i czerwonych blaskach zórz, nieraz chwytala go tęsknota okrutna, a obok niej i niepokój, jakiego przed tem nigdy nie doznawał: “Ja tu zabiegam, ja się tu mozolę — mówił sobie — a tam chłopisko mój leży może gdzie w polu włóczęnią przebodzion i wilcy mu zębami pozgonne dzwonią”. Na tę myśl ścisnęło mu się serce i wielką miłością i wielkim bólem. Nadśłuchiwał też wówczas pilnie, czy tętentu nie usłyszy, który zwiastował codziennie przybycie Jagienki, udając bowiem przy niej, że ma dobrą otuchę, nabierał jej sam i krzepił się nieco w strapionej duszy.

Ona zaś przyjeżdżała codziennie, zwykle pod wieczór, z kuszą przy siodle i z oszczepem, od wypadku w drodze powrotnej. Nie była to rzecz wcale możliwa, aby mogła kiedy niespodzianie zastać Zbyszka już w domu, gdyż Maćko nie śmiał się go przed jakimś rokiem, albo i półtora, spodziewać — ale widocznie i ta nadzieja tała się w dziewczynie, gdyż przybywała nie tak, jak niegdyś za dawnych czasów, w zaścigniętej tasiemką koszulinie, w kożusku wełną do góry i z liśćmi w powichrzonych włosach, ale z pięknie splecionym warkoczem i z piersią opiętą w barwne sieradzkie sukno. Maćko wychodził ku niej — i pierwsze jej pytanie było zawsze, jakby kto zapisał: “A co?” — a pierwsza jego odpowiedź: “A nic!” — potem wprowadzał ją do izby i gwarzyli przy ogniu o Zbyszku, o Litwie, o Krzyżakach i o

wojnie—ciągle w kółko, ciągle o tem samem—nigdy żadnemu z nich nietylko nie naprzykrzyły się te rozmowy, ale nigdy nie mieli ich dosyć.

I tak było przez całe miesiące. Bywało, że i on jeździł do Zgorzelic, ale częściej ona do Bogdańca. Czasem jednak, gdy w okolicy zdarzały się jakieś niepokoje, albo w porze rui niedźwiedzich, gdy stare samice, idąc rozwścieczone za samicą, skłonne bywały do zaczepki, Maćko odprowadzał dziewczynę do dom. Zbrojny dobrze, nie obawiał się stary, żadnych dzikich zwierząt, był bowiem niebezpieczniejszy dla nich, niż one dla niego. Jeździli wówczas strzemię w strzemię — i często bór odzywał im się z głębin groźnie, lecz oni zapominając o wszystkim, co im się mogło przygodzić, rozmawiali tylko o Zbyszku: gdzie jest? co robi? zali już nabił, albo czy prędko nabije tylu Krzyżaków, ilu nieboszczce Danusi i jej nieboszczce matce ślubował—i czyli rychło powróci? Jagienka zadawała przytem Maćkowi pytania, które już ze sto razy zadawała poprzednio, a on odpowiadał na nie z taką uwagą i rozmysłem, jakby je pierwszy raz słyszał.

—To mówicie—pytała — że bitwa w polu nie tak dla rycerza straszna, jak zamków dobywanie?

—A obacz, co się Wilkowi przygodziło? Przed kłodą, którą z wałów stoczą, żadna zbroja nie uchroni, a w polu, byle rycerz ćwiczenie należyte miał, może się i dziesięciu nie dać.

—A Zbyszko? Zali zacną ma zbroję?

—Ma ich kilka zacnych, a najlepszą tę zdobyczną po Fryzie, bo w Medyolanie kuta.

Jeszcze przed rokiem była cośkolwiek na Zbyszka za luźna, ale ninie w sam raz.

—To już przeciw takiej żadna broń nie poradzi, prawda?

—Co ręka ludzka zrobiła, przeciw temu ręka ludzka poradzi. Na medyolańską zbroję --medyolański miecz, albo też strzały Angielczyków.

—Strzały Angielczyków?—pytała z niepokojem Jagienka.

—A tom ci nie mówił? Niemasz nad nich w świecie łuczników... chyba Mazurowie puszczają, ale i ci tak godnego sprzętu nie mają. Angielska kusza przeszyje na sto kroków najlepszą zbroję. Widziałem pod Wilnem. I żaden z nich nie chybi, a znajdzie się po niektóry, co i jastrzębia w lot ustrzeli.

—O pogańscy synowie! Jakożeście sobie z nimi radzili?

—Nie było innej rady, jeno zaraz w nich. Dobrze psiajuchy i berdyszami obracają, ale z bliska, to już nasz sobie poradzi.

—Piastowała was przecie ręka boska, to i teraz Zbyszka ustrzeże.

—Często ja też tak mówię: "Panie Boże skoroś nas stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, abyśmy zaś nie szczezli!" Ha! boska to już sprawa. Po prawdzie, niemała to rzecz na cały świat dawać baczenie i o niczem nie zapomnieć, ale po pierwsze człek się tam czem może przypomina, Kościołowi świętemu nie skąpiąc, a powtóre, co boska głowa, to nie ludzka.

Tak to oni nieraz z sobą gwarzyli, dodając sobie wzajem otuchy i nadziei. Tymczasem jednak płynęły dni, tygodnie i miesiące. W je-

sieni zdarzyła się Maćkowi sprawa ze starym Wilkiem z Brzozowej. Był zdawna spór graniczny między Wilkami, a opatem o leśne nowocie, które opat, trzymając zastawem Bogdaniec, wykarczował i zagarnął. W swoim czasie pozywał on nawet obu naraz Wilków w pole, na kopie, albo na długie miecze, ci wszelako nie chcieli stawać z duchownym, w sądzie zaś nie mogli nie wskórać. Teraz stary Wilk upominał się o owe grunta, Maćko zaś, który na nie w świecie nie był tak chciwy, jak na ziemię, idąc zrazu za popędem swej natury, a zarazem podniecon myślą, że jęczmiona udają się doskonale na nowinach, ani chciał słyszeć o ich ustąpieniu. Byliby też niechybnie poszli do grodu, gdyby nie to, że wypadkiem zjechali się u proboszcza w Krześni. Tam gdy nagle stary Wilk rzekł w końcu srogiej kłótni: „Zanim ludzie rozsądzą, na Boga się zdaję, który na waszym rodzie za moją krzywdę się pomści, —zamilkł nagle zawzięty Maćko— pobladł, na chwilę umilkł, a potem tak ozwał się do kłótliwego sąsiada:

—Słuchajcie, nie ja począłem sprawę, jeno opat. Bóg wie, czyja słusznna, ale macie-li złorzeczyć Zbyszkowi, to bierzcie nowiny, a Zbyszkowi niech tak Bóg da zdrowie i szczęście, jako ja wam z serca odstępuję.

I wyciągnął ku niemu dłoń, ów znając go z dawnych czasów, zdumiał się niezmiernie, ani bowiem domyślał się, jaka w tem twardem pozornie sercu tkwiła miłość dla bratanka i jaki panował niepokój o jego losy. Przez długi też czas nie mógł i słowa przemówić, aż dopiero, gdy ucieszony takim obrotem sprawy pro-

boszcz krzesieński przeżegnał ich znakiem krzyża — odrzekł:

—A kiedy tak, to co innego. Nie o zysk mi chodziło, bo m stary i majątności nie mam komu ostawić—jeno o słusznosc. Kto ze mną podobroci—temu jeszcze i ze swego ustapię. A waszemu bratankowi niech tam Bóg błogosławi— abyście na starosc nie płakali po nim, jak ja po moim jedynym chłopie...

I rzucili się sobie wzajem w ramiona, a potem długi czas spierali się o to, kto weźmie nowiny. Maćko dał się wszelako w końcu przekonać—ile, że Wilk sam był na świecie—i majątności niemiał istotnie komu zostawić.

Poczem zaprosił starego do Bogdańca, gdzie uczcił go obficie jadłem i napojem—albowiem i sam miał w duszy radość wielką. Cieszyła go i nadzieja, że jęczmień na nowinach tego zejdzie zarazem myśl, że odwrócił od Zbyszka niełaskę bożą.

—Byle wrócił, to mu ta ziemi i dobytku nie zbraknie!—myślał.

Jagienka niemniej była z tej zgody zadowolona.

—Jużci teraz—mówiła wysłuchawszy, jak się wszystko odbyło—jeśli Pan Jezus miłosierny zechce okazać, że mu zgoda od swarów miłsza, to musi wam Zbyszka szczęśliwie powrócić.

Na to twarz Maćka pojaśniała, jakby padł na nią promień słońca.

—Tak i ja myślę! — rzekł. — Pan Bóg wszechmocny, bo wszechmocny, ale i na moce niebieskie są sposoby, trzeba jeno rozum mieć.

—Wam chytrósci nigdy nie brakło— odpowiedziała dziewczyna, podnosząc w górę oczy.

I po chwili, jakby się nad czem namyśliwszy, ozwała się znowu:

—Ale też wy tego waszego Zbyszka miłujecie! miłujecie! hej!

—Ktoby jego nie miłował! — odparł stary rycerz.—A ty? Niby to go nienawidzisz?

Jagienka nie odpowiedziała nic wprost, tylko jak siedziała na ławie w podległości Maćka, tak przysunęła się do niego jeszcze bliżej i odwróciwszy głowę, poczęła go trącać z lekka łokciem:

—Dajcie spokój!

XV.

Jednakże wojna o Zmujdź między Krzyżakami a Witoldem zbyt zajmowała ludzi w królestwie, aby nie mieli dopytywać się o jej przebieg. Niektórzy pewni byli, że Jagiełło przyjdzie w pomoc stryjecznemu bratu i że walnej wyprawy przeciw Zakonowi rychło patrzeć. Rycerstwo rwało się do niej, a po wszystkich siedzibach szlacheckich powtarzano sobie, że i znaczna liczba panów krakowskich, zasiadających w królewskiej radzie, przychyła się na stronę wojny, mniemając, że trzeba skończyć z tym nieprzyjacielem, który nigdy nie chciał poprzestać na swoim, a o zagrabieniu cudzego myślał nawet wówczas, gdy ogarniała go bójka przed potęgą sąsiedzką. Lecz Maćko, który był człowiekiem rozumnym, a jako bywalec widział i poznawał wiele, nie wierzył w bliską wojnę tak nieraz o tem mówił do młodszego Jaśka ze Zgorzelic i do innych sąsiadów, których w Krześni potykał:

—Póki mistrz Konrad żywie, nie będzie z tego nic, bo on mądrzejszy od innych i wie, że nie byłaby to zwyczajna wojna, ale jakoby rzeź: „twoja, albo moja śmierć!” I do tego, on, znając moc królewską, nie dopuści.

—Ba! a jeśli król pierwszy wojnę wypowie?—pytali sąsiedzi.

Lecz Maćko kręcił głową:

—Widzicie... z bliska ja się wszystkiemu przypatrywał i niejedno potrafił wymiarkować. Zeby to był król z naszego dawnego rodu, królów od wiek wieków krześcijańskich, toby może i pierwszy na Niemców uderzył. Ale nasz Władysław Jagiełło (nie chcę ja mu czci uszczknąć, bo zacny to pan, którego niech Bóg w zdrowiu zachowa), nimeśmy go królem obrali, był Wielkim Księciem Litewskim i poganinem: krześcijaństwo dopiero co przyjął, a Niemce szcękają po świecie, że dusza jeszcze w nim pogańska. Przeto okrutnie mu nie przystoi pierwszemu wojnę wypowiedać i krześcijańską krew rozlewać. Dla której przyczyny Witoldowi w pomoc nie rusza, chociaż go ręce swędzą, bo i to wiem, że nienawidzi on jak trąd Krzyżaków.

Takimi mowami jednał sobie Maćko sławę bystrego człowieka, który każdą rzecz potrafił jako na stole położyć. W Krześni też otaczano go co niedziela po mszy kołem, a potem weszło w zwyczaj, że ten, lub ów sąsiad, zasłyszawszy jaką nowinę, zajeżdżał do Bogdańca aby mu stary rycerz wytłómaczył to, czego zwykła szlachecka głowa nie mogła wyrozumieć. On zaś przyjmował wszystkich gościnnie i rozmawiał z każdym ochotnie, a gdy wreszcie gość, nagawędziwszy się, odjeżdżał, nie zapominał nigdy pożegnać go takimi słowy:

—Dziwujecie się mojemu dowcipowi, ale gdy Zbyszko da Bóg wróci, to się dopiero będziecie dziwowali! Jemu choćby w radzie królewskiej zasiadać, taka jucha łąbska prze-myślna!

I wmawiając go gościom, wmówił na końcu sobie, zarazem i Jagience Zbyszko wydawał

się im obojgu zdala, jak królewicz w bajce. Gdy nadeszła wiosna ledwie już mogli usiedzieć w domu. Wróciły jaskółki, wróciły bociany; chróściele poczęły grać po łąkach przepiórki odzywać się w zielonej runi zbóż; przylciały przedtem jeszcze klucze zórawi i cyranek— Zbyszko jeden nie wracał. Ale gdy ptactwo ciągnęło z południa, natomiast z północy wichher skrzydlaty przynosił wieści o wojnie. Mówiono o bitwach i licznych potyczkach, w których obrotny Witold to zwyciężał, to bywał pobity; mówiono o wielkich klęskach, które poczyniła między Niemcami zima i choroby. Aż wreszcie rozgrzmiała po całym kraju radosna wieść, że dzielny Kiejstutowicz wziął Nowe Kowno, czyli Gotteswerder, zburzył je, kamienia na kamieniu i belki na belce nie zostawił. Maćko gdy doszła go ta wiadomość, siadł na koń i w te pędy poleciał do Zgorzelic.

--Ha! — mówił —znane mi te strony, bośmy tam ze Zbyszkim i ze Skirwoiłą tego Krzyżaków potłukli. Tam wzięty był przez nas i ten poćciwy de Lorche. Oto Bóg dał, że się Niemiaszkom noga powinęła, bo to kasztel był do zdobycia trudny.

Jagienka jednak słyszała już była przed przybyciem Maćka o zburzeniu Nowego Kowna, a nawet słyszała i coś więcej, a mianowicie, że Witold rozpoczął układy o pokój. Ta ostatnia nowina więcej ją nawet obeszła od poprzedniej, albowiem, gdyby pokój stanął, Zbyszko, jeśli został żyw — musiałby powrócić do domu.

Więc zaczęła wypytывать starego rycerza, czy to jest rzecz podobna do wiary, a ów, zastanowiwszy się, tak jej odrzekł:

—Z Witoldem wszystko jest do wiary podobne, gdyż to człek całkiem od innych różny i pewnie ze wszystkich panów krześcijańskich najchytrzejszy. Gdy mu trzeba ku Rusi swe panowanie rozszerzyć to pokój z Niemcami czyni, a jak tam dokaże tego, co przedsię zamierzył, znów Niemców za łeb! Nie mogą oni sobie dać rady, ani z nim, ani z tą nieszczęsną Zmujdzą. Raz on ją im odbiera, drugi raz oddaje— i nietylko oddaje, ale sam im ją pomaga pognebić. Są tacy między nami, a i na Litwie, którzy mu to za złe mają, że on ze krwią tego nieszczęsnego plemienia tak igra... I jabym, szczerze mówiąc, za hańbę mu to miał, żeby to nie był Witold... Bo sobie czasem myślę: a nuż on ode mnie mądrzejszy i wie co robi? Jakoż słyszałem od samego Skirwoiły, że on z tej krainy wrzód wiecznie ciekący w krzyżackiem ciebie uczynił, aby zaś nigdy do zdrowia nie przyszło... Matki na Zmujdzi zawdy będą rodziły, a krwi nie szkoda, byle nie szła na marne.

—Mnie tam jeno o to chodzi, czy Zbyszko wróci.

—Jak Bóg pozwoli, ale bogdajesz to, dziewczyno w szczęśliwą godzinę powiedziała!

Jednakże upłynęło kilka miesięcy. Doszły wieści, że pokój istotnie stanął; zboża stały się płowe, ciężarne kłosami, poletki zasiane gryką dobrze już zrudiały, a o Zbyszku nie było i słychu.

Na koniec po pierwszych sprzętach nie mógł już wytrzymać dłużej Maćko i zapowiedział że wyruszy do Spychowa, wieści tam, jako wblizszych stronach Litwy, zasięgnąć i zarazem gospodarstwo Czecha obejrzeć.

Jagienka naparła się z nim jechać, a on jej nie chciał brać, więc poczęły się między nimi o to spory, które trwały przez cały tydzień. Aż gdy pewnego wieczoru sprzeczały się tak z sobą w Zgorzelicach, wpadł jak wichur na dworski podwórzec chłopak z Bogdańca, boso, oklep, bez kapelusza na płowej czuprynie i zakrzyknął im przed przylapem, na którym właśnie siedzieli:

— Młody pan wrócił!

Zbyszko wrócił istotnie, ale jakiś dziwny: nietylko wychudły, spalony wichrem polnym, wynędzniały, lecz zarazem obojętny i mało-mówny. Czech, który przyjechał wraz z żoną, z nim razem—gadał za niego i za siebie. Mówił tedy, że wyprawa widocznie się jednak udała młodemu rycerzowi gdyż w Spychowie złożył na trumnach Danusi i jej matki cały pęk rycerskich pawich i strusich pióropuszków. Wrócił też zdobycznymi końmi i zbrojami, z których dwie były nadzwyczaj cenne, choć okrutnie razami miecza i toporu pocięte. Maćko płonął z ciekawością, aby się o wszystkim dokładnie z ust bratanka wywiedzieć, ale ów machał tylko ręką i odpowiadał półsłówkami— a trzeciego dnia zachorzał i musiał się położyć. Pokazało się, że miał zbity lewy bok i złamane dwa żebra, które źle złożone przeszkadzały mu w chodzeniu i oddychaniu. Odezwały się także i te dolegliwości, na które swego czasu cierpiał po wypadku z turem — do zupełnego poderwania jego sił przyczyniła się i droga ze Spychowa. Nie było to wszystko samo w sobie groźne bo chłop był młody i niepożyty — jak dąb— ale na razie ogarnęło go jakieś niezmierne znużenie, jak gdyby wszystkie trudy, które

poniósł, teraz dopiero zaczynały mu chodzić po kościach. Z początku myślał Maćko, że po dwóch, albo trzech dniach odpoczynku w łożu, wszystko minie, a tymczasem stało się przeciwnie. Nie pomogły żadne smarowania, ni okadzania ziółmi, które owczarz miejscowy zalecił, ani odwary, przysyłane przez Jagienkę i księdza z Krześni, Zbyszko coraz był słabszy, coraz bardziej znużony i — coraz smutniejszy.

—Co ci jest? możebyś czego chciał?—wypytywał go stary rycerz.

—Niczego nie chcę — i wszystko mi za jedno — odpowiedział Zbyszko.

I w ten sposób upływał dzień za dniem. Jagienka, wpadłszy na myśl, że to może jest coś więcej niżeli zwyczajna "krzypota" — i że młodzian ma chyba jakąś tajemnicę, która go gnębi, poczęła namawiać Maćka, aby raz jeszcze popróbował wypytać, coby to mogło być.

Maćko zgodził się bez wahania jednakże, pomyślawszy chwilę, rzekł:

—A nużby tobie chętniej powiedział, niż mnie? Bo—lubić—to on cię przecie lubi, a to też widziałem, że jak się tam kręcisz po izbie, to za tobą oczyma wodzi.

—Widzieliście?—zapytała Jagienka.

—Kiedy powiedziałem, że wodzi, to wodzi. A jak cię długo niema, to raz po raz na drzwi spogląda. Pytaj go ty.

I na tem stanęło. Jednakże pokazało się, że Jagienka nie umie i nie śmie. Dopiero, gdy przyszło co do czego, zrozumiała, że trzeba jej o Danusi i o miłości Zbyszka do nieboszczki a te rzeczy nie chciały się jej przez usta przecisnąć.

— Wyście chytrzejsi—rzekła do Maćka —i rozum, a doświadczenie macie lepsze: wy mówcie; ja nie mogę.

Więc Maćko rad nierad zabrał się do rzeczy— i pewnego ranka, gdy Zbyszko zdawał się być nieco rzeźwiejszy, niż zwykle, taką rozpoczął z nim rozmowę:

— Powiadał mi Hława, żeś godną wiązkę czubów pawich w Spychowie w podziemiu położył.

A ów, nie odejmując oczu od pułapu, na który, leżąc na wznak, patrzył — skinął tylko głową na znak potwierdzenia.

— No! Pan Jezus ci poszczęścił: bo przecie i na wojnie łatwiej o ciurów, niż o rycerzy.... Knechtów możesz nabić ilu chcesz— ale za rycerzem trzeba się nieraz dobrze oglądać.. Także ci to sami leżli pod miecz?

— Pozywałem różnych kilka kroć na udeptaną ziemię, a raz otoczyli mnie w bitwie— odrzekł leniwie młodzian.

— I zdobycznego dobra dość przywiozłeś...

— W części, kniaź Witold obdarzył.

— Zawsze taki hojny?

Zbyszko skinął znów głową, widocznie nie mając ochoty do dalszej rozmowy.

Ale Maćko nie dał za wygraną i postanowił przystąpić do rzeczy:

— Powiedz mi tak szczerze — rzekł. — Jakiś już tam owymi czubami truchelkę nakrył— musiało ci okrutnie ulżyć?... Człek zawsze rad, gdy ślub spełni... Rad'eś był? co?

Zbyszko oderwał swe smutne oczy od pułapu, zwrócił je na Maćka — i odpowiedział jakby z pewnem zdziwieniem:

— Nie.

—Nie? Bóże się Boga! Bo ja myślałem, że jak tam te dusze w niebie ucieszysz, to już będzie i koniec.

A młodzian zamknął na chwilę oczy, jakby w namyśleniu i wreszcie odrzekł:

—Na nic widać zbawionym duszom krew ludzka.

Nastała chwila milczenia.

—To po cóżeś na tę wojnę chodził?—zapytał wreszcie Maćko.

—Po co?—odpowiedział z pewnem ożywieniem Zbyszko— ja sam myślałem, że mi ulży! sam myślałem, że Danuškę i siebie ucieszę.... A potem aże mi się dziwno uczyniło. Wyszedłem z podziemia od tych truchel i tak samo mi ciężko było, jako i przedtem. Tak-ci to widać jest, że na nic zbawionym duszom krew ludzka.

—Musiał ci to ktoś powiedzieć, bo sambyś tego nie wymyślił.

—Samem wymiarkowałem z tego właśnie, że mi się świat nie wydał weselszy potem, niż przedtem Książdz Kaleb tylko mi przytwierdził.

—Zabić nieprzyjaciela na wojnie nie grzech to żaden, ba! nawet chwalebna rzecz, a to przecie nieprzyjaciele naszego plemienia.

—Ja też za grzech sobie tego nie mam i nie żałuję ich.

—Jeno ciągle Danuški?

—Jużci; jako ją sobie wspomnę, to mi żal. Ale wola boska! Lepiej jej na dworcu niebieskim i— już ja do tego przywykłem.

—To czemu się ze smutku nie otrząśniesz? Czego ci trzeba?

—Bo ja wiem...

—Wypocznienia ci nie brak, a krzypota cię rychło popuści. Idź do łaźni, wykąp się, wypij łągiewkę miodu na poty — i hoc!

—No i co?

—I wnet wesołości nabierzesz.

—A skąd jej wezmę? W sobie ci jej nie najdę, a pożyczyć mi jej— nikt nie pożyczy.

—Bo ty coś skrywasz!

Zbyszko ruszył ramionami.

—Nie mam wesołości, ale nie mam też nic do ukrywania.

I powiedział to tak szczerze, że Maćko odrazu przestał posądzać go o tajemnicę, natomiast począł się gładzić szeroką dłonią po siwej czuprynie, jak miał zwyczaj czynić zawsze gdy się nad czymś mocno namyślał i w końcu rzekł:

—To ja ci powiem czego ci brak: Tobie się jedno skończyło, a drugie się jeszcze nie zaczęło rozumiesz?

—Nie bardzo, ale może być! — odpowiedział młodzianek.

I przeciągnął się jak człowiek, którego ogarnia sen.

Maćko jednak był pewien, że odgadł prawdziwą przyczynę i rad był ogromnie, albowiem przestał się zupełnie niepokoić. Nabrał też jeszcze większej niż przedtem ufności do własnego rozumu i mówił sobie w duchu: "Nie dziwować się ludziom, że się mnie radzą!"

A gdy po owej rozmowie, wieczorem, tego samego dnia przyjechała Jagienka — jeszcze nim zdążyła zsiąść z konia, powiedział jej, że wie czego Zbyszkowi brakuje.

Więc dziewczyna zsunęła się w jednej chwili z siodła i nuż dopytywać:

—No co? czego? mówcie!

—Ty właśnie masz dla niego lekarstwo.

—Ja? jakie?

A on objął ją wpół i począł szeptać jej coś do ucha, ale niedługo, gdyż po chwili odskoczyła od niego, jak oparzona i ukrywszy między czaprakiem a wysokiem siodłem spłonioną twarz, zawołała:

—Idźcie sobie! Nie cierpię was!

—Jak mi Bóg miły, tak prawdę mówię — rzekł, śmiejąc się, Maćko.

Stary Maćko odgadł dobrze, ale tylko w połowie. Zbyszkowi istotnie jedna część życia skończyła się całkowicie. Za każdym wspomnieniem było mu Danusi żal, ale sam przecie powiadał, że lepiej jej musi być na dworcu niebieskim, niż było na książęcym. Zżył się już z myślą, że jej na świecie nie ma, przywykł do niej i uważał, że wcale nie mogło być inaczej. Swego czasu w Krakowie podziwiał bardzo na szybach kościelnych wycięte ze szkła i poprawiane w ołów postacie różnych świętych panienek—barwne, przyświecające w słońcu, a teraz wyobrażał sobie tak samo Danusię. Widział ją niebieską, przeźroczystą, odwróconą bokiem ze złożonemi rączkami, ze wzniesionemi oczyma i grającą na luteńce, wśród różnych zbawionych bożych skrzypaczek, którzy w niebie grywają Matce Boskiej i Dzieciątku. Nic już w niej nie było ziemskiego, a stała mu się duchem tak czystym i bezcielesnym, że gdy czasem wspomniał sobie, jak w leśnym dworcu posługiwała księżnie, śmiała się, rozmawiała, siadała z innymi do stołu — przejął

mowało go jakby zdziwienie, że to być mogło. Już w czasie wyprawy, przy Witoldzie, gdy sprawy wojenne i bitwy, pochłaniały jego uwagę, przestał tęsknić do swojej nieboszczki, tak jak tęskni mąż do niewiasty, a myślał tylko tak, jak myśli pobożny człowiek o swej patronce. W ten sposób miłość jego, tracąc stopniowo ziemskie pierwiastki, zmieniała się coraz bardziej tylko w słodkie, tak błękitne, jak właśnie samo niebo wspomnienie — i poprostu w cześć nabożną.

Gdyby był człowiekiem wątłego ciała i głębszej myśli, byłby został mnichem — i w ciemnym życiu klasztoru byłby przechował jak świętość, owo niebieskie wspomnienie, aż do chwili w której duch z więzów cielesnych ułata w nieskończone przestworze, jak ptak z klatki. Ale jemu ledwie się zaczął trzeci dziesiątek lat — i sok z surowego wióra w pięści wyciskał i konia ścisnąwszy udami, mógł tchu pozbawić. Był taki, jakimi byli wówczas powszechnie szlachta i włodykowie — którzy, jeśli nie marli w dzieciństwie, lub nie zostawali księżmi — to nie znając granic, ni miary w zapędach cielesnych i sile, albo puszczali się na zbój, rozpustę i pijactwo — albo też, żeniąc się młodo, stawali, gdy wici wyszły na wojnę, z dwudziestu czterema, albo i więcej synami, do dzików siłą podobnyri.

Ale on nie wiedział, że był taki — tembardziej, że z początku chorzał. Powoli jednak źle ustawione żebra zrosły mu się, tworząc nieznaczną zaledwie z boku wyniosłość, która nie przeszkadzała mu w niczem i którą nietylko pancerz, ale i zwykła szata mogła całkowicie pokryć. Znużenie mijało. Bujne, płowe

włosy, obcięte na znak żałoby po Danusi, odrosły mu znów do wpół pleców. Wracala mu dawna nadzwyczajna uroda. Gdy kilka lat temu w Krakowie szedł na śmierć z ręki kata, wyglądał jak pacholę z wielkiego rodu — a teraz stał się jeszcze piękniejszy, istny królewicz, podobien z barków, z piersi, z lędźwi i ramion do olbrzyma, z twarzy zaś do dziewicy. Moc i życie kipiało w nim, jak war w garnku — a spotężnione czystością i długim wypoczynkiem, chodziło mu po kościach jak płomień. On nie wiedząc co to jest, myślał, że wciąż chorzeje i wylegiwał się w łożu, rad, że Maćko i Jagienka strzegą go, pilnują i dogadzają mu we wszystkim. Chwilami wydawało mu się, że mu jest tak dobrze, jak w niebie, chwilami — zwłaszcza, gdy nie było przy nim Jagienki — że źle, smutno, nieznośnie. Brało go wówczas ziewanie, ciągoty, gorączka i zapowiadał Maćkowi, że wróciwszy do zdrowia, pójdzie znów na koniec świata, na Niemców, na Tatarów — albo inną podobną dzicz — byle zbyć życia, które mu ciąży okrutnie. A Maćko zamiast sprzeciwiać się, kiwał głową przyświadczając — ale tymczasem posyłał po Jagienkę, za której przyjazdem topniały zaraz w Zbyszku myśli o nowych wyprawach wojennych, tak, jak topnieją śniegi, gdy je wiosenne słońce przygrzeje.

Ona zaś przyjeżdżała skwapliwie i na wezwanie i z własnej woli — gdyż pokochała Zbyszka ze wszystkich sił duszy i serca. Za czasów swego pobytu na dworze biskupim i książęcym w Płocku, widywała rycerzy równie pięknych, równie sławnych z siły i męstwa, którzy nieraz klękali przed nią, ślubując jej wierność do

zgonu, ale ten był jej wybrany, tego ukochała w zaraniu lat pierwszą miłością, a nieszczęścia, przez jakie przeszedł, wzmogły tylko jej kochanie do tego stopnia, że był jej miłszym i stokroć droższym nie tylko od wszystkich rycerzy, ale i od wszystkich książąt ziemi. Teraz, gdy dzień cudniejszy, miłość jej zmieniła się niemal w zapamiętanie i przesłoniła jej cały świat.

Nie przyznała się jednak do niej nawet sama przed sobą, a przed Zbyszkim tała ją jak najstaranniej z obawy, aby nią znowu nie wzgardził. Nawet z Maćkiem, o ile dawniej skora była do zwierzeń, o tyle teraz stała się ostrożną i milczącą. Mogła ją tylko zdradzać troskliwość, jaką okazywała w pielegnowaniu Zbyszka, ale i tej troskliwości starała się inne nadać pozory—i w tym celu, tak pewnego razu ozwała się przebiegle do Zbyszka:

—Bo, że cię tam trochę doglądał, to jeno z przychylności dla Maćka, a tyś zara co pomyślał? powiadaj!

I niby poprawiając włosy na czole, przyśloniła twarz dłonią i poczęła pilnie patrzeć na niego przez palce, on zaś zaskoczony niespodzianem pytaniem, zaczerwienił się jak panna i dopiero po niejakiem czasie odrzekł:

—Nic-em nie pomyślał. Tyś teraz inna.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

—Inna?—zapytała wreszcie dziewczyna jakimś cichym miękkiem głosem.—No! pewnie, że inna. Ale żebym cię już tak całkiem miała niecierpieć, to tego też Boże nie daj!

—Bóg ci zapłać i za to—odrzekł Zbyszko.

I odtąd bywało im z sobą dobrze, tylko jakoś niezręcznie i niesporo. Nieraz mogło się

zdawać, że oboje o czem innem mówią, a o czem innem myślą. Zapadało między nimi częste milczenie. Zbyszko, wylegując się wciąż w łożu, wodził wedle słów Maćka za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, albowiem chwilami zwłaszcza, wydawała mu się tak cudna, że się jej napatrzeć nie mógł. Bywało także, że spojrzenia ich spotykały się nagle, a wówczas płonily im się twarze i wypukła pierś dziewczyny poruszała się spiesznyim oddechem i serce jej biło, jakby w oczekiwaniu, czy czegoś nie usłyszy, od czego stopnieje i rozplynie się w niej dusza. Ale Zbyszko milczał, albowiem stracił do niej zupełnie dawną śmiałość i bał się ją spłoszyć niebacznyim słowem i wbrew temu, co widziały jego oczy, sam w siebie wma- wiał, że ona mu tylko siostrzaną przychylności gwoili Maćkowej przyjaźni okazuje.

I począł mówić o tem z Maćkiem. Starał się mówić niby spokojnie, a nawet obojętnie, i ani się spostrzegł, jak słowa jego stawały się coraz podobniejsze do skargi przez pół gorzkiej, przez pół smutnej. Maćko zaś wysłuchał cierpliwie wszystkiego, a w końcu rzekł tylko jedno słowo:

—Głupiś!

Ale na 'oborze' począł zacierać ręce i klepać się z wielkiej radości po udach.

—Ha!—mówił sobie:— wtedy, kiedy ci ta- nio mogła przyjść toś i patrzeć na nią nie chciał, najedzże się teraz strachu, kiedyś głupi. Ja będę kasztel stawiał, a ty się przez ten czas oblizuj. Nic ci nie rzekę i bielma z oczu nie zdejmę, choćbyś rżał głośnieji o wszystkich koni w Bogdańcu. Gdzie wióry na żarzewiu leżą, tam i tak prędzej później płomień

buchnie, ale ja ci nie będę na zarzewie dmuchał, bo tak myślę, że nie trzeba.

I nie tylko nie dmuchał, ale się nawet Zbyszkowi sprzeciwiał i drażnił go, jak stary przechera, który rad igrał z niedoświadczonym młodzieńcem. Więc razu pewnego, gdy Zbyszko znów mu powtórzył, że chyba na jaką daleką wyprawę pójdzie, aby się nieznośnego żywota pozbyć, rzekł mu:

Pókiś goło miał pod nosem, tom tobą rządził, ale teraz— twoja wola. Chcesz-li koniecznie swojemu jeno rozumowi dufać i iść — to idź.

A Zbyszko aż zerwał się ze zdziwienia i siadł na łożu.

—Jako? To już się nawet i temu nie przeciwicie?

—Co mam się przeciwić? Żal mi tylko okrutnie rodu, któryby razem z tobą zaginał, ale i na to może znajdzie się rada.

—Jaka rada? — pytał niespokojnie Zbyszko.

—Jaka? No! niema co gadać, że roki mi godne są,—ale też i mocy w kościach nie brak. Jużci Jagience patrzyłby się młodszy jakowys chłop — ale żem to jej nieboszczykowi ojcu przyjacielem—to kto wie...

—Byliście jej ojcu przyjacielem— cdrzekł Zbyszko—ale dla mnie nigdyście nie mieli życzliwości — nigdy! nigdy!....

I przerwał, bo mu się poczęła broda trząść, a Maćko rzekł:

—Ba! skoro koniecznie chcesz 'ginać — to cóż mam robić?

—Dobrze! róbcie co chcecie — ja jeszcze dziś w świat pojedę!

—Głupień!— powtórzył Maćko.

I znów wyszedł z izby doglądać chłopów i bogdanieckich i tych, których pożyczyła ze Zgorzelic i z Moczydołów Jagienka, aby pomagali w kopaniu rowu, mającego otaczać kasztel.

XVII.

Zbyszko nie spełnił wprawdzie swej groźby i nie wyjechał, ale za to po upływie jeszcze tygodnia, zdrowie wróciło mu zupełnie i nie mógł już dłużej wylegiwać się w łożu. Maćko powiedział, że wypada im teraz pojechać do Zgorzelic podziękować Jagience za starunek, więc pewnego dnia, wyprażywszy się dobrze w łaźni, postanowił jechać, nie zwłócząc. W tym celu, kazał wydobyć ze skrzyni piękne szaty, aby niemi zastąpić zwykłą odzież, którą miał na sobie—a następnie zajął się trefieniem włosów. Była to jednak czynność niełatwa i niemała, a to .nietylko z powodu bujności Zbyszkowej czupryny, która z tyłu spadała mu jak grzywa, aż za łopatki. Rycerze w życiu codziennem nosili włosy w pątlkach kształtu grzyba, co miało i tę dobrą stronę, że w czasie wypraw, hełm daleko mniej ich uwierał, natomiast na rozmaite uroczystości, wesela, lub jadąc w odwiedziny, do domów, w których były panny, układali, je w piękne pokrecone zwoje, które często smarowano białkiem dla połysku i mocy. Tak to właśnie chciał utrefić się Zbyszko. Ale dwie niewiasty, wezwane z czeladnej, nie przywykłe do takiej roboty, nie umiały sobie dać rady. Wyschłe i zburzone po łaźni włosy nie chciały się układać i jeżyły, jako źle poszyta strzecha

na chałupie. Nie pomogły ani zdobyczne na Fryzach grzebienie, ozdobnie z bawolego rogu wyrobione, ani nawet zgrzebło, po które jedna z niewiast poszła do stajni. Zbyszko począł się w końcu niecierpliwić i gniewać—gdy wtem do izby wszedł Maćko w towarzystwie Jagienki, która przez ten czas niespodzianie nadjechała.

—Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła dziewczyna.

—Na wieki wieków!—odpowiedział z rozpromienioną twarzą Zbyszko.—O, to dziwne! Bo myśmy właśnie chcieli do Zgorzelic jechać, a tyś tu!

I oczy rozbłysły mu radością, bo już tak było, iż ilekroć ją zobaczył, tylekroć czyniło mu się w duszy tak jasno, jakby na wschód słońca patrzył.

A Jagienka ujrawszy zakłopotane baby z grzebieniami w rękę, zgrzebło leżące na ławie wpodłe Zbyszka i jego zwichrzoną czuprynę, poczęła się śmiać.

—Ej wiecha też to wiecha!—zawołała, ukazując z pod koralowych ust swe cudne i białe zęby.—W konopiachby cię, albo w sadzie wiśniowym, na stracha ptactwu postawić!

On zaś zasępił się i rzekł:

—Chcieliśmy do Zgorzelic jechać, ale w Zgorzelicach nijakby ci było gościowi uchybiać, a tu możesz sobie ze mnie dworować, ile chcesz, co wiera, zawsze rada czynisz.

—Ja rada to czynię?—zapytała dziewczyna.—Ej, mocny Boże! Toż przyjechałam prosić was na wieczerzę, a śmieję się nie z ciebie, je-no z tych bab, bo żeby tak na mnie, wnetbym tu sobie dała rady.

—Nie wskórałabyś i ty!

—A Jaśkowi to niby kto to robi?

—Jasiek ci brat — odparł Zbyszko.

—Jużci!...

Lecz tu stary i doświadczony Maćko postanowił im przyjść z pomocą.

—Po domach, rzekł, gdy po postrzyżynach rycerskiemu pacholeciu włosy odrosną, trefi mu je siostra, a w żrałym wieku żona mężowi, ale obyczaj też jest, że gdy rycerz siostry, albo żony nie ma, to mu dziewczki szlacheckie służą, nawet i całkiem obce.

—Zali istotnie jest taki obyczaj? — pytała, spuszczać oczy, Jagienka.

—Nietylko po dworach, lecz i po zamkach, ba! nawet na królewskim dworze — odrzekł Maćko.

Poczem zwrócił się do niewiast:

—Kiedyście do niczego, ruszajcie do czeladnej! To niech mi też grzanej wody przyniosą —dodała dziewczyna.

Maćko wyszedł razem z niewiastami, niby dla pilnowania, aby w posłudze nie było marudztwa i po chwili wysłał grzaną wodę, którą, gdy zostawiono w izbie, młodzi zostali sami. Jagienka, zamoczywszy naprzód nałęczkę, poczęła nią zwilżać silnie włosy Zbyszkowe, gdy zaś przestały się wicherzyć i opadły ciężarem wilgoci, wzięła grzebień i siadła na ławie obok młodzianka, aby zabrać się do dalszej roboty.

I tak siedzieli tuż koło siebie, oboje nad miarę śliczni i nad miarę w sobie rozkochani, ale strapieni i milczący. Jagienka poczęła wreszcie układać jego złote włosy, a on czuł bliskość jej wzniesionych ramion, jej dłoni i drżał od stóp do głowy, hamując się całą siłą woli,

aby nie porwać jej w pól i nie przycisnąć ze wszystkich sił do piersi.

W ciszy słysząc było przyspieszone ich oddechy.

—Może ty chory!—spytała po chwili dziewczyna.—Co ci jest?

—Nic!—odpowiedział młody rycerz.

—Bo jakoś tak dychasz.

—I ty dychasz....

Znów zapadła cisza. Policzki Jagienki zakwitły jak róże, czuła bowiem, że Zbyszko oczu nie odrywa ani na chwilę od jej twarzy, więc chcąc zagadać własne zakłopotanie, znów zapytała:

—Czego się tak patrzysz?

—Wadzi ci?

—Nie wadzi mi, jeno się pytam.

—Jagienka?

—Co?...

Zbyszko nabrał w piersi powietrza, westchnął, poruszył ustami, jakby zabierając się do dłuższej rozmowy, ale widać nie starczyło mu jeszcze odwagi, bo tylko powtórzył znów:

Jagienka...

—Co?

.....

—Kiedy się boję coś rzec...

—Nie bój się. Prosta ja dziewczyna, nie żaden smok.

—Jużci nie smok! Ale, że stryj Maćko powiada, że cię chce brać!...

—Bo chce, jeno nie dla siebie.

I zamilkła, jakby przestraszona własnymi słowy.

—Przez miły Bóg! Jaguś moja... A ty co na to, Jaguś?— zawołał Zbyszko.

Lecz jej niespodzianie oczy wezbrały łzami, śliczne usta poczęły drgać, a głos stał się tak cichym, że Zbyszko ledwie mógł dosłyszeć, gdy rzekła:

—Tatus i opat chcieli... a ja — to... ty wiesz....!

Na te słowa radość buchnęła mu w sercu, jak nagły płomień—więc porwał dziewczynę na ręce, podniósł ją w górę, jak piórko i począł krzyczeć w zapamiętaniu:

—Jaguś! Jaguś! złoto ty moje! słońko ty moje — hej! hej!...

I krzyczał tak, że stary Maćko, myśląc, że stało się coś niezwykłego, wpadł do izby. Dopieroż ujrzawszy Jagienkę na ręku Zbyszka, zdumiał się, że wszystko poszło tak niespodziewanie prędko i zawołał:

—W imię Ojca i Syna! Miarkuj się, chłopie!

A Zbyszko przypadł do niego, postawił Jagienkę na ziemi i oboje chcieli przyklęknąć, lecz nim zdolali to uczynić, chwycił ich stary w kościste ramiona i przycisnął ze wszystkich sił do piersi.

—Pochwalony!—rzekł.—Wiedziałem ci ja, że tak się skończy, ale mi przecie radość! Boże wam błogosław! Lżej będzie umierać.... Dziewucha jako złoto najszczerwsze... Ku Bogu i ku ludziom. Prawdziwie! A niech ta już będzie co chce, kiedym się takiej pociechy doczekał.... Bóg doświadczył, ale i Bóg pocieszył. Trzeba jechać do Zgorzelic, Jaśkowi oznajmić. Hej, żeby stary Zych żył!... i opat... Ale ja wam za

obu strzymam, bo żeby tak ^{na}prawdę rzec, to was tak oboje miłuję, że i wstyd gadać.

I chociaż miał w piersi ^{na}serce hartowne, wzruszył się tak, aż ścisnęło go coś w gardle, więc ucałował jeszcze Zbyszka, a potem w oba policzki Jagienkę i wykrztusiwszy nawpół przez łyż: “Miód, nie dziewczyna!” poszedł do stajen, aby kazać konie kulbaczyć. Wyszedłszy, zatoczył się z radością na dziewanny, które rosły przed domem i począł spoglądać na ich ciemne kręgi, otoczone żółtymi liśćmi, zupełnie, jak człowiek pijany.

—A no! kupa was—rzekł—ale da Bóg Gradów Bogdanieckich będzie więcej.

Poczem idąc ku stajni, jął znów mruścić i wyliczać:

—Bogdaniec, opatowe majątki, Spychów, Moczydoły... Bóg zawsze wie do czego prowadzi, a przyjdzie czas na starego Wilka, to by i Brzozową warto kupić.... Łąki godne!...

Tymczasem Jagienka i Zbyszko wyszli także przed dom, radośni, szczęśliwi, jaśniejący jak słońce.

—Stryjku!—ozwał się zdala Zbyszko.

A on zwrócił się ku nim, otworzył ręce i począł wołać, jak w lesie:

—Hop! hop! By-waj-cie!!!

K R Z Y Ż A C Y.

HENRYK SIENKIEWICZ

KRZYŻACY



TOM VI.



CHICAGO.
NAKŁADEM I DRUKIEM WŁ. DYNIEWICZA,
1907.

TOM VI.

I.

Oni mieszkali w Moczydółach, a stary Maćko wznosił dla nich kasztel w Bogdańcu. Wznosił mozolnie, gdyż chciał, żeby obsady były z kamienia na wapno, a czatownia z cegły, o którą trudno było w okolicy. W pierwszym roku wykopał rowy, co przyszło dość łatwo, albowiem wzgórze, na którym miał stanąć kasztel, było niegdyś okopane, może za czasów jeszcze pogańskich, należało więc tylko oczyścić owe wądoły z drzew i głogowych gąszczów, którymi zarosły, a następnie umocnić je i pogłębić należycie. Przy pogłębianiu dokopano się też obfitego źródła, które w niedługim czasie napełniło fosę tak, że musiał Maćko obmyślać ujście dla zbytku wody. Potem na wale wznosił częstokół i począł zgromadzać budulec na ściany zameczku, bele dębowe tak grube, że trzech chłopów jednego objąć nie mogło i modrzewiowe, nie gnijące ni pod glinianą polepą, ni pod przykryciem z darniny. Do wznoszenia tych ścian zabrał się pomimo stałej pomocy chłopów ze Zgorzelic i Moczydółów dopiero po roku, ale zabrał się tem gorliwiej dlatego, że przedtem jeszcze Jagienka powiła bliźnięta. Niebo otworzyło się wówczas przed starym rycerzem, miał już bowiem dla kogo

pracować, zabiegać i wiedział, że ród Gradów nie zaginie, a Tępa Podkowa nieraz jeszcze obroczy się we krwi nieprzyjacielskiej.

Bliźniakom dano imiona: Maćko i Jaśko. “Chłopy, mówił stary, na schwał, tak, że w całym królestwie niemasz podobnych, a przecie jeszcze nie wieczór”. I ukochał ich odrazu wielką miłością, a za Jagienką świata nie widział. Kto mu ją w oczy sławił, ten wszystko mógł u niego uzyskać. Zazdroszczono jej jednak Zbyszkowi szczerze i sławiono ją nie tylko dla korzyści, gdyż istotnie jaśniała ona w okolicy niby kwiat najpiękniejszy, ze wszystkich na łące. Przyniosła mężowi wielkie wiano, ale i więcej niż wiano, bo wielkie kochanie i urodę, olśniewającą oczy ludzkie i dworność i dzielność taką, że niejeden rycerz mógłby się nią pochlubić. Nic to dla niej było w kilka dni po połogu do gospodarstwa wstać, a potem z mężem na łowy jechać, albo konno z Moczydół do Bogdańca rano skoczyć i przed południem do Jaśka i Maćka wrócić. Kochał ją tedy jak żrenicę oka mąż, kochał stary Maćko, kochała czeladź, dla której ludzkie miała serce, w Krześni, gdy w niedzielę wchodziła do kościoła witał ją szmer podziwu i uwielbienia. Dawniejszy jej zalotnik, groźny Cztań z Rogowa, żeniaty z córką kmiecia, który po mszy pijał w karczmie ze starym Wilkiem z Brzozowej, mawiał, podpiwszy do niego: “Szczerbiłiśmy się o nią nieraz z waszym synem i chcieliśmy ją brać, ale to tak właśnie było, jakby po miesiąc na niebie sięgać”.

Inni zaś głośno wyznawali, że takiej chybaby na dworze królewskim w Krakowie szukać. Bo obok bogactwa, urody i dworności,

czczono także niezmiernie jej czerstwość i siłę. I był o tem jeden głos: “że to dopiero niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w boru podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i znagła przysiedzie, to ‘ci się wszystkie tak pokruszą, jakbyś je młyńskim kamieniem przycisnął”. Tak to ją sławiono i w parafialnej Krześni i po sąsiednich wsiach, a nawet w wojewódzkim Sieradzu. Jednakże, zazdroszcząc Zbyszkowi z Bogdańca, nie dziwiono się zbyt, że ją dostał, albowiem opromieniała i jego taka chwała wojenna, jakiej nikt w okolicy nie miał.

Młodzi włodykowie i szlachta prawili sobie wzajem całe opowieści o Niemcach, których “nałuszczył” w bitwach pod wodzą Witolda i w pojedynkę na udeptanej ziemi. Mówiono, że żaden mu się nigdy nie odjął, że w Malborgu dwunastu ich zbił z koni, między nimi brata Mistrzowego Ulryka, wreszcie, że nawet z krakowskimi rycerzami mógł się potykać i że sam niezwyciężony Zawisza Czarny był mu życzliwym przyjacielem.

Niektórzy nie chcieli tak nadzwyczajnym klechdanom wierzyć, ale i ci jednak, gdy była mowa o tem, kogoby okolica wybrała, gdyby polskim rycerzom przyszło z obcymi iść w zawód, mówili: “Już-ci Zbyszka,—a potem dopiero włochoatego Cztana z Rogowa i innych miejscowych osiłków, którym pod względem ćwiczenia rycerskiego daleko było do młodego dziedzica z Bogdańca.”

Wielką zamożność jednała mu na równi ze sławą szacunek ludzki. Bo, że za Jagienką wziął Moczydoły i wielką majątność opatową, to nie była jego zasługa, ale on już przedtem

miał Spychów wraz z ogromnymi skarbami, zgromadzonymi przez Juranda, a prócz tego szeptali sobie ludzie, że samych łupów zdobytych i wziętych przez rycerzy z Bogdańca w zbrojach, koniach, szatach, klejnotach wstrzymałoby na trzy, albo i cztery dobre wsie.

Widziano więc w tem jakąś szczególną łaskę bożą nad rodem Gradów herbu Tępa Podkowa, który do niedawna podupadły tak, że prócz pustego Bogdańca nic nie miał, wyrastał teraz nad wszystkie inne w okolicy. “Przecie w Bogdańcu ostało po pogorzeli jeno garbate domosko—mówili starzy ludzie— i samą majątność z braku rąk roboczych musieli krewnemu zastawić, a teraz kasztel wznoszą”. I podziw był wielki, ale, że towarzyszyło mu ogólne, instyktowne poczucie, że cały naród idzie także niepowstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego dorobku i że z woli bożej taki ma być właśnie porządek rzeczy, więc nie było w tym podziwie złej zawiści. Owszem, chełpiła się okolica. Byli oni jakby oczywistym dowodem, do czego może doprowadzić szlachcica krzepkie ramię w połączeniu z mężnem sercem rycerską poządliwością przygód. Niejeden też na ich widok uczuwał, że mu za ciasno w domowych pieleszach, w rodzinnych granicach i że o ścianę są we wrażej mocy wielkie bogactwa i obszerne ziemie, które można zdobyć z niezmierną dla siebie i dla królestwa korzyścią. A ów nadmiar sił, który odczuwały rody, rozpierał całą społeczność, tak, iż była jakby war, który musi z naczynia wykypieć. Mogli mądrzy panowie krakowscy i miłujący pokój król, hamować te siły do czasu i odkładać wojnę z odwiecznym wrogiem na długie

lata, ale żadna moc ludzka nie mogła przytłumić ich całkowicie, ani też powstrzymać tego pędu, którym idzie ku wielkości dusza powszechna.

II.

Dożył Maćko szczęśliwych dni żywota. Nie raz mawiał też sąsiadom, że więcej dostał, niżli się spodziewał. Nawet starość ubieliała mu tylko włos na głowie i brodzie, ale nie odjęła mu dotychczas ni sił, ni zdrowia. Serce miał pełne tak wielkiej wesołości, jakiej dotychczas nigdy nie zaznał. Surowa niegdyś jego twarz stawiała się coraz więcej dobroduszną, a oczy śmiały się do ludzi dobrym uśmiechem. W duszy miał przekonanie, że żadna troska, żadna niedola nie zmąci już płynących tak spokojnie, jak jasny strumień dni życia. Do starości wojować, na starość gospodarzyć i majątność dla “wnęków” powiększyć — to było przecie jego największe pragnienie we wszystkich czasach, a oto właśnie wszystko spełniło mu się doskonale. Gospodarka szła, jak z płatka. Bory były znacznie wycięte; wykarczowane i obsiane nowocie zieleniły się co wiosna runią zbóż rozmaitych; mnożył się dobytek; na łąkach było czterdzieści świerzop ze żrebięty, które stary szlachcic codziennie oglądał; stada baranów i bydła pasły się po ugorach i zagajach; Bogdaniec zmienił się całkowicie: z opustoszałej osady, czynił się wsią ludną i zamożną, a kto się do niego zbliżał, tego oczy olśniewała widna zdala czatownia i nie poczerniałe jeszcze ściany kasztelu,

błyszczące złotem w słońcu, a purpurą w zorzy, wieczorem.

Więc radował się stary Maćko w sercu dobytkiem, gospodarstwem, pomyślną dolą — i nie przeczył, gdy ludzie mówili, że ma szczęsną rękę. W rok po bliźniętach przyszedł znowu na świat chłopak którego Jagienka na cześć i dla pamięci swego rodzica, nazwała Zychem. Maćko przyjął go z radością i nie troszczył się tem bynajmniej, że gdyby tak miało pójść dalej, majątność z takim trudem i zabiegliwością zebrana, musiałaby się rozdrobić:— “Bo co my mieli?—mówił o tem pewnego razu do Zbyszka.—Nie! a przecie Bóg przysporzył. Stary Pakosz z Sulisławic (mówił) ma jedną wieś, synów zaś dwudziestu dwóch, a przecie głodem nie przymierają. Małoż to jest ziem w Królestwie i na Litwie? małoż to wsiów i zamków w psubrackich rękach Krzyżaków? Hej! nużby tak Pan Jezus zdarzył! byłoby godne pomieszczenie, bo tam zamki całe z cegły czerwonej, z którychby kasztelanie nasz miłościwy król poczynił”. I była to rzecz godna uwagi, że Zakon stał przecie na szczycie potęgi, że bogactwy, siłą, mnogością ćwiczonych wojsk wszystkie zachodnie królestwa przewyższał, a jednak ten stary rycerz myślał o zamkach krzyżackich, jako o przyszłych siedzibach swoich wnuków.

I wielu zapewne tak samo myślało w królestwie Jagiełłowem, nietylko dlatego, że to były stare polskie ziemia na których Zakon siedział, ale i w poczuciu tej siły potężnej, która burząc się w piersiach narodu, szukała na wszystkie strony ujścia.

W czwartym dopiero roku, licząc od małżeństwa Zbyszka stanął kasztel, a i to z pomocą rąk roboczych nietylko miejscowych, zgorzelickich, moczydołowskich, lecz i sąsiedzkich, a szczególnie starego Wilka z Brzozowej, który, zostawszy sam po śmierci syna na świecie, zaprzyjaźnił się bardzo z Maćkiem, a potem zwrócił serce ku Zbyszkowi i Jagience. Maćko przyozdobił komnaty łupami z wojen, które, albo sami ze Zbyszkciem wzięli, albo po Juran-dzie ze Spychowa odziedziczyli, przydał do tego dostatki po opacie i to, co Jagienka z domu wywiozła, okna szklane sprowadził z Sieradza — i wspaniałą urządził siedzibę. Zbyszko z żoną i dziećmi przeniósł się jednak do kasztelu w piątym dopiero roku, gdy już i inne budowy, jak oto: stajnie, obory, kuchnie i łaźnie były ukończone, a z niemi razem i sklepy podziemne, które stawiał stary na kamień i wapno, aby zaś trwałość miało niepożyta. Sam się jednak do zamku nie przeniósł: wolał zostać w starem domostwie a na wszelkie prośby Zbyszka i Jagienki odpowiadał odmownie, w taki sposób myśl swoją wyłuszcza-jąc:

—Tu już zamrę, gdzie się urodziłem. Wiedzicie, za czasów wojny Grzymalitów z Na-lęczami spalony był do cna Bogdaniec — wszystkie budynki, wszystkie chałupy — ha! płoty nawet, jeno to domosko ostało. Ludzie gadali, że dla zbytku mchów na dachu nie chciało gorzeć — ale ja myślę, że była w tem i łaska boża — i wola, abyśmy tu wrócili i stąd znowu wyrosli. Za czasów naszej wojaczki biadałem ja nieraz, że nie mamy do czego wracać, alem nie całkiem słusznie tak mówił, bo wiera nie

było na czem gospodarzyć i co do gęby włożyć, ale było się gdzie schronić. Wy młodzi, to co innego, ale ja tak już myślę, że skoro nas ów stary dom nie poniechał — to i mnie nie godzi się go poniechać.

I został. Lubił jednakże przychodzić do zameczku, by oglądać jego wielkość i wspaniałość, w porównaniu z dawną siedzibą, a zarazem patrzeć na Zbyszka, na Jagienkę i na “wnęków”. Wszystko, co tam widział, było w znacznej części jego dziełem, a jednak przejmowało go ono dumą i podziwem. Przyjeżdżał czasem do niego stary Wilk, aby z nim “ugwarzyć” przy ognisku, albo też on sam odwiedzał go w tymże zamiarze w Brzozowej, więc raz tak mu swoje myśli o tych “nowych porządkach” wypowiedział:

—Wiecie! Aże mi czasem cudnie. Bo przecie wiadomo, że Zbyszko i w Krakowie na zamku u króla bywał, (ba mało mu tam głowy nie ucięli) i na Mazowszu i w Malborgu i u księcia Janusza, a Jagienka też się w dostatku chowała, ale przecie własnego kasztelu nie mieli... Ale teraz to tak, jakby nigdy inaczej nie żywili... Chodzą, mówię wam, po komnatkach, chodzą, chodzą—i służbie rozkazania dają, a jak się zmęczą, to sobie siedną. Prawy kasztelan i kasztelanowa! Mają ci też komnatę, w której z sołtysami, z karbowymi i czeladzią obiadują, a w niej ławy, dla niego i dla niej wyższe—inni zaś poniżej siedzą i czekają, póki państwo godnie mis nie nałożą. Taki to dworski obyczaj, aże człowiek musi sobie przypominać, że to, nie żadne wielkie państwo, jeno bratanek i bratankowa, którzy po

ręku mnie starego boćkają, na pierwszym miejscu sadzą i dobrodziejem swoim zowią.

—Dlatego im też Pan Jezus błogosławi — zauważył stary Wilk.

Zaczem, pokiwawszy smutnie głową, popił miodu, poruszył żelaznym pogrzebaczem głównie w ognisku i rzekł:

—A mojemu chłopu się zczeszło!

—Wola Boska.

—A no! Starsi, których było pięciu, przedtem dawno polegli. Przecie wiecie. Już ci wola boska. Ale ten był z wszystkich najteższy. Prawy Wilk i gdyby nie był legł, toby dziś też może na własnym zamku siedział.

—Wolejby był Cztan poległ.

—Co ta Cztan! Niby to kamienie młyńskie na plecy bierze, a ile to razy mój go poszczerbił! Mój miał ćwiczenie rycerskie, a Cztana teraz żona po pysku pierze, bo choć jest chłop mocny, ale głupi.

—Hej! jako podogonie! — przyświadczył Maćko.

I przy sposobności wynosił pod niebo nie tylko ćwiczenie rycerskie, ale i rozum. Zbyśzka, że to w Malborgu z najprzedniejszymi rycerzami gonił na ostre, “a z książęty to ci wam tak będzie gadał, jakoby orzechy gryzł”. Chwalił też jego porządek w głowie i zabiegliwości w gospodarce, bez której prędkoby kasztel majątność zjadł. Nie chcąc jednak, by stary Wilk myślał, że co podobnego im może grozić, kończył przyciszonym głosem:

—No, z łaski Boga jest tam wszelkiego dobra dosyć, więcej, niż ludzie wiedzą, ale nie mówcie o tem nikomu.

Ludzie jednak domyślali się, wiedzieli i opowiadali sobie, aż do przesady, zwłaszcza o bogactwach, które Bogdanieccy mieli wywieźć ze Spychowa. Mówiono, że pieniądze solówkami wozili z Mazowsza. Wygodził też Maćko pożyczką kilkunastu grzywien możliwym dziedzicom na Koniecpolu, co do ostatka utwierdziło okolicę w mniemaniu o jego "skarbach". Z tego powodu rosło znaczenie Bogdanieckich, rósł szacunek ludzki i gości nigdy nie brakło w kasztelu, na co Maćko, choć oszczędny, nie patrzył niechętnym okiem, gdyż wiedział, że i to sławy rodowi przymnaża.

Szczególnie chrzciny bywały sute, a raz na rok, po Matce Boskiej Zielnej, wyprawiał Zbyszko wielką ucztę dla sąsiedztwa, na którą i szlachcianki przyjeżdżały patrzeć na ćwiczenia rycerskie, słuchać gadków i płaszać z młodymi rycerzami przy smolnych pochodniach aż do rana. Wtedy to pasł oczy i radował się stary Maćko widokiem Zbyszka i Jagienki, tak wyglądali dwornie i pańsko. Zbyszko zmężniał, rozrósł się, a choć przy potężnej i wyniosłej postawie twarz jego wydawała się zawsze młoda, jednakże, gdy bujny włos opiął przepaską z purpury, przybrał się w świetną, naszytą srebrnymi i złotymi nićmi szatę, to nie tylko Maćko, ale i niejeden szlachcic mówił sobie w duszy: "Boga mi! iście księżę jako weś na zamku siedzące". A przed Jagienką przyklękali nieraz rycerze, znający zachodni obyczaj, prosząc, by chciała im być damą, ich myśli— taki bił od niej blask zdrowia, młodości, siły i urody. Sam stary dziedzic, na Koniecpolu, który był wojewodą sieradzkim zdu-

miewał się jej widokiem i z zorzą poranną, a nawet i z "słonkiem" ją porównywał, "które światu jasność daje, a nawet i stare kości żywszą gorącością napełnia".

III.

Jednakże w piątym roku, gdy ład był wprowadzon we wszystkich wsiach nadzwyczajny, gdy nad skończoną czatownią powiewała już od kilku miesięcy chorągiew z Tępą Podkową, a Jagienka powiła szczęśliwie czwartego syna, którego nazwano Jurandem—tak rzekł raz stary Maćko do Zbyszka:

—Wszystko się darzy, że gdyby Pan Jezus jeszcze jedno zdarzył szczęśliwie— tobym już umarł spokojny.

A Zbyszko popatrzał nań pytającym wzrokiem i po chwili zapytał:

—Chyba o wojnie z Krzyżaki mówicie, bo czegożby wam więcej trzeba?

—To ci rzekę, com drzewiej mówił,—odpowiedział Maćko—że póki Mistrz Konrad żywie, wojny nie będzie.

—Albo to mu wiecznie żyć?

—Ale i mnie nie wiecznie i dlatego o czem innem myślę.

—A zaś o czem?

—Ji! lepiej nie zapowiadać. Tymczasem się do Spychowa wybieram, a może zdarzy się i książąt na Płocku i na Czersku.

Zbyszka nie zdziwiła zbytnio ta odpowiedź, albowiem w ciągu ostanich lat kilka-

krotnie stary Maćko wyjeżdżał do Spychowa, więc tylko zapytał:

—Długo bawicie?

—Dłużej niż zwykle, bo się w Płocku zatrzymam.

Jakoż w tydzień później wyjechał Maćko, wziawszy z sobą kilka wozów i zbroję dobrą, “na wypadek, jeśli się przyjdzie w szrankach potykać”. Na odjezdnem zapowiedział, że może zabawi dłużej niż zwykle i istotnie zabawił dłużej, gdyż przez pół roku nie było o nim żadnej wieści. Zbyszko począł się niepokoić i w końcu wyprawił umyślnego pachółka do Spychowa, ale ów spotkał Maćka za Sieradzem i wrócił z nim razem.

Stary rycerz wrócił jakiś chmurny, ale wypytawszy dokładnie Zbyszka o wszystko, co się podczas jego niebytności działo—i zaspokojony, że wszystko szło dobrze, rozpogodził się nieco—i pierwszy zaczął mówić o swej wyprawie.

—Wiesz, że byłem w Malborgu—rzekł.

—W Malborgu?

—A gdzieby indziej?

Zbyszko popatrzał na niego przez chwilę zdumionemi oczyma, poczem uderzył się nagle dłonią po udzie i rzekł:

—O prze-Bóg! A ja na śmierć zapomniałem.

—Wolno było tobie zapomnieć, boś ślubów dopełnił,—odrzekł Maćko — ale nie daj Bóg, abym ja przysiedze i czci własnej umknął. Nie nasz to obyczaj, aby czegoś zaniechać—i tak mi dopomóż św. Krzyż, jako póki mi tchu w nozdrzach, póty ja go nie zaniecham.

Tu zmierzchła twarz Maćka i stała się tak groźną, zawziętą, jako ją Zbyszko widywał tylko za dawnych lat, u Witolda i Skirwoiłły, gdy miało przyjść do bitwy z Krzyżaki.

—No i co?—zapytał.—Odiął się wam?

—Nie odejmował się, bo mi nie stanął.

—Czemu zaś?

Komturem wielkim został.

—Kuno Lichtenstein komturem wielkim został?

—Ba! Możego i Wielkim Mistrzem obiorą. Kto go wie! Ale on już i teraz z książęty się równym być mniema. Mówią, że wszystkiem rządzi i że wszystkie sprawy Zakonu na jego głowie, a Mistrz nic bez niego nie poczyną. Gdzie ci tam taki stanie na udeptaną ziemię! Na śmiech ludzi jeno zarobisz.

—Wyśmieli was?—zapytał Zbyszko, któremu oczy zaiskrzyły się nagle gniewem.

—Śmiała się księżna Aleksandra w Płocku: “Jedźże, powiada i cesarza rzymskiego pozwij”! Jemu powiada (niby Lichtensteino-wi), jako wiemy, przysłali także pozwy i Zawisza Czarny i Powąła i Paszko z Biskupic, a też nawet takim mężom nie odkazał nic, bo nie może. Przecie nie serca mu brak, jeno, że jest zakonnik i że (prawi) urząd ma tak znaczny i godny, że mu te rzeczy nie w głowie — i że więcejby czci uchybił przyjmując, niżli na pozwy nie zważając. Tak ci to pani mówiła.

—A wy co na to?

Zafrasowałem się okrutnie, ale rzekłem, że i tak do Malborga muszę jechać, żeby powiedzieć Bogu i ludziom: “Co było w mojej mocy—tom uczynił”. Prosiłem tedy Pani, żeby mi obmyśliła jakoweś poselstwo i dała pisa-

nie do Malborga, bom wiedział, że inaczej głowy z tego wilczego gniazda nie wywiozę. W duszy zaś myślałem tak: jużci nie chciał wyznaczyć zroku ni Zawiszy, ni Powale, ni Paskowi, ale jeśli go wobec samego Mistrza, wszystkich komturów i gości za gębę porwę, a wasy i brodę mu wyszarpnę — to przecie stanie.

—Bodaj-że was! — zawołał z zapalem Zbyszko.

—Co?—rzekł stary rycerz. — Na wszystko jest rada, byle głowę na karku mieć. Ale tu Pan Jezus łaski umknął, bom go w Malborgu nie zastał. Powiedzieli, że do Witolda w posły pojechał. Nie wiedziałem wtedy, co czynić, czekać, czy za nim jechać. Bałem się rozminąć. Ale żem to z Mistrzem i wielkim szatnym miał z dawnych czasów znajomość—spuściłem im się z tajemnicy, dlażegom przyjechał, oni zaś zakrzyknęli, że to nie może być.

—Czemu?

—Skroś tej przyczyny, którą księżna na Płocku wyluszczyła. I Mistrz przytem rzekł:

“Cobyś o mnie myślał, gdybym ja każdemu rycerzowi z Mazowsza, albo z Polski stawiał?” No—praw był, bo dawnoby go już na świecie nie było. Cudowali się tedy obaj z szatnym—i opowiedzieli to przy stole na wieczery. To ci mówię, jakobyś w ul dmuchnął! A szczególnie między gośćmi podniosła się zaraz kupa: “Kuno—krzyczeli—nie może, ale my możemy!” Wybrałem sobie tedy trzech, chcąc się z nimi po kolei potykać, ale Mistrz, po wielkich prośbach, pozwolił jeno z jednym, któremu na przezwisko było też Lichtenstein i który był Kuna krewny.

—No i co?—zakrzyknął Zbyszko.

—A no, jużci przywiozłem jego blachy, ale tak całkiem popękane, że i jednej grzywny nikt za nie nie da.

—Bójcie się Boga, toście przysięgę spełnili!

—Zrazu byłem rad, bom i sam tak mnie-
mał, ale potem pomyślałem: “Nie!—to nie to
samo! I teraz spokoju nijakiego nie mam, bo
nuż to nie to samo!”

Lecz Zbyszko począł go pocieszać.

—Mnie też znacie, że w takich rzeczach ni
sobie, ni komu nie folguję, ale gdyby mi się
tak przygodziło, to miałbym dosyć. I to wam
mówię, że najwięksi rycerze w Krakowie mi
w tem przyświadczą. Sam Zawisza, który na
czci rycerskiej najlepiej się zna, pewnie nie co
innego powie.

—Tak mówisz?—zapytał Maćko.

—Pomyślcie jeno: oni sławni w całym
świecie—i pozwalają go też, a żaden nie sprawił
nawet i tyle, ile wyście sprawili. Ślubowaliście
śmierć Lichtensteinowi—i przecie Lihtenstei-
naście zarznęli.

—Może — rzekł stary rycerz.

A Zbyszko, który był ciekaw spraw rycer-
skich, zapytał:

—Nuże! mówcie młody był, czy stary? i
jakże było? z konia czy piechotą?

—Było mu ze trzydzieści pięć roków i bro-
dę miał do pasa, a było z konia. Bóg mi po-
mógł, że go kopią zmacałem, ale potem przy-
szło do mieczów. To tak, mówię ci, krew mu
z gęby buchała, że cała broda była jakby jeden
sopel.

—A narzekaliście nieraz, że się starzejecie?

—Bo jak na koń siędę, albo-li się na ziemi

rozkraczę, to się trzymam krzepko, ale już na siodło we zbroi całej nie skoczę.

—Ale i Kuno nie byłby się wam odjął.

Stary machnął pogardliwie ręką, na znak, że z Kunonem byłoby mu poszło znacznie łatwiej— poczem poszli oglądać zdobywcze “blachy”, które Maćko zabrał tylko na znak zwycięstwa, bo zresztą były zbyt potrzaskane i dlatego bez wartości. Tylko nabiodrza i nago-lenniki były nietknięte i roboty bardzo przed-niej.

—Wolałbym wszelako, żeby to były Kunona—mówił posępnie Maćko.

Na co Zbyszko:

—Wie Pan Bóg co lepiej. Kunona, jeśli Mistrzem zostanie, to już nie dostaniecie, chybaby w jakowej wielkiej bitwie.

—Nadstawiałem ci ja ucha, co ludzie mówią— odrzekł Maćko.—Jedni tedy gadają, że po Konradzie będzie Kuno, a drudzy, że brat Kondratowy Ulryk.

—Wolałbym, żeby to był Ulryk — rzekł Zbyszko.

—I ja, a wiesz dlaczego? Kuno rozum ma większy i chytrzejszy, a Ulryk zapalczywszy. Prawy to jest rycerz, którego cześć dochowuje, ale do wojny z nami aż drży. Powiadają też, że byle Mistrzem ostał, to przyjdzie wnet taka nawałnica, jakiej na świecie nie bywało. A na Kondrata omdłałości pono już często przycho-dzą. Raz go zamroczyło i przy mnie. Hej! może doczekamy!

—Daj to Bóg! A są jakie nowe niezgody z królem?

—Są stare i nowe. Krzyżak zawsze Krzyżakiem. Chociaż wie, żeś mocniejszy i że z to-

bą źle zadrzeć, będzie ci na twoje dybał, bo inaczej nie może.

—Przecie oni myślą, że Zakon od wszystkich królestw mocniejszy.

—Nie wszyscy, ale wielu, a między nimi i Ulryk. Bo w rzeczy, potęga to jest okrutna.

—A pamiętacie, co mówił Zyndram z Maszkowa!

—Pamiętam i tam z każdym rokiem gorzej. Brat brata tak nie przyjmie, jako mnie tam przyjmowali, gdy żaden Krzyżak nie poglądał. Mają ich tam wszyscy dosyć.

—To i niedługo czekać!

—Niedługo, ale i długo — rzekł Maćko.

I po chwili zastanowienia dodał:

—A tymczasem trza hartować — i majętności przyspasabiać, aby godnie w pole wystąpić.

IV.

Mistrz Konrad zmarł jednak dopiero w rok później. Jaśko ze Zgorzelic, brat Jagienki, który pierwszy usłyszał w Sieradzu nowinę i o jego śmierci i o obiorze Ulryka von Jungingen, pierwszy też przywiózł ją do Bogdańca, w którym zarówno jak i we wszystkich szlacheckich siedzibach, wstrząsnęła ona do głębi dusze i serca. "Nastają czasy, jakich dotychczas nie bywało"—rzekł uroczyście stary Maćko, a Jagienka przyprowadziła w pierwszej chwili wszystkie dzieci przed Zbyszka i sama poczęła się z nim żegnać, jakby już naza jutrz miał wyruszać. Maćko i Zbyszko wiedzieli wprawdzie, że wojna nie rozpala się tak odrazu, jak ogień w kominie, niemniej jednak wierzyli, że do niej przyjdzie—i poczęli się gotować. Wybierali konie, zbroje, ćwiczyli w wojennem rzemiośle giermków, czeladź, sołtysów ze wsi, siedzących na niemieckiem prawie, którzy obowiązani byli konno stawać na wyprawę — i uboższą szlachtę—władyków ci bowiem radzi garnęli się do możniejszych. A to samo czyniono i po wszystkich innych dworach, wszędy były młoty w kuźniach, wszędy czyszczono stare pancerze, nacierano stopionem w sałhanach sadłem łuki i rzemienie, kowano wozy, czyniono zapasy spyży w krupach

i wędzonem mięsiwie. Przy kościołach w niedziele i święta wypytywano o nowiny i smuciono się, gdy przychodziły pokojowe, albowiem każdy nosił w duszy głębokie poczucie, że raz trzeba skończyć z tym strasznym wrogiem całego plemienia i że nie zakwitnie w potędzie, w pokoju i pracy królestwo, póki, wedle słów św. Brygidy, nie będą wyłamane Krzyżakom zęby i nie będzie odcięta im prawa ręka.

W Krześni zaś szczególnie otaczano Maćka i Zbyszka, jako ludzi, znających Zakon i świadomych wojny z Niemcami. Wypytywano się ich nie tylko o nowiny, ale i sposoby na Niemców: jak najlepiej w nich bić, jak mają zwyczaj się potykać, w czym od Polaków wyżsi, a w czym niżsi, czy po skruszeniu kopii łatwiej na nich zbroje łamać toporem, czyli też mieczem.

Oni zaś byli istotnie tych rzeczy świadomi, więc słuchano ich z wielką uwagą, tembardziej, że było przekonanie powszechne, iż wojna to nie będzie łatwa, że przyjdzie się mierzyć z najprzedniejszym rycerstwem wszelkich krajów i nie poprzestawać na tem, że tu i owdzie pokołacze się nieprzyjaciela, jeno uczynić to rzetelnie, do "cna", albo też zginąć z kretesem. Mówili tedy między sobą władcy: "Skoro trzeba, to trzeba — ich śmierć, albo nasza". I pokoleniu, które w duszach nosiło poczucie przyszłej wielkości, nie odbierało to ochoty, owszem! rosła ona z każdą godziną i dniem, ale przystępowano do dzieła bez próżnej chwalby i hełpliwości, a raczej z pewnem zawzięciem skupieniem i z gotową na śmierć powagą.

—Nam, albo im, śmierć pisana.

Ale tymczasem czas upływał i dłużył się, a wojny nie było. Mówiono wprawdzie o niezgodach między Władysławem a Zakonem — i jeszcze o ziemi Dobrzyńskiej, choć była już przed laty wykupiona i o sporach nadgranicznych, o jakowemś Drezdenku, o którym wielu po raz pierwszy w życiu słyszało, a o które spierały się jakoby obie strony, ale wojny nie było. Niektórzy poczęli nawet już wątpić, czy będzie, bo przecie spory bywały zawsze, ale kończyło się zwykle na zjazdach, układach i wysłaniu poselstw. Owóż rozeszła się wieść, że i teraz przyjechali jacyś posłowie krzyżaccy do Krakowa, a polscy udali się do Malborka. Poczęto mówić o pośrednictwie królów, czeskiego i węgierskiego, a nawet samego papieża. Zdala od Krakowa nie wiedziano niczego dokładnie, więc rozmaite, a często dziwaczne i niepodobne, chodziły między ludźmi słuchy, ale wojny nie było.

W końcu i sam Maćko, za którego pamięci nie mało przeszło grózb wojennych i układów — nie wiedział co o wszystkim myśleć i wybrał się do Krakowa, aby jakiejś pewniejszej wieści zasięgnąć. Zabawiał tam niedługo, bo szóstego tygodnia był już z powrotem — i wrócił z twarzą wielce wyjaśnioną. Gdy zaś w Krzesznie otoczyła go, jak zwykle, ciekawa nowin szlachta, na liczne pytania odpowiedział im pytaniem:

—A groty u kopii i topory macie wystrzone?

—Albo co? Nuże! Na rany boskie! jakie nowiny? Kogoście widzieli? — wołano ze wszystkich stron!

—Kogo widziałem? Zyndrama z Maszkowa! A jakie nowiny? Takie, że pono wraz konie siodłać przyjdzie.

—Prze-Bóg!! Jakże to powiadacie!

—A słyszeliście o Drezdenku?

—Jużci, żeśmy słyszeli. Ale zameczek to jakich wiele i ziemi bogdaj tam nie więcej niżli u was w Bogdańcu.

Marna to wojny przyczyna, co?

—Pewnie, że marna; bywały i większe, a przecie nic potem nie nastąpiło.

—A wiecie, jaką mi przypowieść Zyndram z Maszkowa z przyczyny Drezdenka powiedział?

—Prędzej mówcie, bo nam czapki na łbach zgorzeją!

—Powiedział mi tedy tak: "Szedł ślepy gościńcem i przewalił się przez kamień. Przewalił się, bo był ślepy, ale przecie kamień przyczyną." Otóż Drezdenko to taki kamień.

—Jakże to Jeszcze ci Zakon stoi.

—Nie rozumiecie? Tedy wam inaczej, tak powiem: Gdy naczynie zbyt pełne, to jedna kropla je przeleje.

Więc zapal ogarniał rycerstwo tak wielki, iż Maćko musiał go hamować, bo chcieli zaraz na koń siadać i do Sieradza ciągnąć.

—Bądźcie gotowi — mówił im — ale czekajcie cierpliwie. Już też i o nas nie zapomną.

Więc trwali w gotowości, ale czekali długo, tak nawet długo, że niektórzy poczęli znów wątpić. Lecz Maćko nie wątpił, bo jako z przylotu ptactwa poznaje się nadejście wiosny, tak on jako człek doświadczony, musiał z rozmaitych oznak wywnioskować, że zbliża się wojna — i to wielka.

Więc najprzód nakazano łowy we wszystkich borach i puszczach królewskich, tak ogromne, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Zbierano tedy tysiącami osaczników, na oblawy, na których padały całe stada żubrów, turów, jeleni, dzików i różnej pomniejszej zwierzyny. Lasy dymiły się przez całe tygodnie i miesiące, w dymach zaś wędzono solone mięsiwa, a następnie odsyłano je do miast wojewódzkich, a stamtąd na skład do Płocka. Oczywiście było, że szło o zapasy dla wielkich wojsk. Maćko wiedział dobrze, co o tem myśleć, bo takie same łowy nakazał przed każdą większą wyprawą na Litwie Witold. Lecz były i inne znaki. Oto chłopci poczęli całemi gromadami uciekać “z pod Niemca” do królestwa i na Mazowsze. W okolicę Bogdańca przybywali głównie poddani niemieckich rycerzy ze Szląska, ale wiadano, że wszędzie dzieje się to samo, a zwłaszcza na Mazowszu. Czech, gospodarzący w Spychowiu na Mazowszu, przysłał stamtąd kilkunastu Mazurów, którzy schronili się do niego z Prus. Ludzie ci prosili, by im pozwolono wziąć udział w wojnie “na piechtę”—albowiem chcieli pomścić się swych krzywd na Krzyżakach, których nienawidzili duszą całą. Powiadali też, że niektóre nadgraniczne wsie w Prusiech prawie zupełnie opustoszały, albowiem kmiecie przenieśli się z żonami i dziećmi do księstw mazowieckich. Krzyżacy wieszali wprawdzie schwytanych zbiegów, ale nieszczęsnego ludu nie już nie mogło powstrzymać i niejeden wołał śmierć od życia pod straszliwym jarzmem niemieckiem. Następnie poczęli się roić w całym kraju “dziadowie” z Prus. Ciągnęli oni wszyscy

do Krakowa. Napływali z Gdańska, z Malborka, z Torunia, z dalekiego nawet Królewca, ze wszystkich pruskich miast i ze wszystkich komandoryi. Byli między nimi nie tylko dziady, ale klechowie, organiści, różni słudzy klasztorni, a nawet klerycy i księża. Domyślano się, że znoszą wiadomości o wszystkim, co się dzieje w Prusiech: o przygotowaniach wojennych, o utwierdzaniu zamków, o załogach, o wojskach najemnych i gościach. Jakoż szeptało sobie, że wojewodowie po miastach wojewódzkich, a w Krakowie rajcy krakowscy zamykali się z nimi całymi godzinami, słuchając ich i spisując ich wiadomości. Niektórzy wracali chyłkiem do Prus, a potem znowu zjawiali się w królestwie. Dochodziły wieści z Krakowa, że król i panowie, rada, wiedzą przez nich o każdym kroku Krzyżaków.

Przeciwnie działo się w Malborku. Pewien duchowny, zbiegły z tej stolicy, zatrzymał się u dziedziców Koniecpola i powiadał im, że mistrz Ulryk i inni Krzyżacy nie troszczą się o wieści z Polski i że pewni są, iż jednym zamachem zawojują i obalą na wieki wieków całe królestwo, "tak, aby ślad po niem nie został." Powtarzał przytem słowa Mistrza, wypowiedziane na uczcie w Malborku: "Im ich więcej będzie, tembardziej kożuchy w Prusiech potanieją;" gotowali się więc do wojny w radości i upojeniu, dufni we własną siłę i pomoc, którą im wszystkie najdalsze nawet królestwa nadesła.

Lecz mimo tych wszystkich wojennych oznak, przygotowań i zabiegów, wojna nie przychodziła tak prędko, jak sobie ludzie życzyli. Młodemu dziedzicowi z Bogdańca "cniło

się,, już także w domu. Wszystko było oddawna gotowe; dusza rwała się w nim do sławy i do boju, przeto ciężki mu był każdy dzień zwłoki i często czynił o to wymówki stryjcowi, tak, jakby wojna lub pokój od niego zależały.

—Boście obiecywali napewno, że będzie—
mówił — a tu nic i nic!

Na to zaś Maćko:

—Mądryś, ale niebardzo! A to nie widzisz, co się dzieje?

—A jak się król w ostatniej godzinie zgodzi? Mówią, że nie chce wojny.

—Bo nie chce, ale któż jak nie on, zakrzyknął: “Chybabym nie był królem, gdybym Drezdenko zabrać pozwolił,, a Drezdenko Niemce jak wzięli, tak i dotychczas dzierżą. Ba! król nie chce rozlewu krwi chrześcijańskiej, ale panowie rada, którzy rozum mają bystry, czując większą moc polską, przypierają Niemców do ściany—i to ci jeno rzekę, że gdyby nie było Drezdenka, toby się znalazło co innego.

—Bo jako słyszałem, to jeszcze Mistrz Kondrat zabrał Drezdenko, a on się pewno króla bał.

—Bał się, gdyż lepiej od innych przeznał potęgę polską, ale chciwości zakonnej i on nie umiał pohamować. W Krakowie mówili mi tak: Stary von Ost, dziedzic Drezdenka, w czasie, gdy Krzyżaki zabierały Nową Marchię, pokłonił się jako hołdownik królowi, gdyż to ziemia była od wieków polska, więc chciał do Królestwa należeć. Ale zaprosili ci go Krzyżacy do Malbarga, spolił winem i uzyskali

od niego zapis. Wtedy to zbrakło już do ostatka królowi cierpliwości.

—Wiera, że mogło mu zbraknąć!—zawołał Zbyszko.

Lecz Maćko rzekł:

—Ale to tak jest, jako Zyndram z Maszkowa powiadał: Drezdenko to jeno kamień, przez który się ślepy przewalił.

—Gdyby zaś Niemce oddali Drezdenko, to co będzie?

—To znajdzie się inny kamień. Ale nie odda ci Krzyżak tego, co raz połknął, chyba mu brzuch rozplątasz, co daj Bóg, abyśmy prędko uczynili.

—Nie!—zawołał pokrzepiony na duchu Zbyszko.—Kondrat możeby oddał, Ulryk nie odda. Prawy to rycerz, na którym skazy nijakiej nie masz, ale okrutnie zapalczywy.

Tak to oni z sobą rozmawiali, a tymczasem zdarzenia staczały się jak kamienie, potrącone na ścieżkach górskich nogą przechodnia, z coraz większym pędem ku przepaści.

Nagle rozegrzmiała po całym kraju wiadomość, że Krzyżacy napadli i zagrabili staropolski, zastawiony Johannitom Santok. Nowy Mistrz Ulryk, który gdy posłowie polscy przybyli, aby mu złożyć życzenia z powodu jego wyboru, wyjechał umyślnie z Malborga i który od pierwszej chwili swych rządów nakazał, by w stosunkach z królem i Polską, miasto łaciny, używać języka niemieckiego — pokazał wreszcie, kim jest. Krakowscy panowie, którzy pchali go do wojny, zrozumieli, że on do niej pcha głośno i nie tylko głośno, ale naoslep i z takim zuchwalstwem, jakiego względem polskiego narodu nie dopuszczali się nigdy mi-

strzowie nawet wówczas, gdy ich potęga była w istocie większą, a królestwa mniejszą, niż inne.

Jednakże mniej zapalczywi, a przebieglejsi od Ulryka dostojnicy Zakonu, którzy znali Witolda, starali się go sobie zjednać darami i pochlebstwy, tak przechodzącymi wszelką miarę, iż podobnych trzeba było chyba szukać w tych czasach, gdy cesarom rzymskim wznoszono za życia świątynie i ołtarze.—“Dwóch jest dobrodziejów Zakonu — mówili posłowie krzyżacy, bijąc czołem temu namiestnikowi Jagiełły — pierwszy Bóg, a drugi Witold; przeto jest święte każde życzenie i każde słowo Witolda dla Krzyżaków”. I błagali go o rozjemstwo w sprawie o Drezdenko, w tej myśli, że gdy, jako podległy królowi, podejmie się sądzić swego zwierzchnika, tem samem go obrazi — i dobre ich stosunki przerwą się, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na czas dłuższy. Lecz, że panowie-rada wiedzieli o wszystkim, co się w Malborgu dzieje i zamierza, przeto król wybrał także Witolda na rozjemcę.

I pożałował Zakon wyboru. Dostojnicy krzyżacy, którym zdawało się, że znają wielkiego księcia, znali go niedość jeszcze, albowiem Witold nie tylko przysadził Drezdenko Polakom, lecz widząc zarazem i odgadując, na czem się sprawa skończyć musi—podniósł znów Zmujdź i coraz groźniejsze ukazując Zakonowi oblicze, jał się wspomagać ludźmi, orężem i zbożem, z żyznych ziem polskich nadsyłanem.

Co się stało wszyscy po wszystkich ziemiach olbrzymiego państwa, zrozumieli, że wybiła stanowcza godzina. Jakoż wybiła.

Raz w Bogdańcu, gdy stary Maćko, Zbyszko i Jagienka siedzieli przed bramą kasztelu, zażywając cudnej pogody i ciepła—zjawił się nagle na spienionym koniu nieznany człowiek, cisnął coś nakształ wieńca splecionego z łozy i wierzbiny pod nogi rycerzy — i krzyknawszy: “Wici! wici!”—pomknął dalej.

A oni zerwali się na równe nogi w wielkiem wzruszeniu. Twarz Maćka stała się groźna i uroczysta. Zbyszko skoczył, aby pchnąć giermka z wicią dalej, poczem wrócił z ogniem w żrenicach i zawołał:

—Wojna! Wreszcie Bóg dał! Wojna!

—I taka, jakiejśmy przedtem nie widzieli!
—dorzucił poważnie Maćko.

Następnie krzyknął na czeladź, która w mig zebrała się wokół państwa:

Dać w rogi z czatowni na cztery strony świata! a inni niech skoczą na wsie po sołtysów. Konie ze stajen wywieźć i wozy zaprzęgać Duchem.

I głos jego jeszcze nie przegrzmiał, gdy czeladź kopnęła się w różne strony, aby spełnić rozkazy, które nie były trudne, gdyż wszystko zdawna było gotowe: ludzie, wozy, konie, broń, zbroje, zapasy—tylko siadać i jechać!

Lecz przedtem Zbyszko jeszcze zapytał Maćka:

—A wy nie ostaniecie, w domu?

—Ja? Co ci wglowie?

—Bo wedle prawa możecie, że to człowiek z was w leciech podeszły a byłaby jakowaś opieka nad Jagienką i dziećmi.

—No, to słuchaj: ja do białego włosa czekał na tę godzinę.

I dosyć było spojrzeć na jego zimne, zawzięte oblicze, by poznać, że na nic wszelka namowa. Zresztą, mimo siódmego krzyżyka, chłop był jeszcze czerstwy jak dąb i ręce łatwo chodziły mu w stawach, a topór w nich aż warczał. Nie mógł wprawdzie już skoczyć w pełnej zbroi bez strzemion na konia, ale i wielu młodych, zwłaszcza między zachodnimi rycerzami, tego uczynić nie mogło. Natomiast ćwiczenie rycerskie posiadał ogromne i bardziej doświadczonego wojownika nie było w całej okolicy.

Jagienka też widocznie nie obawiała się sama zostać, gdyż usłyszawszy słowa męża, wstała i ucałowawszy go w rękę, rzekła:

—Nie frasuj się ty o mnie, miły Zbyszku, bo kasztel jest godny, a i to wiesz, że ja tam niezbyt płochliwa i że ni kusza ni sulica mi nie nowina. Nie czas o nas myśleć, gdy trza królestwa ratować, a nad nami tu Bóg będzie opiekunem.

I nagle oczy jej wezbrały łzami, które stoczyły się w wielkich kroplach po cudnej liliowej twarzy. Więc ukazawszy gromadkę dzieci, tak dalej mówiła wzruszonym, drgającym głosem:

—Hej! żeby nie one pędraki, pótyby ja ci u nóg leżała, póki byś mnie nie wziął na tę wojnę!

Jaguś!—zawołał Zbyszko chwytając ją w ramiona.

A ona objęła mu też szyję i jęła powtarzać, tuląc się do niego z całej siły:

—Jeno mi ty wróć, mój złoty, mój jedyny, mój najmiłszy!

—A zaś codzień dziękuj Bogu, że ci dał taką niewiastę!—dodał grubym głosem Maćko.

I w godzinę później ściągnięto z czatowni chorągiew na znak nieobecności panów. Zbyszko i Maćko zezwolili, aby Jagienka razem z dziećmi odprowadziła ich do Sieradza, więc po obfitym posiłku ruszyli wszyscy razem z ludźmi i całym taborem wozów.

Dzień był jasny bez wiatru. Bory stały w ciszy nieruchome. Stada na polach i ugorach zażywały także południowego spoczynku, przeżuając paszę powolnie i jakby w zamyśleniu. Jeno z powodu suchości powietrza, wznosiły się tu i owdzie po drogach kłęby złotego kurzu, a nad owymi kłębami płonęły jakby ogniki niezmiernie w słońcu błyszczące. Zbyszko ukazywał je żonie i dzieciom, mówiąc:

—Wiecie co się tam błyska nad kurzawą? to groty kopii i sulic. Wszędy już widać wici doszły zewsząd ciągnie naród na Niemca.

Jakoż tak było. Niedaleko za granicą Bogdańca spotkali brata Jagienki, młodego Jaska ze Zgorzelic, który jako dziedzic dość możny, szedł w trzy kopie, a luda prowadził z sobą dwudziestu.

Wkrótce po nim na rozstoju wychyliło się ku nim z tumanów zarosłe oblicze Cztana z Rogowa, który nie był wprawdzie przyjacielem Bogdanieckich, ale teraz krzyknął z dala: "Bywaj na psubraty!"—i skłoniwszy się im życzliwie pocwałował w siwym obłoku dalej. Spotkali także i starego Wilka z Brzozowej. Głowa już mu się trzęsła nieco ze starości, ale ciągnął i on, by pomścić śmierć syna, którego mu na Śląsku Niemcy zabili.

I w miarę jak zbliżali się do Sieradza, coraz częstsze były po drogach obłoki kurza-
wy, a gdy zdala ukazały się już wieże miejskie,
cały gościniec roił się od sołtysów i od zbroj-
nych pachołków, którzy wszyscy ciągnęli na
miejsce zbioru. Widząc tedy ów lud rojny, a
czerstwy i tęgi w boju uporny, a na niewy-
gody słoty, chłody i wszelkie trudy nad wszy-
stkie inne wytrzymały, krzepił się w sercu
stary Maćko i pewne wróżył sobie zwycię-
stwo.

V.

I wojna wybuchła wreszcie, nie obfita z początku w bitwy, ale w pierwszych chwilach niezbyt dla Polaków pomyślna. Nim nadciągnęły siły polskie, zdobyli Krzyżacy Bobrowniki, zrównali z ziemią złotoryę — i znów zajęli nieszczęsną, a z takim trudem niedawno odzyskaną ziemią Dobrzyńską. Lecz pośrednictwo czeskie i węgierskie przygasiło na czas burzę wojenną. Nastąpił rozejm w czasie którego Wacław, król czeski, miał sądzić spory między Polską a Zakonem.

Nie przestano jednak gromadzić wojsk i posuwać ich ku sobie w czasie zimowych i wiosennych miesięcy, gdy zaś przekupiony król czeski wydał wyrok na korzyść Zakonu, wojna musiała wybuchnąć na nowo.

A tymczasem nadeszło lato, a z nim razem nadeszły "narody" pod Witoldem. Po przeprawie pod Czerwieńskiem połączyły się oba wojska i chorągwie książąt mazowieckich. Z drugiej strony w obozie pod Świeciem stanęło sto tysięcy zakutych w żelazo Niemców. Chciał król przeprowić się przez Drwęcę i pójść krótką drogą ku Malborgowi, lecz gdy przeprawa okazała się niepodobną, zawrócił od Kurzętnika ku Działdowu i po skruszeniu zamku krzyżackiego Dąbrowna czyli Gilgenburga, położył się tamże obozem.

Zarówno on, jak i dostojnicy polscy i litewscy, wiedzieli, że walna rozprawa musi wkrótce nastąpić, nikt jednak nie sądził, żeby miało przyjść do niej prędzej, niż za kilka dni. Przypuszczano, że Mistrz, zabieżawszy drogę królowi, zechce dać wypoczynek swym zastępom, aby po śmiertelnej walce stanęły niestrudzone i świeże. Tymczasem wojska królewskie zatrzymały się na noc w Dąbrownie. Wzięcie tej fortecy, lubo bez rozkazów, a nawet wbrew woli rady wojennej, napełniło otuchą serce króla i Witolda, zamek to bowiem był potężny, oblany jeziorem, o grubych murach i licznej załodze. A jednak rycerstwo polskie wzięło go niemal w mgnieniu oka, z zapalem tak niepochamowanym, że nim cały obóz zciągnął, już z miasta i zamku pozostały tylko gruzy i zgłiszcza, wśród których dzicy wojownicy Witolda i Tatarzy pod Saladynem wycinali ostatki broniących się z rozpaczą niemieckich knechtów.

Pożar jednakże nie trwał długo, gdyż zgaśnięła go, krótko wprawdzie trwająca, ale ogromna ulewa. Cała noc z czternastego na piętnastego lipca była dziwnie zmienna i nawałnista. Wicher przepędzał burzę za burzą. Chwilami niebo zdało się całe płonąć od błyskawic i grzmoty roztaczały się ze straszliwym łoskotem między wschodem a zachodem. Często gromy napełniały zapachem siarki powietrze, to znów szum dżdżu zagłuszał wszystkie inne odgłosy. A potem wiatr rozpędzał chmury i wpośród ich strzępów, widać było gwiazdy i jasny wielki miesiąc. Po północy dopiero uciszyło się nieco, tak, że można było przynajmniej ogień rozpalić. Jakoż w tej chwili zabłysły ich tysiące i tysiące w niezmiernym pol-

sko-litewskim obozie. Wojownicy suszyli przy-
nich przemokłe szaty i śpiewali pieśni bojowe.

Król czuwał również, albowiem w domu
położonym na samym skraju obozów, do któ-
rego schronił się przed burzą, zasiadała rada
wojskowa, przed którą zdawano sprawę ze zdo-
bycia Gilgenburga. Ponieważ w szturmie bra-
ła udział chorągiew sieradzka, więc przywódca
jej, Jakób z Koniecpola, wezwany był wraz z
innymi do usprawiedliwienia się, dlaczego bez
rozkazu dobyli miasta i nie zaniechali szturm,
chociaż król wysłał dla powstrzymania ich,
swego podwojskiego i kilka podręcznych pa-
chołków.

Z tej przyczyny wojewoda, nie będąc pe-
wien, czy nie spotka go nagana, albo nawet
kara, zabrał z sobą kilkunastu przedniejszych
rycerzy, a między nimi starego Maćka i Zby-
szka, jako świadków, że podwojski dotarł do
nich dopiero wówczas, gdy byli już na murach
zamku i w chwili najzawziętszej bitwy z zało-
gą. A co do tego, że uderzył na zamek: "tró-
dno (mówił) pytać o wszystko, gdy wojska
na kilka mil się rozciągają. Wysłany będąc
w przodku, rozumiał iż ma powinność kruszyć
przeszkody przed wojskiem i bić nieprzyjacie-
la, gdzie go napotka." Więc wysłuchawszy
tych słów, król, książę Witold i panowie,
którzy w duszy radzi byli temu, co się stało,
nietylko nie przyganili wojewodzie i Sieradza-
nom ich postępku, ale sławili jeszcze ich mę-
stwo, że tak wartko pożyli zamek i mężną zało-
gę." Mogli wówczas Maćko i Zbyszko napa-
trzyć się największym głowom w Królestwie,
bo prócz króla i książąt mazowieckich znajdo-
wali się tam dwaj przywódcy wszystkich za-

stępów: Witold; który Litwinom, Zmujdzi, Rusinom, Besarabom, Wołochom i Tatarom przywodził — i Zyndram z Maszkowa, herbu “tego samego, co słońce”, miecznik krakowski, główny sprawca wojsk polskich, przewyższający wszystkich znajomością spraw wojennych. Oprócz nich byli w tej radzie wielcy wojownicy i statysci: kasztelan krakowski, Krystyn z Ostrowa i wojewoda krakowski, Jascho z Tarnowa i Poznański, Sędziwój z Ostroga i Sędomierski: Mikołaj z Michałowic i proboszcz od św. Floryana, a zarazem podkanclerzy Mikołaj Trąba i marszałek królestwa: Zbigniew z Brzezia i Piotr Szafraniec podkomorzy krakowski i wreszcie Ziemowit, syn Ziemowita, księcia na Płocku, jeden między nimi młody, ale dziwnie “do wojny prze-myślny”, którego zdanie wysoce sobie sam wielki król cenił.

A w przyległej obszernej izbie czekali, aby być pod ręką i w razie zapytania radą się przysłużyć, najwięksi rycerze, których sława grzmiała szeroko w Polsce i za granicą; więc ujrzeni tam Maćko i Zbyszko Zawiszę Czarnego, Sulimczyka i jego brata Farureja i Skarbka Abdanka z Gór i Dobka z Oleśnicy, który swego czasu dwunastu niemieckich rycerzy w Toruniu na turnieju z siodła wysadził i olbrzymiego Paska Złodzieja z Biskupic i Powalę z Taczewa, który życzliwym im był przyjacielem i Krzona z Kozichgłów i Marcina z Wrocimowic, który wielką chorągiew całego królestwa nosił, Floryana Jeliteczyka z Korytnicy i strasznego w ręcznem spotkaniu Lisa z Targowiska i Staszka z Char-

bimowic, który w pełnej zbroi przez dwa rosłe konie mógł przeskoczyć.

Było i wielu innych słynnych rycerzy przedchorągiewnych z rozmaitych ziem i z Mazowsza, których przedchorągiewnymi zwano dlatego, że w pierwszym szeregu stawali do bitwy. Lecz znajomkowie, a szczególnie Powała, radzi witali Maćka i Zbyszka i zaraz poczęli z nimi o dawnych czasach i przygodach rozmawiać.

— Hej! — mówił do Zbyszka pan z Taczewa. — Już ci ciężkie ty masz z Krzyżaki rachunki, ale tak tuszę, że im teraz za wszystkie czasy zapłacisz.

— Zapłacę, choćby krwią, jako i wszyscy zapłacim — odrzekł Zbyszko.

— A wiesz, że twój Kuno Lichtenstein jest ninie wielkim komturem? — ozwał się Paszko Złodziej z Biskupic.

— Wiem i stryj wiedzą też.

— Daj mi go Bóg spotkać — przerwał Maćko — bo ja osobną mam z nim sprawę.

— Ba! Przecie pozywaliśmy go i my — odpowiedział Powała — ale odrzekł, że urząd nie pozwala mu się potykać. No, teraz chyba pozwoli.

Na to zaś Zawisza, który zawsze mówił z powagą wielką, rzekł:

— Temu on będzie komu go Bóg przeznaczy.

Lecz Zbyszko z samej ciekawości wytoczył zaraz przez sąd Zawiszy sprawę stryjka i zapytał, czy nie zadość się stało ślubowaniu przez to, że Maćko potykał się z krewnym Lichtensteina, który się ofiarował w zastępstwo i takowego zabił. — I wszyscy zakrzyknęli, że za-

dość. Sam tylko zawzięty Maćko chociaż, ucieszył się z wyroku, rzekł:

—Ba, przecież pewniejszy byłbym zbawienia, gdybym samego Kunona spotkał!

I następnie poczęli mówić o wzięciu Gilgenburga i o przyszłej wielkiej bitwie, której spodziewali się wkrótce, bo przecie nie miał Mistrz nic innego do zrobienia, jeno królowi drogę zabiedz.

Ale gdy właśnie łamali głowy nad tem, za ile dni spotkanie może nastąpić, zbliżył się ku nim chudy i długi rycerz, przybrany w czerwone sukno z takąż myką na głowie i rozłożwszy ręce, rzekł miękkim prawie niewieścim głosem:

—Pozdrowienie ci, rycerzu Zbyszku z Bogdańca!

—De Lorche! — zakrzyknął Zbyszko — tyś tu!

I chwycił go w objęcia, gdyż wdzięczne pozostało mu o nim wspomnienie, a gdy ucałowali się, jakby najlepsi przyjaciele, począł wypytывать z radością:

—Tyś tu po naszej stronie?

—Wielu może geldryjskich rycerzy znajduje się po tamtej stronie— odrzekł de Lorche — ale jam panu memu, księciu Januszowi, służby z Długolasu powinien.

—Toś ty dziedzicem po starym Mikołaju na Długolesie?

—Tak. Bo po śmierci Mikołaja i syna jego, któren pod Bobrownikami zabit. Długolas przypadł na cudną Jagienkę, a od lat pięciu moją niewiastę i panią.

—Dla Boga!—zawołał Zbyszko — powiadaj, jako ci to przyszło?

Lecz de Lorche powitawszy starego Maćka, rzekł:

—Dawny wasz giermek Głowacz powiedział mi, że was tu znajdzie, a teraz czeka u mnie w namiocie i nad wieczerzą czuwa. Dalekoć to wprowadzie i na drugim końcu obozu, ale końmi prędko się przejedzie— więc jedźcie ze mną.

Poczem, zwróciwszy się do Powały, którego poznał w dawniejszych czasach w Płocku, dodał:

—I wy, szlachetny panie. Będzie to dla mnie szczęście i honor?

—Dobrze — odparł Powala.—Miło ze znajomymi ugwarzyć, a po drodze jeszcze się obozowi przypatrzym.

Więc wyszli, siąść na koń i jechać. Przedtem jednak sługa de Lorchego ponarzucali im na ramiona opończe, które widocznie przywiózł umyślnie. Ow, zbliżywszy się do Zbyszka, pocałował go w rękę i rzekł:

—Pokłon i cześć wam, panie. Jam dawny sługa wasz, ale w ciemności nie możecie mnie rozeznać. Czy pamiętacie Sanderusa?

—Prze-Bóg!—zawołał Zbyszko.

I na chwilę ożyły w nim wspomnienia przeżytych smutków, bólów i dawnej niedoli, tak samo, jak parę tygodni temu, gdy po połączeniu się wojsk królewskich z chorągwiami książąt mazowieckich, spotkał po długim niewidzeniu dawnego swego giermka Hlawę.

Więc rzekł:

—Sanderus! Hej! Pamiętam i te dawne czasy i ciebie! Cóżes od onej pory porabiał i gdzieś się obracał? Zali już nie nosisz relikwii?

—Nie, panie. Aż do ostatniej wiosny byłem klechą przy kościele w Długolesie, ale że nieboszczyk ojciec mój wojennem rzemiosłem się zajmował, przeto, gdy wojna wybuchła, zaraz mi zbrzydła miedź na kościelnych dzwonach, a zbudziła się chęćka do żelaza i stali.

—Co słyszę!—zawołał Zbyszko, który jakoś nie mógł wyobrazić sobie Sanderusa, stawającego z mieczem, rohatyną, albo toporem do boju.

Ow zaś rzekł podając mu strzemię:

—Rok temu z rozkazu biskupa płockiego chodziłem do pruskich krajów, przez co znaczną obsługę oddałem, ale to później opowiem, a teraz siadajcie Wasza Wielkość na koń, gdyż ów grabia czeski, którego wołacie Hlawa, czeka na was z wieczerzą w namiotach pana mego.

Więc Zbyszko siadł na koń i zbliżywszy się do pana de Lorche, jechał w pobok, aby swobodnie za nim rozmawiać, albowiem ciekawy był jego dziejów.

—Okrutniem rad—rzekł — iżeś po naszej stronie, ale mi to dziwne, coś przecie u Krzyżaków służył.

—Służą ci, którzy żołd biorą — odparł de Lorche— a jam go nie brał. Nie. Jam, między Krzyżaków przyjechał w tym jeno celu, aby przygód szukać i pancerz rycerski pozyskać, który, jak ci wiadomo, z rąk polskiego księcia pozyskałem. I bawiąc długie lata w tych krajach, poznałem po czyjej stronie słusność, a gdy się przytem tu ożenił i osiedlił, jakże mi było przeciw wam stawać? Jam już tutejszy i patrz, jakom się mowy waszej wyuczył. Ba! swojej już nieco zapomniałem.

—A twoja majątność w Geldryi? Bo jakom słyszał, toś tamtejszemu władcy pokrewny i dziedzic wielu zamków i włości.

—Dziedzictwo moje krewnemu Fulkonowi de Lorche ustąpiłem, który mi je spłacił. Pięć roków temu byłem w Geldryi i dostatki wielkie stamtąd przywiozłem, za którem się na Mazowszu okupił.

—A jakże się to stało, żeś się z Jagienką z Długolasu ożenił?

—Ach!— odpowiedział de Lorche — kto zdoła odgadnąć niewiastę? Dworowała ci ona ze mnie zawsze, aż gdy mając tego dosyć, oświadczyłem jej, że do Azyi na wojnę z żalu pojedę i już nigdy nie wrócę, rozplakała się niespodzianie i rzekła: “To ja mniszką ostatnę”. Padłem jej do nóg za te słowa, a we dwie niedziele później biskup płocki pobłogosławił nam w kościele.

—Dzieci zaś macie?—zapytał Zbyszko.

Po wojnie Jagienka wybiera się do grobu waszej królowej Jadwigi, aby ją o błogosławieństwo uprosić — odrzekł, wzdychając de Lorche.

—Dobrze. Powiadają, że to pewny sposób i że w tych rzeczach niemasz lepszej nad naszą świętą królową orędowniczki. Walne spotkanie nastąpi za kilka dni, a potem będzie spokój.

—Tak.

—Ale Krzyżacy pewnie cię za zdrajcę poczytują.

—Nie!— rzekł de Lorche. — Wiesz, jako czci rycerskiej przestrzegam. Jeździł Sanderus ze zleceniami biskupa płockiego do Malborka, więc posłałem przez niego pismo do mistrza Ulryka, w którym wypowiedziałem mu

służbę i wyłuszczyłem mu przyczyny, dla których po waszej stronie stoję.

—Ha! Sanderus!—zawołał Zbyszko.—Mówił mi, że mu spiż na dzwonach zbrzydł i że do żelaza zbudziła się w nim chęćka, co mi i dziwne, bo zajęcze zawsze miał on serce.

A pan de Lorche odrzekł:

—Sanderus tyle — ma ze stałą, albo z żelazem do czynienia, że mnie i moich giermków goli.

—Tak to?— zapytał rozweselony Zbyszko.

Czas jakiś jechali w milczeniu, poczem de Lorche podniósł oczy ku niebu i rzekł:

—Prosiłem was na wieczerzę, ale nim zajedziem, to chyba będzie śniadanie.

—Miesiąc jeszcze świeci — odparł Zbyszko.—Jedźmy.

Więc zrównawszy się z Maćkiem i Powalą jechali dalej razem we czwórkę szeroką obozową ulicą, którą wytykano zawsze z rozkazu dowódcy między namiotami i ogniskami, aby przejazd był wolny. Chcąc dostać się do stojących na drugim końcu obozu chorągwi mazowieckich, musieli go cały wzdłuż przejechać.

—Jak Polska Polską — ozwał się Maćko — jeszcze takich wojsk nie widziała, bo spływały narody ze wszystkich krain ziemi.

—Żaden też inny król takich nie postawi— odpowiedział de Lorche — bo żaden tak potężnem państwem nie władnie.

A stary rycerz zwrócił się do Powalę z Taczewa:

—Ile, mówicie, panie, przyszło chorągwi z kniazem Witoldem?

—Czterdzieści — odrzekł Powąła. — Naszych, polskich wraz z Mazurami, jest pięćdziesiąt, ale nie tak okryte, jak Witoldowe, bo u niego czasem i kilka tysięcy ludzi pod jednym znakiem służy. Ha! Słyszeliśmy iż Mistrz rzekł, iż to hołota lepsza do łyżek, niż do miecza, ale bogdaj-że w złą godzinę to wymówił, bo tak myślę, że litewskie sulice okrutnie się od krzyżackiej juchy zaczerwienia.

—A ci, wedle których teraz przejeżdżamy, którzy są?—zapytał de Lorche.

—To Tatary; przywiódł ich Witoldowy hołdownik Saladyn.

—Dobrzy do bitwy?

—Litwa umie z nimi wojować i znaczną ich część podbiła, z której przyczyny musieli na tę wojnę przyciągnąć. Ale zachodniemu rycerstwu ciężko z nimi, gdyż oni w ucieczce straszniejsi, niż w spotkaniu.

—Przypatrzmy się im bliżej — rzekł de Lorche.

I podjechali ku ogniskom, które otaczali ludzie z nagiemi całkiem ramionami, odziani mimo pory letniej w owcze tułuby wełną do góry. Większa część ich spała wprost na gołej ziemi, albo siedziało w kuczki przy płonących stosach, niektórzy skracali sobie godziny nocne, podśpiewując przez nos dzikie pieśni i uderzając do wtóru jednym piscozem końskim o drugi, co czyniło dziwny i nieprzyjemny łoskot; inni mieli małe bębny lub brzdąkali na naciągniętych cięciwach łuków. Inni żarli świeżo wyjęte z ognia dymiące, a zarazem krwawe kawały mięsiwa, na które dmuchali wzdętymi, sinemi wargami, Wogóle wyglądali tak dziko i złowrogo, że łatwiej ich było wziąć za jakieś

okropne stwory leśne, niż za ludzi. Dymy ognisk były gryzące od końskiego i baraniego tłuszczu, który w nich topniał, a prócz tego rozchodził się na okół niezdolny swąd przepalonych sierści, przygrzanych stułubów i cikliwa woń świeżo zdartych skór i krwi. Z drugiej, ciemnej strony ulicy, gdzie stały konie, zawiewało ich potem. Szkapysy owe, których kilkaset trzymano dla rozjazdów w pobliżu, wygryzły trawę z pod nóg, gryzły się między sobą, kwicząc przeraźliwie i chrapiąc. Koniuchowie uśmierzali walkę głosem i batami z surowca.

Niebezpiecznie było zapuszczać się w pojedynkę między nich, gdyż dziec to była niesłychanie drapieżna. Tuż za nimi stały niewiele mniej dzikie watahy Besarabów, z rogami na głowach, długowłosych Wołochów, noszących miast pancerzy drewniane malowane deski na piersiach i plecach z niezgrabnymi wizerunkami upiórów, kościotrupów lub zwierząt; dalej Serby, których uśpiony teraz obóz rozbrzmiewał we dnie w czasie postojów jakby jednawielka lutnia, tyle w nim było fletni, bałabajek, multanków i różnych narzędzi muzycznych.

Świeciły ognie, a z nieba wśród chmur, które mocny wiatr rozwiewał, świecił jasny wielki księżyc i przy owych blaskach przypatrywali się nasi rycerze obozom. Za Serbami stała nieszczęsna Zmujdź. Niemcy wytoczyli z niej potoki krwi, a jednak na każde wezwanie Witolda, zrywała się do nowych bojów. I teraz, jakby w przeczuciu, że niedoła jej skończy się wkrótce rażąca na zawsze, przyciągnęła tu przejęta duchem tegoż Skirwoiły, którego samo imię przejmowało Niemców wściekłością i

trwogą. Ogniska żmujdzkie stykały się wprost z litiwskiem, gdyż ten sam był to naród, ten sam obyczaj i mowa.

Lecz przy wjeździe do litewskich obozów posepny obraz uderzył oczy rycerzy. Oto na zbitej z okraglaków szubienicy zwieszały się dwa trupy ludzkie, które wiart kołysały, huśtały, okręcały i podrzucały z taką siłą, że aż bale szubienicy skrzypiały żałością. Chrapnęły na widok trupów i przysiadły nieco na zadach konie, więc rycerze poczęli się żegnać pobożnie, a gdy przejechali, Powała rzekł:

Kniaź Witold był razem z królem, a ja byłem przy królu, gdy przywiedziono tych winowajców. Już poprzednio skarżyli się nasi biskupi i panowie, że Litwa zbyt okrutnie wojuje i kościołów nawet nie oszczędza. Więc gdy ich przywiedziono (a byli to znaczni ludzie, ale Najświętszy Sakrament nieszczęśnicy pono znieważyli), napęczał kniaź tak gniewem, że strach było nań spojrzeć—i powiesić im się kazał. To niebożęta sami szubienicę utwierdzić musieli i sami ci się powiesili, a jeszcze jeden drugiego naganiał: "Nuże prędzej, bo kniaź się gorzej rozgniewa!" I strach padł na wszystkich Tatarów i Litwinów, bo oni nie śmierci, ale książęcego gniewu się boją.

—Ba, pomnę — rzekł Zbyszko — że gdy onego czasu w Krakowie król rozgniewał się na mnie o Lichtensteina, to młody kniaź Jamont, który był rękodajnym królewskim, też zaraz radził mi się powiesić. I z dobrego serca dawał tę radę, chociaż byłbym go za nią pozwał na udeptaną ziemię, gdyby nie to, że i tak mieli mi, jako wiecie, szyję uciąć.

—Kniaź Jamont nauczył się już rycerskich obyczajów— odrzekł Powąła.

Tak rozmawiając minęli wielki obóz litewski i trzy świetne pułki ruskie, z których najliczniejszy był smoleński, a wjechali do polskiego obozu. Stało tam pięćdziesiąt chorągwi—jądro i zarazem czoło wszystkich wojsk. Zbroje tu były lepsze, kowie ogromniejsze, rycerstwo bardziej ćwiczone, w niczem zachodniemu nie ustępujące. Siłą członków i ciałą, wytrwałością na głód, zimno i trudy przewyższali nawet ci dziedzice z Wielko i Małopolski bardziej dbałych o wygody wojowników z Zachodu. Obyczaj ich był prostszy, pancerze grubiej kowane, ale hart większy, a ich pogardę śmierci i niezmierną w boju uporczywość podziwiali już swego czasu nieraz przybyli z daleka francuzcy i angielscy rycerze.

De Lorche, który znał polskie rycerstwo oddawna, tak też mówił:

—Tu cała siła i cała nadzieja, pamiętam jak w Malborgu nieraz narzekano, że w bitwie z wami każdą piędź ziemi trzeba rzeką krwi okupić.

—Rzeką też i teraz krew popłynie— odpowiedział Maćko—bo i Zakon nigdy dotychczas takiej potęgi nie zebrał.

Na to zaś Powąła:

—Powiadał rycerz Korzbóg, który od króla do Mistrza z listami jeździł, iż Krzyżacy mówią, że ni cesarz rzymski, ni żaden król nie ma takiej potęgi, że Zakon mógłby wszystkie królestwa zawojować.

—Ba, przecie nas więcej!— rzekł Zbyszko.

—Tak, ale oni lekko sobie Witoldowe wojsko wazą, że to lud byle jako zbrojny i że się

od pierwszego uderzenia skruszy, jako glinianny garnek pod młotem. A prawda-li to, czy też nieprawda, nie wiem.

—I prawda i nieprawda! — ozwał się roztropny Maćko. — My ze Zbyszkciem znamy ich, bośmy razem z nimi wojowali. Jużci zbroja u nich gorsza i chmyzowate konie, przeto często bywa, że się pod naporem rycerstwa ugną, ale serca mają tak chrobre, albo i mężniejsze niż Niemce.

—Nieza długo się też pokaże — rzekł Powąła. — Królowi ciągle służy do oczu płyną na myśl, że tyle się krwi chrześcijańskiej rozleje i do ostatniej chwili radby sprawiedliwy pokój zawrzeć, ale pycha krzyżacka do tego nie dopuści.

—Jako żywo! Znam ja Krzyżaków i wszyscy ich znamy — przytwierdził Maćko. — Bóg już tam wagi przyładował, na których położy krew naszą i nieprzyjaciół naszego plemienia.

Już byli niedaleko chorągwi mazowieckich, między którymi tkwiły namioty pana de Lorché, gdy wtem na środku "ulicy" spostrzegli sporą gromadę ludzi zbitych w kupę i patrzących na niebo.

—Stójcie tam! stójcie! — zawołał jakiś głos na środku gromady.

—A kto mówi i co tu robicie? — zapytał Powąła.

—Proboszcz Kłobucki. A wy kto?

—Powąła z Taczewa, rycerz z Bogdańca i de Lorché.

—Ach, to wy panie — rzekł tajemniczym głosem ksiądz proboszcz, zbliżając się do konia Powwały. — Spójrzycie jeno na miesiąc i pa-

trzcie, co się na nim wyrabia. Wróżebna to i cudna noc!

Więc rycerze podnieśli głowy i poczęli patrzeć na księżyc, który już zbladł i bliski był zachodu.

—Nie mogę nic rozeznąć! — rzekł Powąła.

—A wy co widzicie?

—Mnich w kapturze potyka się z królem w koronie—Patrzcie! o tam! W imię Ojca i Syna i Ducha! O jakże się okrutnie zmagają.... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

Naokół zapadła cisza, bo wszyscy wstrzymali oddech w piersiach:

—Prawda! coś ci takiego jest!—rzekł Maćko.

—Prawda! prawda! — potwierdzili inni.

—Ha! król obalił mnicha—zakrzyknął nagle proboszcz Kłobueki — nogę na nim postawił! Pochwalony Jezus Chrystus.

—Na wieki wieków!

W tej chwili duża czarna chmura przykryła księżyc — i noc stała się ciemna — tylko blask ognisk drgał krwawemi pasmami wpoprzek drogi.

Rycerze ruszyli dalej, a gdy już odjechali od gromady, Powąła spytał:

—Widzieliście co?

—Z początku nie — odpowiedział Maćko—ale potem widziałem wyraźnie i króla i mnicha.

—I ja.

—I ja.

—Znak Boży—ozwał się Powąła.—Ha! to już mimo łez naszego króla, nic widać ze spokoju nie będzie.

—A bitwa będzie taka, jakiej świat nie pamiętał—rzekł Maćko.

I jechali dalej w milczeniu, mając serce wezbrane i uroczyste.

Lecz gdy już byli niedaleko namiotu pana de Lorche, zerwał się znów wichur z taką siłą, że w mgnieniu oka porozrzucił ogniska Mazurów. Powietrze zaroilo się tysiącami głowni, płonących szczypek, skier, a zarazem przysłoniło się kłębamii dymu.

—Hej, dmie okrutnie! — mówił Zbyszko, ociągając opończę, którą mu wiatr na głowę zarzucił.

—A w wichurze jakoby jęki i płacz ludzki słychać.

—Świt już niezadługo, ale nikt nie wie, co mu dzień przyniesie —dodał de Lorche.

VI.

Nad ranem wichura nietylko nie ustała, ale wzmogła się do tego stopnia, że niepodobna było rozpiąć namiotu, w którym król zwykł był od początku wyprawy słuchać codziennie trzech mszy świętych. Przybiegł wreszcie Witold z prośbami i błaganiem, aby nabożeństwo do stosowniejszej pory w zaciszach leśnych odłożyć i nie wstrzymywać pochodu. Jakoż stało się zadość jego życzeniu, bo nie mogło być inaczej.

O wschodzie słońca ruszyły wojska ławą, a za nimi nieprzejrzany tabor wozów. Po godzinie pochodu wiatr uciszył się, tak, że można było rozwinać chorągwie. I wówczas pola, jak okiem sięgnąć pokryły się niby kwieciami stubarwnem. Żadne oko nie mogło objąć zastępów i tego lasu rozmaitych znaków, pod którymi pułki posuwały się naprzód. Szła więc Ziemia Krakowska pod czerwoną chorągwią z białym orłem w koronie, była zaś to chorągiew naczelna całego Królestwa, wielka dla wszystkich wojsk. Niósł ją Marcin z Wrocimowic, herbu Półkozy, rycerz potężny i w świecie sławny. Za nią szły huwce nadworne, jeden mając nad sobą podwójny krzyż litewski, drugi pod Pogonią. Zaś pod znakiem św. Jerzego ciągnął potężny zastęp najemników i ochotni-

ków zagranicznych przeważnie z Czechow i Morawów złożony. Tych wielu stanęło, na tę wojnę, bo i cała czterdziesta dziewiąta chorągiew była wyłącznie z nich złożona. Lud to był, zwłaszcza w piechocie, która ciągnęła za kopijnikami, dziki, niesforny, ale do bitwy tak zaprawny, a w spotkaniu tak zaciekły, że wszelkie inne piechoty, gdy się o nich otarły, odskakiwały co prędzej, jako pies od jeża. Berdysze, kosy, topory, a szczególnie żelazne cepy stanowiły ich broń, którą władali wprost strasznie. Najmowali, się oni każdemu, kto ich płacił, albowiem żywiołem ich jedynym była wojna, grabież, rzeź.

Wpobok Morawców i Czechów, szło pod swymi znakami szesnaście chorągwi ziem polskich, w tych jedna przemyska, jedna lwowska, jedna halicka i trzy podolskie, a za nimi piechoty tychże ziem, przeważnie zbrojne w rochatyny i kosy. Książęta mazowieccy Janusz i Ziemowit wiedli chorągwie dwudziestą pierwszą, drugą i trzecią. Tuż szły biskupie, a potem pańskie w liczbie dwudziestu dwóch. Więc Jaśka z Tarnowa, Jędrka z Tęczyna, Spytką Leliwy i Krzona z Ostrowa, i Mikołaja i Michałowa, i Zbigniewa z Brzezia i Krzona z Kozichgłów, i Kuby na Koniecpolu i Jaśka Ligezy i Kmity i Zakliki, a oprócz nich, rodowa Gryfitów i Bobowskich i Koźlich Rogów i różnych, którzy w bitwach zbierali się pod wspólnem herbowem godłem i wspólne wykrzykiwali “zawołanie”.

I tak rozkwitła pod niemi ziemia, jak rozkwitają łąki na wiosnę. Szła fala koni, fala ludzi, nad nimi las kopii z barwnemi “płachetkami” nakształt drobniejszych kwiatów,

a z tyłu, w obłokach kurzawy, miejskie i kmiecie piechoty. Wiedzieli, że ku bitwie straszliwej idą, ale wiedzieli, że “trzeba”, więc szli z ochotnem sercem.

Na prawem zaś skrzydle płynęły Witoldowe watachy, pod chorągwiami różnej barwy, ale z jednakiem wyobrażeniem litewskiej pogoni. Żaden wzrok nie mógł objąć wszystkich zastępów, ciągnęły się one bowiem wśród pól i lasów na szerokości przeszło mili niemieckiej.

Przed południem, przyszedłszy wojska w pobliże wsi Logdau i Tannenberg, zatrzymały się na krawędzi lasu. Miejsce zdało się dobre na spoczynek i zabezpieczone od wszelkiej niespodzianej napaści, gdyż z lewej strony oblewała je łacha jeziora Dąbrowskiego, z prawej zaś jezioro Lubiecz, przed wojskami zaś otwierała się szeroka na milę przestrzeń polna. W środku owej przestrzeni wznoszącej się ku zachodowi łagodnie w górę, zieleniły się łągi Grunwaldu, a nieco w dal szarzały słomiane dachy i puste, smutne ugory Tannenberg. Nieprzyjaciela, któryby spuszczał się ku lasom i wyniosłości, łatwo było dostrzedz, ale nie spodziewano się, aby mógł prędzej, niż naza jutrz nastąpić. Zatrzymały się też tu wojska tylko na postój, że jednak biegły w rzeczach wojny Zyndram z Maszkowic nawet w pochodzie przestrzegał bojowego porządku, więc stanęły tak, aby w każdej chwili mogły być do sprawy gotowe. Z rozkazu wodza wysłano wnet na lekkich, a ścigłych koniach gońców, hen, przed się, w stronę Grunwaldu i Tannenberg a dalej, aby zbadali okolicę, a tymczasem dla łaknącego nabożeństwa króla usta-

wiono na wysokim brzegu jeziora Lubiecz namiot kapliczny, aby mógł zwykłych mszy wysłuchać.

Jagiello, Witold, książęta mazowieccy i rada wojenna, udali się do namiotu. Przed nim zaś zgromadziło się przedniejsze rycerstwo, już to dlatego, aby polecić się Bogu przed dniem strasznym, już, aby na króla popatrzeć. I uwidziano go, jak szedł w szarej obozowej szacie, z twarzą poważną, na której wyraźnie osiadła ciężka troska. Lata mało zmieniły jego postać i nie pokryły mu zmarszczkami oblicza, ani nie ubieliły mu włosów, które i teraz zakładał tak samo prędkim ruchem za uszy, jak wówczas, gdy Zbyszko widział go po raz pierwszy w Krakowie. Ale szedł jakby pochylony pod brzemieniem strasnej odpowiedzialności, która ciążyła na jego ramionach i jak gdyby pograżon w wielkim smutku. W wojsku mówiono sobie, że król płacze ustawicznie nad tą krwią chrześcijańską, która ma być przelana i tak było istotnie. Jagiello wzdrygał się przed wojną, zwłaszcza z ludźmi, którzy na płaszcach i chorągwiach krzyż nosili i z całej duszy pragnął pokoju. Próżno mu panowie polscy, a nawet pośrednicy węgierscy, Scibor i Gara, wystawiali pychę i dufność krzyżacką, którą przepełnion mistrz Ulryk gotów był cały świat wyzwać do boju; próżno mu jego własny wysłannik Piotr Korzbog przysięgał na Krzyż Pański i na swoje ryby herbowe, że Zakon ani chce słyszeć o pokoju i że jedynego komtura gnieńskiego, hrabiego von Wende, który do pokoju nakłaniał, inni obrzucili szyderstwami i obelgami — on jeszcze miał nadzieję, że nieprzyjaciół uzna słuszność jego ża-

dań, pożałuje krwi ludzkiej i sprawiedliwym układem straszliwą waśń zakończy.

Więc i teraz poszedł się modlić o to do kaplicy, gdyż prostą a dobrotliwą duszę jego dręczył ogromny niepokój. Nawiedzał już ongi Jagiełło ogniem i żelazem ziemie krzyżackie, ale czynił to jako pogański książę litewski, lecz teraz, gdy jako król polski i chrześcijan, ujrzał płonące sioła, zgłiszczą, krew i łzy, ogarnęła go bojaźń gniewu bożego, zwłaszcza, że to był dopiero początek wojny. Gdyby choć na tem poprzestać! Ale oto dziś, jutro zetrą się narody i ziemia rozmięknie od krwi. Jużci nieprawy jest ten nieprzyjaciół, ale jednak krzyże na płaszczach nosi i bronią go tak wielkie i święte relikwie, że myśl cofa się przed niemi przerażona. W całym wojsku myśłano przecież o nich z obawą i nie grotów, nie mieczów, nie toporów, ale tych świętych szczątków obawiali się głównie Polacy. “Jakoże nam będzie na Mistrza ramię podnieść — mówili nieznający trwogi rycerze— gdy na pancerzu u niego relikwiarz, a w nim i kości święte i drzewo Krzyża Zbawiciela!” Witold gorzał wprawdzie wojną, pchał do niej i spieszył się do bitwy, lecz pobożne serce króla truchlało poprostu na wspomnienie tych mocy niebieskich, któremi Zakon osłaniał swą nieprawość.

VII.

Już właśnie ksiądz Bartosz z Kłobucka skończył jedną mszę, a Jarosz, proboszcz kaliski, miał wkrótce wyjść z drugą i król wyszedł przed namiot, aby rozprostować nieco zmęczone klęceniem kolana, gdy na spienionym koniu wpadł jak burza szlachcic Hanko Ostojczyk i nim z siodła zeskoczył, zakrzyknął:

—Niemce, miłościwy panie!

Porwali się na te słowa rycerze, król zmienił się na twarzy, zamilkł przez mgnienie oka, poczem zawołał:

—Pochwalony Jezus Chrystus! Gdzieś ich widział i ile chorągwi?

—Widziałem jedną chorągiew przy Grunwaldzie — odpowiedział zdyszczanym głosem Hanko: ale z za wzgórz kurzawa szła, jakby ich więcej ciągnęło!

—Pochwalony Jezus Chrystus! powtórzył król.

A wtem Witold, któremu za pierwszym słowem Hanki krew uderzyła do twarzy i oczy poczęły się żarzyć jak węgle — zwrócił się do dworzan i zawołał:

—Odwołać drugą mszę i konia mi!

Król zaś położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

—Jedź ty, bracie, a ja останę i drugiej mszy wysłucham.

Więc Witold i Zyndram z Maszkowic wskoczyli na konie, lecz właśnie w chwili, gdy zawrócili ku obozom, przyleciał drugi goniec, szlachcic Piotr Oksza z Włostowa i zdała już począł krzyczeć:

—Niemce! Niemce! widziałem dwie chorągwie!

—Na koń!! — ozwały się głosy między dworzany i rycerstwem.

A jeszcze Piotr mówić nie przestał, gdy znów rozległ się tentent i przypadł trzeci goniec, a za nim czwarty, piąty i szósty: wszyscy widzieli chorągwie niemieckie, nadciągające w coraz większej liczbie. Nie było już wcale wątpliwości, że cała armia krzyżacka zastępuje drogę wojskom królewskim.

Rycerze porozjeżdżali się w mgnieniu oka do swoich chorągwi. Z królem przy namiocie kaplicznym pozostała tylko garstka dworzan, księży i pachołków. Ale w tej chwili rozległ się dzwonek na znak, że proboszcz kaliski wychodzi z drugą mszą, więc Jagiełło wyciągnął ramiona, złożył pobożnie dłonie i wzniosłszy oczy ku niebu, wolnym krokiem udał się do namiotu.

Lecz gdy po skończonej mszy wyszedł znowu przed namiot, mógł już własnymi oczyma przekonać się, że prawdę mówili gońce, gdyż na krańcach wznoszącej się coraz bardziej ku górze, rozległej równiny, zaczerniało coś, jak gdyby bór wyrósł nagle na pustych polach, a nad tym borem grała i mieniła się w słońcu tęcza chorągwiانا. Jeszcze dalej hen! za Grunwaldem i Tannenbergiem, wznosił się

ku niebu olbrzymi obłok kurzawy. Król objął wzrokiem cały ten groźny widnokrąg, poczem zwrócił się do księdza podkanclerzego Mikołaja i zapytał:

— Jakiego dziś patrona?

— Dzień Rozesłania Apostołów — odrzekł ksiądz podkanclerzy.

A król westchnął:

— Więc dzień Apostołów będzie ostatnim życia dla wielu tysięcy chrześcijan, którzy się dziś na tem polu zetrą.

I wskazał ręką szeroką, pustą równinę, na której w pośrodku tylko, w połowie drogi do Tannenberga, wznosiło się kilka odwiecznych dębów.

Tymczasem jednak przyprowadzono mu konia, a w oddali ukazało się sześćdziesiąt kopii, które Zyndram z Maszkowic przysłał jako straż osoby królewskiej.

Straży królewskiej przywodził Aleksander młodszy, syn księcia na Płocku, a brat tego Ziemowita, który szczególną "przemysłnością" do wojny obdarzon, zasiadał w radzie wojskowej. Drugie po nim miejsce trzymał litewski synowiec monarchy, Zygmunt Korybut, młodzian wielkich nadziei i wielkich przeznaczeń, ale niespokojnego ducha. Między rycerstwem najsłynniejsi byli: Jaśko Mążyk z Dąbrowy, prawdziwy olbrzym, postawą niemal Paszkowi z Biskupic równy, a siłą niewiele samemu Zawiszy Czarnemu ustępujący, Żóława, baron czeski, drobny i chudy, ale sprawności niezmiernej, słynny na dworze czeskim i węgierskim z pojedynków, w których kilkunastu ry-

cerzy rakuskich rozciągnął i Czech Sokół, łucznik nad łucznikami i wielkopolanin Bienasz Wierusz, Piotr Medyolański bojarzyn litewski Senko z Pohosta, którego ojciec Piotr jednej chorągwi smoleńskiej przywodził i krewny króla kniaź Feduszek, kniaź Jamont, a zresztą sami polscy rycerze, "wybrani z tysięcy", którzy wszyscy zaprzysięgli do ostatniej krwi, króla bronić i od wszelkiej wojennej przygody go osłaniać. Zaś bezpośredni przy osobie królewskiej znajdował się ksiądz podkanclerzy Mikołaj i sekretarz Zbyszko z Oleśnicy, młodziemczak uczony, biegły w sztuce czytania i piśmie, ale zarazem siłą do dzika podobny. Nad zbroją pana czuwali trzech giermkowie: Czajka z Nowego Dworu, Mikołaj z Morawicy i Daniłko Rusin, który dzierżył łuk i sajdak królewski. Dopełniło orszaku kilkunastu dworskich, którzy na ścigłych biegunach mieli z rozkazami do wojska latać.

Giermkowie przybrali pana w świetną, błyszczącą zbroję, poczem przywiedli mu również "wybranego z tysięcy" cisawego rumaka, który parował nozdrzami na dobrą wróżbę z pod stalowego naczółka i napełniając rzeniem powietrze, przysiadł nieco jak ptak, który się chce zerwać do lotu. Król, gdy uczuł pod sobą konia, a w rękę kopię, zmienił się nagle. Smutek znikł z oblicza, małe czarne oczy poczęły błyskać, a na twarzy zjawiły się rumieńce; lecz była to chwila tylko, bo gdy ksiądz podkanclerzy począł żegnać krzyżem, spoważniał znów i pochylił z pokorą, przybraną w srebrzysty hełm głowę.

Tymczasem armia niemiecka, zstępując z wolna z wyniosłej równiny, minęła Grunwald, minęła Tannenberg i zatrzymała się w zupełnym bojowym szyku w połowie pola. Z dołu z polskiego obozu widać było doskonale groźną ławę zakutych w żelazne zbroje konie i rycerzy. Bystrzejsze oczy odróżniały nawet dokładnie, o ile wiatr targający chorągwie na to dozwalał, rozmaite znaki na nich wyszyte, jako: krzyże, orły, gryfy, miecze, hełmy, baranki, głowy żubrów i niedźwiedzi.

Stary Maćko i Zbyszko, którzy wojując poprzednio z Krzyżakami, znali ich wojska i herby, pokazywali swoim Sieradzanom dwie chorągwie Mistrza, w których służył sam kwiat i dobór rycerstwa, walną chorągiew całego zakonu, której przewodził Fryderyk von Walenrod, potężną świętego Jerzego, z krzyżem czerwonym w polu białem i wiele innych zakonnych. Nieznane im były jeno znaki różnych gości zagranicznych, których tysiące nadciągnęły ze wszystkich stron świata: z Rakuz, z Bawaryi, ze Szwabii, ze Szwajcaryi, ze słynnej z rycerstwa Burgundyi, z bogatej Flandryi, ze słonecznej Francyi, o której rycerzach powiadał ongi Maćko, że nawet leżąc już na ziemi, jeszcze waleczne słowa mówią, z zamorskiej Anglii, ojczyzny celnych łuczników i nawet z dalekiej Hiszpanii, gdzie wśród ustawicznych walk z Saracenami rozkwitło nad wszystkie inne kraje męstwo i honor.

A zaś onej twardej szlachcie z pod Sieradza, z Koniecpola, z Krześni, z Bogdańca, z Rogowa i Brzozowej, jak również z innych ziem polskich, poczęła burzyć się krew w żyłach na myśl, że za chwilę przyjdzie im

związać się z Niemcami i całym tem świetnem rycerstwem. Twarze starszych stały się poważne i surowe, ci bowiem wiedzieli, jak ciężka i okrutna będzie to praca. Atoli serca młodych poczęły skowytąć, tak właśnie, jak skowyczą trzymane na uwięzie psy myśliwskie, gdy zdała dzikiego zwierza ujrzą. Więc niektórzy ściskając silniej w garściach kopie, rękojeście mieczów i toporzyska, osadzali na zadach konie, jakby do skoku, inni poczęli oddychać szybko, jakby stało im się nagle za ciasno w pancerzach. Doświadczeńsi jednak wojownicy uspokajali ich, mówiąc: "Nie minie was, a starczy dla każdego, daj Bóg, by nie było nadto".

Lecz Krzyżacy, spoglądając z góry na leśną nizinę, widzieli na krawędzi boru tylko kilkanaście polskich chorągwi i wcale nie byli pewni, czy to jest cała armia królewska. Wprawdzie na lewo, koło jeziora widać było także szare gromady wojowników, a w kuszczach błyszczało coś nakszałt grotów sulic, to jest lekkich dzid, których używali Litwini. Mógł to być jednak tylko znaczny podjazd polski. Dopiero zbiegowie ze zburzonego Gilgenburga, których kilkunastu sprowadzono przed Mistrza, zaświadczyli, iż naprzeciw stoją wszystkie wojska polsko-litewskie.

Lecz próżno mówili o ich potędze. Mistrz Ulrych nie chciał im wierzyć, gdyż od początku tej wojny wierzył tylko w to, co było mu na rękę i wróżyło niechybne zwycięstwo. Zwiadów i gońców nie rozsyłał; rozumiejąc, że i bez tego wszystkiego musi przyjść do walnej bitwy, jeno straszną klęską nieprzyjaciela. Dufny w siłę, jakiej żaden z Mistrzów nie

wyprowadził dotąd w pole, lekceważył też przeciwnika, a gdy komtur gniewski, który na swoją rękę czynił, wywiady przedstawiał mu, że jednak wojska Jagiełły są liczniejsze — odpowiadał:

— Jakie tam wojska! Jeno z Polaki przyjdzie się nieco wysilić, a reszta choćby ich było i najwięcej, pośledni to lud, lepszy do łyżki, niż do oręża.

I dążąc wielkimi siłami do bitwy, zaplonał teraz wielką radością, gdy nagle znalazł się przed nieprzyjacielem i gdy widok walnej chorągwi całego królestwa, której czerwień spostrzeżono na ciemnem tle boru, nie pozwalał już dłużej wątpić, że tkwi przed nim główna armia.

Ale na stojących pod lasem i w lesie Polaków nijak było Niemcom uderzyć, gdyż rycerstwo straszne tylko było w czystem polu, nie lubiło zaś i nie umiało walczyć w gęstwinie drzewnej.

Zebrano się więc na krótką naradę przy boku Mistrza, jakim sposobem wywabić z zarosli nieprzyjaciela.

— Na świętego Jerzego! — zawołał Mistrz. — Dwie mile ujechaliśmy nie spoczywając i upał doskwiera, a ciała oblewają nam się potem pod zbroją. Nie będziemy-że tu czekali, póki nieprzyjacielowi nie podoba się wystąpić w pole.

A na to hrabia Wende, mąż poważny wiekiem i rozumem, rzekł:

— Zaiste, już wyśmiewano tutaj moje słowa — i wyśmiewali je tacy, którzy bogdaj, że umkną z tego pola, na którem ja polegnę (i tu spojrzał na Wenera von Tetlingen) — ale

wzdy powiem, co mi sumienie i miłość do Zakonu nakazuje. Nie serca brak Polakom; jeno, jako wiem, król do ostatka spodziewa się wysłanników pokoju.

Werner von Tetlingen nie odrzekł nic, tylko parsknął wzgardliwym śmiechem, ale i Mistrzowi niemiłe były słowa Wendego, więc ozwał się:

—Zali czas myśleć teraz o pokoju! Nad inną sprawą mamy radzić.

—Czas zawsze na dzieło boże— odrzekł von Wende.

Lecz okrutny komtur Człuchowski Henryk, który zaprzysiągł, że każe nosić przed sobą dwa nagie miecze, dopóki ich w polskiej krwi nie ubroczy—zwrócił do Mistrza swe tłuście, spotniałe oblicze i zakrzyknął z gniewem okrutnym:

—Milsza mi śmierć od hańby! — i choćby sam jeden, tymi mieczami na całe wojsko polskie uderzę!

Ulrych zmarszczył nieco brwi:

—Przeciw posłuszeństwu mówisz — rzekł.

A potem do komturów:

—Radźcie jeno o tem jak nieprzyjaciela z boru wyciągnąć.

Więc różni różnie radzili, aż wreszcie podobąło się i komturom i przedniejszemu gościom rycerskim zdanie Gersdorfa, aby wysłać dwóch heroldów do króla z oznajmieniem, że Mistrz przysyła mu dwa miecze i wyzywa Polaków na bój śmiertelny, jeśli zaś mało mu pola, to ustąpi nieco z wojskiem, aby m go przyczynić.

Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę rycerzy, gdy nagle dano mu znać, iż dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją:

—Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą!

—Daj Bóg!— odrzekli duchowni.

Król posłał po Witolda, a tymczasem heroldowie, nie spiesząc się, zbliżali się do obozu.

W jasnym świetle słońca widziano ich doskonale, podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropieżami koniach bojowych: jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotem polu, drugi, który był heroldem księcia Szczecińskiego: gryfa na białem polu. Szeregi rozstały się przed nimi, oni zaś, zsiadłszy z koni, stanęli po chwili przed wielkim królem i skłoniwszy nieco głowy dla okazania mu czci, tak odprawili swoje poselstwo.

—Mistrz Ulrych— rzekł pierwszy herold— wyzywa twój majestat panie i księcia Witolda na bitwę śmiertelną i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To rzekłszy, złożył miecze u stóp królewskich. Jaśko Mążyk z Dąbrowy wytłómaczył jego słowa królowi, ale ledwie skończył, wysunął się drugi herold z gryfem na tarczy i tak przemówił:

—Mistrz Ulrych kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w zaroślach.

Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych jak tury koniach, nie uznojeni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci, szli jak huragan z tętentem, z łukiem, szumem chorągwi i chorągiewek, a sam Wielki Mistrz leciał przed nimi w białym szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr, wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie poznał króla! Ale z pod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcący popisać się odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spał ostrogami konia i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byliby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, równo biegły w łacinie, jak i w rycerskiem rzemiośle. Ten mając złomek kopii w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skruszył mu hełm i zwałił na ziemię. “W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabił go raczył”.

Tak zginął sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwylił kniaź Jamot, a on sam leżał śmiertelnie porażon w swej białej jace na stalowej zbroi i w pozłocistym pasie. Oczy zaszły mu bielmem, lecz nogi kopały jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokojicielka

śmierć, nie okryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze z pod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam Mistrz zabiegł im drogę i krzycząc: “Herum! herum!”—zaganiał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy.

I znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najbliżej od pola stojący Mikołaj Kielbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół ale w kurzawie nie poznały, ich inne polskie chorągwie i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie pospieszyły na ich przyjęcie. Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przodzie Wielkiego Mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą Mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, poczem minawszy się, zatonczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim.

—Niemce! sam Mistrz! — zakrzyknął Dobko.

Usłyszawszy to, kopynęły się z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kielbasa i znów rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi Chełmińskiej, między którym wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nie już nie mogło powstrzymać, dość, że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku, jakiego się Mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to bę-

dzie ostatni cios zadany potężde królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni, niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersiach, rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszym kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej i ustępowali, zwolna, ale ciągle, jakby pragnąc wydostać się nieznacznie z morderczego skrzyżowania. A wtem od strony lasu zagrzemiały naraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelazie kosy, zagrzemiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię i bitwa stała się jak jeden płomień niezmierny gdy Niemcy, poznavszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbily się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

—Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła, jak wichur, na swych ściągłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tetlingen, przyskoczyło do Mistrza.

—Ratuj się, panie! — wołał pobladłemi usty komtur Elbląga. —Ratuj siebie i Zakon, póki się koło nie zawrze.

Ale rycerski Ulrych spojrzał na niego ponuro i wzniosłszy rękę ku niebu, zawołał:

—Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którem tylu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknawszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w wir bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa i stał się taki zamęt, taki wir i kotłowanie, że oko ludzkie nie już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz uderzon ostrzem litewskiej sunicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie pchnięty rohatyną w szyję, zwalił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

— — — — —

Werner Tetlingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zamieniła się w rzeź i w klęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też wczasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Atyllą i Karła

Młota z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części, jak żżęty łan zboża. Poddały się też chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju Mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze pozeskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę i poklekali na obluzganej krwią ziemi. Cała chorągiew św. Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wołało umierać, niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy, wedle swego wojennego zwyczaju w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko jak wąż opasuje ciało byka i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigały ramiona, grzmiały cepy, chlastały topory i oksze. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posępni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy podniosłszy przyłbice, żegnali się z sobą, dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się naoslep w okrop bojowy, jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli jak przez sen, inni nakoniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło mizerykordyę, lub porzuciwszy naszyjniki, zwracali się do towarzyszków z prośbą: "Pchnij!"

Zaciekłość polska rozbiła wkrótce wielkie kolisko na kilkanaście mniejszych kup, wtedy znów łatwiej było wymykać się pojedynczym

rycerzom. Ale wogóle i te rozbite gromady były się ze wściekłością i rozpaczą.

Mało kto klękał prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozpłoszył wreszcie i mniejsze kupy nawet, pojedynczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcem w ręce zwycięzców. Dzień to był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej. Pod olbrzymim Arnoldem von Baden, otoczonym przez piechotę kmiecią, utworzył się wał polskich trupów, on zaś, potężny i niezwalczony na wzgórzu i kto zbliżył się do niego na długość miecza, marł jakby piorunem rażony.

Najechał go wreszcie sam Zawisza Czarny Sulimeczyk, lecz widząc rycerza bez konia i nie chcąc przeciw rycerskiemu prawu z tyłu nań uderzać, zeskoczył także z rumaka i począł nań wołać z daleka:

—Zwróć, Niemcze, głowę i poddaj się, alibo spotkaj się ze mną!

A Arnold zwrócił się i poznawszy Zawiszę po czarnej zbroi i Sulimie na tarczy, rzekł sobie w duszy:

—Śmierć idzie i moja godzina wybiła, albowiem jemu nikt nie odejmie się żywy. Gdybym jednakże go zwyciężył, zyskałbym chwałę nieśmiertelną, a może i życie ocalił.

To rzekłszy, skoczył ku niemu i starli się jak dwie burze na ziemi trupami zasłanej. Lecz Zawisza tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli rodzice, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju. Jakoż pod cięciem jego miecza pękła ku-

ta w Malborgu tarcza, pękł jak gliniany garnek stalowy hełm i mężny Arnold padł z rozciętą na dwoje głową.

Henryk, komtur człuchowski, ten sam najzawziętszy wróg polskiego plemienia, który zaprzysiągł, że póty dwa miecze każe przed sobą nosić, póki obu w krwi polskiej nie ubroczy, wymykał się teraz chyłkiem z pola, jako lis wymyka się z otoczonego przez myśliwców ostępu, gdy wtem zajechał mu drogę Zbyszko z Bogdańca. Krzyknął komtur, widząc nad sobą wzniesiony brzeszczot. "Erbarne dich meiner!" (oszczędź mnie)— i złożył z przestachu ręce, co usłyszawszy, młody rycerz nie zdołał już wprawdzie wstrzymać ręki i rozmachu, ale zdołał jeszcze przekreślić miecz i płazem tylko w spasy, spotniały pysk komtura uderzył. I rzucił go potem swojemu giermkowi, który założywszy mu powróż na szyję, powlókł go jak wołu tam, dokąd spędzono wszystkich jeńców krzyżackich.

A stary Maćko szukał wciąż na krwawem pobojuwisku Kunona Lichtensteina — i szczęśny we wszystkim dnia tego los dla Polaków wydał go wreszcie w jego ręce w zaroślach, w których przytuliła się garść uchodzących ze straszego pogromu rycerzy. Blask słońca, który odbił się, w zbrojach, zdradził ich obecność przed pościgiem. Padli wraz wszyscy na kolana i poddali się natychmiast, lecz Maćko, do wiedziawszy się, iż wielki komtur Zakonu znajduje się między jeńcami, kazał go sta-

wić przed sobą i odjąwszy hełm z głowy, zapytał:

—Kunonie Lichtensteinie, zali poznajesz mnie?

A on zmarszczył brwi i utkwivszy oczy w oblicze Maćka, rzekł po chwili:

—Widziałem cię na dworze w Płocku.

—Nie — odpowiedział Maćko — widziałeś mnie przedtem! Widziałeś mnie w Krakowie, gdym cię błagał o życie mego bratanka, który za nierozważny napad na ciebie na utratę gardła był skazan. Wówczas to ślubowałem Bogu i za przysięgłem na rycerską cześć, iż cię odnajdę i spotkam się z tobą śmiertelnie.

—Wiem — odparł Lichtenstein — i wydał dumnie usta, chociaż zarazem pobladł mocno — ale jeńcem twoim teraz jestem i zhańbiłbyś się, gdybyś miecz na mnie podniósł.

Na to twarz Maćka ściągnęła się złowrogo i stała się zupełnie do paszczy wilczej podobna.

—Kunonie Lichtensteinie — rzekł — miecza na bezbronnego nie wzniosę, ale to ci powiadam, że jeśli mi walki odmówisz, tedy cię każę jak psa na powrozie powiesić.

—Nie mam wyboru, stawaj—zawołał wielki komtur.

—Na śmierć nie na niedolę—zastrzegł raz jeszcze Maćko.

—Na śmierć.

I po chwili starli się z sobą wobec niemieckich i polskich rycerzy. Młodszy i zręczniejszy był Kunon, lecz Maćko tak dalece siłą rąk i nóg przeciwnika przewyższał, że w mgnieniu oka obalił go na ziemię i kolaniem brzuch mu przycisnął.

Oczy komtura wyszły z przerażenia na wierzch:

—Daruj!—jęknął, wyrzucając ślinę i pianę ustami.

—Nie!—odpowiedział nieubłagany Maćko. I przyłożywszy mizerykordyę do szyi przeciwnika, pchnął dwukrotnie, a tamten zacharczał okropnie: fala krwi buchnęła mu ustami, drgawki śmiertelne wstrząsnęły jego ciałem, poczem wyprężył się i wielka upokoicielka rycerzy uspiła go na zawsze.

Bitwa zmieniała się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak straszego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną "przednią straż" teutońską, wderającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset "białych płaszców" przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackiem, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocalała się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagielly, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: "Bóg tak chciał"! Stawiono też przed majestatem pana przedniejszych jeńców. Abdank Skarbek z Gór przy-

wiódlł Szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kopidlowski herbu Dryja, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią św. Jerzego wszystkim gościom rycerskim przewodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy, klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem, przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowie gotowali się właśnie zjechać na pobojuwisko, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów. Litwini przynieśli skłóte sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało Wielkiego Mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a on westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki, leżące na wznak na ziemi, rzekł:

—Oto jest ten, który jeszcze dziś rano nieniemął się być wyższym nad wszystkie mocarze świata.....

Zaczem łzy poczęły mu spływać jak perły po policzkach i po chwili ozwał się znowu.

—Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziem jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczymy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordyą rozciętem i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcberga i wielkiego skarbnika Tomasza Mercheima i grafa Wendego, który legł z ręki Powaly z Taczewa i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci. Czeladź kładła ich jednego przy drugim, a oni leżeli nakształt zrąbanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartemi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew i duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie!!! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś i szumiały jakby do snu poległym. Zdala pod zorzą widać było oddziały litewskie, ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonymi piersiami, spoglądali na te chorągwie i na te trupy, leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, boży radosny wieczór.

Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to

był wieczór kładący koniec nędzy i trudom nie dnia tego ale całych stuleci.

A król chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzył jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

—Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie św. Brygidy, rzekł:

—Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!....

Poczem podniósł dłoń i począł żegnać nie-tylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawem od blasku zorzy i oczyszczonem przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojuwisko, zjeżone ułamkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów konskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta —i ciągnęło się owo żałosne pole śmierci z dziesiątkami tysięcy ciał, dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, na rumianem niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłosnie na widok żeru.

I nie tylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

Więc tobie, wielka, święta przeszłości i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!

VIII.

Maćko i Zbyszko wrócili do Bogdańca. Stary rycerz żył jeszcze długo, a Zbyszko doczekał się w zdrowiu i sile tej szczęsnej chwili, w której jedną bramą wyjeżdżał z Malbarga ze łzami w oczach Mistrz krzyżacki, drugą wjeżdżał na czele wojsk polskich wojewoda, aby w imieniu króla i królestwa objąć w^o posiadanie miasto i całą krainę aż po siwe fale^u Bałtyku.

KONIEC TOMU SZÓSTEGO I OSTATNIEGO,

